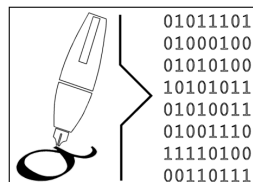


MERCEDES LACKEY

# STRZAŁY KRÓLOWEJ

Pierwszy tom z cyklu  
„Trylogia Heroldów Valdemaru”

Tłumaczył: Leszek Ryś



Tytuł oryginału:

*ARROW'S OF THE QUEEN*

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1987 r.

*Książka dedykowana  
Marion Zimmer Bradley i Lisie Waters,  
które wciąż powtarzały mi, że mogę to zrobić...*

# PIERWSZY

Łagodny wietrzyk szeleścił liśćmi, co, jak się zdawało, nie przyciągało uwagi siedzącej pod drzewem dziewczynki. Trzynastoletnie mniej więcej dziecko należało — sądząc z prostego odzienia — do jednej z zamieszkujących Grody Granicznej Krainy Valdemaru, pobożnych i wiernych surowym obyczajom rodzin, osiadłych tu ledwie od dwóch pokoleń. Jej ubranie, jak każdego dziewczęcia z Grodu, składało się z prostych, brązowych bryczesów i długiej tuniki z rękawami. Niesforne, brązowe loki przycięto krótko, daremnie próbując poskromić je stosownie do przyjętych obyczajów. Dla kogoś znającego ten lud przedstawiała by dziwny widok, gdyż zajęta czesaniem niebarwionej wełny — którą wcześniej własnoręcznie czyściła — czytała. W Grodzie jedynie kilka dziewcząt posiadało tę sztukę i żadna nie robiła tego dla przyjemności. Był to przywilej od wieków zastrzeżony dla mężczyzn i chłopców. Przeznaczeniem kobiet nie była nauka! Dziewczę przy lekturze — nawet ślęczące równocześnie nad czymś, co uchodziło niewieście — było tak nie na miejscu jak purpurowa sójka zabłąkana w stadzie wron.

Gdyby w tej chwili ktokolwiek mógł odgadnąć jej myśli, przekonałby się, iż większym jest jeszcze odszczepieńcem, niż wskazywałoby na to jej zainteresowanie książkami.

\* \* \*

*W ciemności Vanyel był tylko niewyraźnym kształtem u jej boku. Noc była bezksiężycowa, jedynie słabe światło gwiazd sączyło się poprzez gałęzie krzewów cykuty, pod którymi leżeli ukryci. Choć byli tak blisko siebie, że przesunąwszy dłoń ledwie o ułamek cala, mogłaby go dotknąć, jego obecność zdradzał jedynie stabiutki odgłos oddechu. Zachowywała ciszę, ale w ryzach trzymały ją tylko trening i dyscyplina; zwykle w takich okolicznościach trzęsłaby się cała, głośno przy tym dzwoniąc zębami odbijający się od śniegu nikły blask gwiazd wystarczył, by mogli zobaczyć, jak szlakiem biegnącym przełęczą nadciągą śmiertelne*

*niebezpieczeństwo dla Valdemaru.*

*Poniżej półki skalnej, na której leżeli, wąskim przesmykiem pomiędzy Dellcrag i górą Thurlos kroczyła armia Sług Mroku. Byli niemal tak milczący, jak obserwująca ich para. Zdradzało ich jedynie skrzypienie śniegu, z rzadka trzask łamanej gałęzi, cichutkie pobrzękiwanie zbroi lub końskiej uprzęży. Dyscyplina, z jaką ciągnął ów pochód, budziła jej zachwyt i przerażenie. Jakże załoga malutkiej placówki Straży Granicznej mogła marzyć o stawieniu czoła tym wojownikom, którzy byli zarazem magami?! Czyż nie dość, że było ich stokroć więcej? Nie byli to prości barbarzyńcy, łatwi do pokonania choćby dzięki temu, że nikogo spośród siebie nie potrafili uznać za przywódcę. Nie, ci wojownicy podporządkowali się żelaznej woli wodza — i nie był on gorszy od żadnego dowódcy Valdemaru — a w swych szeregach mieli tylko doświadczonych i wyszkolonych żołnierzy.*

*Patrzyła jak w transie na sunące szeregi. Drgnęła przestraszona, kiedy dłoń Vanyela lekko dotknęła jej karku. Pociągnął ją delikatnie za rękaw. Zachowując ostrożność, posłusznie wypetnęła spod krzewów.*

*— I co teraz? — wyszeptwała, kiedy od Sług Mroku bezpiecznie oddzieliły ich masywne, skaliste występy na krawędzi półki.*

*— Jedno z nas musi zawiadomić Króla, podczas gdy drugie zagrozi im drogę u wylotu przełęczy. . .*

*— Na czele jakiej armii? — zapytała, ze strachu w jej głosie pojawił się ton zjadliwego sarkazmu.*

*— Zapominasz siostrzyczko, że ja nie potrzebuję armii. . . — Raptowny błysk z wyciągniętej ręki Vanyela wydobył z ciemności jego ironiczny uśmiech, na mgnienie oblewając biały mundur niesamowitym, niebieskawym światłem.*

*Zadrzała. Zawsze wydawało się jej, że w ponurych rysach jego twarzy skrywa się cień grzechu, a teraz, w niebieskawej poświacie wyglądały one demonicznie. Vanyel rzucał na nią czar, w którym było coś chorobliwego. Ten człowiek był niebezpieczny. W niczym nie przypominał łagodnego towarzysza jej życia, barda Stefena. Niewykluczone, że był ostatnim i — jak powiadali niektórzy — najlepszym magiem Heroldów. Armia Milczących Sług zniszczyła pozostałych, jednego po drugim. Jedyne Vanyel był na tyle potężny, by oprzeć się ich zjednoczonej mocy. Ona, w której duszy także tliła się iskierka magii, niemal namacalnie odczuwała na sobie jego moc, nawet jeśli nie posługiwał się nią.*

*— Razem z moim Towarzyszem możemy sprostać tysiącu tych panów nad wiedźmami — ciągnął zawadiacko. — Prócz tego przez wylot przełęczy nie przecisnie się naraz więcej jak trzech mężów obok siebie. Z łatwością możemy ich tam powstrzymać. A przy tym życzę sobie, by Stefan znalazł się jak najdalej stąd. Nas dwóch Yfandes by nie udźwignął, lecz ty jesteś tak lekka, że Evalie z łatwością was uniesie.*

*Schyliła głowę, poddając się jego woli.*

*— Nie podoba mi się to. . .*

— *Wiem, siostrzyczko, ale w tobie tli się płomyczek cennej magii, a Evalie potrafi być naprawdę śmigłą. Im prędzej wyruszysz, tym prędzej sprowadzisz pomoc.*

— *Vanyel... — dotknęła jego dłoni, okrytej futrzaną rękawicą. — U... uważaj na siebie...*

*Nagle złękła się bardziej o niego niż o siebie. Kiedy Król obarczył go tą misją, Vanyel wyglądał, jakby postradał rozum, jak człowiek który zobaczył własną śmierć.*

— *Na tyle, na ile to tylko będzie możliwe, siostrzyczko. Przysięgam, nie porwę się na nic, do czego nie zostanie zmuszany.*

*Nim serce zabiło, siedziała mocno w siodle Evalie, galopującej niczym wichur przyobleczony w końskie kształty. Za plecami czuła obejmującego ją w pasie barda Stefena. Współczuła mu: Evalie była dla niego obcym stworzeniem, nie potrafił dostosować się do rytmu końskiego kroku i wisiał niezdarnie uczepony siodła, podczas gdy ona czuła się jak zrosnięta w jedno ze swoim Towarzyszem, spływała na nią magia, odbierana jedynie przez Heroldów.*

*Galopowali jak oszalali, na złamanie karku. Gdy przejeżdżali pod drzewami, ich konary — niczym piszczące kościotrupa — próbowały ich schwycić, ściągając z grzbietu Evalie. Lecz zwinny jak łasica Towarzysz zawsze wywijał się przypominającym pazury gałęziom.*

— *Milczący Słudzy... — Stefen krzyczał jej wprost do ucha — ... muszą wiedzieć, że ktoś pędzi po pomoc, ożywiają te drzewa przeciw nam!*

*Zrozumiała, gdy Evalie uniknęła kolejnej pułapki, że Stefen miał rację. Drzewa istotnie poruszały się jakby z własnej woli, a nie tylko targane wichurą. Sięgały przed siebie zgłodniałe, gniewne. Na karku poczuła gorące tchnienie mrocznej magii, jak cuchnący oddech zwierzęcia żywiącego się padliną. Oczy Evalie szeroko otwierał nie tylko strach, wiedziała, że Towarzysz także czuje oddziaływanie tajemnych mocy.*

*Przynagliła Evalie i Towarzysz przyspieszył jeszcze kroku. Jego szyja i boki pieniały się od zamarzającego niemal natychmiast potu. Wydawało się, że konary drzew chłuszczą z bezsilnego rozczarowania i wściekłości, gdy wypadli na skraj kniei. Przed nimi, prosto jak strzełił, rozpościerała się droga do stolicy. Evalie prawie przefrunęła ponad powalonym gigantem puszczy, by z triumfalnym rżeniem stanąć na ubitym trakcie...*

\* \* \*

Talia zamrugnęła, nagle wyrwana z uroku, który rzuciła na nią książka. Zgubiła się w tym śnie na jawie utkanym specjalnie dla niej przez opowieść, teraz

jednakże marzenie ulotniło się bezpowrotnie. Z oddali ktoś wołał ją po imieniu. Szybko poderwała głowę, odrzucając spadające na oczy niesforne loki. Nie opodal drzwi rodzinnego domu dostrzegła kanciastą postać odzianą na ciemno Keldar, Pierwszej Żony. Stała sztywno wyprostowana, zwinięte w pięści dłonie wsparła na biodrach, a bijąca z jej postury surowość wskazywała, że oczekuje odpowiedzi Talii, nie grzesząc przy tym nadmiarem cierpliwości.

Talia westchnęła żałośnie. Zebrała wełnę oraz druczane szczotki, zamknęła oprawiony w płótno, podniszczony tomik i odłożyła na bok kamienie, którymi przyciskała strony, gdy miała ręce zajęte pracą. Starannie zaznaczyła stronę cennym skrawkiem wstążki, chociaż wiedziała, że i bez niej nie miałyby kłopotu z odnalezieniem właściwego fragmentu. Keldar nie mogła wybrać gorszej chwili: Herold Vanyel był osamotniony, otoczony Sługami Ciemności, nikt nie wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo prócz jego Towarzysza i barda Stefena. Znając Keldar, upłyną godziny, zanim będzie mogła powrócić do opowieści, może stanie się to dopiero nazajutrz. Keldar była biegła w wynajdywaniu niezliczonych zajęć, byle tylko odebrać Talii przyjemność czerpaną z czytania, przyjemność, na którą niegdyś sama z ociąganiem przyzwoliła. Keldar była jednak Pierwszą Żoną, jej głos rozstrzygał we Dworze, trzeba było mu ulegać, albo cierpieć za nieposłuszeństwo.

Talia odpowiedziała na wezwanie z pokorą, jaką tylko mogła z siebie wyrzezać. Książeczkę razem z czesaną i nie czesaną wełną oraz wrzecionem ostrożnie włożyła do koszyka z wieczkiem. Wędrowny handlarz, od którego dostała ją przed tygodniem, wielokrotnie zapewniał, że dla niego nie ma już żadnej wartości. Dla niej, jako jedna z trzech książek, których była właścicielką i — co ważniejsze — jedyna dotąd nie przeczytana, była skarbem. Tego popołudnia na godzinę została przeniesiona w nieznany świat Heroldów i Towarzyszy, świat przepojony magią i pełen przygód. Powrót do dnia powszedniego, codziennego kieratu, widoku kwaśnej miny Keldar był bolesnym zawodem, Starannie rozpogodziła czoło, w nadziei że zdoła skryć niezadowolenie, i pochmurna, z koszykiem w ręce z wolna ruszyła drogą do Dworu. Jednak, obserwując twardniejące rysy twarzy Pierwszej Żony, miała niemiłe uczucie, że pomimo starań nie wyprowadzi Keldar w pole.

Oznaki buntu nie uszły uwagi Keldar, widoczne mimo wysiłków dziewczynki. Były one dostatecznie wyraźne dla kogoś doświadczonego w radzeniu sobie z dziećmi: lekkie powłóczenie nogami, posepny wzrok. Usta Keldar zacisnęły się niedostrzegalnie. Trzydzieści lat, a mimo to wciąż stara się zrzucić jarzmo, które sami bogowie nałożyli na jej barki! Doskonale, to się zmieni i to wkrótce. Niedługo zabraknie jej czasu na głupie opowieści, na marnotrawstwo czasu.

— Przestań się tak gapić spode łba, dziecko! — prychnęła Keldar, a jej wąskie wargi wygięły się z pogardą. — Nie wzywają ciebie na chłostę!

W przeszłości niejednokrotnie nakazywała karę cielesną, by zmienić zachowanie Talii. Bicie jednak na niewiele się zdawało, a tylko wywoływało słabe pro-

testy ze strony Matki Męża. Lecz toż przecież z woli bogów dziecko miało być posłuszne i jeśli potrzebna była chłosta, by je do tego przymusić, wtedy człowiek używał ręki — surowo, na ile było trzeba, modląc się, by tym razem lekcja zapadła w pamięci! Niewykluczone, że ona, Keldar, nie była dostatecznie surowa. W takim razie, jeśli tak było istotnie, sytuacja ta wkrótce ulegnie zmianie.

Obserwowała, jak dziecko niechętnie wlecze się ścieżką, wzbijając stopami małe obłoczki pyłu. Keldar wiedziała, że jej surowość wobec Talii graniczy z: niesprawiedliwością. To dziecko wyprowadzało ją z równowagi. Komu przyszłoby do głowy, że taka uległa i powolna istota jak Bessa może wydać na świat taki zbuntowany ogryzek jak ten? Dziewczynka zachowywała się czasami jak dzikie, krnąbrne i nieposkromione zwierzę. Jakże Bessa mogła odważyć się na urodzenie takiego wyrzutka?! I pomyśleć tylko, że na dodatek wykazała taki brak wycucia i umarła przy porodzie, składając obowiązek wychowania noworodka na barki pozostałych żon!

Talia była tak bardzo niepodobna do swojej rodzonej matki, że Keldar nasuwały się na myśl opowieści o odmieńcach. To dziecko przyszło na świat w wigilię Nocy Świętojańskiej, w czas od dawna znany z tajemnych powiązań. Z wyglądu niewiele przypominała zarówno krzepkiego, wysokiego blondyna, jakim był jej ojciec, ani pulchnej, jasnowłosej, zmarłej matki. . . Ale to były przesady, a na przesady nie było miejsca w życiu mieszkańców Grodu. „To dlatego, że ona ma w sobie podwójną dawkę uporu”, zawyrokowała w myślach Keldar. „Ale nawet najkrnąbrniejszy dąbczak daje się zgiąć. Zgiąć, albo złamać.” A jeśli do osiągnięcia tego celu brakowało Pierwszej Żonie potrzebnych środków, pośród mieszkańców Grodu znajdują się tacy, którym uda się tego dokonać.

— Dalejże, dziecko! — ponagliła, kiedy Talia natychmiast nie odpowiedziała. — A może myślisz, że powinnam szpicrutą nadać żwawości twoim krokom?

— Tak, pani, to znaczy nie, pani! — odparła Talia tak naturalnie, jak tylko mogła. Wyglądała przód swojej tuniki nerwowymi, spoconymi dłońmi, próbując przybrać minę pełną szacunku i uległości.

„Dlaczego jestem wzywana?”, głowiła się, przepełniona obawami. Wiedziała z doświadczenia, że takie wezwania rzadko oznaczały coś przyjemnego.

— W takim razie wejdź. Nuże, do środka! Nie zmuszaj mnie, bym zmarnowała całe popołudnie, stercząc przed wejściem! — Zimna twarz Keldar nie zdradzała, co chowa w zanadrzu. Całą swoją postacią, od ciasno upiętych i zawiniętych włosów do starannie zawiązanego fartucha, Keldar sprawiała wrażenie osoby panującej nad wszystkim. Była prawdziwym ucieleśnieniem Pierwszej Żony — na co często zwracała uwagę. W jej obecności Talia zawsze czuła się onieśmielona i za każdym razem — bez względu na to, jak starannie przygotowywała się do spotkania — miała wrażenie, że rzeczywiście jest rozpuszczoną, nieporządną dziewczyną. Chcąc jak najszybciej przemknąć obok władczej postaci Pierwszej Żony, Talia potknęła się o próg. Keldar zareagowała poniżającym, gardłowym



chrząknięciem i Talia poczuła, że się rumieni. W nie wyjaśniony sposób Keldar zawsze udawało się sprawić, że zachowywała się jak niezdara i popełniała najgorsze błędy. Przywołała resztki opanowania i wśliznęła się do sieni. W pozbawionym okien korytarzu panował głęboki mrok. Chętnie przystanąłaby i pozwoliła oczom przywyknąć do ciemności, gdyby nie obecność posępnej, następującej jej na pięty Keldar. Posuwała się po omacku, czując pod stopami zniszczoną, drewnianą podłogę, żywiąc nadzieję, że nie potknie się ponownie. Nagle, wkroczywszy do świetlicy, kiedy w padającym z trzech okien świetle znów mogła coś zobaczyć, od trwogi zaschnęło jej w ustach: dookoła grubo ciosanego stołu, który służył im wszystkim przy posiłkach, czekały *wszystkie* żony. Ich oczy zwrócone były na nią: osiem par niebieskich i brązowych oczu spętało ją, sparaliżowało, czuła się jak ptak otoczony przez zgłodniałe koty. Osiem płaskich, pozbawionych wyrazu twarzy obróciło się w jej kierunku.

W jednej chwili przyszyły jej do głowy wszystkie występki, jakich się dopuściła w ciągu minionego miesiąca — od zaniedbania obowiązków kuchennych z poprzedniego dnia do katastrofy z powierzonym jej opiece maluchem, który przedostał się do zagrody z kozami. Znalazłoby się z pół setki powodów, dla których mogłyby ją wzywać, jednak żaden aż tak poważny, aby niezbędne okazało się zwołanie *wszystkich* żon; przynajmniej tak *jej* się wydawało!

Chyba że — w poczuciu winy pomyślała ze strachem — chyba że w jakiś sposób dowiedziały się o jej potajemnych wizytach w ojcowskiej bibliotece, gdzie czyta przy pełni księżyca, kiedy jest dostatecznie widno, by nie zapalać zdradliwej świecy. Książki ojca przeważnie dotyczyły religii, ale jej udało się znaleźć jeden czy dwa stare tomy historii, która okazała się równie zajmująca, jak jej opowieści i pokusie tej trudno się było oprzeć. Jeśliby o tym się dowiedziały... Mogłoby to oznaczać codzienną chłostę przez tydzień i miesięczną „banicję”, czyli zamknięcie w komórce w nocy i odosobnienie w dzień; nikomu nie wolno byłoby zamienić z nią słowa, ani w żaden inny sposób zauważyć jej obecności, jedynie Keldar przydzielałaby jej zajęcia. Tego roku przytrafiło się jej to dwukrotnie. Talia nie mogła zapanować nad drżeniem. Nie była pewna, czy zniosłaby to po raz trzeci.

Keldar zajęła miejsce u szczytu stołu, a jej następne słowa przepłoszyły wszelkie myśli z głowy Talii.

— Doskonale, moje dziecko — powiedziała nachmurzona. — Dzisiaj skończyłaś trzynaście lat.

Ulga przyprawiła Talię o zawrót głowy. To tylko urodziny? Tylko tyle? Odechnęła swobodniej. Z opuszczonymi oczami, trzymając jak przystało złożone na podołku dłonie, o wiele spokojniejsza stała przed zgromadzeniem dziewięciu żon. Wpatrywała się w koszyk u swoich obutych w mocne trzewiki stóp, przygotowana wysłuchać z należnym szacunkiem pouczeń o rosnącej odpowiedzialności, których — o ile sobie przypominała — udzielały w każde urodziny. Upewniwszy się, że przyswoiła sobie całą zbiorową mądrość, pozwoliła jej wrócić do wełny i —

oczywiście nie przez przypadek — do rozpoczętej opowieści.

Jednak to, co Keldar miała do powiedzenia, rozpędziło cały odzyskany spokój na cztery wiatry.

— Tak, trzymaście — Keldar powtórzyła z naciskiem. — I nadszedł czas, by pomyśleć o małżeństwie.

Talia zbladła, mając wrażenie, że jej serce przestało bić. Małżeństwo? Och, najśłodsza bogini, nie!

Keldar najwyraźniej nie zważała na uczucia Talii. Błysk w jej oczach zdradził, że nie umknęły jej, lecz grubiańsko ciągnęła zaplanowaną przemowę.

— Nie jesteś na to przygotowana, to oczywiste, ale tak jest w przypadku każdego dziewczęcia. Regularnie pobierasz nauki już od roku, jesteś zdrowa i silna. Nie ma powodu, abyś nie miała zostać matką nim rok upłynie. Najwyższy czas byś została Panią na Gospodarstwie. Czcigodny ojciec daje ci w posagu całe trzy pola, a więc przypadła ci w udziale pokaźna część.

Z nieco cierpkiego wyrazu twarzy Keldar można było wyczytać, że uważa posag Talii za nadmierny. Wpiła mocniej swe palce w krawędź stołu, gdy pozostałe żony wydały pomruk uznania dla hojności swojego męża.

— Kilku ze starszyny już wystąpiło do twojego ojca z propozycją zrękowin: albo dla siebie na Młodszą Żonę, albo na Pierwszą Żonę dla swoich synów. Pominąwszy twoje niegodne niewiasty zamiłowanie do czytania i pisania, jesteś do tego przygotowana — rzetelnie wyuczyliśmy cię wszystkiego. Umiesz gotować i sprzątać, szyć, tkąć i prząść oraz można powierzyć twojej pieczy najdrobniejsze dziatki. Nie sprostałabyś prowadzeniu całego gospodarstwa, ale jeszcze przez parę lat nie będziesz zmuszona się tym zajmować. Nawet jeśli trafisz w ręce młodego mężczyzny jako Pierwsza Żona, zamieszkas w Gospodarstwie jego ojca. Tak więc jesteś przygotowana do czekających ciebie obowiązków.

Keldar zdaje się uznała, że powiedziała wszystko, co było trzeba, i usiadła z rękami złożonymi pod fartuchem, wyprostowana jak struna. Młodsza Żona, Isrel, czekała na jej przyzwalające skinienie, by podjąć przerwany wątek pouczeń o wyborach stojących przed córką.

Isrel łatwo poddawała się dominacji Keldar. Talia zawsze uważała ją za niemąłą oślicę. Młodsza Żona zawsze zwracała na Keldar bawole spojrzenie swych brązowych oczu, szukając potwierdzenia na wszystko, co powiedziała — nie omieszkła uczynić tego i teraz. Co drugie słowo popatrywała na Keldar.

— Jedno i drugie ma swoje dobre strony, wiesz o tym. Mam na myśli bycie tak Pierwszą, jak i Młodszą Żoną. Jeśli zostaniesz Pierwszą Żoną, twój mąż koniec końców założy swój własny Dwór i Gospodarstwo, w którym ty zajmiesz naczelne miejsce. Lecz jeśli zostaniesz Młodszą Żoną, nigdy nie będziesz musiała podejmować żadnej decyzji. Osiądziesz na zamożnym Gospodarstwie i Dworze, nie będziesz zmuszona oszczędzać i skąpić, nie zaznasz ubóstwa. Nie będziesz się niczym kłopotać, poza obowiązkami, którymi cię obarczą, i rodzeniem swoich

maleństw. Nie chcemy, byś była nieszczęśliwa, Talio. Chcemy dać ci możliwość wyboru życia, które najbardziej tobie odpowiada; oczywiście nie wyboru mężczyzny — zachichotała nerwowo. — To nie przystoi, a i tak żadnego zapewne jeszcze nie poznałaś.

— Isrelo — warknęła Keldar i Isrel bojaźliwie się nieco skuliła. — Ta ostatnia uwaga była gorsząca, nieodpowiednia dla uszu dziewczęcia! A teraz, dziecko, co będzie?

O boginie! Talia chciała umrzeć, zamienić się w ptaka, zapaść pod ziemię. Wszystko byle nie to! Pułapka, znalazła się w pułapce! Wydadzą ją za mąż i skończy jak Nada, bita co noc tak, że musiała nosić wysoko związane pod szyję tuniki, by ukryć siniaki; albo taka jak jej matka, wyniszczona zbyt wielką liczbą dzieci w nazbyt krótkim czasie. Nawet jeśli zdarzy się cud i jej mąż okaże się łagodny lub zbyt głupi, by być niebezpieczny, jej *prawdziwe* życie i nadające życiu sens opowieści odejdą w niepamięć, ponieważ w nieskończonym łańcuchu obowiązków przepłatanych noszeniem dzieci zabraknie na nie czasu. . .

Nim zdołała powściągnąć język, Talia wypaliła:

— Wcale nie chcę wychodzić za mąż!

Szmary raptownie ucichły. Wierzące się dotąd kobiety zamarty, siedziały teraz — z wyrazem niedowierzania na twarzach — cicho i nieruchomo jak rząd sztachet w płocie. Dziewięć identycznych obliczy, rozczarowanych i wstrząśniętych, patrzyło na Talię znad stołu. Cisza zaciskała się dookoła niej, jak przesądzająca dłoń losu.

— Talio, moje kochanie! — odezwał się miękki głos za jej plecami, mącąc pełną grozy ciszę.

Talia z ulgą odwróciła się do Matki Ojca, która nie zauważona siedziała w kącie. Należała ona do nielicznego grona ludzi z otoczenia Talii, którzy nie wydawali się zawsze myśleć, że cokolwiek robi, robi to źle. Jej łagodne, spłowiałe, niebieskie oczy jako jedyne w izbie nie patrzyły na nią oskarżycielsko. Bezwiednie, tak jak to miała w zwyczaju, staruszka wygładzała poplamioną wiekiem dłonią jeden ze śnieżnobiałych warkoczy i ciągnęła:

— Niech nam Matka wybaczy, lecz nigdy nie pomyślałyśmy, by cię o to zapytać. Czy czujesz powołanie? Czy bogini wezwała ciebie na służbę?

Talia łudziła się, że uda się odwlec ten straszny dla niej dzień, gdy oznajmią jej o zbliżającym się zamażpójściu, lecz to, o czym wspomniała babka, było czymś jeszcze gorszym. Pomyślała z przerażeniem o tej jednej chwili, kiedy miała okazję rzucić okiem na Świątynię Klasztorów, na kobiety trawiące życie na modlitwie za dusze mieszkańców Grodu, zamilkłe na wieczność, skryte od stóp do głów w zawojach, kobiety, którym zabroniono oddalać się, otwierać usta. . . żyć. . . Budziły w niej grozę. To było gorsze od małżeństwa. Na samo wspomnienie Klasztorów Talia miała wrażenie, że się dusi. Jak oszalała potrząsnęła głową, ze zdławionego gardła nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Keldar powstała z zajmowanego miejsca, z szurgotem odsuwając zydel, i podeszła do przerażonego i zmartwiałego jak mysz w łapach kota dziecka. Ujęła ramiona Talii jak w kleszcze i potrząsnęła nią tak, że dziewczynce aż zęby zadzwoniły.

— Co się z tobą dzieje, dziecko? — powiedziała gniewnie. — Nie chcesz wstąpić w szacowny związek małżeński, nie uśmiecha ci się Pokój Bogini, czego ty chcesz?

„Chcę jedynie, by mnie zostawiono w spokoju”, myślała zdesperowana Talia. „Nie chcę żadnych zmian...” Ale jej zdradzieckie usta ponownie otworzyły się, by wyjawić marzenie:

— Chcę zostać Heroldem — usłyszała własne słowa.

Keldar szybko uwolniła jej barki, niemal z odrazą, tak jakby odkryła, że trzyma coś obrzydliwego, co właśnie wypęzło spomiędzy odpadków.

— Ty... ty... — Po raz pierwszy opanowanej Keldar zabrakło słów. — Teraz widzicie, czym kończy się rozpieszczanie smarkaczy! — powiedziała, zwracając się jednocześnie do Matki Ojca, z braku kogoś, kto mógłby zostać kozłem ofiarnym. — Tak dzieje się, gdy pozwolić dziewczce wznieść się ponad zajmowane miejsce. Czytanie! Rozmyślania! Żadna dziewczka nie musi wiedzieć więcej ponad to, co wystarczy do oznaczania przetworów w spiżarni, liczenia zapasów i baczności, by wędrowni handlarze jej nie oszukiwali! Mówiłam wam, że tak będzie. Tobie i twojemu drogiemu Andreanowi, którzy wypełnialiście jej głowę głupimi opowieściami! — Ponownie odwróciła się do Talii. — A teraz, dziecko, kiedy skończę z tobą...

Ale Talii nie było.

Skorzystała z okazji, że Keldar wygłaszając swoją tyradę przestała zwracać na nią uwagę, i uciekła. Chyłkiem wysliznąwszy się drzwiami, zanim którakolwiek z żon spostrzegła jej nieobecność, uciekła co sił w nogach z Dworu. Szlochając histerycznie, myślała tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej. Uskrzydlał ją paniczny strach. Pędem minęła stodoły. Pobiegła wzdłuż ostrokołu, a potem przez pola ku zagajnikowi. Wiatr smagał ją po twarzy, chłostało sięgające do pasa zboże, po plecach spływał pot przerażenia. Zagłębiła się w las, przedzierając się przez krzewy rosnące wzdłuż krętej ścieżki. Szukała znalezionej przez siebie kryjówki, schronienia, o którym nikt inny nie wiedział.

Zagajnik urywał się stromo opadającą skarpią, poniżej biegła droga. Przed dwoma laty Talia natknęła się na wygrzebaną przez jakieś zwierzę płytką norę pod wystającymi korzeniami drzew na samym skraju skarpy. Wymościła ją wziętą ukradkiem słomą i starymi szmatami, z których miano uszyć sakwy. To tutaj trzymała w ukryciu swoje pozostałe dwie książki. Spędziła w tym miejscu wiele godzin, kosztem codziennych obowiązków śniąc na jawie, niewidoczna tak długo, jak długo pozostawała w ciszy i bezruchu. Zmierzała teraz do tego sanktuarium i wgramoliwszy się na skarpe, wczołgała się do jamy. Zagrzebała się w szmatach,

placząc histerycznie, wyczerpana, bez sił, z nerwami napiętymi do ostateczności, nastawiając ucha na najłżejszy szmer nad głową. Wiedziała, że bez względu na to, jak bardzo czuje się nieszczęśliwa, musi mieć się na baczności, gdyż z pewnością ruszono na jej poszukiwanie. Rzeczywiście, niebawem usłyszała z oddali głosy sług wołających ją po imieniu. Kiedy zbliżyli się, zdusiła szloch łachmanami, pozwalając łzom spływać w milczeniu, bojaźliwie nasłuchując oznak świadczących o odkryciu jej kryjówki. Tuzin razy miała wrażenie, że zauważono jej ślady, lecz oni najwyraźniej zgubili trop. Koniec końców oddalili się i poczuła, że teraz może się wypłakać do woli.

Pograżona w głębokim nieszczęściu, przycisnęła rękami kolana do piersi i kołysała się w przód i w tył, placząc aż oczy stały się zbyt suche i piekące, by móc dalej ronić łzy. Czuła się zbyt odrętwiała, by zebrać myśli. Każdy wybór wydawał się gorszy od poprzedniego. Jeśli teraz powróci z przeprosinami, wszelkie kary, jakie ją do tej pory spotkały, wydadzą się przyjemnością w porównaniu z tym, co mogła wymyślić Keldar za ten przykład gorszego zachowania i nieposłuszeństwa. Dalszy jej los zależał tylko od Keldar i ojca. Każdy mąż, którego teraz wybrałaby Keldar, byłby potworem. Albo spętano by ją u boku jakiegoś zaślinionego, starego ramola, by znosiła obmacywania w nocy i niańczyła go za dnia, albo oddano by ją jakiemuś młodzieńcowi, okrutnikowi, brutalowi z przykazaniem, by zmusił ją do przykładnego zachowania, Keldar najpewniej wybrałaby kogoś takiego jak Justus, jej starszy brat. Wstrząsnęły nią dreszcze, gdy przed oczyma stanął jej obraz Justusa, wywijającego nad nią gorącym pogrzebaczem z wyrazem szalonej przyjemności na twarzy. . . Szybko odpędziła to wspomnienie.

Ale nawet ten los byłby przyjemnym doświadczeniem w porównaniu z tym, co by ją spotkało, gdyby została ofiarowana na Służkę Świątyni. Służki Bogini — kapłanki — miały jeszcze mniej swobody i więcej obowiązków od Jej Służebnic. Żyły i umierały nie wychyliwszy poza klasztorny korytarz do którego zostały przydzielone. W każdym wypadku, bez względu na to, jaką przyszłość by dla niej wybrali, położyłoby to kres jej ucieczkom w świat opowieści. Keldar już by dopilnowała, by nigdy nie ujrzała żadnej książki.

Przez jedną chwilę rozważała możliwość ucieczki, opuszczenia na zawsze Dworu i Grodu. Nagle przyszli jej na myśl wędrowni wyrobnicy, których widziała na Targach Najmitów — wynędniali, zgłodniali, rozpaczliwie szukający kogoś, kto przyjąłby ich do Grodu. Nigdy nie zauważyła pomiędzy nimi kobiety. Z „nie-mądrych opowieści”, które przeczytała, wynikało niezbiecnie, że życie wędrowca było niebezpieczne, czasami śmiertelnie niebezpieczne, dla niedoświadczonego i bezbronego podróżnika. A czymże ona dysponowała? Miała ubranie na grzbiecie, pęk postrzępionych szmat i nic więcej. W jaki sposób obroni się? Nigdy nie nauczono jej, jak używa się noża. Była bezbronną ofiarą.

O gdybyż to była opowieść. . .

*Nieznamomy głos wypowiedział jej imię, głos zdradzający opanowanie, auto-*

rytet i ona stwierdziła, że odpowiada na to wezwanie, wychodząc ze swej kryjówki niemal wbrew swej woli. Przed jej oczami, na szczycie skarpy czekał na nią...

*Herold. Kobieta w oślepiającym blasku dumnej Bieli, a obok niej śnieżna zjawia — Towarzysz, któremu łagodny wietrzyk rozwiewał grzywę i ogon, jak najcieńszy jedwab. Witające ich światło słoneczne otaczało poświatą oboje, czyniąc z nich istoty niezziemskie. W oczach Talii kobieta-Herold wyglądała jak zbudzona do życia statua Pani, tyle że silnej i dumnej, a nie potulnej i uległej. Za plecami Herolda, sprawiając wrażenie wystraszonych i onieśmiałonych, stali Keldar i ojciec.*

— Czy to ty jesteś Talią? — zapytała kobieta-Herold, a ona potakująco kiwnęła głową.

*Twarz nieznajomej zajaśniała uśmiechem, który ją oszołomił jak nagły przebłysk słońca po deszczu.*

— Błogosławiona Pani, która nas tutaj przywiodła! — wykrzyknęła. — Przez wiele nużących miesięcy szukaliśmy ciebie. Na próżno! Jedyłą wskazówką było twoje imię...

— Przywiodła was do mnie? — zapytała Talia upojona. — Ależ, dlaczego?

— By uczynić ciebie jedną z nas, młodszą siostrzyczko — odpowiedziała, podczas gdy Keldar kurczyła się ze strachu, a pochylony ojciec sprawiał wrażenie, jakby zajęty był badaniem czubków własnych butów.

— Masz zostać Heroldem, Talio — sami bogowie tak zdecydowali. Spójrz, o tam, nadchodzi twój Towarzysz...

*Spojrzała w kierunku wskazanym przez Herolda, by zobaczyć pełną gracji sylwetkę białej klaczy o wygiętym w łuk karku i mądrych oczach, klusującą w jej kierunku. Towarzysz miał rząd w kolorach niebieskim i srebrnym. Wiszące malutkie dzwonki zdobiły jego wodze i uzdę. Za Towarzyszem, utrzymując z szacunkiem odległość, podążała reszta jej rodzeństwa, pozostałe żony i cała służba Grodu.*

*Z okrzykiem zadowolenia wybiegła klaczy na spotkanie, a kobieta-Herold pomogła jej dosiąść Towarzysza przy wtórze wiwatów służby, przed rzucającym smętne spojrzenia rodzeństwem, przed ojcem i Keldar, patrzącymi z nie skrywanym strachem, niewątpliwie zaprzątniętych myślami o wszelkich nałożonych na nią karach, przewidujących, że teraz, kiedy to w jej rękach spoczywa władza, spadną one na nich...*

W ten rozpaczliwy sen na jawie wdarł się odgłos kopyt. Przez jedną, pełną popłochu chwilę pomyślała, że to jeszcze jeden ścigający, lecz nagle uzmysłowiła sobie, że krok żadnego z koni jej ojca nie brzmi w ten sposób; odgłos tych kopyt na twardej powierzchni drogi brzmiał jak bicie dzwonów. W miarę zbliżania się, słyszalny stał się inny dźwięk: brzęk prawdziwych, zawieszonych u uzdy dzwoneczków. Jedynie jeden rodzaj koni nosił codziennie, a nie tylko w dni Świąteczne, dzwoneczki przy uździenicy — magiczny rumak z legend, Towarzysz Heroldów.

Talia nigdy nie widziała prawdziwego Herolda, chociaż marzyła o nich bez

ustanku. Gdy zrozumiała, że w końcu naprawdę przeżyje jedno ze swoich marzeń, poruszyło ją to tak, że w niepamięć poszły fantazje i łzy. Pokusa była zbyt mocna, by się jej oprzeć. Na tę jedną chwilę zapomni o kłopotach, o beznadziejnej sytuacji, by i dla siebie schwytać okruszek magii, aby go strzec jak skarbu przez resztę życia. Wysunęła się nieco z nory, wyciągając ile sił ciało, chcąc choćby tylko rzucić okiem i... wychyliła się za daleko.

Krótką chwilę wywijiała rękami jak cepem, młóćąc nimi powietrze, lecz straciła równowagę. Jak kulka potoczyła się po stromiźnie, boleśnie odczuwając podskoki ciała na każdym kamieniu czy korzeniu. Zanim stoczyła się do połowy zbocza, zaparło jej dech w piersi. Myślała już, że nic nie zatrzyma tego spadania na łeb na szyję, gdy uderzyła o twardą powierzchnię drogi. Od upadku straciła na poły przytomność, a przed oczami zobaczyła roztańczone iskierki. Kiedy mgła mącąca jej wzrok przerzedziła się i na nowo mogła zaczerpnąć tchu, stwierdziła, że leży na drodze rozciągnięta jak długa na brzuchu. Miała pokaleczone ręce, obolały grzbiet, kolana ponabijane mnóstwem kamyczków i oczy pełne pyłu. Obróciła głowę na bok, zamrugła, by przepędzić łzy i nagle spostrzegła, że wpatruje się w cztery srebrzyste kopyta. Tłumiąc jęk, z trudem podniosła się z ziemi.

Uprzejmie zainteresowany przyglądał się jej... Hm, Towarzysza Herolda trudno byłoby po prostu nazwać koniem. Był on istotą doskonalszą, jak pantera w porównaniu do podwórzowego kota czy anioł do człowieka. Talia czytała i słyszała mnóstwo opisów Towarzyszy, a mimo to zupełnie nie była przygotowana na to, jak on z bliska naprawdę wygląda.

Samotny Towarzysz miał na sobie pyszny, srebrzysto-niebieski czaprak, tuż przy uździe wisały srebrne dzwoneczki. Talia w życiu nie widziała tak smukłego, a przy tym tak muskularnego wierzchowca, żaden też nie wydawał się wzlatywać, nie postawiwszy przy tym ani kroku. Był biały — one zawsze były białej maści — i nic na świecie nie mogło się równać z tą rozjarzoną, żywą, promienną bielą. A do tego te oczy...

Kiedy w końcu zebrała się na odwagę, by spojrzeć w szafirowe oczy, zupełnie straciła poczucie rzeczywistości.

\* \* \*

Zatraciła się w tej niebieskości ogromniejszej od morza i ciemniejszej od nieba, przepelnionej powitaniem tak serdecznym, że nie było miejsca na wątpliwość.

— *O tak, nareszcie — ty! Z całego świata, po tylu poszukiwaniach wybieram ciebie. Nareszcie odnalazłem ciebie, młodsza siostrze mego serca! Jesteś moja, a ja jestem twój, i odtąd nie będzie już samotności, nigdy...*

To było bardziej wrażenie niż słowa: wstrząs i zachwyt, zapierająca dech radość tak wielka, że aż bolesna. Zespolenie, gubienie i odnajdywanie, miłość i akceptacja, której cudowności nie można było zamknąć w słowach, wzlot ku wolności. Z całej duszy przyjęła ofiarowaną miłość.

— *A teraz zapomnij, siostrzyczko. Zapomnij aż do chwili, kiedy będziesz gotowa, by ponownie pamiętać.*

Ocknęła się czując, że wydarzyło się coś niezwykle ważkiego, chociaż właściwie nie wiedziała co. Potrząsnęła głową, ale cokolwiek to było, skryło się gdzieś w zakamarkach pamięci, pozostawiwszy jedynie osobliwy ślad, że może nieoczekiwanie powrócić. A tymczasem czuła na piersi mięciutkie nozdrza. To Towarzysz trącał ją pyskiem, rząc cichutko.

Wydawało się jej, że ktoś przygarnia ją miłością do siebie namawiając, by wyplakała całe swoje nieszczęście. Zarzuciła Towarzyszowi ręce na szyję i bez skrępowania rozplakała się w jedwabistą grzywę. Gdy tylko jej dotknęła, doznała ukojenia. Wrażenie, że ktoś ją pociesza, przybrało na sile. Nigdy nie doświadczyła czyjegoś współczucia i bardzo tego pragnęła. Łzy tym razem, w przeciwieństwie do samotnie ronionych w ukryciu, przyniosły ulgę. Po chwili osuszyła oczy skrajem tuniki, z ociąganiem puściła szyję Towarzysza i powtórnie przyjrzała mu się dokładnie. Przez jedną, szaloną chwilę kusiło ją, by wskoczyć na siodło. Zobaczyła siebie odjeżdżającą w dal — dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd i byle razem z nim. Pokusa była tak silna, że aż zadrżała, lecz przeważył powracający rozsądek. A dokądże miałyby się udać? Nie mówiąc o tym, że...

— Uciekłeś od kogoś, prawda? — cicho przemówiła do Towarzysza, który w odpowiedzi tylko parsknął w jej kaftan. — Nie mogę ciebie zatrzymać, możesz należeć tylko do Herolda. Będę... — Przełknęła głośno ślinę. Na myśl o rozstaniu poczuła dławienie w gardle i łzy ponownie napłynęły jej do oczu. W swoim krótkim życiu niczego nie pragnęła tak bardzo, jak teraz tego, by należeli do siebie! — Będę musiała odprowadzić cię do właściciela.

Przyszła jej do głowy nowa myśl i po raz pierwszy tego popołudnia rozpromieniła się na chwilę, gdyż wydało jej się, że dostrzega wyjście z kłopotliwej sytuacji.

— Może... może okażą wdzięczność i pozwolą mi pracować u siebie. Musi im być potrzebny ktoś, kto by gotował, szył, kto byłby na ich usługi. Dla Heroldów gotowa jestem robić wszystko.

Wyraz łagodnych, niebieskich oczu wydawał się być potwierdzeniem, że to dobry pomysł.

— Muszą być milsi od Keldar. We wszystkich opowieściach są tacy dobrzy i mądrzy! Na pewno zezwoliliby na czytanie po pracy. Mogłabym im się przez cały czas przyglądać... — Łzy ponownie zatkały jej krtań — ... może zezwoliliby mi od czasu do czasu widywać się z tobą.

W odpowiedzi Towarzysz tylko zarżał i wyciągnąwszy szyję trącał ją ak-



mitnymi nozdrzami, popychając w stronę siodła i obracając się tak, by mogła go dosiąść.

— Ja? — pisnęła. — Nie mogłabym. . .

Nagle zrozumiała, czym *on* jest, a kim *ona*. W marzeniach łatwo i pięknie było wskoczyć na grzbiet Towarzysza, lecz na jawie sam pomysł, że ona — pospolita i niechlujna — mogłaby znaleźć się w jego siodle, był szalony.

W ogromnych, jasnoniebieskich oczach, które ponownie zwróciły się na nią, zamigotał cień zniecierpliwienia. Kopyto uderzyło władczo o ziemię i Towarysz potrząsnął grzywą. Jasno — jakby wyraził to słowami — dał do zrozumienia, że uważa jej skrupuły za śmiechu warte. A któż by miał się temu przyglądać? — zdawał się mówić. Zastanowiwszy się, doszła do wniosku, że Towarysz przybywa pewnie z bardzo odległych stron i jeśli ona będzie się upierać przy podróży pieszo, odprowadzanie go potrwa wieczność.

— Pewny jesteś, że ci to nie przeszkadza? Uważasz, że wszystko jest w porządku? — zapytała nieśmiało, nie zważając na absurdalność zwracania się z prośbą o radę do konia.

Niecierpliwie podrzucił łbem, dzwoniąc wiszącymi u uzdy dzwoneczkami. Nie było ani cienia wątpliwości, że uważa ją za nadzwyczaj niemądrą.

— Masz rację — nagle się zdecydowała i wskoczyła na siodło.

Jazda na koniu nie była dla Talii niczym nowym. Do tej pory wykorzystywała każdą nadarzającą się sposobność, często dosiadając konia ukradkiem, kiedy nikt nie patrzył. Nie popuściła żadnemu, który dorósł na tyle, by unieść jej ciężar; czy był ujeżdżony czy nie, w siodle lub na oklep. Spośród dziatwy Grodu była najstarsza, a zatem jedyna, którą można było uważać za odpowiedzialną na tyle, by była posłańcem do pozostałych członków starszyny, albo jeździła po sprawunki do wioski. Zwykle raz w tygodniu legalnie dosiadała konia; z reguły można by było ją przyłapać na tej czynności ze trzy, cztery razy częściej.

Jazda na Towarzyszu nie przypominała niczego, co znane jej było z doświadczeń. Krok miał tak miękki, że w siodle mógłby utrzymać się najmłodszy dzieciak, a gdyby przymknęła powieki, nigdy nie domyśliłaby się, że idą krokiem szybszym od powolnego kłusa. Zwierzęta jej ojca trzeba było nieustannie przynaglać, jeśli nie chciało się, by wlokły się idąc powolnego stępa. Towarysz z własnej woli przeszedł w cwał szybszy od najszybszego galopu, do jakiego udało jej się kiedykolwiek zmusić wierzchowca. Słodkie powietrze omywało ją jak woda w rzece, zwiewając włosy z twarzy. Upojenie przepłoszyło wszelkie złe myśli, jakby owiewający ich wiatr porwał dręczące ją nieszczęścia i usypał z nich bezładny kopczyk na środku drogi. To było jak sen na jawie. Pomyślała, że teraz właśnie mogłaby umrzeć, by już nigdy nie obudzić się w tym ponurym świecie.

## DRUGI

Nim stopiła się jedna miarka na świecy, oddalili się od ojcowskiego Grodu bardziej niż kiedykolwiek zrobiła to Talia. Droga wiodła wzdłuż rzeki, skrajem stromego, gęsto zarośniętego urwiska. Przeciwległy brzeg zbiegał łagodnie ku wodzie. W miejscu, w którym się właśnie znaleźli, rzeka rozlewała się bardzo szeroko, leniwie tocząc swe wody. Ze skarpy można było co jakiś czas dostrzec poprzez rosnące tu ogromne wierzby, których omdlewające gałęzie tworzyły żywy parawan, krajobraz po drugiej stronie rzeki. Ani śladu ludzkiego osadnictwa. Do uszu Talii dochodził jedynie śpiew ptaków i bzykanie owadów. Wyrastała przed nią ściana drzew, pomiędzy którymi tylko od czasu do czasu migotała rzeczna tafla i ciągnąca się bez końca droga. Choć nie mogła stwierdzić tego z całą pewnością, to jednak coś jej podszeptywało, że opuściła już ziemie ludu Grodów — Graniczną Krainę.

Słońce stało jeszcze dość wysoko, grzejąc łagodnie; nie był to ten okrutny upał, który zapanuje później, w lecie. Z drogi, którą ułożono z nie znanego jej materiału — co prawda w swoim życiu ani razu nie odważyła się zapuścić aż tak daleko — nie wzbijały się tumany kurzu. Unoszony ożywym wietrzykiem zapach zieleni odurzał ją jak wino. Chciwie chłonęła każdą chwilę — lada moment mogła napotkać Herolda, do którego zgodnie z prawem należał Towarzysz. To będzie kres jej przygody. Nigdy już nie dosiądzie takiego wierzchowca! Każdą drogocenną kroplę czasu należało więc troskliwie przechować w pamięci, by w przyszłości nie ulotniła się bezpowrotnie.

W miarę jak przemijały miarki na świecy i żaden Herold się nie pojawiał, ani, prawdę powiedziawszy, nic większego od pary wróbli, Talia zaczęła popadać w swoisty trans. Jednostajny cwał Towarzysza i rozwijająca się przed nią w nieskończoność droga działały hipnotycznie. Coś kojącego, drzemiącego na krawędzi świadomości ukołysało ją, uciszyło dokuczliwy niepokój. Czas upływał, a ona trwała w transie. Ocknęła się dopiero, gdy promienie zachodzącego słońca uderzyły prosto w jej oczy. Gdzieś zapodziały się dręczące obawy i lęki, gdy tak jechała nie zwracając uwagi na to, co ją otacza. Pozostał jedynie spokój oraz poczucie, że dobrze zrobiła wyruszając w tę podróż, i jakby rodzące się podniecenie. Noc nadchodziła szybko, a drogę samotnie przemierzali jedynie oni.

Krajobraz zmienił się, lecz ona nie była tego świadoma. Teren opadał stopniowo i tak niezauważalnie, że tego nawet nie spostrzegła. Droga biegła teraz na poziomie rzeki, niemal obmywana jej chlupoczącymi wodami. Talia znalazła się na nizinie i teraz była już pewna, że opuściła ziemie przynależne ludowi Grodów.

— Zamierzasz cwałować całą noc? — zapytała Towarzysza, który zastrzygł uchem, a potem krótko prychnął, potrząsnął łbem i przeszedł do stępa. Słyszała odgłosy ptaków przysiadających na gałęziach i przygotowujących się do nocnego odpoczynku: ciche świergoty i urywane, śpiewne nawoływania. Zdawać by się mogło, że Towarzysz szuka czegoś po zalesionej stronie drogi; takie przynajmniej Talia odniosła wrażenie. W chwili, gdy zachodzące słońce zaczęło barwić szaty w jaskrawe purpury, on wyraźnie znalazł to, czego szukał. Bez ostrzeżenia przeszedł w kłus i porzuciwszy ubity trakt, ruszył ścieżką przez las.

— Co robisz?! — wykrzyknęła.

Potrząsnął tylko łbem i uparcie trzymał się ścieżki. Widząc potężne drzewa z obu stron, Talia nawet nie próbowała zeskoczyć z siodła. Na grubym kobiercu ściółki ścieliły się cienie, na widok których znów obudziły się w niej lęki. Nie miała pojęcia, co też kryje bujna roślinność pod drzewami. Mogły tam być cierne krzewy, albo jadowite, cuchnące chrząszcze lub coś jeszcze gorszego. Ze strachu i strapienia zagryzła wargi. Nie mogła nic uczynić, tylko kurczowo wpijać się w siodło i czekać.

Ścieżka raptownie urwała się. Znaleźli się na skraju łąki, pośrodku której stała mała chatka — jednoizbowa, pozbawiona okien, ale za to z kominem. Na pierwszy rzut oka widać było, jak starannie jest utrzymana oraz to, że nikogo w niej nie ma. Talia z ulgą rozpoznała znaną z opowieści Stanicę Heroldów.

— Przepraszam — powiedziała ze skrucą do czujnie nastawionego ucha. — Ty naprawdę wiedziałeś, co robisz, prawda?

Towarzysz zatrzymał się u drzwi Stanicy. Wstrząsnął łbem i czekał, aż Talia zsiądzie.

Teraz okazało się, jak pomocne są przeczytane opowieści. Talia doskonale wiedziała, co i gdzie tu można znaleźć. Ostrożnie przrzuciła nogę ponad grzbietem wierzchowca i powoli zsunęła się na ziemię. Żwawe ruchy, uświadomiła to sobie rozczarowana, były wykluczone: zesztyniały jej mięśnie w drżących od zmęczenia nogach, na dodatek miała poobcierany naskórek — nigdy nie siedziała w siodle tak długo.

Wiedziała, że w pierwszym rzędzie obowiązkiem jest zaopiekować się Towarzyszem. Rozsiodła go szybko, przy czym stwierdziła z zaskoczeniem, że w uprzęży brak jest wędzidla, a uździenica jest wymyślną odmianą postronka, którym absolutnie nie można by go poskromić, chyba że Herold miał tak mocarne ramiona, by wykręcać jego łeb do tyłu. Była to najbardziej osobliwa część uprzęży, a nasuwające się z tego wnioski jeszcze osobliwsze.

Starannie złożyła uprzęż obok drzwi, podniosła skobel i zaglądnęła do środka.

Światło zmierzającego dnia starczyło, by odnalazła to, czego szukała — hubkę z krzesiwem na półce tuż obok wejścia.

Ostrożnie rozpałała ogieniek na kominku: malutki, wystarczający jednak, by można było coś zobaczyć. W oświetlonym wnętrzu Talia zdołała odnaleźć to, co z kolei było niezbędne: pęk gałganów do oczyszczenia upręży i zgrzebło do wyczesania Towarzysza. Podczas gdy czyściła mu sierść do ostatniej plamki potu, do ostatniej drobiny pyłu, on ani drgnął, o niebo potulniejszy od jakiegokolwiek konia ze stajni ojca. Kiedy uporała się z robotą, pokłusował na środek polany, by tam krótko wytarzać się w trawie. Chichotała patrząc, jak zapomina o dumnych manierach i figluje zgodnie z naturą koni, zwłaszcza że dotąd zachowywał się tak, jakby to on ją wiodł w nieznanne strony. Z kolei, napawając się zapachem skór, wypucowała uprząż niemal tak starannie jak przed chwilą wierzchowca i, by nie mogła zaszkodzić jej rosa, złożyła obok drzwi, wewnątrz izby. Przy stole gałganów stały dwa wiadra. Korzystając z tego, że w niebieskawej szarzyźnie zmierzchu mogła się jeszcze jakoś rozeznąć, zbiegła z nimi nad wodę. Towarzysz podązał za nią jak szczeniak. Oboje brodzili w smagających po nogach chwastach. Nabrała w wiadra wody do pełna, a on w tym czasie ugasił pragnienie, pijąc wprost z rzeki. Cudowny chłód omywającej stopy wody przypomniał jej, że aż się lepi od brudu: przedzierała się przez las, stoczyła w dół urwiska, długo podróżowała w siodle — wzięwszy wszystko razem, koniecznie musiała się wykapać. Granicząca z umartwieniem, niemal religijna dbałość o czystość była jednym z obowiązkowych elementów surowego wychowania, któremu poddane było każde dziecko Grodu. Talia bardziej przywykła do uczucia świeżości, jakie przynosi staranne szorowanie niż do brudu, i zdecydowanie przedkładała pierwsze nad drugie.

— Możesz sobie być Towarzyszem — zwróciła się do przyglądającego się ogiera — ale czuć od ciebie koniem, a teraz i ode mnie. Jak myślisz, czy tutaj można się bezpiecznie kąpać?

Towarzysz zarzął, oddalił się na kilka kroków i grzebnął kopytem w płyciznę przy brzegu, kiwając łbem, jakby upewniając się, czy zrozumiała. Podeszła do miejsca, gdzie stał i wyteżyła oczy, by w gęstniejących ciemnościach przyjrzeć się wodorostom.

— Ojej! — ucieszyła się. — Mydlany korzeń! W takim razie wszystko musi być w najlepszym porządku. Heroldowie nie zasadziliby mydlanego korzenia w miejscu niebezpiecznym dla kąpieli.

Bez dalszych wahań rozebrała się do naga. Ubranie początkowo składała w kupkę na brzegu, lecz zmieniła zdanie i zabrała ze sobą do wody. Po wyschnięciu będzie wymięte, ale lepsze to niż brud. Zanurzyła się w nagrzaną słońcem wodę, która jak jedwab przylgnęła do jej nagiej skóry; dno w tym miejscu było raczej piaszczyste niż muliste. Pluskała się, pływając zwinnie jak wydra, rozkoszując swobodą pływania nago, bez obaw o to, jak zachowałyby się Keldar, jeśli

ją przyłapała. Talia uzmysłowiła sobie, że spaliła za sobą mosty i to raz na zawsze. Dziewczyna na wydaniu, która bez pozwolenia oddali się na noc z Grodu, zostaje na powrót przyjęta wyłącznie do najgorszej harówki, a i to jeśli mąż i Pierwsza Żona akurat są w wielkodusznym nastroju. Przez jedną, krótką chwilę Talia poczuła przerażenie, bo po tym, co zrobiła minionego popołudnia, tylko łut szczęścia mógłby sprawić, że ktokolwiek z Grodu zdobyłby się wobec niej na wspaniałomyślność. Nagle jej wzrok padł na jasną sylwetkę Towarzysza, rysującą się na brzegu, i doszła do wniosku, że najwyższy czas odrzucić wszelkie wątpliwości.

Kiedy już piaskiem i mydłanym korzeniem wyszorowała się do czysta i wyprała odzienie, a chłód powietrza zaczął być przeszywający, stwierdziła, że dość już tego. W drodze do chatki Towarzysz nie odstępował jej ani na krok i kiedy dotarli do celu, popchnął ją pyskiem w stronę drzwi, rżąc błagalnie. Talia nie miała wątpliwości, czego on chce, przyjmowanie od niego wskazówek straciło swój dziwny posmak.

— Ty żarłoku! — zachichotała. — Masz chrapkę na kolację, co? To nauczka, że nie warto uciekać, Rolanie!

Zamilkła i zmarszczyła brew, wyężając myśli.

— A to ci dopiero, skąd ja znam to imię? — głośno myślała, wodząc nie widzącym wzrokiem po obsypanym cętkami księżycowego światła Towarzyszu, który, nie spuszczać z niej oka, stał nieruchomo i badawczo nastawiał ucha.

— Od ciebie? Czy takie jest twoje imię? Rolan?

Poczuła się zdezorientowana. Przez chwilę miała wrażenie, że patrzy na wszystko oczami kogoś obcego, niemal z nim w jedno zespolona. Uczucie było niesamowite, ale w najmniejszym stopniu nie budzące grozy.

— Ha, coś mi się zdaje, że jakoś muszę się do ciebie zwracać, i mniejsza o to, skąd to imię. Pozwól mi zatem rozłożyć rzeczy do wyschnięcia i wrócić z wiadrami, Rolanie. Potem przygotowuję kolację dla nas obojga.

Podsypała mu obficie ziarna, by w poczeriałym od ognia rondlu, który już wcześniej zauważyła, przygotować dla siebie okraszoną owocami owsiankę. Rolan uporał się ze swoim posiłkiem, nim jeszcze owsianka była gotowa, zbliżył się do niej na wyciągnięcie ramienia i położył w trawie. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jest kontent. W otaczającym ich lesie brzęczały owady przy wtórze cichego szelestu liści, blask ognia lśnił na sierści Rolana. Stojąc oparta o ścianę chatki, Talia czuła się dziwnie szczęśliwa.

— Nie rozumiem — zwróciła się do Rolana — dlaczego uciekłeś. Czegoś takiego nie oczekuje się od Towarzyszy, prawda?

Otworzył oczy i popatrzył na nią rozumnie.

— Mam nadzieję, że wiesz, dokąd zmierzasz, bo ja na pewno nie. Tak czy inaczej, spotkanie z Heroldem nas nie ominie i on już będzie wiedział, co z tobą począć.

Owsianka zapachniała tak, jakby była gotowa, jej wygląd też o tym świadczył.

Pomagając sobie gałęzią, ściągnęła rondel z ognia i gdy tylko jej kolacja nieco ostygła, zaczęła ją jeść palcami.

— To naprawdę dziwne, że pojawiłeś się w takiej chwili — mówiła dalej. — Myślałam, że jeszcze przed nadejściem nocy zostanie wytropiona, albo ulegnę i z własnej woli wrócę do Grodu. — Zmierzyła go badawczym spojrzeniem. — Nie przybyłeś, by wybawić mnie z opresji, prawda? Nie, to śmiesznie. Nie jestem Heroldem, jestem zwykłą dziewczynką z Grodu; po prostu dziwną Talią. Dlaczego miałbyś mnie ratować? Nie mówiąc już, że gdybyś chciał przyjść mi z pomocą, sprowadziłbyś ze sobą swojego Herolda, nieprawdaż? — Jej westchnienie zabarwione było odrobiną smutku. — Szkoda, że nie jestem twoim Heroldem. Chciałabym żyć tak zawsze.

Oczy Rolana przymknęły się i łeb mu zaczął opadać. Czując w żołądku przyjemną sytość, Talia stwierdziła, że i jej kiwa się głowa. W lesie panowały głębokie ciemności, ziemia wydawała się bardzo twarda i jedynie Stanica zdawała się zapraszać do swego wnętrza. Dziewczynka rzadko miała okazję spędzić noc pod rozgwieżdżonym niebem, a w samotności — nigdy.

— Jeśli ty już układasz się do snu, to lepiej pójde w twoje ślady.

Zasyłała ogień; by mieć ciepły posiłek na śniadanie, wstawiła rondel z pozostałością po kolacji w popiół z węglami, a potem narwawszy naręcze wysokich traw, wymościła skrzynię z posłaniem. Nie zabrało jej to dużo czasu. Gdy tylko położyła się, Rolan przeniósł się pod drzwi — niemal jak pilnujący pies. Wydawało się jej, że ledwo padła na posłanie, a już twardo spała.

Obudził ją ptasi śpiew. Rolan stał obok skrzyni z posłaniem i trącał jej ramię. Początkowo, oszołomiona snem, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie właściwie się znajduje, dopiero po chwili, gdy do cna otrzeźwiała, wspomnienia wróciły do niej gwałtownie. Wyskoczyła z gniazda słodko pachnących traw, by pod wpływem przemożnej wdzięczności, że to wszystko nie okazało się ledwie snem, przytulić się do szyi Rolana.

Szybko zjadła śniadanie, umyła się i posprzątała chatkę najlepiej jak umiała. Zagrzebała popioły wygasłego ognia, czując lekkie wyrzuty sumienia: wiedziała, że zgodnie z dobrymi obyczajami powinna uzupełnić spalone drewno, ale bez siekiery było to po prostu niemożliwe. Dużo gorzej czułaby się w środku zimy, a nie lata, chociaż zużyła zaledwie odrobinę z bardzo obfitego, jak jej się wydawało, zapasu. Uporawszy się ze sprzątaniami, osiodłała Rolana i klusem powrócili na trakt.

Ranek upłynął szybko. Radością napawała ją każda spędzona z Rolanem chwila, a i było na co popatrzeć. Gęste lasy zaczęły ustępować polom uprawnym; w oddali dostrzegła pasące się bydło, a nawet jedną, czy dwie ocienione drzewami, obrośnięte bluszczem chatki. Wtedy to, gdy słońce przesunęło się nad jej głową, droga zatoczyła łuk i zbiegła do rozsiadłej w dolince wioski.

Talia wodziła wokół zdumionym spojrzeniem. Wioska różniła się niezmier-

nie od tej, w której spędziła niemal całe swoje życie. Lud Grodów nieodmiennie odziewał się w smętne barwy — w nic weselszego od koloru stłumionego szafranu. Lecz tutaj każdy zdawał się po trochu stroić w jaskrawe, ptasie piórka. Nawet największy obdartus zakładał przynajmniej chustę, albo upinał czy to szkarłatną, czy to granatową wstążkę. Niektórzy, którym widać dobrobyt sprzyjał tak, że obca im była obawa splamienia swojego przyodziewku przy ciężkiej pracy, pysznili się ubiorem szczególnie pstrokatym. Nawet chaty wyglądały świątecznie, zdobne w jaskrawe dekoracje na pobielonych ścianach i z kolorowymi okiennicami. Chaty wydały się Talii szczególnie osobliwe. Rety, pomieściłby się w nich ledwie mąż, jego Pierwsza Żona i garsteczka dziatwy! Nie było w nich w ogóle miejsca dla Młodszych Żon i ich dzieci. Talia — głowiąc się, czy też przypadkiem nie mieszkają one w osobnych, własnych chatach — zachichotała na podsunięty jej przez wyobraźnię, tyleż nieprzystojny, co zabawny obraz męża obiegającego po nocy kolejne domy, by spełnić małżeński obowiązek wobec wszystkich swoich żon.

Na pierwszy rzut oka kwitnąca, zadbana wioska nie miała umocnień — obraz budzący lęk dla oka przywykłego do widoku wałów obronnych i otaczających ludzkie osiedla palisad. Talia ściągnęła wodze, widząc mężczyznę przed chatką na skraju drogi, tam gdzie wkraczała ona w granicę wioski. Można było sądzić, że jest on swego rodzaju strażnikiem lub urzędnikiem; miał na sobie strój — od wysokich butów począwszy i na kapeluszu skończywszy — w jednolitym, jasnoniebieskim kolorze, na plecach zaś kołczan z krótkimi bełtami. Oparta o ścianę chaty stała kusza.

Na jego widok przestraszyła się nie na żarty. Wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni — zwłaszcza korzystający z niepodważalnego autorytetu władzy — są istotami, których należy się bać. Wobec członków swych rodzin dzierżyli władzę nad życiem i śmiercią; nagradzali posłusznych i karali opornych. Ileż to razy starszyzna czy też ojciec uznawali, że stosowną dla niej będzie chłosta lub odosobnienie za występki o niebo mniejsze od tego, na co pozwoliła sobie w ciągu minionych dwóch dni? Nazbyt wiele, by liczyć, to pewne! Nie miała pewności, czy przypadkiem na rozkaz nieznajomego nie spotka jej taka sama kara, albo, co gorsza, czy nie zostanie odesłana do Grodu. Mimo to, z kimś będzie musiała zamienić słowo; już prawie dzień upłynął jej na poszukiwaniach i wciąż nie natrafiła na żadną wskazówkę, skąd pochodzi Towarzysz. Twarz nieznajomego zdawała się przyjazna i otwarta. Talia zebrała całą swą odwagę, by zwrócić się do niego z pytaniem.

— B-błagam o wybaczenie, panie — odezwała się uprzejmie, lekko się jąkając. — Ale, czy nie napotkał pan Herolda, któremu uciekł Towarzysz?

Zdawało się, że spłoszyło go jej pytanie, mimo to, powoli — jakby w obawie, że ją odstraszy — zbliżył się do nich, zostawiwszy, co z ulgą skonstatowała Talia, kuszę w spokoju.

— W samej rzeczy, nie, panienko — odparł. — Skąd to pytanie?

— Na drodze natknęłam się na tego oto samotnego Towarzysza — odpowiedziała z wahaniem, niepewna czy słusznie postępuje, mimo że jak na razie, nieznajomy nie zamierzał chyba osadzić jej w areszcie czy też postawić przed Radą Starców. — I wygląda na to, że powinnam go odprowadzić właścicielowi, kimkolwiek by on był.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem, co ją zdenerwowało.

— Skąd przybywasz, dziecko? — zapytał w końcu.

— Z Grodu Senów, niedaleko Corder. O, stamtąd — machnęła w nieokreśloną stronę, wzdłuż drogi, którą przybyła.

— Ach, ludy Grodów — skwitował krótko, jakby to było dla niego wyjaśnieniem. — Młoda panienko, jeśli się napotka samotnego Towarzysza, można zrobić tylko jedno: trzeba osobiście odprowadzić go do Kolegium Heroldów.

— Ja? — głos jej się załamał. — Do Kolegium? Osobiście?

Nieznajomy skinął głową, na co ona głośno przełknęła ślinę.

— Czy to daleko? — prawie wyszeptwała.

— Na zwykłym koniu trzy tygodnie, może dłużej. To zależy od pogody. Ty jednak dosiadasz Towarzysza, a taka drobiazga to dla niego piórko. Powinno wam to zająć osiem do dziewięciu dni, może nieco więcej.

— Osiem... do dziewięciu dni...? — głos jej odjęło, gdy spojrzała na swój pomięty i poplamiony podróżą strój. Za osiem do dziewięciu dni będzie wyglądać jak włóczęga. Toż za kradzież Rolana z miejsca ją odstrzela!

Nieznajomy wydawał się czytać w jej myślach. Gdy się uśmiechnął, w kącikach jego oczu pojawiły się kurze łapki.

— Och, nie obawiaj się, panienko. Królowa wydała zarządzenie na taką okoliczność. Nie oddalaj się, proszę.

Nie miała wielkiego wyboru: Rolan, zdawało się, zapuścił w miejscu korzenie. W krótkim czasie nieznajomy powrócił z małym metalowym przedmiotem w dłoni oraz przewieszonymi przez ramię: wełnianym, brązowym płaszczem i parą podróżnych toreb.

— Gospodyni Hardaxe ma córkę odrobinę od ciebie starszą. W lewej torbie znajdziesz kilka strojów do przebrania, z których ona już wyrosła.

Próbowała protestować, ale wpadł jej w słowo.

— Żadnych sprzeciwów, panienko. Powiedziałem już, że sama Królowa bacznie na takie przypadki. Za pomoc udzieloną tobie, w przyszłym roku zapłacimy o połowę niższe podatki, i to całą wioską. W prawej torbie jest kilka drobiazgów: krzesiwo, grzebień i szczotka — przedmioty przydatne na wypadek, gdyby twój Towarzysz nie mógł odnaleźć Stanicy. I bez obawy korzystaj z tego, co w każdej z nich znajdziesz — po to przecież tam są!

Zarzucił torby Rolanowi na grzbiet i przytroczył starannie z tyłu siodła.



— To płaszcz z dobrej, napuszczonej tłuszczem wełny, powinien ochronić cię przed deszczem i ogrzać o tej porze roku, nawet gdyby nagle nastąpiła obrzydliwa pogoda. Jest za obszerny, i to o wiele, ale to lepiej, bo mniej będziesz z niego wystawać. O, a oto i Oberżysta!

Sapiąc nadszedł pulchny człowieczek o sympatycznej twarzy. Przyniósł wór z wodą, małą sakiewkę i ciemnobrązowy, sukienny woreczek. Cudowny aromat mięs, który się z niego unosił, spowodował, że Talii pocięła ślinka, a żołądek dobitnie przypomniał, iż od śniadania upłynęło mnóstwo czasu.

— Zwróciłem uwagę na brak sakiewki u twego pasa, a więc szepnąłem Daro słówko, że być może jest ci potrzebna — wyjaśnił pierwszy nieznajomy. — W oberży ludzie zawsze coś zapodzieją.

— Przed chwilą napełniłem ten skórzany wór zącą wodą źródlaną — powiedział pulchny Oberżysta, przywiązując bukłak do jednego z wielu plecionych rzemieni u siodła, zanim Talia zdołała wykrztusić choć słowo.

— W woreczku jest nóż i łyżka. Przywieś go sobie — o, tak! Oto grzeczna dziewczynka! Nie wyobrażasz sobie, ile się u mnie nazbierało zapomnianych przez gości noży i łyżek. A te pasztety powinny, o ile znam apetyt dorastających dzieci, utrzymać świeżość dłużej niż tobie zajmie ich zjedzenie!

Podał jej mieszek i obtarł dłonie o fartuch, uśmiechnięty od ucha do ucha.

— I nie zapomnij powiedzieć innym, jak wysmienite jest nasze pieczone! Muszę biec z powrotem do moich gości. — I zanim zdążyła mu podziękować, zniknął zasapany.

— Spójrz — odezwał się wyglądający na strażnika nieznajomy, pokazując jej grawerowany kawałek mosiądzu. — Kiedy dotrzesz do Kolegium, oddaj proszę ten znak temu, kto cię o niego poprosi. Dowiedzą się wtedy, że to my pomogliśmy ci po drodze.

Podał jej oblik, a ona troskliwie umieściła go w swojej nowej sakiewce u pasa.

— W potrzebie proś o pomoc ludzi odzianych tak jak ja, a nigdy ci jej nie odmówią. Należymy do Armii, jesteśmy Strażnikami Dróg.

Szczęście zesłane przez los wprowadziło kompletny zamęt w głowie Talii. Nie tylko nie ukarano jej, ani nawet nie skarcono za to, jak postąpiła, nie tylko nie odesłano do domu, ale — jak się zdawało — w istocie spotkała ją za wszystko nagroda i pozwolono jej udać się tam, dokąd nawet w najśmielszych marzeniach nie ośmieliłaby się iść!

— D...d...zięki ci! J...j...asna Pani, zwyczajne dziękuję to wydaje się zbyt mało...

Strażnik zaśmiał się tak, że aż jego oczy ukryły się w fałdach skóry.

— Panienko, to my będziemy wspominać cię z wdzięcznością, gdy nadejdzie czas płacenia podatków! Czego jeszcze ci trzeba?

Rolan zdawał się myśleć, iż już czas ruszyć w dalszą drogę, gdyż zaczął się niecierpliwie, krok po kroku, oddalać.

— Nie, nic — zawołała przez ramię w odpowiedzi na leniwe machanie ręką na pożegnanie.

Kiedy Rolan powrócił do swojego dziarskiego cwału, wioska zniknęła im z oczu i jakby się pod ziemię zapadła. Dopiero wtedy Talia uzmysłowiła sobie, że nawet nie zna nazwiska swojego dobroczyńcy.

— A niech tam — odezwała się do Rolana, wbijając żarłocznie zęby w kawałek delikatnie przyprawionego pasztetu. — Nie wydaje mi się, bym miała zapomnieć pieczone żony Daro. Czegóż, co by tak smakowało, Isrel nie potrafiłaby upiec nawet w dni biesiad!

Z ciekawością obejrzała oblik — mosiężny znak z wygrawerowanym numerem i słowami: „Zdrój Słodyczy”.

— Zdrój Słodyczy? — zadumała się. — Z pewnością to nazwa tej wioski. Chciałabym wiedzieć, o co tutaj chodzi! Opowieści milczały na temat Towarzyszy, które by uciekały. Nigdy nie doszły też mnie żadne słuchy o tym. A tymczasem Strażnik zachowywał się tak, jakby działało się to nieustannie.

W porze kolacji napotkała jeszcze jedną wioskę, o wiele mniejszą od Zdroju Słodyczy; właściwie gromadkę domków i szop otaczających kuźnię. Nie było w niej Strażnika, widocznie była zbyt mała, by usprawiedliwiać jego obecność, lecz jej mieszkańcy nie okazali się ani odrobinę mniej przyjacielscy. Gdy, przy wtórze dzwonek, mijała ich cwałem, machali na powitanie, nic a nic nie zaniepokojeni widokiem nieco niechlujnej dziewczynki na grzbiecie Towarzysza Herolda. Talii trudno się było oprzeć, by nie porównać tej życzliwości z przyjęciem, jakie by ją spotkało ze strony mieszkańców jej własnego Grodu. W odpowiedzi na tak nieprzyzwoite zachowanie dziecka — i na dodatek dziewczynki — w najlepszym razie ograniczyliby się do rzucania nieruchomych spojrzeń; w najgorszym przypadku próbowaliby ją zatrzymać, ściągnąć z siodła i jak złodzieja wtrącić do karceru.

Tak jak poprzednio, tuż przed nocą, Rolan odnalazł Stanicę. Niedawno droga i rzeka rozdzieliły się, rozbiegając każda w swoją stronę, lecz schronisko szczyliło się studnią, a więc nie mieli ucierpieć z powodu braku wody. Pośród drobniaków zebranych dla niej przez strażnika, Talia znalazła puzderko wypełnione miękkim, domowego wyrobu mydłem i kawałek płótna do kąpieli. Były tam i zgrzebło i szczotka dla Rolana, więc kiedy księżyc wzeszedł, oboje byli o niebo czyściejsi.

Zdecydowała się — z pewnym ociąganiem — oszczędzać pasztety i zachować je tylko na południowe posiłki, resztę opędzając owsianką. Po nakarmieniu Towarzysza i siebie twardo zasnęła, mimo surowych warunków w tej Stolicy.

Trzeciego dnia podróży nowość, jaką była jazda na Towarzyszu, spowszedniała Talii na tyle, że jej myśli zaczęły błądzić wokół innych spraw. Pozycja słońca

na niebie przypominała, czym w tej chwili byłaby w domu zajęta. Stwierdziła, że ciekawi ją, co też myślą w Grodzie o jej zniknięciu. Pośród jej licznej rodziny nie było już nikogo, kto byłby jej naprawdę bliski od czasu, gdy podczas zajazdu zabito Andreana, a Vris odesłano do starca Fletchera na Młodszą Żonę. Wydawało się, że spośród jej krewnych jedynie ci dwoje naprawdę ją kochali — nawet Matce Ojca nie zależało na niej tak, by wstawiać się za nią, gdy jej uczynki wprawiały we wściekłość Keldar. Jedynie Andrean i Vris mieli odwagę przeciwstawiać się Pierwszej Żonie w jej napadach złego humoru. Vris działała po kryjomu, ukradkiem przemycając zabronione posiłki, gdy kara obejmowała zakaz jedzenia. Andrean był bardziej bezpośredni: otwarcie żądał, by zezwalano jej na to czy tamto lub nakłaniając ojca, by wcześniej okazał przebaczenie. To dzięki jego uporczym naleganiom nie zakazano jej lektury — słowo Drugiego Syna niebłaha miało znaczenie. Pomimo różnicy wieku Talia i Vris były sobie bliskie niemal jak bliźniaczki.

Łzy piekły w oczach, gdy myślała o Andreanie — wobec niej tak szlachetnym, opiekuńczym, zawsze skorym do śmiechu i żartów. Był przy niej tak krótko — zginął, gdy miała zaledwie dziewięć lat. Pomimo upływającego czasu pamiętała go doskonale: podobny do opiekuńczego olbrzyma, łagodny i cierpliwy, gotowy uczyć ją wszystkiego, czego chciała. Był ulubieńcem wszystkich z wyjątkiem Keldar. Chyba sama Bogini zapragnęła mieć go u swego boku i zawezwała w tak młodym wieku. Lecz i Talii był on przecież potrzebny. Karcili ją, że płacze na jego wspomnienie, tymczasem ona użalała się nad sobą.

A biedula Vris, którą widoki małżeństwa ze starcem Fletcherem napawały przeraźliwą i, jak się zdaje, całkowicie usprawiedliwioną bojaźnią. Talia widziała ją kilkakrotnie podczas Zgromadzeń: z bladą twarzą, wyprężoną i milczącą jak jaka Służebnica Pani. Zduszono w niej wszelką iskrę życia i pozostały tylko popioły.

Talia zadrzała. Los Vris z łatwością mógłby przypaść i jej w udziale, tak więc to, że Towarzysz pojawił się akurat w takiej chwili, zakrawało niemal na cud.

Podczas jazdy stwierdziła, że z braku zajęcia swędzą ją dłonie. Jak sięgnąć pamięcią, zawsze miała pełne ręce pracy, nawet czytać mogła, jeżeli w tym samym czasie zajęta była czymś, co było niezbędne. Dla Talii mieć bezczynne ręce było czymś bardzo nienaturalnym.

Wypełniała czas, próbując — na ile to możliwe — nasycić oczy zmieniającym się dookoła krajobrazem, usiłując stworzyć w pamięci rodzaj mapy. Im bliżej stolicy, tym częściej wyrastały na jej drodze małe miściny. Zbijało ją z tropu to, że ludzie nie czuli się w najmniejszym stopniu zaniepokojeni jej obecnością. Można by przypuszczać, że widok kilkunastoletniego dziecka na wierzchołku Heroldów był zjawiskiem niemal powszednim. Słowa Strażnika zdawały się to sugerować. Jednak w opowieściach nie było o tym ani słówka. Dlaczego? To, że Towarzysze wywodzą się z rasy obdarzonej wysoką inteligencją, nie ulegało wątpliwości —

wziąwszy choćby po uwagę, jak Rolan dbał o nich podczas całej podróży. Oczywiście myliła się sądząc początkowo, że wyrwał się na wolność jak byle zwierzę domowe, teraz niewielką żywiła wątpliwość, kto z nich dwojga naprawdę przewodzi. Opowieści sprawdziły się co do joty: Towarzysze istotnie były stworzeniami ani krzywą nie ustępującymi inteligencją Heroldom. Porównała swoją wiedzę — a była ona niewielka — z tym, co przeżyła w ciągu minionych trzech dni. Zbyt mało było tego, by rozwiązać zagadkę. Lud Grodów odnosił się do Heroldów z rezerwą, zabraniając dzieciom zwracać się do nich i porozumiewając się z nimi tylko wtedy, gdy było to nieuniknione. Jedynie Starcy utrzymywali z nimi jakie takie kontakty. To, co docierało do uszu Talii, głównie plotki, dotyczyło Heroldów i ich domniemanej rozwiązłości, nigdy Towarzyszy.

Stąd narzucał się nieunikniony wniosek: to sam Rolan musiał obrać ją za kompana podróży, z pewnością nie mógłby powrócić do Kolegium zdany jedynie na siebie. A jeśli tak — to czyżby istniał jakiś powód, dla którego to właśnie ją sobie wybrał? A może przybył już z wyraźnym zamiarem zabrania jej ze sobą i odeskortowania do stolicy? To znów brzmiało nazbyt jak bajka. Talia po prostu wierzyć nie chciała, że coś takiego mogłoby komuś się przytrafić. Jakiemuś młodzieńcowi z talentem do magii jak Vanyel — być może — ale jej, prostej dziewczynce z Grodu? Komuż przy zdrowych zmysłach wpadłoby to do głowy?!

Mimo wszystko, pytanie to nurtowało ją nieustannie. Dlaczego Rolan pojawił się akurat w takiej chwili, dlaczego zwabił ją na swoje siodło, i nade wszystko: dlaczego wiozł ją do miejsca, które pragnęła odwiedzić najbardziej ze wszystkich miejsc znajdujących się na ziemi i w pięciu Niebiosach? Dzięki tej zagadce niemal zapomniała o beczynnych dłoniach.

Szóstego dnia zjadła ostatni pasztet i postanowiła sprawdzić wartość otrzymanych rad: może dowie się więcej od drugiego Strażnika. Straciła już nadzieję na samodzielne wyjaśnienie wszystkiego, co działo się dookoła niej. Odpowiedź — być może — kryła się w następnej wiosce.

## TRZECI

Okolo południa stwierdziła, że zbliża się do obrzeży sporych rozmiarów osady, położonej w niewielkiej, pełnej drzew dolinie. I tutaj domy i szopy były kolorowe, bogato zdobione, z okiennicami pomalowanymi na niebiesko, czerwono i żółto. Jaskrawe kolory kontrastowały wesoło z białym tynkiem ścian i złotem świeżo położonych strzech. Sceneria tak bardzo różniła się od wypłowiałych szarości Grodu, jakby to był zupełnie inny kraj. W oddali Talia dostrzegła budkę Strażnika: wydawała się taka malutka w porównaniu ze stojącymi obok dwu- lub trzypiętrowymi budynkami. To była pierwsza tego typu budka, jaką widziała od wczesnego rana — widocznie zbliżała się do centrum Valdemaru i obecność Strażników Dróg mniej rzucała się w oczy. Wydawało się, że to dobre miejsce, by dowiedzieć się, na czym polega ta cała tajemnica i przy okazji ponownie zaopatrzyć się w żywność.

Budka Strażnika kryła się w głębokim cieniu ogromnego drzewa. Ze wszystkich okolicznych domów jedynie ona nie była pomalowana w jaskrawe kolory, stała tak jak ją wzniesiono — ze zwyczajnych, drewnianych bali w ciemnobrązowe plamy. Gdy się zbliżali, Talia spostrzegła jakieś poruszenie w cieniu, jednak w ostrym słońcu na drodze nie mogła w pierwszej chwili rozpoznać postaci. Zdumiona otworzyła szeroko usta na widok wyłaniającego się z cienia urzędnika, ubranego dokładnie tak jak pierwszy napotkany Strażnik. Przez jedną pełną oszołomienia chwilę była przekonana, że to na pewno pomyłka — w istocie idea zakrawała na niedorzeczność. Potrząsnęła głową, zamrugała oślepiionymi słońcem oczami i popatrzyła jeszcze raz: Strażnik był kobietą! Była to rzecz na pozór niemożliwa, lecz najwyraźniej kobiety służyły w Armii na równi z mężczyznami!

Zanim Talia zdążyła się opanować, Strażniczka podeszła do nich żwawo i stanęła tuż obok łba Rolana.

— Co za dzień! — zakrzyknęła, zanim Talii przyszło do głowy, co też by tu powiedzieć. — To jest Rolan, nieprawdaż?

Poklepała go po karku, a on w tym czasie obwąchał jej czarne, poprzetykane siwizną włosy; Zaśmiała się, dając mu lekkiego klapsa po nozdrzach i pochyliła się, by przyjrzeć się znakom na siodle, które i Talii rzuciły się wcześniej w oczy.

— Istotnie, to on! Nie było cię kawał czasu, mój panie — ciągnęła, najwyraź-

niej zwracając się do konia. — Tuszę, że było warto.

Rolan ponownie ją rozbawił, chwytając wargami za rękaw.

— A teraz — Strażniczka skupiła uwagę na Talii, mrużąc lekko oczy w południowym słońcu. — Co mogę dla ciebie zrobić, panienko?

Zakłopotanie Talii zwiększyło się: w jaki sposób ta kobieta domyśliła się imienia Towarzysza? Rolan nie był imieniem tak pospolitym, by można je było obrać na chybił trafił. To nie mógł być zwykły przypadek.

— On naprawdę nazywa się Rolan? — wypaliła i zwiesiła głowę, oblewając się głębokim rumieńcem za swe niestosowne zachowanie. — Przepraszam — powiedziała do łęku. — Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. S. . . Strażnik w Zdroju Słodyczy powiedział, że inni Strażnicy pomogą mi. . .

— Zdrój Słodyczy! — Kobieta była szczerze zaskoczona. — Zawędrowałaś daleko od domu, dziecko!

— N. . . na to wygląda — Talia odpowiedziała cichutko, obserwując ją kątem oka.

Strażniczka także przyglądała się jej z zainteresowaniem i dziewczynce przyszło do głowy, że pewnie ją ocenia. Talia miała na sobie swoje własne ubranie, które wyprała najdokładniej jak umiała, starając się, by jak najmniej było wymięte. Podarowane rzeczy były zbyt ciężkie i niezbyt wygodne do jazdy konnej przez cały dzień w słońcu — w każdym razie, nie czuła się w nich najlepiej. Przymierzyła je tylko i doszła do wniosku, że lepiej jest wrócić do własnego ubrania, jak najstaranniej je uprzednio wyczyściwszy. Teraz cieszyła się, że miała je na sobie: Strażniczka zdawała się domyślać, kim ona jest, rzuciwszy okiem na krój.

— Lud Grodów, prawda? — W jej głosie zabrzmiała sympatia. — Hm, co nieco o nich słyszałam! Idę o zakład, że jesteś skonfundowana, biedactwo — na łasce losu. Niedługo już dowiesz się wszystkiego. Wierzaj mi, wszystko wyjaśnię ci w Kolegium. Mogłabym już teraz spróbować wytłumaczyć ci co nieco, ale to wbrew prawu. Pewnie tak jest lepiej, bo jeszcze bardziej zamieszałoby to w twojej głowie. A skąd wiedziałam, że to jest Rolan? No cóż: każdy Strażnik Dróg wie, że wybrał się w długą podróż, a na uprząży widnieje jego pieczęć, jak to jest w przypadku każdego Towarzysza — rozumiesz teraz?

Wskazała na wycięte na skórze siodła znaki, którym się wcześniej przyglądała. Teraz, gdy Talia wiedziała, co one oznaczają, dostrzegła w nich skrót imienia Rolana.

— A teraz, czym mogę służyć?

— Obawiam się, że potrzeba mi nieco żywności — powiedziała przeproszającym tonem Talia, na poły spodziewając się reprimendy. — Dostałam sporo smakowitych pasztetów, starałam się, by na jak najdłużej starczyły, ale. . .

— Jak dawno to było? — przerwała jej kobieta.

— Cztery dni. . . — odpowiedziała Talia, odrobinę kurcząc się w sobie.

— Cztery dni? Na ognie piekielne! Powiadasz, że oszczędzałaś na jedzeniu przez cztery dni? A cóżeś ty jadła? Ten wysuszony na wiór koński obrok, który trzymają w przydrożnych Stanicach?

Wyraz twarzy Talii musiał tłumaczyć wszystko, bo usta Strażniczki skrzywiły się lekko i zacisnęły z irytacją.

— Rolanie — powiedziała surowym i bardzo rzeczowym tonem. — Pozwolisz, że na godzinkę zabiorę to biedactwo z twego siodła, słyszysz? U licha, wiesz przecież, że zdołasz nadrobić stracony czas, a jej potrzebny jest godziwy posiłek, bo skończy się to przeziębieniem, albo czymś gorszym! Gdzie wtedy będziesz?

Rolan parsknął i stulił uszy, ale ani drgnął, gdy kobieta wyciągnęła rękę, by pomóc Talii zsiąść z siodła. Dziewczynka czuła się niezręcznie pod bacznym spojrzeniem Strażniczki. Była przekonana, że zachowuje się gamoniowato i niezdarnie, a jej wygląd jest nad wyraz niechlujny. Zsiadłszy z grzbietu Towarzysza, poczuła się jeszcze bardziej niepewnie. Strażniczka poprowadziła Talię za rękę do Oberży w samym środku wioski, a Rolan szedł za nimi krok w krok, następując im prawie na pięty.

— Przypuszczam, że tam, w Zdroju Słodocy, Strażnikiem był mężczyzna, hę? — powiedziała, wykrzywiając twarz w grymasie i pokiwała głową na lekliwe przytaknięcie Talii. — Jak to prawdziwy chłop! Ani mu przez myśl nie przeszło, że możesz być tym wszystkim bardziej wystraszona niż podniecona. Nie zastanowił się, że możesz nie znać reguł. Zapomniał, że chociaż zostałaś Wybrana, to jednak przede wszystkim jesteś dzieckiem. A ty jesteś nie lepszy, Rolanie! — dodała, rzucając przez ramię: — Mężczyźni!

Towarzysz tylko potrząsnął łbem. Dźwięk, który wydał z siebie, podejrzenie przypominał zduszony chichot.

Prowadzenie oberży w tej osadzie najwyraźniej było kwitującym interesem. Stoły rozstawiono na zewnątrz, w cieniu złocistego dębu, wyrastającego pośrodku podwórza. Siedziało tam już sporo gości, którzy jedli i raczyli się napitkiem. Strażniczka usadowiła Talię przy jednym z owych stołów, którego jeszcze nikt nie zajął, pogoniła służącą, by podała jej ogromny posiłek i rozkazała głosem nie zezwalającym na żaden sprzeciw, by Talia „przystąpiła do wyzerki”. Dziewczynka posłusznie zaczęła jeść, raptownie uzmysławiając sobie, jak bardzo była głodna przez ostatnie kilka dni. W tym czasie Strażniczka gdzieś zniknęła. Pojawiła się ponownie w chwili, gdy Talia połykała ostatni okruszek. Niosła torby, dotąd przytroczone do siodła Rolana, które teraz były wypchane tak, że aż pękały w szwach. Usiadła obok Talii, okrakiem na ławce, wieszając sakwy między nimi.

— Wymieniłam twoje odzienie. Nowe ma również krój ubrań noszonych przez lud Grodów i takież kolor. Tutejsza młodzież zakłada takie rzeczy, udając się do ciężkiej pracy. Wiem, że lepiej się w nich poczujesz, a i ludzie wiedzieć będą, patrząc na ciebie, że nie przywykłaś do szerokiego świata. Mam nadzieję, że domyśla się wówczas, że jesteś wszystkim nieco skonfundowana.

Talia zaczęła protestować, że to nie jest konieczne, ale surowe spojrzenie strażniczki zamknęło jej usta.

— Starczy tego, byś dotarła do Kolegium, nie będąc zmuszoną do prania ich własnoręcznie. Oberżysta właśnie niesie dla ciebie trochę żywności na drogę. Powiedziałam mu: żadnego wina — a gdy Talia skinęła potakująco głową, ciągnęła dalej: — Nie żałuj sobie, wciąż jeszcze rośniesz i nie chcesz chyba zapaść na zdrowiu. Nie jedz tych odpadków, które leżą w Stanicach. Te zapasy przeznaczone są dla Towarzyszy, a i korzysta się z tego tylko w wyjątkowych przypadkach. Nieważne, co ten leniwy gbur ze Zdroju Słodyczy ci powiedział. Zapewniam cię, że ja musiałabym się znaleźć naprawdę w wyjątkowej sytuacji, bym miała to strawić! Codziennie zatrzymuj się na ciepłe posiłki w południe, chyba, że nie napotkasz żadnej osady. To rozkaz! Oto nasz znak — dodała, podając Talii kolejny mosiężny oblik, a ta troskliwie umieściła go w swojej sakiewce.

— Szczerze mówiąc, gdyby nie to przeklęte prawo, zatrzymałabym cię na noc i dopilnowała, byś wzięła porządną, gorącą kąpiel i wyspała się w wygodnym łóżku, ale mniejsza z tym. Będziesz musiała jeszcze raz zatrzymać się po żywność na drogę. Spróbuj u Kotlarzy. Strażnik Dzienny stamtąd jest moją przyjaciółką, zna lud Grodów i wie, jak się opiekować dziećmi — dopilnuje, aby niczego ci nie zabrakło. Gotowa do drogi?

Oniemiała Talia przytaknęła. Ta kobieta była równie dziarska i energiczna jak Keldar, lecz nie było w niej ani odrobiny chłodu Pierwszej Żony. Tak szybko zajęła się wszystkim, że od tego aż zawróciło się Talii w głowie. Wydawało się przy tym, że jest szczerze przejęta jej samotną wyprawą. To, że ktoś troszczy się o jej dobro, było osobliwym przeżyciem. Talia byłaby nieomal skłonna podejrzewać ją o jakieś ukryte pobudki, gdyby Strażniczka od początku nie była tak otwarta i szczerą. Jeśli nawet w jej zachowaniu było coś, czego należałoby się wystrzeżać, Talia niczego takiego nie mogła się dopatrzyć.

— Doskonale, a teraz w drogę — pchnęła delikatnie Talię w stronę skraju podwórza, gdzie czekał Rolan, otoczony wianuszkami przepychających się dzieci chcących go nakarmić przyniesionymi smakołykami lub przynajmniej pogłaskać, przybrawszy — zdaniem Talii — pozę konia, który jest bardzo z siebie kontent.

Strażniczka podrzuciła Talię na siodło, przytroczyła sakwy do tylnego łęku, a worki przyniesione przez Oberżystę do rzemieni z przodu siodła i jowialnie klepnąwszy Rolana po zadzie, wysłała ich w dalszą drogę.

Dopiero gdy pokonała już szmat drogi, Talia uzmysłowiła sobie, że nie uzyskała odpowiedzi ani na jedno z dręczących ją pytań — przynajmniej nie wprost. Łamiąc sobie nad tym głowę, doszła do wniosku, że mimo wszystko czegoś się dowiedziała. Strażniczka wspomniała coś o „prawie”, które rządziło takimi eskapadami jak jej. Wynikałoby z tego, że są one zjawiskiem powszednim. Zwracała się do Rolana, jakby był człowiekiem — to z kolei nasuwało myśl, iż prawdą są legendy o jego nadzwyczajności oraz że wydarzenia, w które uwikłana była



i Talia, nie były przypadkowe, lecz zamierzone i zaplanowane. Zatem Towarzysz przeznaczył jej jakąś rolę do spełnienia. Tylko jaką? Taka fragmentaryczna wiedza mogła doprowadzić do szaleństwa, podobnie jak posiadanie jedynie połowy książki! Mimo wszystko jednak jakiś obraz zaczął się z tego wyłaniać. Doskonale: nadszedł czas, by go uzupełnić. W trzech książkach będących jej własnością, odnoszono się — gdy nad tym teraz rozmyślała — do Towarzyszy tak, jakby posiadli tajniki magii, jakby łączyły ich z Heroldami mistyczne więzy. Szczególnie opowieść o Vanyelu nasuwała myśl, że tak Towarzysze, jak i Heroldowie mogą się ze sobą porozumiewać bez pomocy słów. Strażniczka rozmawiała z Rolanem jak z człowiekiem — właściwie tak, jakby to on opiekował się Talią. Potwierdzało to pierwsze wrażenie Talii, że to właśnie Rolan był tym, który wiedział, dokąd powinni się udać i co powinni robić. Rolan nieraz okazywał niedwuznacznie, że rozumie doskonale słowa Strażniczki — prawdę powiedziawszy i na słowa Talii reagował podobnie. To on codziennie odnajdywał Stanice i bez wątpienia był jej obrońcą. A ze słów Strażniczki wynikało, że dobrze zna drogę powrotną do Kolegium. Zatem Rolan rzeczywiście umyślnie znalazł się tam, gdzie natknęła się na niego — Strażniczka powiedziała, że nie było go od bardzo dawna, i że Talia odgrywa w jego zamierzeniach jakąś rolę. Tego nie można było więc umknąć. Pozostawało pytanie: dlaczego? Czy dlatego — ośmieliła się pomyśleć — że szukał kogoś, kogo poddać by można egzaminowi na kandydata na Herolda?

Nie miała pojęcia, jak zostawało się Heroldem. Wiedziała tylko tyle, że muszą przejść surową szkołę w Kolegium. Jedynie w opowieści o Vanyelu umieszczono wzmiankę, że on nieomalże stchórzył przed podjęciem się tego trudu — jednak nic w niej nie napisano o tym, w jaki sposób został wybrany. Jej cała wiedza o Heroldach kończyła się na plotkach krążących w Grodzie: ponoć byli moralnie zepsutymi potworami, ponoć folgowali zmysłowemu, orgiastycznemu obyczajom, pławiąc się w luksusie. Podejrzewała, że rozpuszczano je głównie pod wpływem zazdrości, zwłaszcza że Heroldowie nie podzielali opinii o pośledniości płci niewieściej i właściwym miejscu kobiet w życiu, oraz że nie uznawali żadnego autorytetu za wyjątkiem monarchy i innych Heroldów. To, że Strażnikiem była kobieta, zaskoczyło Talię, ale już od dawna — po przeczytaniu pierwszej książki o poszukiwaniu Słońca i Cienia — wiedziała, że i pośród Heroldów nie brak kobiet równych rangą mężczyznom. Owa wolność była jednym z powodów, dla których tak bardzo pragnęła wstąpić w ich szeregi. Czyż mogłaby teraz zdobyć się na śmiałość, by pomyśleć, iż tak właśnie się stanie?

Talii wydawało się, że po dotychczasowych przeżyciach nic jej już więcej nie zaskoczy. Jednak ponownie spotkała ją niespodzianka. U Kotlarzy Strażnikiem okazała się nie tylko kobieta, ale na dodatek kobieta okaleczona w boju — drewniany kołek zastępował jej nogę od kolana w dół. Wyjaśniła Talii mimochodem, że

straciła ją z powodu ran odniesionych w ostatniej wojnie. Dziewczynka poczuła się kompletnie oszołomiona jej słowami. Kobieta mogąca wziąć udział w bitwie?! Obyczaj ten był tak obcy, tak odmienny od tego, czego doświadczyła w swym życiu, że Talia zupełnie otumaniona zjadła bez słowa posiłek i trwając nadal w tym stanie ducha, opuściła osadę. Dopiero spotkanie z Heroldem wyrwało ją z tego odurzenia.

Droga wiodła przez zalesioną, zaciszną i chłodną dolinę. Rosły tu przeważnie sosny. Kopyta Rolana rozgniatyły leżące na ziemi igły, wędrowali więc w obłoczku rzeńskiego aromatu, szybko zagłębiając się w las i tracąc z oczu wszelkie oznaki ludzkiego osadnictwa. W samym sercu lasu natknęli się na rozwidlenie dróg. Talia nawet nie spostrzegła, że ktoś zbliża się drugim, biegnącym pod drzewami traktem. Z zadumy wyrwał ją dopiero pełen zaskoczenia okrzyk.

Podniosła oczy ze strachem, nagle otrzeźwiała. Jakies cztery do pięciu kroków przed sobą — nie dalej — zobaczyła mężczyznę z wyraźnie malującym się na twarzy zdumieniem, odzianego od stóp do głów na biało, na białej jak obłok klaczy. To był Herold, prawdziwy Herold, dosiadający swego Towarzysza.

Talia zagryzła wargi, czując nagły dreszcz emocji. Pomimo tego co usłyszała, wciąż nie była do końca przekonana, że postępuje słusznie. Teraz się okaże! Nie można było zaprzeczyć, że Rolan jest Towarzyszem, a jej w żadnym wypadku nie można by wziąć za Herolda. Po tym spotkaniu będzie wiadomo, czy czekają ją tarapaty i jakie. Jednocześnie poczuła pewne rozczarowanie, którego nie mogła stłumić bojaźń: jakoś nie wypadało Heroldowi wyglądać tak... pospolicie.

A zbliżający się młodzieniec tak właśnie wyglądał. To prawda — autorytet urzędu, powaga, opanowanie i skupienie były z jego postawy. Uderzająca była jego pewność siebie. Tym niemniej, można by powiedzieć, że przy tym wszystkim był niemal brzydki. Z całą pewnością nie był to piękny Vanyel, ani anielski Słoneczny Piewca — bohater jednej z jej opowieści. Jednak jego głos wynagradzał wszelkie niedostatki.

— Na Prawicę Bogini — Rolan! To pewne jak to, że tu stoję! — Słowa zostały wypowiedziane melodyjnym, nadszpodziewanie głębokim głosem. — O bogowie, nareszcie dokonałeś Wyboru!

— K... kazano mi odprowadzić go do Kolegium, panie — Talia wyjąkała nerwowo, opuszczając oczy jak przystało kobiecie w obecności mężczyzny z pozycją, spodziewając się, że w każdej chwili spadnie wiszący jej nad głową miecz. — Ja nie wiedziałam, co począć, a oni wydawali się tego tak pewni...

— Hola! Postępujesz słusznie, jak najszusniej — skwitował cisnącą się jej na usta lawinę wyjaśnień. — Nic nie wiesz, powiadasz? No tak, oczywiście, że tak. Inaczej nie zachowywałabyś się tak, jakbym cię przyłapał na wsuwaniu dłoni do mojej sakiewki.

Talia przelotnie zerknęła na niego, zdumiona jego słowami, Na dodatek zupełnie nie odzywał się na sposób Heroldów z opowieści! Przed momentem bardzo

przypominał Andreana. Bardzo pragnęła dowiedzieć się, czy i oczy ma podobne do Andreana, ale pośpiesznie wbiła wzrok w łęk siodła, natychmiast gdy spróbował wyjść jej spojrzeniu na spotkanie.

Zaśmiała się. Kątem oka spostrzegła malujący się na jego twarzy wyraz przychylnego rozbawienia.

— Wszystko jest w porządku. Postępujesz dokładnie tak, jak powinnaś. Trzymaj się drogi i jedź prosto przed siebie, a staniesz w stolicy przed kolacją. Każdy wskaże ci drogę do Kolegium. Na ognie piekielne! Rolan wie najlepiej, gdzie to jest — nie zabłądzisz! Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, ale to wbrew prawu. Wszystkiego musisz się dowiedzieć w Kolegium, w przeciwnym wypadku nasłuchałabyś się po drodze przeróżnych objaśnień i potem strawiłabyś wiele dni, próbując wszystko właściwie zrozumieć.

— Ale... — Tak bardzo pragnęła, by ktoś, ktokolwiek, wyjaśnił to całe zamieszanie dookoła niej. Została wciągnięta w jakąś monstualną grę i jako jedyna nie znała jej prawideł, potykając się błędzi po planszy po omacku — nie wiedząc po co, ani dlaczego. Któż miałby znać całą prawdę, jak nie Herold? Na widok dobroci malującej się w jego oczach zapragnęła oddać cały ten nierozwikłany węzeł w jego ręce. Jakże ktoś wyglądający tak pospolicie mógł przywieść jej na myśl Andreana — nie miała pojęcia. A jednak coś przyciągało ją do niego, od czasu śmierci brata nie czuła niczego podobnego w obecności żadnego mężczyzny.

— Żadnych ale! Dowiesz się wszystkiego, co powinnaś wiedzieć, w Kolegium! Już cię tu nie ma!

I z tymi słowy zbliżył się na tyle, by serdecznie klepnąć Rolana po zadzie, co tak rumaka zaskoczyło, że aż podskoczył i od razu przeszedł w cwał, zostawiając Herolda daleko w tyle. Talia, usiłując złapać równowagę w siodle, nawet nie zauważyła, jak Herold podrywa swego Towarzysza do galopu i zagłębiwszy się w las, obiera kierunek, który w końcu zawróci go na ten sam trakt, ze znaczną przy tym nad nią przewagą.

Gdy zaskoczenie Talii minęło, spostrzegła, że na gościńcu zaroilo się od wędrowców zmierzających w tym samym, co ona, jak i w przeciwnym kierunku — konno, pieszo, na wózkach ciągnionych przez różne zwierzęta lub z jucznymi zwierzętami; jednakże — choć wyciągała szyję we wszystkich kierunkach — nie było ani śladu innego Herolda.

Tłum na drodze różnił się od wszelkich ludzkich zbiorowisk, pośród których Talia miała okazję kiedykolwiek się znaleźć. Po pierwsze: był zgiełkliwy, a lud Grodów zawsze używał głosu bardzo powściągliwie — nawet zgromadzeniom z okazji Jarmarków Żniwnych, w chwilach największego rozgorączkowania licytacją, nie towarzyszył hałas głośniejszy od gwaru przypominającego stłumione brzęczenie; a po drugie: wszyscy ci ludzie mieli wyraźnie wypisane na twarzy swoje uczucia, swoje charaktery — gdy tymczasem twarz dobrze wychowanego członka ludu Grodów była jak zamknięta księga, nieprzenikniona, skrywająca

prawdziwe uczucia właściciela.

W większości przypadków wędrowcy ci niewielką zwracali na nią uwagę. Rolan wymijał ich ostrożnie, ale i tak przemierzał drogę szybciej od większości podróżnych. Talię tak pochłoneło przyglądanie się ludziom, że zapomniała rozglądać się w poszukiwaniu miasta. Nagle, gdy stanęli na szczycie wzniesienia, pojawiło się ono przed ich oczami.

Miasto było tak ogromne, że Talia aż zastygła załęczniona jego widokiem. I znów okazało się, jak to dobrze, że to Rolan jest przewodnikiem w ich wspólnej wędrowce, bo Talia zawróciłaby drogą, którą tutaj przybyli, pędząc co koń wyskoczy do znajomych kątów Granicznej Krainy.

Ze, wzgórze, na które właśnie się wspięli, roztaczał się wspaniały widok na rozsiadłe u podnóża, w dolinie rzeki miasto. Można stąd było zobaczyć wały obronne, takie jak wokół wioski jej rodzinnego Grodu, tyle że znacznie potężniejsze. Wzniesiono je zgodnie ze zwyczajem podczas zakładania miasta, lecz z upływem czasu, widocznie wraz z wzrastającym poczuciem bezpieczeństwa, zezwolono, by zabudowa wyszła poza ich obręb. I oto miasto rozlało się jak woda z basenu fontanny, a rzędy domów stanęły wzdłuż dróg, niczym przelewające się potoki. W obrębie wałów domy stały stłoczone tak ciasno, że Talia widziała jedynie dachy. Wydawało się, że wewnątrz pierwszego pierścienia wznosi się drugi — wokół kilku okazałych budowli ukrytych w zieleni i sporej wolnej przestrzeni z drzewami. Na zewnątrz pierwszego obwodu wałów stały domy o bardzo zróżnicowanym wyglądzie i wielkości: od parterowych chatynek, aż po masywne, pozbawione okien gmachy, które pomieściłyby z łatwością w swych ścianach wszelkie budowle wzniesione w Grodzie Senów. A za tym skupiskiem zabudowań miasto prostowało swoje ramiona wzdłuż ubitych szlaków i koryta rzeki. Wzrok Talii nieodparcie przyciągał kamienny gmach, stojący w otoczeniu drzew, górujący ponad resztą miasta. Był tam na pewno Pałac i Kolegium. Zanim jednak Talia zdołała nabrać co do tego pewności, Rolan, krocząc miarowo, zszedł ze wzgórze.

Im bardziej zbliżali się do miejskich zabudowań, tym dokuczliwsze stawało się dla Talii wrażenie osaczenia ze wszystkich stron dźwiękami i gwarem. Wszędzie aż roilo się od głośno nawołujących straganiarzy, właścicieli sklepów wychwalających pod niebiosa i ile pary w płucach zalety sprzedawanych towarów i zmuszających tym ludzi do przystawania u wejścia do swoich składów. Hałaśliwa dziatwa bawiła się w chowanego w tym tłumie, często uwijając się niebezpiecznie blisko kopyt koni, osłów i wołów, których na ulicach było mnóstwo. Kумы, po sąsiedzku, skrzeczały do siebie ploteczki, głośniejsze nawet od zgiełku mrowiącej się ciżby. Z okolic oberży niosło się głośnie echo swarów i pieśni. Od tego wszystkiego Talii zawróciło się w głowie, rozdzwoniło w uszach i zaczął w niej narastać lęk. I na dodatek te miejskie odory! Poczwała się nimi osaczona, tak samo jak dźwiękiem. Osaczona zapachami gotowanych mięs i pieczonego chleba, dymu, smrodem gnoju, aromatem przypraw, zalatywaniem mieszaniny ludzkiego

i zwierzęcego potu, zapachem rozgrzanego metalu i rozlanego piwa. Jej biedny, wychowany na wsi nos był tym wszystkim tak samo przytłoczony jak uszy.

Przybyli do bramy w pierwszym obwodzie wałów, przy której stała miejska straż. Wartownicy, nie utrudnili jej przejścia, choć nie umknęła ich uwagi. Z ich twarzy nic jednakże nie mogła odczytać — malujące się na nich zaciekawienie mieszało się z czymś, co było dla niej zagadką. Widok wałów obronnych z bliska tylko wzmógł jej przerażenie. wznosiły się tak wysoko, jak więźba dachu Świątyni w rodzinnym Grodzie. Poczwała się straszliwie malutka, nic nie znacząca jak pyłek. Jej duch został ciężarem tego wszystkiego zdruzgotany.

Czyżby to było możliwe, by w środku harmider i rwetes mógł okazać się jeszcze większy? Stały tu kilkupiętrowe domy ściśnięte tak, że ocierały się okapami. Obrazy i dźwięki mieszały się z zapachami, atakując Talię ze wszystkich stron. Dziewczynka przycupnęła, kurczowo uczepona siodła, nieświadoma, że jej szeroko rozwarte, zaleknione oczy, osadzone w ściągniętej zmęczeniu, bladej twarzy, przyciągają litościwe spojrzenia przechodniów. Na szczęście Rolan doskonale wiedział, dokąd iść, ponieważ przerażenie nie pozwoliłoby jej zapytać o drogę nawet dziecka.

Wydawało się, że wieki upłynęły, zanim Rolan stanął u furty w drugim, wewnętrznym obwodzie wałów. Niewielkiej — na szerokość pojedynczego jeźdźca — bramy, teraz zamkniętej, strzegł wartownik, który obrzucił Talię zaciekawionym wzrokiem. Jego mundur różnił się od tych, które dotąd widziała: był o wiele ciemniejszy, miał kolor głębokiego granatu i do tego szamerowany był srebrem. Gdy Rolan zatrzymał się, wartownik nie ociągając się otworzył furkę i wyszedł im na spotkanie. Uśmiechnął się dla dodania Talii otuchy i zbliżywszy się na tyle, by móc odczytać znaki na siodle Rolana, wesoło zakrzyknął:

— Rolanie! — Sprawiał wrażenie, że w jednej chwili zapomniał o istnieniu Talii. — Nareszcie! Już zaczynaliśmy myśleć, że nigdy nikogo nie uda ci się znaleźć! Nawet obstawiono zakład, że przekroczyłeś granicę! A jakie zamieszanie nastąpiło w Kolegium, gdy nas opuściłeś! — W końcu zauważył pobladłą i pełną napięcia twarz Talii. — To już niemal kres twojej ciężkiej próby, dziecko — powiedział ze szczerym współczuciem. — Możesz już teraz zsiąść, dopilnuję byś trafiła tam, gdzie powinnaś.

Pomógł jej zsunąć się z siodła, jakby miał do czynienia z księżniczką. Zanim zdążyła postawić stopy na ziemi, wyłoniła się druga umundurowana postać, by odprowadzić Rolana. Z bólem serca Talia popatrzyła za nimi zastanawiając się, czy zobaczy jeszcze kiedykolwiek swojego wierzchowca. Niespodziewanie poczuła gwałtowny żal, że nie posłuchała pierwszego porywu serca i nie odjechała z nim gdzieś daleko. Co teraz się z nią stanie? Jak mogła zrodzić się w jej głowie myśl, że jest kimś ważnym dla ludu zamieszkującego takie miejsce?

Wartownik zawiódł ją do wielopiętrowego domu z szarego kamienia. Była to budowa zupełnie odmienna od znanych Talii. Obleciał ją strach, kiedy przekracza-

ła progi podwójnych, masywnych, obitych mosiądzem, drewnianych wrót. Nigdy nie widziała nic, co równałoby się rzemiosłu, z jakim wykonano te wrota, a to był dopiero początek cudów. Poczowała się jeszcze gorzej w chwili, gdy spostrzegła otaczający ją zewsząd przepych. Sprzęty z zaledwie jednej z komnat, przez które przechodzili, warte byłyby więcej niż całe bogactwo Grodu. Nawet Sanktuarium Świątyni nie było tak imponujące. Gdyby zostawiono ją choćby na mgnienie bez opieki, uciekłyby gdzie pieprz rośnie, tyle że zgubiłaby się z pewnością w kilka chwil.

W końcu znaleźli się w komnacie dużo mniejszej od tych, które do tej pory minęli. Miała rozmiary sporej spiżarni, jednakże bogactwem wystroju w niczym nie ustępowała reszcie budowli.

— Niedługo przyjdzie tu ktoś do ciebie, dziecko — powiedział dobrotliwie wartownik, odbierając od niej obliki. — Znalazłaś się pośród przyjaciół. Czekaliśmy na ciebie. Wiesz o tym? Moje oczy radośnie powitały ciebie z Rolanem.

Kiedy nie odpowiedziała, delikatnie pogładził ją po głowie.

— Nie obawiaj się, nikt ciebie nie skrzywdzi — dlaczegoż by miał to zrobić! Moje własne dzieci są niemal w twoim wieku! Rozgość się, a ja tymczasem zawiadomię właściwych ludzi o twoim przybyciu.

Rozgościć się? W takim, jak to pomieszczeniu — jak?! W końcu zdecydowała się na miękkie, obite skórą krzesło, najmniej, według niej, podatne na uszkodzenie i usiadła na nim ostrożnie. W zaciszu komnaty strach powoli począł ją opuszczać, lecz — w tym przepelnionym luksusem otoczeniu — miejsce bojaźni zajęło narastające w niej skrępowanie. Wstydziła się, że jej spotniała ze zdenerwowania skóra aż się lepi, że zalatuje od niej koniem, i że odziana jest w coś, z czego tutaj pewnie szyją wory na ziarno. Boleśnie docierało do niej i to, iż skończyła zaledwie trzynaście lat. W towarzystwie Rolana wszystko to razem jakoś nie miało znaczenia, lecz teraz bardzo ją gnębiło. Jakże śmiała pomyśleć, iż mogłaby stać się Heroldem?! Nigdy, nigdy — jedynie ludzie urodzeni i wychowani w takim otoczeniu mogą ubiegać się o taką pozycję. Pewnie Strażnik udał się na poszukiwanie jakiegoś pokojowca, który, zanim ją odeśle, wręczy jej sztukę srebra — jeśli szczęście dopisze, będzie to ktoś, kogo uda się nakłonić, by dał jej jakąś pracę.

Do komnaty wpadła, przerwawszy tok tych myśli, jakby miniaturowa trąba powietrzna.

— Och! — wykrzyknęła dziewczynka około siedmiu lat, o orzechowych włosach i niebieskich oczach, z raczej nieprzyjemnym grymasem na skądinąd ładnej twarzy. — A co ty tu porabiasz?

Po raz pierwszy od chwili ujrzenia miasta, Talia poczuła pewniejszy grunt pod stopami. Z najmłodszymi dziećmi potrafiła sobie radzić!

— Czekam, tak jak mi polecono — odparła.

— Nie masz zamiaru uklęknąć? — władczym głosem zapytało dziecko.

Talia skryła uśmiech. Zadziwiająco, jak narastała w niej pewność siebie dzięki

tak prostej czynności, jaką jest poskramianie najwidoczniej zepsutego dziecka.

— Ukłęknać? — rzuciła w udanym zdumieniu. — Dlaczegoż to miałabym klękać?

Dziecko ze złości poczerwieniało na twarzy.

— Jesteś w obecności Następczyni Tronu! — odpowiedziała buńczucznie dziewczynka, z wyrazem pogardy na twarzy, kładąc wyraźny akcent na pierwsze litery i zadzierając przy tym nosa.

— Doprawdy — a gdzie?

Talia rozejrzała się dookoła z niewinną miną, kryjąc swoje rozbawienie wywołane żadaniami dziecka. Ten maluch dostanie to, na co zasłużył swym brakiem manier. A jeśli naprawdę była Następczynią to doskonale — ktoś odpowiedzialny za jej wychowanie najwyraźniej nie potrafił spełnić swoich obowiązków; jeśli nie, swoimi kłamstwami zasłużyła sobie na odpowiednie potraktowanie.

— Nie widzę tutaj nikogo takiego.

— Mnie! Mnie! — tupiąc nogą, krzyczała zawiedziona i rozzłoszczona dziewczynka. — *To ja jestem* Następczynią!

— Och, nie wydaje mi się — odparła Talia, bawiąc się setnie. — Jesteś tylko rozkapryszonym, przeżywającym napad złego humoru maleństwem i do tego straszną kłamczuchą. Mnóstwo czytałam o Następcach Tronu: są zawsze uprzejmi i łaskawi, do najpośledniejszej pomywaczki zwracają się, jakby do samej Królowej. A ty odniosłabyś się do Królowej, jak do pierwszej lepszej pomywaczki — to niemożliwe byś była Następczynią. Może powinnam zawezwać strażę, by im powiedzieć, iż objawiła się tutaj samozwańcy.

Usta dzieciaka otworzyły się, lecz pod wpływem zawodu i złości, bez słowa zamknęły się z powrotem.

— Może być z ciebie niezłe ziółko — dodała Talia. — Z pewnością na to wyglądasz.

Dziewczynka zapiszczała z wściekłości i zamachnęła się ręką zwiniętą w pięść.

— Na twoim miejscu nie robiłabym tego, bo oddam — ostrzegła Talia.

Oczy dziecka rozszerzyły się z zaskoczenia, po czym pod wpływem furii spurpurowiała na twarzy jeszcze bardziej.

— Ja... jak... och!

— Już to mówiłaś.

Tym razem dziewczynka wydała z siebie przesywający pisk, potrafiła stojący obok stolik i zanim zdążył on upaść na podłogę, wybiegła z komnaty. Talia spodziewała się właśnie czegoś takiego i zerwawszy się z krzesła, złapała go, ratując przed uszkodzeniem. Ustawiając stolik, westchnęła z rezygnacją.

Za plecami Talii rozległ się oschły chichot. Odwróciła się i zobaczyła, że odsuwa się na bok zasłona, a do komnaty wchodzi wysoka, przystojna kobieta w Bieli Heroldów, Zamiast bryczesów miała na sobie długą spódnicę oraz sięgającą ud

tunike i chociaż uszyto je z najprzedniejszego aksamitu i jedwabiu, z pozoru niczym nie odróżniała się od Heroldów, których Talia do tej pory widziała, albo o których czytała. Jej włosy, związane na karku w węzeł, miały odcień jesiennego złota. Z raczej trójkątnej twarzy, o mocnych rysach, wзираły bardzo przenikliwe, inteligentne, niebieskie oczy, mieniające się szafirem jak oczy Towarzyszy.

Talia już miała powstać, gdy kobieta gestem dała do zrozumienia, że nie musi ruszać się z miejsca.

— Zostań tam, gdzie jesteś, dziecko — odezwała się i Talia ponownie zajęła tę samą pozycję, spozierając z onieśmieleniem.

— Masz za sobą długą i męczącą podróż. Zasłużyłaś sobie, by usiąść na czymś, co przez dłuższy czas postoi nieruchomo!

Kobieta badawczo przyjrzała się posłusznie przed nią siedzącej dziewczynce i spodobało się jej to, co w niej zobaczyła. Sposób, w jaki poskromiła rozkapryszoną i rozżłoszczoną Następczynię Tronu świadczył o posiadanych przez nią umiejętnościach; skłonność do żartów wskazywała na żywe poczucie humoru, a zarazem nie brak jej było rozsądku i wyzbyta była okrucieństwa. Wszystko to składało się na najlepszą wróżbę jej przyszłego powodzenia.

— A więc to ty jesteś Talia. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złego tego, że podsłuchiwałam, ale byłam ciekawa, jakbyś sobie z nią radziła — słowa nie zabrzmiały ani odrobinę przepaszająco.

— Dostałaby szczotką do włosów na tyłek, gdyby to ode mnie zależało — odparła Talia niemal odruchowo.

Incydent z dzieckiem oraz rzucające się w oczy uznanie ze strony kobiety podzielały na nią nieco uspokajająco. W Keldar było coś, co zawsze wprawiało Talię w zdenerwowanie i natychmiast stawała się nieudolna. Ta kobieta natomiast miała zgoła odmienny na nią wpływ.

— Doświadczała tego zastraszająco rzadko — westchnęła nieznajoma — obawiam się, że od dawna już zasługuje na sporą porcję lania.

Badawczo przyjrzała się Talii i poczuła się podbudowana tym, co wyczytała z twarzy dziewczynki. W ogromnych, brązowych oczach odbijały się inteligencja i ciekawość; rysy twarzy zdradzały łagodność i niewyczerpaną cierpliwość. Kobieta określiła jej wiek na odrobinę więcej niż wskazywałby na to jej wygląd — na jakieś trzynaście do czternastu lat. Ujmującą twarzyczkę w kształcie serduszka otaczały potargane, kędzierzawe włosy. Mocna budowa muskularnego ciała świadczyła, że dziecku nie obca jest ciężka praca. Każdy rzut oka zdawał się potwierdzać, że Rolan przywiódł do Kolegium właściwą osobę, która spełni ich nadzieje wyrażane w modlitwach.

— No cóż, to przyszedł kłopot — ciągnęła. — Powiedziano mi, że to ciebie przywiódł Rolan. Czy to prawda? Czy po drodze ktoś ci o czymkolwiek wspominał?

Na twarzy nieznajomej malowało się niekłamane zainteresowanie, a w głosie



dźwięczało współczucie i zrozumienie. Talia poczuła, że wstępuje w nią otucha. Zanim porządnie zebrała myśli, w jej ustach aż zagotowało się od słów.

— Nie! Wszyscy, zdaje się, doskonale wiedzą, co się dzieje, oprócz mnie! — wypaliła. — A nikt nie chce niczego wyjaśniać!

Nieznajoma usiadła z niedbałą elegancją.

— Doskonale, ktoś to teraz robi. Opowiedz mi, co ci się przytrafiło — od samego początku, a ja pomogę ci wszystko zrozumieć.

Talia przyłapała się na tym, że nie potrafi powstrzymać rwącego potoku słów, układających się w opowieść, począwszy od wezwania jej do domu przez Keldar, aż do chwili obecnej. Tuż przed końcem musiała walczyć ze łzami. Wróciły wszystkie dręczące ją dotąd obawy — mogła liczyć jedynie na wątpliwą wdzięczność z ich strony. Uzmysłowała sobie w pełni, w jak beznadziejnej sytuacji się znajdzie, jeśli Heroldowie zdecydują się ją odtrącić.

— Błagam... musicie znać kogoś... kogoś...

— U władzy?

— Tak. Czy nie moglibyście znaleźć tu dla mnie jakiego zajęcia? — przełamując wstyd, błagała Talia. — Mogę robić wszystko... cerować, zmywać, skrobać podłogi...

Zamilkła w obawie, że jeśli będzie dalej mówić, zaleje się łzami. Jakże kiedykolwiek śmiała pomyśleć, że mogłaby przyłączyć się do tych pozostających z magią za pan brat ludzi? Byli dla niej niedostępni, jak gwiazdy na niebie.

— Dirk nie mylił się. Nie masz zielonego pojęcia, co się z tobą działo — powiedziała nieznajoma kobieta, na poły do samej siebie. Spojrzała na Talię, a ta odwróciła oczy, unikając badawczego wzroku.

— Czy oświadczysz Pierwszej Żonie, że zamierzasz zostać Heroldem, myślałaś tak na serio?

— Tak. Och, tak! — Talia wlepiła wzrok w kurczowo zaciśnięte dłonie, spoczywające na kolanach. — Pragnę tego najbardziej ze wszystkiego na świecie. Wiem, że to niemożliwe, ale wtedy o tym nie miałam pojęcia. Nikt mi nigdy nie powiedział, jak tu jest, a i tak nie wydaje mi się... nie wydaje mi się, że mogłabym to sobie wyobrazić... Gród Senów zupełnie nie jest podobny do tego miejsca. Nie pomyślałam — co też ja mówię! Błagam... błagam przebaczcie mi... ani mi w głowie brak szacunku!

— Przebaczyć? — kobieta była zdumiona. — Dziecko, przebaczyć — *a co?!* Marzenia, by zostać Heroldem nie są obrazą majestatu, choć musisz wiedzieć, że życie nie przypomina opowieści. To zawód, który jest nudny, a bywa niebezpieczny — jak nie jedno, to drugie. Połowie Heroldów nie udaje się dożyć późnego wieku; to tryb życia, w którym ma się bardzo mało czasu dla siebie. Istny cud, iż ktoś chce być Heroldem. Herold musi zawsze przedkładać obowiązek ponad wszystko inne — nawet własne dobro.

— To bez znaczenia! — wykrzyknęła Talia, podnosząc oczy.

— Dlaczego? Co jest bez znaczenia?

— Nie jestem pewna — szukała słów, by wyrazić to, co do tej pory tylko czuła.

— Heroldowie *działają*, zamiast tylko narzekać, pomagają ludziom porządkować ich życie, nawet jeśli trzeba tylko rozstrzygać spór o krowę. I... — spieszyła się — chodzi o Towarzyszy...

Łzy popłynęły, mimo że ze wszystkich sił starała się je powstrzymać. Żywo stanęły jej przed oczami dni spędzone w drodze. Po raz pierwszy w życiu nie czuła się osamotniona. Być może był to jedynie wytwór jej wyobraźni, ale miała wówczas wrażenie, że Rolan troszczył się o nią. Pokochał ją — cóż za śmiała myśl! Bez wątplenia jednak ona go pokochała. A teraz odszedł, z pewnością odprowadzony do swojego Herolda.

— Och, moje biedactwo!

Kobieta instynktownie przytuliła Talię do siebie, pozwalając jej wypłakać się na swoim ramieniu. Talia próbowała odsunąć się, zwalczyć łzy, pomimo że tak bardzo potrzebna jej była pociecha.

— Jestem okropnie brudna — szlochała. — A wy jesteście w Bieli. Całą was wysmaruję.

— W życiu są ważniejsze rzeczy od przejmowania, się brudem — odpowiedziała kobieta, trzymając ją mocno w objęciach, zupełnie tak, jak to niejedną raz robiła Vris. Miała nieomalże tak pokrzepiający wpływ na ludzi jak Rolan, Vris czy też Andrean. Zapomniawszy o powściągliwości, Talia wypłakała się do woli.

Kiedy ponownie zapanowała nad sobą, kobieta wręczyła jej chusteczkę i powiedziała:

— Z jakiegoś powodu nikt ci nigdy nie powiedział, jak Herold zostaje Wybrany — to jasne.

— Czy nie trzeba się nim urodzić jak Najstarszy Syn? Mam na myśli... wszystko to...

— „Wszystko to” nic nie znaczy, jeśli brak ci tego, co trzeba. To prawda: Heroldem trzeba się urodzić, bo ani nie można się tego nauczyć, ani nie jest to sprawa krwi. Nie — to Towarzysze dokonują Wyboru.

W jednej chwili załapała ją fala wspomnień o tej świetlistej, radosnej chwili, gdy po raz pierwszy zajrzała w oczy Rolana. „Ciebie Wybieram” — to, co powiedział, rozległo się wprost w jej myślach. Teraz pamiętała wszystko...

Kobieta uśmiechnęła się widząc, jak Talii ze zdumienia odjęło mowę, gdy wszystkie fragmenciki tajemnicy raptownie ułożyły się w czytelny obraz.

— Zazwyczaj nie muszą zapuszczać się zbyt daleko. To osobliwe: różnorakie są tego przyczyny, ale ktoś kto nadaje się na Herolda, jakoś sam najczęściej odnajduje drogę do miasta, na Dwór królewski albo do Kolegium. Czasami jednak Towarzysze muszą osobiście zająć się znalezieniem dla siebie Herolda, a jeden z nich postępuje tak zawsze. Powiedz, czy w przeczytanych opowieściach natknęłaś się na tytuł „Osobisty Herold Monarchy”?

— T... tak — niepewnie odpowiedziała Talia, wciąż lekko oszołomiona rewelacjami i wspomnieniami, które dopiero co się w niej przebudziły. — Ale nie mogłam zrozumieć, co on oznacza.

— To pozycja związana ze szczególnym zaufaniem, dla wyjątkowej osoby. Każdemu potrzebny jest ktoś, komu można zupełnie ufać, kto nigdy nie doradzi fałszywie, kto będzie przyjacielem w pełnym znaczeniu tego słowa. Monarsze ktoś taki jest potrzebny najbardziej, bo otoczony jest ludźmi, którym na sercu leży tylko własny interes. Tym w istocie jest Osobisty Herold Królowej. Już samo istnienie takiej osoby powoduje, że w Królestwie przez lata tak nieliczne są przypadki wewnętrznych waśni. Kiedy władca wie, że istnieje przynajmniej jedna osoba godna całkowitego zaufania — od której zawsze dowie się prawdy — czuje się pewniej, jest wobec siebie uczciwsza, mniej samolubna; wzięwszy wszystko razem — jest lepszym monarchą. Posada Osobistego Herolda Królowej jest dożywotnia, a odpowiednią osobę zawsze Wybiera Towarzysz ostatniego, piastującego tę godność Herolda. Po jego śmierci Towarzysz opuszcza Kolegium, by przeczesać całe Królestwo w poszukiwaniu następcy. Podczas rządów minionych monarchów nie zajęło to więcej jak dzień, czy dwa i wybór — nierzadko — padał na kogoś, kto już był Heroldem, albo stał u progu zostania nim. Tym razem jednakże było zupełnie inaczej: po śmierci Herolda Talamira jego Towarzysz był nieobecny przez blisko dwa miesiące — już od bardzo dawna nic takiego nie wydarzyło się.

Talię tak pochłonęła opowieść snuta przez nieznaną, że w niepamięć poszły jej obawy.

— Dlaczego? — zapytała.

Kobieta długo rozważała odpowiedź na to proste pytanie. Dziecko zasłużyło na możliwie najlepsze, najuczciwsze wyjaśnienie.

— Hmm, wydaje się nam, że jest to związane z bieżącą sytuacją — odpowiedziała po długim namyśle. — Następczyni została niepokojąco rozpieszczona — to po części wina Królowej, która pozwoliła, by nadmiernie pochłonęły ją polityka i zajęcia w danej chwili istotne, a na dłuższą metę błahe. Opiekunka dziecka nie pochodzi z tego Królestwa i wpoila dziewczynce bardzo wyolbrzymione mniemanie o swojej ważności. Nie będzie łatwym zadaniem przemiana bachora w kobietę, która zasługuje na to, by zasiąść na tronie. Towarzysz Talamira musiał więc zawędrować w odległe strony w poszukiwaniu kogoś, kto by temu sprostał.

— Udało mu się chyba? — zapytała zaniepokojona Talia.

— O, tak, istotnie. Przywiózł ją nam tu dzisiaj. — Kobieta uważnie obserwowała zachowanie Talii wiedząc, że dzięki temu dowie się mnóstwo o dziewczynce.

Dziecko odniosło się do tego z wyjątkowym niedowierzaniem.

— Mnie? Ależ... ależ... ja nic nie wiem... Jestem tylko prostą, wiejską dziewczynką... Nie pasuję do was... Wymowę mam niewłaściwą... i wygląd... Nie jestem tą, której potrzebujecie...

— Wiesz, jak sobie radzić z rozpieszczonym dzieckiem, Talio. Muszę przy-

znać, że miałam nadzieję zobaczyć kogoś nieco starszego, ale... No cóż, Towarzysze nie myślą się nigdy. Niewiele lat będzie was dzielić, gdy Elspeth będzie potrzebny prawdziwy przyjaciel, gdy już uda ci się poskromić bachora.

A wracając do tego, że nie pasujesz: moja droga, ona, jak dotąd, była pieszczochem dworzan i przyda się jej spora doza wiejskiego, zdrowego rozsądku. O, tak — i siarczystych, wiejskich klapsów, jeśli do tego dojdzie! I na przyszłość: gdybym onegdaj miała kogoś, komu mogłabym się bez skrępowania zwierzać... poplotkować... myślę, że nigdy bym nie poślubiła jej ojca — westchnęła.

— Wy... jej ojca... wy jesteście Królową? — z przerażeniem w oczach Talia zerwała się na nogi i Królowa musiała zdrowo się wysilić, by stłumić uśmiech na widok tych oznak najgłębszej konsternacji.

— Cały czas brudziłam Królową? Byłaby przypadła do jej stóp, tylko że Królowa jej w tym przeszkodziła, stanowczo nalegając, by siadła obok niej.

— Talio, moja droga, Królowa jest monarchinią tylko w Komnacie Tronowej — odparła. — Wszędzie indziej jestem po prostu zwykłym Heroldem. Jestem też matką, która bardzo potrzebuje twojej pomocy. Coś, gdzieś namieszałam i nie potrafię tego naprawić. To, czego byłam świadkiem zaledwie godzinę temu, świadczy, że ty to potrafisz, pomimo tak niedojrzałego wieku.

Miała nadzieję, że dziecko wyczyta błaganie w jej oczach.

— Nikt nie może cię do tego zmusić. Jeśli w swojej uczciwości stwierdzisz, że nie czujesz się na siłach sprostać zadaniu bycia Osobistym Heroldem dla kobiety, która mogłaby być twoją matką i jej rozpieszczzonego potworka, znajdziemy dla ciebie jakieś miejsce, gdzie będziesz szczęśliwa. Muszę powiedzieć, że *ja* nie podjęłabym się tego na żadnych warunkach. Możesz odmówić i wtedy ponownie wyślemy Rolana w drogę. Ale... myślę, że osądził cię właściwie, dokonując Wyboru. Czy będziesz Heroldem, Talio — i to Osobistym Heroldem Królowej?

Talia przełknęła głośno ślinę, wciąż nie do końca przekonana, czy przypadkiem nie padła ofiarą jakiejś straszliwej pomyłki. Otworzyła usta, zamierzając powiedzieć „nie”, lecz raz jeszcze zdradziło ją jej serce.

— Tak! — usłyszała własne słowa. — Och, tak!

Królowa westchnęła, jakby ogromny ciężar spadł z jej barków.

— Dzięki ci, Talio. Zaufaj mi, nie będziesz samotnie się z tym borykać zbyt długo — zbyt wiele musisz się jeszcze nauczyć; będzie wielu ochoczych i znających się na rzeczy pomocników. Najważniejsze, byś zaprzyjaźniła się z Elspeth i została jej przewodnikiem. Może i stawiam swoim Heroldom zadania trudne, ale staram się, by nie były niemożliwe — jej twarz rozpromienił uśmiech pełen ulgi. — O czym mam ci jeszcze powiedzieć?

— Czy mogłabym... — Przełknęła ślinę, by pozbyć się ściskania w gardle.

— Czy mogłabym widywać się z Rolanem — od czasu do czasu?

— Widywać się z nim? Jasne Niebiosa, on jest teraz *twoim* Towarzyszem. Jeśli zechcesz, możesz spać razem z nim w stajni!

— Naprawdę, mogłabym? On jest mój? Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Zbyt przypominało to bajkę. Talia spodziewała się, że lada chwila przebudzi się we własnym łóżku, na poddaszu rodzinnego dworu — to nie mogła być prawda, to musiał być sen. A jednak, czy w śnie czułaby twardą krawędź krzesła wpijającą się w jej nogę? A więc to nie był sen. Poczowała ulgę, lecz raptem ogarnęło ją uniesienie, od którego aż zawróciło jej się w głowie. Miała zostać Heroldem! Prawdziwym Heroldem — takim jak Vanyel, Tancerz Cieni i wszyscy inni bohaterowie opowieści i legend! A do tego nie pierwszym lepszym Heroldem, lecz najwyższym rangą Heroldem w całym Królestwie. Lepiej o tym przez chwilę nie myśleć. Zbyt wiele tego było, by to całkowicie objąć rozumem.

Podniosła oczy, by spojrzeć na Królową, zaniechawszy wyniesionej z Grodu powściągliwości, pozwalając sobie bez skrępowania okazać, jak jest szczęśliwa.

— Tak, Talio. To jest najprawdziwsza rzeczywistość. — W oczach Królowej pojawiło się rozbawienie na widok czystej radości odbijającej się na twarzy dziewczynki. Talia była tak opanowana, że z łatwością można by zapomnieć, że skończyła zaledwie trzynaście lat. Jednak w chwili takiej jak ta zamieniła się w nie posiadające się z radości dziecko. Nietrudno będzie otoczyć ją opieką.

Nagle Talia znów zmieniała się w miniaturkę dorosłego człowieka.

— Od kiedy mam zacząć? Co muszę zrobić?

— Zaczynasz od zaraz — Królowa pociągnęła za dzwonek wiszący za plecami, by wezwać Dziekana Kolegium, niecierpliwie czekającego na wynik tej rozmowy — gdy tylko Dziekan Elcarth tu się zjawi. On pomoże ci na początku w Kolegium. A odnośnie do twoich obowiązków: ucz się, Talio. I — jej oczy patrzyły bardzo rzeczowo — proszę, ucz się tak szybko, jak tylko potrafisz. Ja... *my*... potrzebujemy ciebie bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

## CZWARTY

Na wezwanie Królowej odpowiedziano natychmiast. Talia zupełnie nie wiedziała, czego się może spodziewać, jednak rzuciwszy zaledwie okiem na drobniutkiego człowieczka w Bieli Heroldów, którego Królowa przedstawiła jako Dziekana Kolegium Heroldów, poczuła wielką ulgę. Dziekan Elcarth był żwawym starszkiem, o ódzębło jedynie wyższym od Talii. Na jego widok niepokój, który zawsze ogarniał ją w obecności mężczyzn, zniknął bez śladu. Dziekan tak bardzo przypominał śnieżnego strzyżyka — z dokładnie taką samą czapą siwych włosów jak czub owego ptaka — że nie można się go było bać.

— A więc — zaczął, lekko przekrzywiając głowę na bok i mierząc Talię badawczo spojrzeniem pełnych mądrości oczu — oto nasz nowy Herold-Uczeń. Myślę, że nam się uda, dziecko — i jako pierwszy muszę w tym miejscu zastrzec, że nie myślę się nigdy — zachichotał.

W odpowiedzi Talia zdobyła się na ostrożny uśmiech.

— Ha! Za twoim przyzwoleniem, Selenay... — dodał z lekkim skinieniem w stronę Królowej.

— Zostawiam ją w twoich doświadczonych rękach — odparła Królowa.

— Znakomicie. Chodźmy, panienko. Pozwolisz, że cię po wszystkim oprowadzę. Może nawet uda nam się znaleźć kogoś, kto pomoże ci urządzić się u nas.

Poprowadził ją wyłożonym boazerią korytarzem. Talia posłusznie szła tuż obok niego. Cieszyła się, że jest niemal tak niski jak ona, w przeciwnym razie przenigdy nie dotrzymałaby mu kroku. Maszerował tak żwawo, że, by nie zostać w tyle, musiała stawiać dwa kroki na jego jeden. Mimo wszystko nie spuszczała z niego oczu, obserwując uważnie. Zbyt wiele spotkało ją w życiu obrzydliwych niespodzianek, nie życzyła sobie kolejnej, zwłaszcza tutaj, gdzie była samotna pomiędzy obcymi.

Pochwyił jej czujne, rzucone ukradkiem spojrzenia i zapamiętał to sobie. Elcarth od dziesięcioleci był Dziekanem Kolegium Heroldów i nabył ogromnego doświadczenia w ocenie nowo-Wybranych, dlatego nie umknął mu najmniejszy szczegół w zachowaniu Talii. Dziewczynka skuliła się cała, nim zebrała się na odwagę, by porządnie zmierzyć go wzrokiem. Ruch ten ujawniał więcej, niż mogłyby się tego domyśleć. Ślepe posłuszeństwo jeszcze bardziej było znaczące. Po-

trząsnął w myśli głową. Było oczywiste, że nie przywykła do wykazywania inicjatywy i trzeba będzie temu jakoś zaradzić. Nieśmiałość i zaleknienie jak u dzikiego zwierzątka mówiła o doświadczanym okrucieństwie — psychicznym, emocjonalnym, niewykluczone, że i fizycznym. Może i duch jej został ugięty, lecz na szczęście nie został złamany, w przeciwnym razie Rolan nigdy by jej nie Wybrał. Było jeszcze coś — staruszek zanotował w pamięci, że musi podyskutować o ludzie Grodów z Królową. Fakt, że dziecko wychowano w niewiedzy o Wyborach Towarzyszy był przestępstwem. Nie mylił się młody Dirk — nie do wiary, jakie to było zamknięte w sobie i małomówne dziecko. Reagowała o wiele gwałtowniej na obecność mężczyzn niż kobiet — niemalże jakby spodziewała się, że ze strony każdego spotkają ją razy i okrucieństwo. Upłynie sporo czasu, zanim obcy mężczyzna zdobędzie jej zaufanie. Szybko przemyślał raz jeszcze ułożone wcześniej plany; dopóki dziewczynka nie przyzwyczai się do życia tutaj, lepiej będzie, jeśli jej mentorami zostaną przeważnie kobiety. Jedynie Herold Teren będzie na tyle niegroźny z wyglądu, by w jego obecności mogła zapomnieć o obawach.

Po drodze Elcarth szczegółowo przepytał Talię zważając, by lekki ton jego głosu działał na nią uspokajająco. Otrzymane odpowiedzi zadowolily go w najwyższym stopniu. Obawiał się, że w najlepszym razie dziewczynka będzie właściwie analfaberką, jednak umiejętnością czytania i pisania nie ustępowała większości Wybranej w jej wieku młodzieży, zaś jej głód wiedzy był wprost niewiarygodny. Tak więc — przynajmniej jeśli w grę wchodziła nauka — był przekonany, iż wystarczy otworzyć przed nią dostęp do wiedzy i pedagogów, a sama zajmie się resztą i to bez dodatkowych ponaglań.

W jednym tylko przedmiocie była przerażająco nieudolna: o broni i samoobronie wiedziała mało lub prawie nic. Nie był to tylko niefortunny zbieg okoliczności — Talia musiała nauczyć bronić się sama i to szybko. Liczni spośród Kręgu Heroldów powątpiewali, że śmierć Talamira nastąpiła przypadkiem — on również podzielał te wątpliwości. Dziecko, nie umiejące się obronić, nie było przeciwnikiem w starciu z ludźmi, którzy śmierć doświadczanego Herolda potrafili upozorować, tak jakby przysłała zesłana wiekiem. Jakaż ona była bezbronna! Zbyt bezbronna, by spełnić wszystkie pokładane w niej nadzieje. Jedynie Zbrojmistrz Alberich mógłby nauczyć ją w szybkim czasie trudnej sztuki fechtunku, ale pewnie już sam jego widok przeraziłby ją śmiertelnie! Zanotował w pamięci: porozmawiać ze Zbrojmistrzem natychmiast, gdy tylko przekaże Talię w dobre ręce. Alberich nie był głupcem — uprzedzony o bojaźliwości dziewczynki, będzie wiedział, jak do niej podejść.

A tymczasem Elcarth wciąż zadawał nowe pytania, obserwując baczniej każdy ruch, każdy gest dziecka. Nic nie umknęło jego uwadze.

Talia była zaintrygowana. Nie mogła zrozumieć, do czego prowadzi pytania Dziekana. Przeskakiwał z tematu na temat tak szybko, że nie miała czasu do namysłu i oczywiście nie mogła przewidzieć, o czym będzie następne pytanie.

A jednak jej odpowiedzi zdawały się go zadowalać, a raz, czy dwa razy sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

Przemierzali długie, wyłożone boazerią i tapicerią korytarze; jedynie w kilku z nich były okna, dzięki czemu Talia, zobaczywszy na mgnienie drzewa i słońce, mogła mniej więcej domyślić się, jaki obrali kierunek. Przeszli przez dwoje masywnych, dwuskrzydłowych drzwi.

— Teraz doszliśmy do Kolegialnego Skrzydła — do Kolegium Heroldów, znaczy się — powiedział Elcarth. — Oprócz tego są tutaj jeszcze dwa inne Kolegia, przyległe do pałacu: Kolegium Bardów i Kolegium Uzdrowicieli. Nasze jest największe, po części dlatego, że większość sal akademickich zebrano tutaj — w ten sposób, rozumie się, oszczędzamy przestrzeń. Kolegium Uzdrowicieli posiada oddzielny, własny budynek — podobnie Kolegium Bardów. Dom Uzdrowiania jest częścią Kolegium Uzdrowicieli — może doszły do ciebie jakieś słuchy o nim. W tym korytarzu znajdują się sale wykładowe, zajmują one całe pierwsze piętro. Drzwi na samym końcu wychodzą na dziedziniec przed stajniami, za którymi są place ćwiczebne. Za nami, z drugiej strony drzwi, przez które właśnie przeszliśmy, znajdują się prywatne kwatery Heroldów Królestwa.

— Czy *wszyscy* tam teraz są? — zapytała przytłoczona myślą o tylu Heroldach zebranych w jednym miejscu.

— Hmm... nie. Większość z nich wyruszyła do swoich obwodów, ale wszyscy mają tutaj przynajmniej izbę, niektórzy dzielą ją z kimś, inni nie; odbywający służbę na stałe w pałacu mają ich po kilka, tak samo jak emerytowani Heroldowie, którzy postanowili zostać razem z nami. O tu, za tymi drzwiami znajduje się klatka schodowa, druga jest pośrodku budynku, a trzecia obok drzwi na samym końcu. Teraz udamy się na górę, do kwater uczniowskich.

Klatka schodowa była szersza niż w Grodzie i nieźle oświetlona małym okienkiem w połowie wysokości. Na drugim podeście znajdowały się drzwi, które teraz otworzył przed nią Dziekan.

— Oto dormitorium — powiedział.

Tak samo jak korytarz na dole, dormitorium wyłożono boazerią z jakiegoś ciemnego drzewa — gładko obrobionego, jednakże nie wypolerowanego do połysku. Tutaj było za to znacznie więcej bliżej siebie osadzonych drzwi i perspektywa korytarza wydawała się dziwnie skrócona.

— Sama widzisz, że ten korytarz jest mniej więcej o połowę krótszy od dolnego: po drugiej stronie tejsze ściany jest Wspólna Izba, gdzie podają posiłki, a za nią kwatery chłopców. My jesteśmy w części dla dziewcząt. Na trzecim piętrze znajduje się tylko jedna komnata — biblioteka z czytelnią. Biblioteka jest oddana całkowicie uczniom i Heroldom, możesz z niej korzystać, kiedy tylko chcesz, jeśli nie ma zajęć w klasach, albo innych rzeczy do zrobienia. — Elcarth uśmiechnął się zachęcająco na widok błysku w oczach Talii. — Spróbuj jednakże poświęcić nieco czasu na spanie i jedzenie!



Wtem pojawił się niewielki chłopiec ubrany w mundur bardzo podobny do tego, jaki miał na sobie Strażnik — tyle że jasnoniebieski, a nie granatowy — i podbiegł do Elcartha. Jego śladem podążał bogato odziany człowiek w średnim wieku, o zafrasowanym wyglądzie. Była to pierwsza cywilna osoba, którą tu zobaczyła Talia od momentu przybycia.

— O niebiosa, a tym razem — co? — wymamrotał Elcarth pod nosem, gdy chłopiec, tupiąc stanął przed nimi.

— Dziekan Elcarth, panie. Profos-Marszałek, komendant żandarmów, panie — zapiszczał zdyszczanym dyszkantem.

— Widzę, Levandzie. Co tam tym razem — pożar, powódź, czy uliczne rozruchy?

— Wszystkiego po trochu, mój panie Heroldzie — głos zabrał sam Profos-Marszałek, znalazłszy się w zasięgu głosu, podczas gdy Talia próbowała stać się niewidoczna, przytulając się do ściany.

— Znasz Fontannę Pani na Dziedzińcu Krawców, której wody zwykły znajdować ujście przez dren ulicą Złamanej Igły?

— Dobór twych słów wróży złowieszczco, mój panie — odparł Elcarth z westchnieniem. — Zwykły?

— Ktoś postanowił zmienić ich bieg, mój panie Heroldzie, i doprowadzić do izby zgromadzeń w piwnicach tawerny „Pod Pannami i Gwiazdami” Jona Hopkinsa, która jest, jak wiesz. . .

— Ulubionym miejscem zakazanych rozrywek trzeciego roku uczniów Bardicum — tak, wiem. Znać w tym raczej rękę Wolnych Słuchaczy, nieprawdaż? Użycie pionu i cyrkla. . .

— Po części, mój panie.

— Przerażasz mnie. Mów.

— Uczniowie Bardicum poczuli się dotknięci tym, że musieli zamoczyć swe stopy, mój panie Heroldzie — bardzo dotknięci!

— I ruszyli w pościg za sprawcami tych karygodnych uczynków, nie wątpię?

— Jak najbardziej, mój panie. Powiedziano mi, że dobosze potrafią strugać piękne pałki i ostatnimi czasy kilku upodobało sobie spacerować o lasce.

— No cóż, to wyjaśnia powódź i uliczne zamieszki. Przejdźmy do pożaru. . .

— . . . wznieconego przez uczniów Bardicum, mój panie. W alei Pięciu Groszy. Zdaje się, że winni powodzi zaszyli się w Jaju Gryfona, a więc komuś przyszedł do głowy pomysł wykurzenia ich stamtąd dymem. Śmieciami rozniecono ogień i puszczono dym tylnym wejściem.

— Panie. . .

Elcarth potarł oczy dłonią. Talia pomyślała, że rozboleła go głowa.

— Dlaczego zajmujesz tym mój czas, mój panie? Jak dotąd, trzeba być jedynie zamienić słówko z ojcami i patronami Wolnych Słuchaczy, którzy przyłożyli do tego ręki i z Dziekanem Bardicum.

— Co też i uczyniłem, mój panie Heroldzie. Tym już się zajęto.

— Jest coś więcej? O Pani, oszczędź. . .

— Gdy ucichł zgiełk i rwetes, a panowie i panie szczęśliwie zostali rozdzieleni, odkryto, że buchnięto im wszystkim sakiewki — co do jednej. Sakiewki odnaleziono nienaruszone, zwisające z drzew ogrodów klasztornych. Kapłanki Pani nie widziały, kto je tam przyniósł, oczywiście, ale kilku bojowników przypomniało sobie, że widzieli kogoś, w najgęstszej bitce, odzianego w uczniowskie szarości Herolda.

— Ni słowa nie trzeba. . .

— Tak, mój panie Heroldzie. Jeden jeno wasz uczeń potrafiłby spletać taką psotę.

— O Ciemny Panie, o Jasna Pani! — wymamrotał Elcarth, pocierając skroń. — Zaczekajże chwileczkę, mój panie Profosie-Marszałku, mam tu interesik, którym kogoś innego przyjdzie mi obarczyć i będę na twe usługi.

Elcarth powiódł dookoła wzrokiem i wyszedł Talię, która stała skurczona w kącie, starając się jak najmniejszą zwrócić na siebie uwagę.

— Dziecino, to z mej strony nieznośne grubiaństwo, jednakże, na jakąś chwilę, muszę znaleźć dla ciebie innego przewodnika — powiedział, kładąc delikatnie dłoń na jej plecach i popychając lekko w przód.

Otworzyły się drzwi do Wspólnej Izby i garstka młodych kobiet — wszystkie odziane identycznie w szarości — wyszła na korytarz.

— Oto rozwiązanie — westchnął z zadowoleniem Elcarth. — To jest osoba, której mi było trzeba. Sherrill!

Na dźwięk swego imienia odwróciła się jedna z młodych kobiet i uśmiechnięta ruszyła w ich stronę — wysoka, szczupła, o czarnych włosach, wąskiej twarzy i piwnych oczach.

— Panie? — odezwała się i spojrzała z ciekawością na Talię.

— To jest panienka, którą sprowadził Rolan — odparł Elcarth. — Pochodzi z jednej z tych granicznych osad, które, prawdę powiedziawszy, mogłyby wcale nie należeć do Królestwa, i jej konfuzja jest wielka. Będzie jej bardzo potrzebna pomocna dłoń, by się przyzwyczaić. Na nieszczęście, Profos-Marszałek przyszedł tu do mnie z interesikiem nie cierpiącym zwłoki. Czy mogłabyś. . .

— Odebrać ją z twoich rąk? Oczywiście! Czy przeszła to samo, co ja? — Uśmiech młodej kobiety był zaraźliwy i Talia nieśmiało odwzajemniła go.

— W poważnym stopniu — tak, czasami — więcej — odparł Dziekan.

— Na Jasne Niebiosa, aż tak źle? Biedactwo! — Kobieta obdarzyła Talię jeszcze jednym, tchnącym otuchą uśmiechem. — Doskonale, zobaczymy, co uda się nam na to poradzić. Hmm, panie — czy przypadkiem tym „interesikiem” nie jest Skif?

— Na to wygląda.

— Na Niebiosa! Czy on niczego się nie uczy?

— O, tak. Nigdy nie powtarza tej samej psoty dwa razy — odpowiedział Elcarth, walcząc z uśmiechem. — Tym razem nie jest tak źle. Najwidoczniej nie on jest głównym figlarzem, raczej skorzystał z okazji. Chyba uda mi się łatwo ocalić jego skórę.

— Mam nadzieję, lubię tę małą.

— Tak jak i wszyscy, wyjąwszy, być może, Lorda Orthallena. Zaopiekujesz się jak należy Talią, prawda? Liczę na ciebie, bo Profos-Marszałek zaczyna się niecierpliwić.

— Tak, panie — w uśmiechu błysnęły jej zęby.

Gdy zwracała się do Talii, na jej twarzy pojawiło się współczucie.

— Dziekan wie, że czułam się podobnie jak ty, kiedy się tu znalazłam. Moim ludem są rybacy znad jeziora Evendim i żyjąc wśród nich, poznałam jedynie ryby. Powinnaś była widzieć moje odparzenia od siodła, a nie potrafiłam nawet ani pisać, ani czytać!

— Ja umiem pisać i czytać, i liczyć także — cichutko powiedziała Talia.

— Widzisz? Jest ci trzy razy łatwiej zacząć niż mnie! Dziekanie... — na chwilę ponownie przyciągnęła uwagę Elcartha — ...Jutro podstawowa orientacja z Terenem, panie?

— Naturalnie, opóźniliśmy lekcje do czasu powrotu Rolana. Ułożę dla niej plan i zostawię go u Terena. A jutro chcę, byś zabrała ją na tereny ćwiczebne, by Alberich zdecydował, co da się z nią zrobić.

Sherrill przeniosła spojrzenie z Talii na Dziekana — to, że dziewczynkę tak szybko oddawano w ręce Albericha, było zaskoczeniem — i pochwyciła milczący znak Elcartha, świadczący, że chciałby wrócić do tego później. Krótко skinęła głową i staruszek pomachał im na pożegnanie, oddalając się w pośpiechu za zafrasowanym Profosem-Marszałkiem.

Sherrill przyjrzała się uważnie ostatniemu z przybyłych — i najważniejszemu — Wybranych. Biedactwo już na pierwszy rzut oka wyglądało na wyczerpaną, nieśmiałą, bardzo zaleknioną i oczywiście oszołomioną wszystkim, co ją spotykało. Sherrill zdziwił napływ macierzyńskich uczuć do dziecka.

— No dobrze, Talio, najpierw musimy znaleźć dla ciebie izbę i załatwić mundur oraz niezbędne przedmioty — powiedziała, mając nadzieję, że jej swobodny ton uspokoi dziewczynkę. — Ile masz lat?

— Trzy — odpowiedziała Talia tak cichutko, że Sherrill ledwie dosłyszała, co mówi.

— Aż? Nie wyglądasz na tyle — skwitowała, ruszając przodem. — Coś ci jednak powiem: nie mamy zbyt wielu Wybranych, którzy byliby twoich rozmiarów, możesz więc liczyć na mundur, który nie składa się w połowie z ła! —

— Mundur!

— Taki jak mój — przyjrzyj się uważnie: jest dokładnie taki sam jak Herolda, tyle że srebrnoszary a nie biały, no i różni się nieco materiałami. Noszenie

munduru zrównuje nas wszystkich i łatwo jest odróżnić ucznia Herolda, Kolegia Bardów i Uzdrowicieli robią to samo: Bard pasowany chodzi w Szkarłatach, a uczniowie w rdzawych brązach; Uzdrowiciele mają swoją Zieleń, a stroje ich uczniów są bladozielone. My, dopóki nie zasłużymy na Biel, ubieramy się w szarości. Są tu uczniowie, którzy nie należą do żadnego z Kolegiów. Oni też noszą mundury — jasnoniebieskie. Urzędowo są Wolnymi Słuchaczami, a my nazywamy ich Błękitnymi. To różnorodny tłumek — ludzie uczący się, by stać się kimś więcej niż zwykłymi urzędnikami; tacy, którzy mają talent do budowania; wysoko urodzeni, których rodzice uważają, że powinni jeszcze coś umieć poza wybieraniem nowych koni i szat.

Na chwilę zmarszczyła brew nagle zamyślona nad tym, ile powinna powiedzieć dziewczynce o Błękitnych. Czy wystraszyć to dziecko, być może niepotrzebnie, czy nic jej nie mówić o snutych dookoła intrygach? Decyzja nie była łatwa, skoro dziewczynka z takim uporem ukazywała światu kamienną twarz. Sherrill zdawała sobie sprawę, że dla niej ludzie nie są — jak dla Elcartha — otwartą książką, w której mogłaby bez przeszkód czytać. Nie wiedziała, co kryje się za tymi ogromnymi oczyma. Według jej opinii Talia mogłaby poczuć się wstrząśnięta. Zdecydowała się nie mówić dziewczynce wszystkiego.

— W ich przypadku lepiej zachować ostrożność — ostrzegła. — Zarówno Bardowie jak i Uzdrowiciele starannie dobierają przyjmowanych do nauki kandydatów, każdą osobę w Szarościach Wybrał Towarzysz, jednak do Wolnych Słuchaczy nie stosuje się żadnych kryteriów. Oczekuje się od nich jedynie zaliczania kolejno przez siebie wybieranych przedmiotów. Wywodzący się z dworskiego kręgu to przynajmniej w połowie nic lepszego jak wysoko urodzeni brutale, a jeden, czy dwóch z nich to prawdziwi obrzydliwcy. Na twoim miejscu, będąc w publicznym miejscu, starałabym się trzymać Szarych. — Zamilkła i otworzyła drzwi na samym końcu korytarza. — A to będzie należeć do ciebie.

W małej izdebce niewiele było miejsca na sprzęty — łóżko, biurko, krzesło, szafka na książki i szafa. Oczywiście Talii wydawała się ona prawdziwym pałacem. Trudno się dziwić, skoro dotąd dzieliła z innymi dziewczynkami łóżko i nigdy nie istniał nawet kąpielownia w żadnej izbie, który mogłaby nazwać własnym. Sherrill wsunęła karteczkę z imieniem Talii w ramkę na drzwiach i uśmiechnęła się na widok jej twarzy. Współczuła jej ogromnie: zanim Towarzysz przywiódł ją do Kolegium, spędziła większość życia stłoczona z rodziną, jak solone ryby w beczce — latem na łodzi, skąd nie było przecież ucieczki w poszukiwaniu odosobnienia, a zimą w jednoizbowym baraku i to na dodatek razem z rodzinami jej dwóch wujów.

— Podoba ci się tutaj? — zapytała, próbując wywołać u dziecka jakąś reakcję.

Talia poczuła się przytłoczona. Przez całe życie dzieliła łóżko z dwoma siostrami, na przypominającym koszary poddaszu rodzinnego dworu. A teraz — tak niesłychanie luksusowa w jej oczach izba miała należeć wyłącznie do niej! Wy-

dawało się, że Sherrill to rozumiała pozwalając, by długo kontemlowała dobrodziejstwo odosobnienia.

— O, tak! — wykrztusiła w końcu. — Jest cudowny!

Więcej niż cudowny — to był tak długo oczekiwany raj; miejsce, gdzie mogłaby się chować, dokąd nikt inny nie miałby wstępu. Nie umknęło uwadze Talii, że od wewnętrznej strony drzwi opatrzone w rygiel. Gdyby przyszła jej na to ochota, mogłaby zaryglować się przed całym światem.

— To świetnie! Teraz spotkamy się z Gospodynią — powiedziała Sherrill, przerywając zadumę Talii, nim ta jeszcze zdołała się przyzwyczaić do myśli posiadania własnej izby. — Ona cię wyposaży i umieści twoje nazwisko w wykazie dyżurów.

— A co to?

— Pytanie — nareszcie! Zaczynałam się zastanawiać, co stało się z twoim językiem! — łagodnie zażartowała Sherrill i Talia zarumieniła się lekko. — Do tradycji Kolegiów należy, że wszyscy dzielimy się obowiązkami, a więc sług nie ma tu wcale i poza studentami i nauczycielami w Kolegium jest tylko kucharz i gospodyni. Codziennie kolejno każdy z nas ma wyznaczone jakieś zajęcie. Obowiązki nigdy nie zabierają zbyt wiele czasu, a przy okazji wpajają „dobrze urodzonym”, że wszyscy naprawdę jesteśmy sobie równi. Niedyspozycja jest oczywiście usprawiedliwieniem. Podejrzewam, że spadłoby na nas i gotowanie, gdyby byli pewni, że nie wytrujemy się przy tym nawzajem przez przypadek!

Sherrill roześmiała się w głos, a Talia z wahaniem powiedziała:

— Umiem gotować. Troszeczkę.

— Świetnie. Nie omieszkam powiedzieć Gospodyni. Najpewniej przydzielili ci obowiązki pomocnika kucharza, bo większość z nas nie potrafi rozróżnić piersi od nogi kurczaka.

Znów się zaśmiała, jakby na wspomnienie czegoś.

— Jakiś miesiąc temu pewien Herold przywdział po raz pierwszy Biel, ma on na imię Kris. Gdy się tu pojawił, był jednym z tych „dobrze urodzonych” pieszczoszków. Został wtedy pomocnikiem kucharza. Ten wręczył mu kurczaka, nakazał sprawić go i nafaszerować nadzieniem. Kris nie należał do tych, co zajmują się polowaniem — mól książkowy, sama wiesz — a więc kucharz musiał uczyć go, jak rozcinać kurczaka przed faszzerowaniem. Kris zrobił to, zajrzał do środka i stwierdził: „Nie muszę go faszzerować, bo już jest pełny!” Do tej pory jeszcze nie może tego wymazać z pamięci innych!

Minąwszy parter dotarły na sam dół klatki schodowej. Sherrill zapukała dwa razy do drzwi, otworzyła je i weszły do środka. Wąską, bieloną wapnem izbę oświetlało pojedyncze okno tuż pod sufitem — Talia pomyślała, że musi ono znajdować się na poziomie gruntu. W izbie stało jedynie biurko, za którym siedziała stateczna kobieta w średnim wieku. Na ich widok uśmiechnęła się.

— Oto nasz nowy Herold. — Sherrill przedstawiła z werwą dziewczynkę.

Kobieta zlustrowała Talię od stóp do głów.

— Mniej więcej siódemka, powiedziałabym. Nie mamy zbyt wielu Wybranych w tym rozmiarze. Czy przywiozłaś jakieś rzeczy ze sobą, drogie dziecko?

Talia nieśmiało pokręciła głową i Sherrill odpowiedziała za nią:

— Tak samo jak ja, Gospodynie Gaytha — jedynie to, co na grzbiecie. Będziecie musieli porozmawiać o tym z Królową Selenay — Towarzysze nie dają Wybranym czasu na spakowanie!

Gospodynie uśmiechnęła się, pokręciła głową i wyszła z izby drzwiami, które znajdowały się za jej plecami. Nie minęło dużo czasu, a powróciła ze stosem starannie złożonych ubrań i wypchanym worem.

— Zasadą Kolegium jest mycie się przed posiłkami i gorąca kąpiel każdego wieczoru — powiedziała, wręczając przyniesiony stos po części Talii, a po części Sherrill. — Brudne odzienie trafia do pralni ze zsypu, który znajduje się w łaźni. Sherrill pokaże ci, gdzie to jest. Zmiana pościeli: raz na tydzień. Otrzymasz ją razem z pozostałymi dziewczętami; stara pościel idzie do pralni. Po wspólnych ćwiczeniach z Towarzyszem lub praktyce z bronią — kąpiel, a przed posiłkami należy się przebrać. Nie brakuje nam mydła, ani gorącej wody i przykładamy wagę do utrzymywania czystości. Herold musi już na pierwszy rzut oka wzbudzać zaufanie, bo kto by mu zawierzył, gdyby wyglądał jak niechluj? Otrzymasz ode mnie czysty mundur, kiedy tylko będzie ci trzeba. . .

— Ja z tym miałam kłopoty — wtrąciła się Sherrill. — Tam, skąd pochodzę, nikt nie myje się w zimie, bo nie ma jak zagrześć dostatecznej ilości wody, a i tak można by umrzeć na zapalenie płuc od przeciągów. W zimie już nie odwiedzam rodzinnego domu. Od kiedy go opuściłam, mój nos stał się o niebo delikatniejszy!

Talia przypomniała sobie Keldar, sprawdzając czystość trzy razy dziennie, zimną wodę i szczotki do podłogi, którymi szorowano ich, natrafiwszy na najmniejszą plamkę brudu.

— Myślę, że dam radę — odpowiedziała cichutko.

— To dobrze. A teraz, jak już Sherrill ci to powiedziała — albo powinna powiedzieć — codziennie musicie się podjąć jakiegoś obowiązku. Co potrafisz robić?

— Wszystko — nie ociągając się odparła Talia.

Gospodynie nie dowierzała zbyt jej słowom.

— Wybacz, moja droga, ale to nie wydaje się możliwe, by ktoś w twoim wieku. . .

— Ona jest starsza niż na to wygląda — wtrąciła Sherrill. — Ma trzynaście lat.

Talia przytaknęła.

— Zamierzali wydać mnie za męża, a więc uciekłam. To wtedy odnalazł mnie Rolan. Keldar stwierdziła, że jestem przygotowana.

Widać było, że Gospodynią wstrząsnęły te słowa.

— Za mąż — mając *trzydzieści* lat?

— Na Granicach małżeństwa w tak młodym wieku to sprawa dość powszednia — odparła Sherrill — i nie odwlekają ich zbyt długo. Ludy pogranicza traktują samych siebie i swoją dźwiatwę podobnie jak hodowlane bydło, które rozmnaża się wcześniej i często dla jak najliczniejszego i najużyteczniejszego potomstwa. Nie można nikogo ganić, Gospodyni. Życie ich jest trudne; gdyby ludziom tam osiadłym narzucić obyczaje Królestwa, nie utrzymaliby się na swej ziemi.

— To wydaje się barbarzyńskie, mimo wszystko — w głosie Gospodyni zabrzmiała nutka niechęci.

— Może tak i jest, ale oni muszą przetrwać, nie mówiąc już o tym, że takim obyczajom zawdzięczamy Herolda, który ma szansę wychować Bachora w godną Następczynię. Zwróciłaś zapewne uwagę, że Rolan nie wybrał nikogo z nas.

Sherrill uśmiechnęła się do Talii, która próbowała nie okazywać skrępowania.

— Przepraszam, że mówię o tobie, jakby ciebie z nami nie było. Nie pozwól nam wchodzić sobie na głowę, młodsza koleżanko. Nie wszyscy mieli okazję dostąpić zaszczytu, jak to nazywa Gospodyni „cywilizowanego wychowania”. Przypomnij sobie, co ci opowiadałam o myciu w zimie? Gospodyni trzymała mnie w balii z gorącą wodą i szorowała niemal do żywego mięsa, gdy się u niej po raz pierwszy zjawiłam — był ci ze mnie prawdziwy, mały barbarzyńca!

Talia nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś miał nienaganną i pewną siebie Sherrill trzymać w wannie i szorować, a jeszcze mniej, że w jej przypadku było to w ogóle potrzebne.

— Talio, czy potrafisz szyć lub gotować?

— Potrafię gotować, jeśli to nic wyszukanego — powiedziała Talia z powątpiewaniem. — Biesiadami zajmowały się jedynie żony, zbyt ważne były, by powierzyć je naszym rękóm. Moje hafty nie zdadzą się na nic, ale potrafię cerować i szyć odzienie, robić na drutach, prząść oraz tkać. No i wiem, jak się czyści niemal wszystko.

Gospodyni stłumiła uśmiech przy ostatnich słowach, słysząc ton rezygnacji w głosie Talii. Przekonał on ją, że pewnie prawdą jest to, co Talia o sobie twierdzi.

— To rzadko spotykane, by nasi uczniowie byli obznajomieni z pospolitými obowiązkami tak jak ty. Myślę więc, że będziesz a to kuchcikiem w kuchni, a to szwaczką w szwalni. Nie możemy się użalać na niedostatek wydartych lub właśnie wypadających dziur — niezmienny jest za to nieurodzaj rąk zdolnych do ich łatania. Zaś Mero będzie uradowany, gdy przyślę mu kogoś, kto nareszcie radzi sobie z gotowaniem.

Otworzywszy jedną z leżących na biurku ksiąg, coś w niej sprawdziła i wpi-sała, by następnie podać Talii arkusz papieru.

— Oto spis twoich obowiązków, gdyby kłopotliwym było pogodzenie ich z zajęciami w klasach, nie wahaj się przyjść z tym do mnie, a wprowadzimy zmiany.

Sherrill poprowadziła Talię schodami na górę, na powrót do jej izdebki.

Dziewczynka z wielkim zainteresowaniem obejrzała swoje nowe odzienie: luźne lniane koszule, noszone zazwyczaj razem z sięgającą ud tuniką, uszytą z cięższej, podobnej do brezentu, lecz nie tak sztywnej tkaniny, długie bryczesy oraz spódnice z takiegoż materiału i grubsze, wełniane odmiany tego samego przyodziewku — oczywiście do noszenia w zimie, wełniany płaszcz oraz mnóstwo robionych na drutach pończoch, bielizny i nocnych koszul.

— Jakiś czas będą ci musiały wystarczyć własne buty, byśmy mogli starannie dopasować parę dla ciebie — usprawiedliwiała się Sherrill, pomagając Talii w ułożeniu ubrań. — Potrwa to przynajmniej tydzień. To źle, lecz nie ma nic gorszego od źle dopasowanych butów: to gorzej niż nie mieć ich wcale, tylko że Keren obdarłby cię ze skóry za próbę jazdy na koniu boso; no chyba, że na oklep.

Ledwie skończyły ścielenie łóżka, kiedy na korytarzu rozległ się dźwięk dzwonu.

— To pierwszy dzwon na kolację — wyjaśniła Sherrill. — Zabieraj jeden ze swoich sortów, umyjemy się i wtedy się przebierzesz.

W łaźni panował ogromny tłok. Sherrill pokazała jej wszystko: zsypano do pralni, zaopatrzenie na dni miesięczne, ręczniki oraz mydło i pomimo ścisłego nadzoru znalazła dla nich obu miednice z dostateczną ilością wody, by mogły się przynajmniej z grubsza umyć. Talia poczuła się znacznie bardziej sobą, spłukawszy kurz z drogi i ostatnie ślady łoża. Sherrill pomogła jej w szybkim przebraniu się w nowe ubranie i wybiegły do wspólnej izby.

Przy kolacji było gwarno i wesoło. Wszyscy, uczniowie wspólnie z dorosłymi, zasiedli przy długim stole, nakładając sobie z wypełnionych jedzeniem mis i półmisek wyjmowanych z czegoś, co przypominało kredens stojący przy ścianie. Sprzęt wydawał się o wiele za mały, by mógł w sobie pomieścić wszystko to, co na oczach Talii wyłaniało się z niego. Sherrill spostrzegła jej zaintrygowany wzrok i wyjaśniła, przekrzykując otaczający je hałas.

— To winda z kuchni, która jest na dole w tych samych piwnicach, co kancelaria i składy Gospodyni. I nie współczuj z nadto posługaczom: dostają jedzenie przed nami, a Mero zawsze trzyma dla nich jakiś kasek!

Talia zobaczyła kilka białych strojów Heroldów, pomiędzy szarymi, uczniowskimi mundurkami.

— Heroldowie! Czy oni wszyscy są nauczycielami? — wyszeptała do Sherrill.

— Tylko jakaś połowa z nich. Pozostali to — hmm, niektórzy właśnie powrócili z terenu, kilku odeszło już ze służby na emeryturę, decydując się zamieszkać tutaj i za nic sobie mając dworskie uczty, no i jest kilku byłych uczniów, którzy właśnie przywdziali Biel, a nie dostali jeszcze czeladniczego przydziału. Jest jeszcze trzech Heroldów na stałe w Pałacu: przy Królowej — dziekan Elcarth; przy Lordzie Wojny — Hedric, nie widzimy go zbyt często; no i Seneszał — jest nim Kyril, on dla odmiany czasami nas uczy. Oni niemal zawsze muszą jadać razem z Dworem. Zwykle byłby jeszcze czwarty Osobisty Herold Królowej, ale... —



przerwała raptownie, spozierając na Talię spod oka.

— Jak... co mu się przydarzyło? — Talia zapytała cieniutkim głosem, pewna, że nie spodoba jej się odpowiedź, lecz mimo to bardzo chcąc ją usłyszeć. Ze słów Królowej, jak i z przeczytanych opowieści wynikało, że Herold w swoim życiu ociera się o niebezpieczeństwo, a sposób, w jaki wszyscy mówili o zmarłym Osobistym Heroldzie Królowej, nasuwał jej myśl, że Talamirowi właśnie nie udało się go uniknąć.

— Wydaje się, że nikt nie jest tego pewny. To mogłaby być przypadłość wieku, lecz... — widać było, że Sherrill rozdziera wątpliwość: mówić, czy milczeć.

— Lecz? Sherrill, ja muszę wiedzieć — powiedziała, patrząc błagalnie na swoją przewodniczkę.

Usilna prośba odniosła skutek, Sherrill doszła do wniosku, że lepiej jest ją ostrzec.

— Ha, wielu z nas podejrzewa, że został otruty. Był już stary i słaby, nie trzeba było wiele, by go zabić — Sherrill sposepniała. — Jeśli tak było, to mordercy nie zyskali niczego. Wydaje się nam, że został on wyeliminowany, gdyż zamierzał przekonać Królową Selenay, by oddała Bachora na wychowanie w ręce obcej rodziny, która nie byłaby skłonna ulegać napadom jej złego humoru. Popuszczam, że tego nie wiesz, ale zgodnie z prawem Następca musi być także Heroldem. Jeśli Bachor nie zostałby wybrany przez Towarzysza, Królowa musiałaby wyjść po wtórnie za mąż w nadziei, że drugie dziecko okaże się lepsze, lub też wybrać Następce spośród Wybranych krewnych. Tak czy siak, mnóstwo ludzi żądnych władzy snułoby mnóstwo intryg. Biedna Selenay! Każdy z nas może sobie śmiało wybrać partnera, mieć dzieci, ile zapragnie, bez niczyjej zgody i politycznych następstw, ale ona jest Królową — albo małżeństwo, albo nic. Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Sherrill obrzuciła drobną, delikatnej postury dziewczynkę u swego boku trzeźwym spojrzeniem. Zaczynała się domyślać, dlaczego Elcarth chciał, by Talia tak szybko zaczęła praktykę z bronią.

Talia pomyślała, że Sherrill posiada talent do niedomówień. Rewelacje dotyczące zmarłego Herolda wystraszyły Talię tak, że pozostałe jej słowa — które raczej były potwierdzeniem opinii ludu Grodów o niemoralności Heroldów — przeminęły niemal nie zauważone.

— A ci... ludzie, którzy otruli Herolda T... T... Talamira? — zająknęła się lekko ze zdenerwowania. — Czy oni... czy ja... czy mogliby spróbować... mnie skrzywdzić?

Patrząc Sherrill prosto w oczy, szukając potwierdzenia prawdziwości słów starszej dziewczyny czuła, że lekko trzęsą się jej ręce.

Sherrill była nieco zaskoczona, że Talia tak szybko zrozumiała sytuację i pośpiesznie zaczęła ją uspokajać. Wielkie, brązowe oczy rozszerzał strach, to było czytelne nawet dla Sherrill.

— Tego samego nie ośmielą się powtórzyć, choćby z powodu podejrzeń, które wzbudzili. Pewnie spróbują obrzydzić ci życie na tyle, byś sama zrezygnowała i nas opuściła. To dlatego między innymi ostrzegłam cię przed Błękitnymi — możliwe, że otrzymają ojcowskie polecenia, by napastować ciebie. Przy nas powinnaś być dostatecznie bezpieczna. Jestem też pewna, że nic ci nie grozi ze strony Uzdrowicieli i Bardów — Sherrill uśmiechnęła się do Talii, która odwzajemniła uśmiech, chociaż trochę niepewnie. — Talio, jeśli ktokolwiek będzie cię dręczył, i będziesz myślała, że nie dasz temu sama rady, powiedz o tym mnie — z przyjaciółmi, nie raz i nie dwa, daliśmy się Błękitnym we znaki.

Może to i prawda. Talia chciała jej ufać. Rozpaczliwie pragnęła znaleźć tu miejsce dla siebie, lecz zaledwie dwoje z jej własnych krewnych odważyło się w przeszłości stawać w jej obronie. Dlaczego obcy człowiek miałby to robić? Przez chwilę siedziała, jedząc w milczeniu, a potem postanowiła zmienić temat rozmowy.

— Ilu jest tutaj uczniów?

— Około sześćdziesięciu w Kolegium Uzdrowicieli, czterdziestu w Bardicum i, razem z tobą, dokładnie pięćdziesięciu trzech w Heroldicum. Liczba Błękitnych zmienia się; nigdy nie spada poniżej dwudziestu, niezbyt często przekracza pięćdziesiąt. Nie mogłabym podać ci dokładnej liczby w tej chwili, musiałabyś zapytać Terena. On jest asystentem Elcartha, a jutro będzie twoim pierwszym nauczycielem.

— Czy dużo czasu potrzeba, by zostać Heroldem?

— Różnie — około pięciu lat. Zazwyczaj przybywamy tutaj, będąc mniej więcej w twoim wieku, większość przywdziewa Biel w wieku osiemnastu lat — mnie uda się pewnie zdobyć ją w przyszłym roku. Widywałam młodszych Wybranych, a Elcarth został nim dopiero, gdy miał niemal dwadzieścia i, na Niebiosie, nadrobił to, zostając pasowanym Heroldem w trzy lata! Po przywdzianiu Bieli upływa rok, półtora w terenie na posadzie czeladnika, u boku starszego Herolda. Potem dostaje się zwykle własny przydział.

Talia myślała nad tym przez chwilę i zapytała z obawą:

— Sherrill, co... jak dowiem się, co mam robić?

Powiedziała to z takim przejęciem, że Sherrill aż roześmiała się życzliwie.

— Nauczysz się, bez obawy! Najpierw będą lekcje orientacji. Przez ostatni miesiąc przybyło nam czterech nowych, którzy z rozpoczęciem czekali tylko na Rolana. Co do reszty, trafisz tam, gdzie umieści ciebie dziekan, zgodnie z własnym wyczuciem. To oznacza, że część zajęć będziesz miała ze mną, a część z początkującymi.

Twarz Talii nagle rozjaśniła się.

— Innymi słowy, rzucacie noworodka na głęboką wodę, by stwierdzić, jak szybko nauczy się pływać!

Sherrill ponownie się roześmiała.

— Nie jesteśmy aż tak okrutni! Czy już skończyłaś?

Talia przytaknęła i zaniósł swoje naczynia do windy w kredensie.

— Dziś wieczorem na mnie wypadło zmywanie, a więc muszę cię zostawić — ciągnęła Sherrill. — Dasz sobie radę, czy też mam poprosić kogoś, by dotrzymał ci towarzystwa?

— Ja... ja dam sobie radę. Strasznie chciałabym zobaczyć bibliotekę, jeśli według ciebie nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Proszę bardzo, po to tutaj właśnie jest. Pamiętaj tylko, by nie ociągać się z kąpielą, bo braknie gorącej wody. Rano zjawię się u ciebie.

Głośno bębniąc nogami, Sherrill zbiegła schodami na dół, a Talia ostrożnie ruszyła na górę.

Zmywanie naczyń zabrało Sherrill niewiele czasu i ku jej radości Mero zwolnił ją wcześniej, gdy powiedziała, że dziekan chce się z nią widzieć. Elcarth nie ograniczyłby się tylko do zasygnalizowania, że chce z nią porozmawiać — powiedziałby otwarcie przy dziecku to, co zamierzał — gdyby nie przeczuwał, że lepiej nie wtajemniczać Talii w sprawy, które chciał poruszyć.

Tak jak się tego spodziewała, Sherrill odnalazła go w małej, zagraconej izdebce przyległej do jego komnat, która była czymś w rodzaju jego kancelarii — niewiele większej od szafy. Piętrzyło się tu wszystko, co można było spotkać pod słońcem, lecz jego nie kusilo, by zająć obszerniejsze pomieszczenie. Twierdził, że graty „rozmnożą” się i wypełnią każde nowe miejsce.

— Czy zwolniłaś się bez kłopotu? — zapytał, usuwając stos książek i papierów z jednego z wygodnych, wyściełanych krzesel, reliktu przeszłości, tak starego jak sam Elcarth.

— Zmywałam naczynia, i to był zręczny pretekst. W tej chwili Talia pewnie przeżywa uniesienia w bibliotece — odpowiedziała Sherrill z lekkim uśmiechem, zajmując ofiarowane krzesło, podczas gdy Elcarth przycupnął za biurkiem zawalonym jeszcze większą ilością książek i papierów.

— Doskonale. A zatem nie masz nic przeciw temu, by być jej mentorem? Potrzebuje go bardzo, a ty jesteś jedynym uczniem, który był wychowywany w podobnych warunkach.

— Biedactwo! Nie, dziekanie, nie mam nic przeciw temu, choć nie wydaje mi się, by sposoby wychowywania nas były nadto zbliżone. — Sherrill lekko zmarszczyła brwi, myśląc o tym, co Talia wyjawiała jej o sobie. — Znacie klan Evendim; jesteśmy hałaśliwi i narwani, i tak sobie bliscy, że zakrawa to na kazirodztwo. Ona, mam wrażenie, przeszła tyle, iż teraz obawia się kary za to, że oddycha. Nikt nigdy nawet się nie zatroszczył, by okazać jej odrobinę uczucia. Dusi wszystko w sobie; trudno jest ją przeniknąć, a mnie niewiele zostało w pamięci z lekcji o ludzie Grodów.

— Trafiałś w sedno. Sprawa polega na tym, że niewiele wiemy o nich. Są bardzo skryci, niemal całkowicie zamknięci we własnym kręgu, niechętnie patrzą na przedłużające się wizyty i ciekawość obcych. Dopóki nie doszła do nas opowieść Talii, nie wiedzieliśmy nawet, że nie mówią dzieciom o Wyborach Towarzyszy!

— Oni... co? — Sherrill była wstrząśnięta.

— To prawda! Ona nie miała pojęcia, jakie jest znaczenie tego, że Rolan ją Wybrał. Jestem przekonany, że wciąż nie jest w pełni świadoma, jaka jest prawdziwa tego natura. To o tym muszę z tobą porozmawiać, bo ty będziesz miała do czynienia z dzieckiem, które zostało poddane bardzo dziwnemu, obcemu nam wychowaniu. Rzucę kilka uczonymi domysłami: rodzina poddana jest despotycznemu patriarsze; wydaje się, że ciągle tłumi uczucia — to znowu zgadza się z tym, co wiem o tych ludziach: źle patrzą na wszelkie objawy wylewności. A jednocześnie wydaje się toczyć nieustanną walkę z samą sobą. . .

— Trzyma się na wodzy, panie? — podsunęła Sherrill. — Jakby nie śmiała zrobić pierwszego kroku? Wydaje się, że przez cały czas jest czujna, tyle mogę dodać od siebie. Wątpię, by komukolwiek teraz zaufała, z wyjątkiem, być może, Rolana.

— O właśnie! To my musimy zrobić pierwszy krok, choć myślę, że i tak nie będzie skłonna podzielić się tym, co czuje — zgodził się Elcarth. — Znosi się, że sama będziesz musiała rozpoznać, czy aby coś jej nie gnębi. Z własnej woli nie wyjawia tego nigdy.

— O bogowie! — potrząsnęła głową Sherrill. — Jakże to przeciwne naturze mego ludu! Nie wiem, panie, przywykłam do ludzi, którzy obwieszczają całemu światu, co też leży im na sercu czy umyśle. Nie jestem pewna, czy potrafię spoznać oznaki nadchodzących kłopotów, zakładając, że ona pozwoli bym mogła cokolwiek zobaczyć.

— Postaraj się, proszę tylko o tyle. Przynajmniej obie wywodzicie się z regionów Granicznych; to będzie jakaś więź.

— Dlaczego oddajecie ją tak szybko w ręce Albericha? — zapytała zaciękwiona Sherrill. — Rozumiem, że lepiej będzie, jeśli nauczy się szybko samoobrony, ale sądziłam, iż przy takim braku pewności siebie, jaki wydaje się okazywać, on będzie ostatnią osobą, z którą miałyby się spotkać. Myślę, że lepsza byłaby Jeri.

— Szkoda, że nie mamy wyboru, ale ona nie wie absolutnie nic o samoobronie. Wiem, że Jeri jest bardzo zręczna, ale nie ma takiego doświadczenia jak Alberich. Jedyne on może nauczyć ją wszystkiego tak szybko, jak to potrzebne. Gdyby banda rozrabiaczy ją opadła, albo, Jasna Pani nie dopuść, komuś przyszło do głowy, że sztylet w ciemności jest najlepszym rozwiązaniem kłopotów z Osobistym Heroldem Królowej... — pozwolił, by słowa utonęły w ciszy.

— A ja nie mogę być przy niej przez cały czas. Ha, ludźmy się, że w jej przypadku złagodzi swe zwykłe praktyki, bo gotowa paść martwa ze strachu na polu

ćwiczebnym, oszczędzając trudu zabójcom. — Sherrill powiedziała to żartobliwie, lecz w jej oczach nie było rozbawienia.

— Już z nim przeprowadziłem rozmowę, i nie jest tak nieczuły, jak można by sądzić. Jesteśmy rówieśnikami, nie wiem, czy wiesz. Mam powody, by wierzyć, że obejdzie się z nią całkiem łagodnie.

— Alberich, łagodny? Naprawdę? Powiedzcie to moim siniakom, panie.

— Lepsze siniaki teraz, czy śmiertelne rany później, co? — Elcarth uśmiechnął się ponuro. — Chciałbym, by towarzyszką Talii była jej rówieśniczka; chciałbym mieć kogoś, kto mógłby zrozumieć, czego nie ujawni przed nami. Ty jesteś najlepsza, jaką mogłem znaleźć. Hm, to wszystko, o czym chciałem z tobą porozmawiać. Niewiele tego. . .

— Ale na początek wystarczy. Głowa do góry, dziękuję. Towarzysze nie popełniają błędów, spójrzcie, jak długo Rolan jej szukał. Talia wszystkiemu podoła i ja podołam, cóż innego pozostaje Heroldom.

Na szczycie schodów Talia otworzyła drzwi, za którymi znajdowała się olbrzymia komnata wypełniona regałami na książki. Przy końcu każdego rzędu regałów urządzono zaciszny kącik ze stołami i krzesłami. Spodziewała się zobaczyć dwa, trzy razy tyle książek, co w ojcowskiej bibliotece — powiedzmy dwadzieścia — lecz na widok, jaki miała teraz przed oczyma, nie była przygotowana: nie dziesiątki, a setki książek. Nawet jej się nie śniło, że może istnieć aż tyle książek, wszelakich kolorów i rozmiarów. To nie było zwykłe spełnienie snu — to było wkroczenie do raj.

Było ciemno. Zmierzch zapadł już, gdy siedziały przy kolacji i wzdłuż ścian zapalono latarnie. Talia zajrzała do najbliższego kącika i stwierdziła, że na blatach stołów leżą świece, a przy jednym z brzegów stoi przytwierdzony świecznik.

Usłyszała kroki zbliżające się z dalszego końca biblioteki, odwróciła się, by zobaczyć kto to, mając nadzieję zobaczyć kogoś znajomego.

— Witaj! — rozległ się pogodny tenor. — Jesteś tu nowa, prawda? Ja jestem Kris.

W krąg rzucanego przez latarnię światła wkroczył ubrany w Biel młody mężczyzna o uderzającej wręcz urodzie. Rysy jego twarzy były tak doskonałe, że aż nierzeczywiste, pasemka kruczoczarnych włosów leżały każde na swoim miejscu, a błękitne jak niebo oczy wznęciłyby zazdrość u każdej dworskiej piękności. Talia natychmiast poczuła się w obliczu niego niezdarna jak cielę — i ogromnie załęczona. Przystawanie z jej starszym bratem, Justusem, nauczyło ją, że pod przykrywką piękna może kryć się zło. Jedynie to, że on był Heroldem — a Herold po prostu nie mógł być złym człowiekiem — powstrzymało ją, by natychmiast nie uciec w popłochu.

— Tak — odparła cichutko, rumieniąc się lekko i wpatrując w noski butów.

— Ja jestem Talia.

— Byłaś już tutaj?

Potrząsnęła głową, czując się nieco pewniej.

— W takim razie — ciągnął — wyjaśnię ci zasady: są bardzo proste. Możesz czytać, co chcesz, ale nie wolno ci zabierać ksiąg z Biblioteki oraz musisz odkładać je tam, skąd je wzięłaś. To całkiem łatwe — hę?

Mówił z lekka protekcyjnym tonem, a jednak jego zachowanie wydawało się przyjazne, nie okazywał najmniejszego rozdrażnienia. Ton jego głosu jednak wydał jej się irytujący, pozwoliła więc sobie na przytyk.

— T... tak — powiedziała cichutko. — Proste jak nadzianie kurczaka.

— Och! — roześmiał się, klepnąwszy się dłonią w czoło. — Oberwało mi się! Czy ktoś jeszcze o tym nie słyszał? Zasłużyłem na to, nie powinienem traktować cię z góry. Ha, baw się dobrze, Talio! Spodoba ci się tutaj, mam nadzieję.

Odwrócił się, uśmiechając na pożegnanie i zniknął za drzwiami, którymi tutaj właśnie weszła. Usłyszała jego kroki na schodach.

Błądziła w labiryncie półek z książkami, tracąc poczucie czasu, zbyt przytłoczona liczbą tomów, by nawet zacząć myśleć nad wyborem. Stopniowo zaczęła zauważać, że książki podzielono zgodnie z pewną klasyfikacją, a w ramach tej klasyfikacji układano je tytułami. Raz odkrywszy zasady, przeglądała książki na półkach bardziej świadomie, próbując rozpoznać działy, zapamiętać, gdzie się znajdują, zaznaczała położenie pewnych tomów, które wydawały się interesujące. W chwili, gdy już jako tako się we wszystkim rozeznała, przyłapała się na tym, że ziewa.

Wróciła do swojej izby, wybrała jedną ze swoich nowych, nocnych koszul i ruszyła na poszukiwanie łaźni. Gród Senów posiadał całkiem nowy system łaźni, a więc pokazane jej przez Sherrill nie wywołały w niej zdziwienia; jednak w jej rodzinnym Grodzie gorącą wodę do kąpieli trzeba było przynosić z kuchni w dzbanach, podczas gdy tutaj, w Kolegium, do grzania jej służyło kilka miedzianych naczyń opalanych węglem drzewnym, każde o pojemności jednej balii — z rurami do opróżniania z gorącej wody na spodzie i pompami do napełniania zimną od góry.

Pomysł oczarował ją: już nie była dzieckiem, a jeszcze nie była dorosła i dlatego rzadko udawało się jej wziąć prawdziwą, gorącą kąpiel. W Grodzie najmniejszą dziatwę zawsze kąpano najpierw, potem była kolej na dorosłych, którzy jednak czekali aż w kuchni woda zagrzeje się w ponownie napełnionych naczyniach. Ci, których nie trzeba już było kąpać, ale którym z racji młodego wieku nie wolno było czekać do późna i kąpać się z dorosłymi, musieli zadowalać się resztkami wody po umyciu małych dzieci — zazwyczaj ledwie letnimi.

W łaźni było kilka dziewcząt i kobiet, a więc wszystkie balie kąpielowe były zajęte. Talia stanęła przy pompie i w odpowiedzi na: „to ty musisz być tą nową” — nieśmiało podała swoje imię.

— Cieszę się, iż okazało się, że jesteś dziewczyną — powiedziała jedna z dziewcząt niemal w jej wieku, z werwą pompując wodę. — Chłopcy mają nad nami zbyt dużą przewagę liczebną. Za każdym razem okazuje się, że nowo przybyły jest chłopcem! To dlatego ustępujemy im liczbą.

— No tak, moja siostra jest u Uzdrowicieli i tam sytuacja jest odwrotna — rozległ się jakiś głos w kłębach pary.

— Liczy się jakość, nie ilość — głos drugiej kąpiącej prawie ginął w pluskach wody. — I to sprawa oczywista, że kobiety reprezentują jakość.

Pozostałe zachichotały, a Talia uśmiechnęła się lekko.

— Sherrill powiedziała, że jest nas pięćdziesięciu trzech — rzekła po chwili, przez moment delektując się myślą, że siebie także może do tego wliczyć. — Ile dziewcząt jest w tej liczbie?

— Trzydziestu pięciu młokosów i osiemnaście dzierlatek — odpowiedziała dziewczyna przy pompach. — Mam na myśli ludzkie źrebięta, a nie Towarzyszy. Nie było tak źle, dopóty nie przybyli ci czterej chłopcy, ale teraz jest ich prawie dwa razy tyle.

— Jeri, widać po tobie, że jesteś jeszcze dzieckiem — powiedziała młoda kobieta, która wyszła z najbliższej balii. — Może tobie brakuje lat, by nie doceniać tego rodzaju proporcji, ale nie dotyczy to Nerrissy i mnie. Tam, skąd ja pochodzę, jest nieco więcej kobiet niż mężczyzn i wolę, kiedy rzeczy mają się odwrotnie — kiedy to do mnie się zalecają, a nie ja do kogoś. Skończyłam już. Kto następny?

— Czy tak jest i tam, skąd przybywasz, Talio? — zapytała Jeri, przyglądając się jej ciekawie i wchodząc do opuszczonej wanny.

— Ja... ja myślę, że musi tak być — odpowiedziała. W jednej chwili zapomniała o nieśmiałości i próbowała w myśli przeliczyć proporcję płci w Granicznej Krainie. — Ja jestem z Grodu.

— A gdzie to? — zapytała kobieta imieniem Nerrissa, zawijając ręcznikiem mokre włosy.

— Na wschodzie, na Granicy — odparła zamyślona Talia. — Wiem, że życie jest tam raczej niebezpieczne. Co roku ginie więcej mężczyzn niż kobiet: mnóstwo jest dzikich zwierząt, rabusie pojawiają się każdej zimy. Myślę, że jest niemal dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn, przynajmniej w najodleglejszych Grodach.

— Na niebiosa! Musicie mieć zatrzęsienie starych panien.

— O, nie! Jeśli nie służysz Bogini, *musisz* wyjść za mąż. Mój ojciec miał jedenaście żon, a dziewięć jeszcze żyje.

— Proszę, zajmij moją balię, Talio — z pary wyłoniła się Nerrissa. — Dlaczego niewiasty *muszą* wychodzić za mąż?

— D... dlatego, że kobiety nie mogą być głową Dworu w Grodzie, zabierać głosu w Radzie albo w ważnych sprawach. To nie wypada — odpowiedziała zdumiona Talia.

— A więc to tak! To dlatego nigdy nie wysłano kobiet — Heroldów na Wschodnią Granicę, nikt by nie chciał ich słuchać. Tu jest zupełnie inaczej, Talio, i sporo czasu upłynie, zanim przywykniesz. Długo miejsce to może wydawać ci się dziwne. My oceniamy tutaj ludzi po tym, kim są, a nie według płci — zwróciła się do niej Nerrissa. — Nie może być mowy o tym, co „wypada”, a co „nie wypada”. Liczy się tylko wykonywanie wyznaczonej pracy.

Talia kiwnęła głową zamyślona, zanurzona w wodzie.

— T... trudno jest myśleć w ten sposób. To p... po prostu wydaje się nienaturalne. M... m... myślę, że *mnie* się to podoba. Jednak większości z żon Ojca nie przypadłoby to do gustu, a już Keldar na pewno, i aż żal byłoby Isrel, gdyby zabrakło rozkazodawcy.

— Nessa, dziecku nie są potrzebne kazania o tak późnej porze! — głośno odezwała się pierwsza kobieta, stojąc w drzwiach. — Naprawdę, powinni zrobić cię nauczycielem, kiedy przywdziejesz Biel. Nigdy nie słyszałam nikogo, kto by tak długo przemawiał! Nuże, pośpiesz się, bo spędzisz tutaj całą noc!

— Dobrze, już dobrze! — odparła Nerrissa, podśmiewając się z lekka. — Przyjemnych snów, malutka.

Talia zakończyła kąpiel i odnalazła drogę do swej izby. Czowała się aż odrętwiała z wyczerpania. Wchodzenie do łóżka, w którym nie było żadnej innej osoby, wydawało się takie dziwaczne. Myśli jej wirowały, cała przygoda nie wydawała się realna: w niecałe dwa tygodnie zmieniła się z wyszydzanej w Grodzie Senów trzpiotki w Herolda-ucznia — na pozór rzecz niemożliwa. Wciąż powracała do chwili, kiedy zrozumiała znaczenie tego, co jej się przytrafiło; piastując wspomnienia ostrożnie, z niedowierzaniem, jak nowo narodzonego kotka, dopóki nie ogarnęła jej senność. Tuż przed zapadnięciem w sen przypomniały jej się słowa Nerrissy. Nagle stwierdziła, że naprawdę spodobało się jej to miejsce. Oby przynajmniej w połowie okazało się tak cudowne, jak na pierwszy rzut oka i oby pozwolili jej znaleźć tu swe miejsce!



# PIĄTY

Obudziła się na delikatne pukanie Sherrill o ścianę. Zanim otworzyła drzwi, nałożyła na siebie mundur, który mimo wszystko był wciąż dla niej czymś nowym.

— Już czas, śpiochu! — pogodnie popędziła ją Sherrill, która jak na tak wczesną porę wyglądała bardzo trzeźwo. — Dzwon na budzenie wybił przed wiekami, nie słyszałaś go? Jeśli się nie pośpieszymy, będziemy musiały obejść się zimną owsianką. — I nie oglądając się na Talię, odwróciła się, zmierzając prosto ku drzwiom od wspólnej izby.

Sherrill nieco przesadziła, co Talia mogła stwierdzić przekroczywszy próg dwuskrzydłowych drzwi. Wciąż jeszcze było sporo do zjedzenia — a różnorodność potraw przyprawiła Talię o zawrót głowy. Spodziewała się znaleźć niewiele poza już wspomnianą owsianką, chlebem i mlekiem, i być może, wszystko to okraszone odrobiną owoców. Jak się okazało, za nimi weszło jeszcze mnóstwo uczniów, przecierających zaspane oczy, wymieniających między sobą słowa pogodnych skarg.

Po śniadaniu — posiłku nieco tylko skromniejszym od kolacji, przy którym miejsce rozmów zajęły raczej ziewnięcia — Sherrill poprowadziła ją na pierwsze piętro i tam wyprowadziła przez drzwi na najdalszym końcu korytarza. Talia przypomniała sobie słowa Dziekana, że tędy wiedzie droga na dwór i do stajni. Przeszły przez szeroki, brukowany dziedziniec poprzedzane długimi cieniami, które słońce rzucało na kamienne, wilgotne od rosy płyty. Talia zwolniła kroku, w nadziei, że ujrzy wytęsknionego Rolana.

— Talio, szybciej, nie zostawaj w tyle! — zawołała przez ramię Sherrill, mrużąc od słońca oczy. — Nie chcesz się dziś rano zobaczyć z twoim Towarzyszem?

Przestraszona biegiem dogoniła Sherrill.

— Czy Towarzyszy nie ma w stajniach? — zapytała zasapana.

— W stajniach? Razem ze zwyczajnymi końmi? Jasne Niebiosa, toż by się nas wyparły! Towarzysze mają własne miejsce, my nazywamy je Łąką Towarzyszy, oraz — by mogły swobodnie i według własnego uznania się poruszać — zawsze otwartą stajnię. W tak piękny ranek jak ten pewnie wszystkie wyszły na swoją Łąkę.

Zbliżyły się do wysokiego, drewnianego ogrodzenia, które otaczało tereny zbliżone wyglądem do parku. Talii przyszło na myśl, że to jest owa zielona przestrzeń w obrębie wałów, którą dostrzegła, po raz pierwszy patrząc na stolicę. Zwinnie, jakby była jednym z braci Talii, Sherrill wspięła się na ogrodzenie, wsadziła palec do ust i przejmująco gwizdnęła jak chłopiec. Dołączywszy do niej, Talia ujrzała daleko przed sobą malutkie, białe sylwetki, chodzące to tu to tani pod drzewami — dwie odłączyły się od reszty i zaczęły się zbliżać do nich truchcikiem.

— Wzywanie ich myślą wcale mi nie wychodzi, chyba że w śmiertelnym strachu — powiedziała Sherrill. — Ylsa powiada, że jestem zablokowana, a więc na Aksamitną muszę gwizdać. Nie wydaję się z tego powodu obruszać.

Talia bez trudu rozpoznała, który ze zbliżających się Towarzyszy jest Rolanem. Na jego widok ogarnęła ją taka radość, że ani przez myśl jej nie przeszło, by zastanowić się, co Sherrill miała na myśli, mówiąc o „wzywaniu myślą” i „blokadzie”. Z okrzykiem szczęścia zeskoczyła z ogrodzenia i stanęła obok niego, głaszcząc go i szeptając różne głupstwa do ucha. Był jeszcze bardziej magicznym stworzeniem, niż to zapamiętała. Czyjeś ręce zatroszczyły się o niego minionej nocy tak, że niemal blask bił od niego. Sierść i grzywa były miększe od najprzedniejszej z tkanin, których kiedykolwiek dotknęła, a był tak piękny jak jeden z rumaków Księżycy, z zaprzęgu ciągnącego rydwan Pani. Jego chrapy muskały ją z — nie miała cienia wątpliwości — miłością. Prychał cichutko i znów powróciło uczucie pewności siebie, szczęścia, które nie odstępowało jej, gdy razem przemierzali drogę. Przy nim nie bała się niczego, nie targały nią żadne wątpliwości. . .

— Nie chcę tego mówić, ale musimy stawić się na spotkanie z Mistrzem Alberichem — ociągając się, przerwała sielankę Sherrill. — Talio, nauka obejmuje częste spędzanie czasu z Towarzyszem. Po południu znowu się z nim zobaczysz, a nawet musisz, bo odtąd opieka i troska o niego spada całkowicie na twoje barki. Są strasznie kochane, ale niestety nie mają rąk. Potrzebują nas tak samo, jak my potrzebujemy ich. Przyjdź więc do niego przed kolacją; a teraz naprawdę musimy już iść.

Rolan popchnął Talię w kierunku ogrodzenia i wstrząsnął opadającym na czoło łokiem, jakby ponaglać ją. Kiedy mimo wszystko wahała się jeszcze, dał jej zdrowego kuksańca pyskiem i prychnął ostro.

— No dobrze — odezwała się. — Będę grzeczna i pójdę sobie. Ale wrócę, niezależnie od zajęć!

Sherrill zaprowadziła ją do długiego, niskiego budynku nie opodal, na tyłach stajni. Był niemal pusty. Ustawiono tu jedynie kilka ławek na nagiej, wyslizganej na gładko, drewnianej podłodze, a pomiędzy wstawionymi w ściany szafkami wprawiono wysokie lustra. Całe pomieszczenie oświetlały okna, znajdujące się tuż pod powalą. Napotkały tu człowieka, którego Sherrill przedstawiła jako Albericha, Fehmistrza. Ze wszystkich nauczycieli jedynie on nie był odziany w Biel,

lecz w stare, miękkie skóry — po części zbroję, po części zwykłe ubranie — w ciemnym kolorze popiołów, ciemniejszym od barw uczniowskich.

— Myślałam, że wszyscy nauczyciele są Heroldami — wyszeptała Talia do swojej przewodniczki, gdy zbliżały się do niego.

— Wszyscy prócz jednego, ale Alberich *jest* Heroldem, tyle że on jest sam sobie prawem. Nigdy nie wdziewa Bieli, chyba że występuje oficjalnie.

Kiedy Fechmistrz odwrócił się do nich, Talia prawie oniemiała ze strachu. Wysoki, muskularny i ogorzały mężczyzna miał twarz pooraną bliznami. Wydawało się, że uśmiech nigdy nie rozjaśniał jego oblicza. Bujne, czarne włosy przecinały grube, srebrzyste kosmyki, szarozielone oczy przeszywały na wskroś. Właśnie to badawcze spojrzenie przygoździło Talię w miejscu; teraz wiedziała, co czuje mysz, gdy patrzy na nią jastrząb.

— Więc — odezwał się po długiej chwili — ile masz lat? Trzynaście? Masz za sobą fizyczne ćwiczenia, dziecko? Wiesz coś o orężu? O taktyce? He?

Nie wiedziała zupełnie, co powiedzieć. Naprawdę nie mogła domyślić się, o co mu chodzi. Ćwiczenia fizyczne? Czy wchodzi w rachubę gry i zabawy? Czy proca do odstraszenia od owiec wilków jest orężem?

Koniec końców wręczył jej drewniany, ćwiczebny nóż i stanął ze skrzyżowanymi na piersi rękami, nie zmieniawszy ani o jotę swej strasznej, jastrzębiej postawy.

— Dalejże tedy. Skocz na mnie. . .

Wciąż nie miała bladego pojęcia, czego on od niej chce, i stała, nieruchomo jak głaz, ze sztywno zwieszonymi po bokach rękami, czując się komicznie i niezdarnie.

— Co cię gryzie? Powiedziałem ci, byś mnie zaatakowała! Czy kobiety z twojego ludu nie potrafią walczyć? — zapytał, akcentując swoje słowa i ściągając brwi w jedną onieśmielającą zmarszczkę. — W ogóle nie umiesz obchodzić się bronią?

— Trochę umiem strzelać z łuku — odpowiedziała nieśmiało, cichutkim głosem. — Jeden z moich braci pokazał mi, jak to się robi. Nie powinien był tego robić, ale go uprosiłam. I, jak myślę, umiem narychtować procę.

Myślała żałośnie, że widocznie znów źle trafiła. Wydawało się, że nic, czego się kiedykolwiek nauczyła, nie przyda się tutaj — z wyjątkiem, być może, zajęć gospodarskich. Jednak nigdy nie natrafiła na opowieść sławiącą zręczność Herolda w obieraniu warzyw ze skórki.

Skulona oczekiwała, że odeśle ją ze wstrętem. Niczego takiego nie uczynił.

— Przynajmniej masz na tyle rozsądku, by nie pozorować, czego nie potrafisz — rzekł głęboko zamyślony. — Wydaje się, że za późno ćwiczyć z tobą szermierkę na miecze; szczęśliwie — raczej nie będziesz miała do tego okazji. Łuk to konieczność, sztylet oraz walka wręcz — to powinno zaspokoić twoje potrzeby. Wróc godzinę po upływie południa.

I pozwolił jej odejść, zmierzwiwszy ją długim spojrzeniem zadumanych oczu.

Po tym spotkaniu onieśmielona Talia podupadła na duchu; nawet Sherrill udało się ją przejrzeć, choć próbowała nie okazywać tego.

— Nie gryź się — i Talia wyraźnie usłyszała w jej głosie ton zachęty. — Prawdę powiedziawszy, nieźle ci poszło jak na początek. Kiedy on ujrzał mnie po raz pierwszy, wyrzucił ramiona do góry i warknął: „Rozpacz! To rozpacz! Pozwólcie jej ciskać sieci i zdechłe ryby dla obrony!” Przynajmniej sądzi, że warto z tobą osobiście pracować. Mnie oddał w ręce swoich asystentów i ciągnęło się to miesiącami!

— Ale, dlaczego p... p... powiedział o... o... o tych r... rybach?

Och, przekłete jąkanie! Choćby nie wiem jak się starała, by wyrzucić wrażenie pewnej siebie, zawsze ją zdradzało!

— Bo połowę swojego życia spędziłam w łodzi, a połowę w niezwykle zatłoczonych miejscach. Na śliskim pokładzie, albo pośród mrowiącej się na podłodze dziatwy ucieczka jest rzeczą najmniej pożądaną! Musiałam nauczyć się poruszać swobodnie, co ty umiałeś robić zawsze.

— Nie w... w... widać było, aby myślał, że jestem coś warta.

— Nie krzyczał na ciebie, już samo to zakrawa na cud, ani nie odesłał do domu wychowywać dzieci. Wydaje mi się, że podbiłaś go trochę, szczerze przyznając się jak niewiele potrafisz — strasznie dużo uczniów próbuje udawać prawdziwych mistrzów, w rzeczywistości kiepsko radząc sobie z bronią. Zazwyczaj czyni wszystko, by takich ośmieszyć przed frontem wszystkich zebranych — za karę.

Dotarli z powrotem do budynku Kolegium. Sherrill przytrzymała drzwi wchodzącej Talii i zatrzymała się przy wejściu do pierwszej klasy po prawej stronie.

— Tutaj znajdują się pozostali nowicjusze. Spotkamy się na drugim śniadaniu. — Powiedziawszy to, Sherrill zniknęła. Odeszła długim korytarzem, zostawiając Talię samotną w obliczu kolejnej próby.

Dziewczynka otworzyła drzwi, chcąc niepostrzeżenie wśliznąć się do środka, ale w tej samej chwili wszyscy zwrócili na nią oczy i poczuła się tak, jakby próbowała się wkraść chyłkiem. W klasie siedziało z tuzin uczniów. Oprócz niej nie było żadnej dziewczynki, a chłopcy byli mniej więcej jej rówieśnikami i choć na ich widok poczuła onieśmienie, to jednak nie budzili w niej niepokoju. Ogarnął ją lęk jedynie na widok ubranej na biało, stojącej na czele klasy postaci, należącej do przerażających, otoczonych nimbem władzy ostatecznej istot — dorosłego mężczyzny. Natychmiast stała się czujna. Musiała powtarzać sobie, że on jest Heroldem i nigdy nie skrzywdzi nikogo, wyjąwszy wrogów Królowej i Królestwa.

— Witaj — powiedział, przysiadając swobodnie na brzegu biurka. — Chłopcy, oto wasza koleżanka, Talia. Talio: ten jegomość o czerwonych włosach to Davan; wysoki to Gryffon; bliźniętami są Drake i Edric — nie odróżniam ich od siebie jeszcze — mrugnął do nich, a dwójka chłopców uśmiechnęła się szeroko, widać było, że znakomicie razem się czują. — Może powinienem poprosić Albericha, by podbił jednemu oko, wtedy, zanim by zbladło, wiedziałbym, który jest który.

Talia nieśmiało usiadła na wolnym miejscu i przyjrzała się baczniej nauczycielowi, który choć szczupły jak Alberich, nie miał tego straszego, jastrzębiego wyglądu Fechmistrza, a jego kasztanowe włosy dopiero zaczynała przysyć siwizna. Na jego widok wyobraźnia podsunęła jej obraz myśliwskiego ogara; dobrodusznego, przepełnionego zapałem i tryskającego energią. Brązowe oczy patrzyły tak samo przyjaźnie. Przypominał jej w czymś Andreana i Talia zapragnęła mu ufać. Coś pchało ją ku niemu — sama była sobą lekko zaskoczona.

— Doskonale, skoro już jesteś z nami, myślę, że nadszedł czas, byśmy zaczęli. Najpierw pozwólcie, że wyjaśnię, czym będziemy się zajmować podczas tych zajęć. Nie jestem tu po to, by snuć bohaterskie opowieści, przerażające bajania, ani szerzyć dzikie pogłoski pijanego żołdactwa... lecz żeby wyjaśnić, na czym naprawdę polega „bycie Heroldem” — wygiął brwi, czym doprowadził bliźniaki do śmiechu. — Na czym naprawdę, polega nasza praca. Davan jest pewnie jedynym z was, który wie lub któremu wydaje się, że wie, co znaczy być Heroldem, a to dlatego, że oboje jego rodzice należą do tego klanu. A więc, na początek zadam Davanowi pytanie, które zamierzam postawić każdemu z was: Davanie, co właściwie robi Herold?

Zapytany zmarszczył z namysłem brwi.

— Wymierza sprawiedliwość, królewską sprawiedliwość — odparł w końcu.

— Niezła odpowiedź, do pewnego stopnia, lecz *jak* to robią?

— Uuu, objeżdżają wkoło wyznaczone tereny, odwiedzają miasta i wioski, obwieszczają nowe prawa Królestwa i opowiadają o działaniach Rady i Królowej. Starają się, by ludzie zrozumieli prawo. Są sędziami, a czasami nawet ustanawiają prawa, gdy coś wykracza poza prawa Królestwa lub miejscowy obyczaj.

— Jasne Niebiosa! Masz na myśli, że ci biedni ludzie rok lub dłużej czekają na jakieś rozwiązanie? — zapytał Teren z udanym rozczarowaniem.

— Nie, nie! Są i zwykli sędziowie.

— No więc, dlaczegóż by z nich nie skorzystać?

Wydawało się, że na to nie przychodzi Davanowi dobra odpowiedź do głowy, ale jeden z bliźniaków zamachał ręką nad głową.

— Heroldzie Teren?

— Śmiało!

— Drake. Nasza wioska jest zbyt mała, by był w niej sędzia.

— To niezły powód, ale jest i inny: czasami zdarza się, że miejscowi — sędziego nie wyłączając — zbyt dają się unieść emocjom, by można było dokonać sprawiedliwego osądu. Oto jedna z przyczyn. Davanie, czy możesz podać jeszcze jedną?

— Heroldowie znają Zakłęcie Prawdy. Zwykły sędzia nie może stwierdzić, kto jest kłamcą.

— Doskonale! Jednak jest ono skuteczne *jedynie*, jeśli osoba biorąca udział w procesie wie naprawdę, co się wydarzyło — o tym zawsze pamiętajcie. Dobrze,

Heroldowie są sędziami i prawodawcami. Co jeszcze, Drake?

— Opowiadają Królowej i Radzie, co widzieli w swoich obwodach.

— Dlaczego to robią?

— By Królowa знаła prawdziwy stan swego Królestwa. Zdarza się, że zapisy burmistrzów i naczelników w Księgach Katastralnych nie mówią całej prawdy. Heroldowie znają zapisy i wiedzą, gdzie szukać tego, co się nie zgadza.

— Prawda. Twoja kolej Edricu.

— Są ambasadorami w innych królestwach. Będąc tam, obserwują, czy nie dzieje się nic złego, o czym Królowa powinna wiedzieć — na przykład armia, zbyt wielka jak na kraj, który powinien być nastawiony pokojowo. Ponieważ Heroldów nie można przekupić, zawsze może ufać ich słowom.

— Tak jest — powiedział Herold Teren. — I więcej: wychodząc stąd, Herold potrafi zauważać rzeczy, które mogą umknąć uwadze innych, świadczące, że dzieje się więcej, niż mówią o tym ich rozmówcy. Gryffon?

— Heroldowie są gońcami Królowej: nie ma szybszego, bezpieczniejszego sposobu przesłania wiadomości z jednego krańca Królestwa na drugi, jak przekazać ją Heroldowi, bo Towarzysze są śmiglejsi i wytrzymalsi od jakiegokolwiek konia, który by się kiedykolwiek narodził — dlatego Heroldowie zwani są też Strzałami Królowej. W razie niebezpieczeństwa stają na czele zbrojnych, by regularna Armia mogła nadciągnąć na czas, co dodatkowo usprawiedliwia ich nazwę.

— Doskonale. Talio, twoja kolej.

Usilnie myślała, w czasie gdy inni udzielali odpowiedzi.

— Sprawiają, że Królestwo jest bezpieczne — powiedziała miękko. — Czasami zajmują się tym, o czym powiedzieli inni, czasami czym innym: są szpiegami, zwiadowcami, zdarza się, że złodziejami — czym tylko trzeba, by Królowa wiedziała, jak nas wszystkich ochronić. Rzucają na szalę wszystko, byle bezpieczne było Królestwo i ona.

— I dlatego — wolno powiedział Teren, każdemu po kolei zaglądając w oczy — tylko połowa z nas dożywa otoczonego szacunkiem, podeszłego wieku. Herold to ważka funkcja — Królowa powiada, że jesteśmy spoiwem, sklejającym wszystko razem ze sobą — i może być ciekawa, zwykle jesteśmy bardzo szanowani w Królestwie. A jednak zawód Herolda może być i śmiertelnie niebezpieczny. Na bok z bohaterskimi opowieściami, młodzieży! Pieśni na niewiele się zdają, gdy samotnie zaglądacie w twarz śmierci, a samotność to nieodłączny kompan Herolda. Jest nas zawsze zbyt mało i żyjemy w wielkim rozproszeniu, co wystawia nas na ogromne niebezpieczeństwo.

Na chwilę jego oczy przesłoniła chmura.

— Niebezpieczeństwo wzrasta proporcjonalnie do wagi zadania, które trzeba wykonać i waszej zręczności. To smutne, ale im lepszy Herold, tym pewniejsze, że Królowa wyznaczy go do ryzykownej misji. Jestem pewny, że każdemu z was zdarzają się chwile lenistwa, niedbałości w pracy. Od chwili przywdziania Bieli,

pracując nad czymś, będziecie poświęcać wszystkie siły postawionemu zadaniu — wyboru nie będzie. A kiedy staniecie na linii frontu, no cóż, ten biały uniform to rzucający się w oczy cel. Mówię to wam teraz, ponieważ to wasza ostatnia okazja, by opuścić Kolegium. Nie narazicie się przy tym na niczyją pogardę. Dobrze? Czy ktoś chce wyjść?

Talia chrząknęła głośno.

— Tak, Talio?

— Nigdy nie udało mi się dokończyć opowieści o Heroldzie Vanyelu, panie. Na początku napisano, że z obawy nieomalże nie został Heroldem, lecz zrozumiał, że jest coś, co musi mimo wszystko zrobić, że istnieje praca, do której wykonania został wybrany. Ostatnie, co przeczytałam to to, że znalazł się w pułapce Sług Mroku. Co się z nim stało?

— Umarł. Słudzy Mroku rozsiekali go na kawałki, zanim nadeszła pomoc. Jednak powstrzymał ich tak długo, że Król zdołał nadejść na czele armii i odeprzeć inwazję. Tak czy siak, poniósł samotną śmierć i żadna pieśń tego nie zmieni. Teraz chcę, byście to przemyśleli — namyślcie się głęboko. Czy to was przeraża? Od każdego może być zażądana cena, jaką zapłacił Vanyel; Królowa będzie szlochać nad wami, lecz nie cofnie się przed wysłaniem was. Chcesz wyjść?

— Nie, panie — głosik Talii zabrzmiał cichutko, za to jej oczy stały się ogromne.

— Czyż to nie przerażający obraz?

— Tak, panie — powiedziała miękko, przygryzając wargę. — Tylko ktoś strasznie głupi, nie byłby... — zamilkła szukając słów.

Dokończył za nią Gryffon.

— Wszyscy słyszeliśmy opowieści, panie: te ze złym, przerażającym zakończeniem, jak i te, na końcu których bohater wraca gorąco witany i dostępuje zaszczytów. Znalazłem się tutaj tuż po pogrzebie Talamira i może myślicie, że nie doszły do nas słuchy o truciźnie? Mój własny brat wprost nazwał mnie szaleńcem na wieść, że chcę stać się Heroldem. Słyszac źle kończące się opowieści, można iść o zakład, że nas one wystraszą! A jednak to jest coś, co musimy robić — tak jak Vanyel. A może trzeba się urodzić Heroldem, nie można nim po prostu zostać, zaś wszystko, czego nas uczyacie, pozwala nam jedynie robić lepiej to, o czym wiemy, że i tak musimy zrobić. To jak likworowa gorączka — czy coś takiego: nie masz wyboru, musisz to zrobić i nie możesz przestać — bo nie chcesz.

Usiadł, teraz dopiero uświadamiając sobie, że podczas swojej przemowy aż zerwał się na nogi.

Złagodniała napięta twarz Herolda Terena.

— Rozumiem, że wszyscy zgadzacie się z Gryffonem.

Ze śmiertelną powagą kiwnęli głowami.

— W takim razie, mogę jedynie powiedzieć, że, jak zwykle, Towarzysze Wybrali właściwie. Znajduję, że jesteś nadspodziewanie wymowny, Gryffonie! Są-

dzę, że powinieneś poważnie rozważyć zajęcie się logiką i retoryką, mógłbyś okazać się bardzo przydatny w dyplomacji.

Gryffon zarumienił się i spuściwszy głowę, mamrotał coś pod nosem, wpatrując z uporem we własne dłonie.

— A teraz, skoro poruszyliśmy ten temat: wszyscy wiecie, że to Towarzysze wybierają nowych Heroldów, lecz czy ktokolwiek z was wie, jak to się odbywa?

Spoglądali po sobie w milczeniu. Teren roześmiał się.

— Nie wiem tego ani ja, ani nikt inny. Kilku najbardziej wyczulonych na więź, która tworzy się między Heroldem i jego Towarzyszem, określiło, że przy pierwszym spotkaniu „ma się poczucie, jakby było się na cenzurowanym”. Jednak co podlega cenzurze — tego nie wie nikt. Wiemy jedynie, że po Wyborze Towarzysza nawiązywana jest bezpośrednia, myślowa więź pomiędzy nim a jego Heroldem, która podobna jest do więzi istniejącej pomiędzy bliźniętami. To wszystko — wyjaśniał Teren, wymieniając uśmiech z Drakiem i Edrikiem. — Nieco później dowiecie się więcej i o więzi, i o tym, jak z niej korzystać. Na razie wystarczy wam wiedzieć, że ona istnieje, byście czując, że coś zachodzi między wami i waszym Towarzyszem, nie uważali tego ani za wytwór własnej wyobraźni, ani nie obawiali się, iż popadacie w szaleństwo. W miarę dorastania, możliwe, rozwinie się w was jeden z Darów, które obcy ludzie zwą „magią Heroldów”. I o tym później dowiecie się więcej; lecz jeśli już wydawało się wam, że podczas waszego Wyboru Towarzysz przemówił — nie byliście w błędzie. Tak było. Nawet gdybyście w swoim życiu mieli być owiani jedynie lekkim tchnieniem Daru, wasz Towarzysz zawsze będzie do was przemawiał — bezpośrednio do waszych serc. A więc nie był to sen. Jeśli zaś spłynie na was właściwy Dar, któregoś dnia będziecie mogli odpowiedzieć swojemu Towarzyszowi wprost.

Nieświadomie Talia odetchnęła z ulgą, nie zauważywszy nawet, że to samo, z wyjątkiem Davana, zrobili pozostali.

— A oto jeszcze jedna rzecz o Towarzyszach, którą powinniście znać — ciągnął Teren. — Niech w was przenigdy nie zrodzi się wątpliwość, że są one czymś znacznie więcej jak zwykłymi zwierzętami. Wszelkie opowieści są jedynie bladym odbiciem tego, czym są naprawdę. Czy ktoś z was wie, skąd przybyli pierwsi Towarzysze?

Davan kiwnął potakująco głową.

— Moi rodzice opowiedzieli mi o tym, panie.

— Z łaski swojej, powiedz to pozostałym.

— Trzeba cofnąć się do czasów sprzed istnienia Królestwa — rozpoczął Davan, a Talia skupiła na nim całą uwagę, bo to była całkowicie dla niej nowa opowieść. — W krainie złego Króla żył dobry człowiek, imieniem Baron Valdemar — daleko na wschodzie, daleko za wszystkimi ziemiami naszych sąsiadów, na zachodniej granicy owego Królestwa. Król chętnie brał, na co miał ochotę, lecz nigdy nie zwracał uwagi ani na cierpienia poddanych, ani kraju, a większość do-



stojników była podobna do niego. Chwilowo Valdemarowi udawało się ustrzec swych ludzi przed Królem, a to dlatego, że był czarnoksiężnikiem, nie tylko Baronem, zaś jego Pani czarodziejką — znali jeszcze starożytną sztukę, którą teraz zastąpiła magia Heroldów. Jednakże nadszedł dzień, kiedy nie było już innego wyjścia poza otwartym buntem. Baron Valdemar był mądry, wiedział, że bunt nie jest żadnym rozwiązaniem: nie mógł zbyt długo opierać się całej potędze królewskiej, a nawet wielu sąsiadów z radością przyłożyłoby ręki, by pomóc Królowi go zniszczyć i potem dzielić się dobrami i ziemią. Postąpił więc w jedyny możliwy sposób: uciekł na Zachód, zabierając ze sobą każdego, kto myślał podobnie. Prowadził ich, aż przekonał się, że nikt ich nie ściga, wtedy zatrzymał się dokładnie w miejscu, w którym teraz siedzimy, by tu założyć nowe Królestwo, a ci którzy za nim poszli, obwołali go swym Królem — Davan zamilkł na chwilę, by zebrać myśli. — Mnóstwo tam było o napotkanych po drodze niewygodach, ale tego już nie pamiętam zbyt dokładnie.

— Radzisz sobie doskonale, Davanie. Szczegółów dowiecie się później, na lekcji historii. Opowiadaj to, co zapamiętałeś.

— Ha, koniec końców wybudowali to miasto i do czasu, kiedy Król Valdemar się postarzał, wszyscy zaczęli wieść dostatni żywot. To wtedy poczuł, że czas przemija, on jest coraz starszy, i że trzeba pomyśleć o przyszłości. Do tej pory nie bardzo mógł sobie na to pozwolić, bo zawsze miał pełne ręce pracy — jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Tak czy siak, oto co sobie pomyślał: „Wiem, że jestem dobrym władcą i dobrym człowiekiem. Jestem niemal przekonany, że i mój syn będzie do mnie podobny, lecz, co będzie w przypadku dzieci mojego syna i dzieci jego dzieci? Jak się upewnić, że każdy kto zasiądzie na tronie, będzie dobry dla ludzi, którzy go wspierają?”

— To dobre pytanie. A więc, co zrobił?

— No cóż, zaczekał, aż nadejdzie Noc Świętojańska i wyszedłszy do gaju, który teraz wyrasta pośrodku Łąki Towarzyszy, poprosił o pomoc wszystkich bogów, o jakich kiedykolwiek słyszał. Matka opowiedziała mi, że w księdze, którą czytała, napisano, iż rzucił zaklęcie, bo pamiętajcie, że był przecież magiem — prawdziwym, a nie tylko Obdarzonym. Matka powiada, że tam skąd pochodził aż roiło się od magów. Tutaj też ich nie brakło, ale Vanyel był ostatnim magiem Heroldów.

— Tak mówi tradycja, mów dalej — dorzucił Teren.

— Zaczął o świcie, lecz dopiero o zachodzie otrzymał odpowiedź. Zrobiło się tak jasno jak wtedy, gdy zbyt wiele promieni słonecznych odbija się od śniegu i Król słyszał jedynie tętent kopyt, przypominający bicie dzwonów. Kiedy ustąpiła światłość, zobaczył przed sobą trzy konie — o sierści jak lśnienie księżyca i oczach jak skrawki nieba. Stary Valdemar w całym swym życiu nie widział nic, co byłoby do nich podobne; kiedy zbliżył się do nich, jeden spojrzął mu prosto w oczy — i to wszystko. Ardata powiedziała mu swoje imię i złączyła ich

Więź. . .

— I pierwszy Towarzysz dokonał Wyboru.

— A zaraz potem pojawił się główny Herold — a w owych czasach Heroldowie byli wyrazicielami woli Króla, ani w dziesiątej części nie tak zapracowani jak dzisiaj — szukając Króla. Drugi Towarzysz, Kyrith, Wybrał *jego* z kolei. Nadszedł królewski syn, Następca tronu, i Steladar Wybrał i jego. Kiedy już wszyscy trzej się ocknęli, Król zdecydował, by od tej chwili tytuł Herolda znaczył więcej niż dotąd, ponieważ jedynie jedna osoba może być Królem lub Następcą, za to Heroldów może być mnóstwo.

— Po czym Król Valdemar, Księżę Restil oraz Herold Beltran przystąpili z mozołem do pracy nad tym, by uczynić Heroldów takimi, jakimi są teraz, a początkiem był edykt, który wymaga, by Następca obowiązkowo był także Heroldem. Zadanie nie było łatwe, żywot kilku królów i królowych upłynął w trudzie i znoju, ale początek wszystkiemu dali ci trzej. Gdy umarł Valdemar było już dwudziestu jeden Heroldów, licząc w tym jego samego, Następcę tronu i drugiego syna Następcy.

— Masz dobrą pamięć Davanie, dziękuję — zakończył Teren.

— Skąd przybywali Towarzysze? — dociekał Edric.

— Początkowo konie wychodziły z Gaju w środku miejsca zwanego teraz przez nas Łąką Towarzyszy — tak jak pierwsza trójka. Skąd przychodzą inne, nikt tego nie wie. Po jakimś czasie klacze zaczęły się żrebić i teraz wszystkie, z wyjątkiem jednego, przychodzą na świat w Kolegium. Tym wyjątkiem jest Towarzysz Osobistego Herolda Królowej — spuścił na chwilę wzrok z Edrica, omiatając przelotnie spojrzeniem Talię, tak szybko, że nie była pewna, czy jego oczy drgnęły naprawdę. — *Ten* Towarzysz zawsze wyłania się z Gaju, tak jak na samym początku. Zawsze jest to ogier i wydaje się, że nigdy się nie starzeje. Zawsze przedstawia się swojemu Heroldowi — inne mogą to robić lub nie, pozwalając swym Heroldom wybierać dla siebie imię. Jeśli zginie — a wielu spotkał ten los — w Gaju pojawia się kolejny, by zająć jego miejsce. Jeśli Osobisty Herold Królowej żyje — zostaje przez niego Wybrany, jeśli nie — Towarzysz zatrzymuje się na tyle, by zostać osiodłanym i rusza na poszukiwanie następnego z linii. Zwykle Wybiera kogoś, kto już jest Heroldem lub też tuż przed założeniem Bieli, ale nie jest tak zawsze.

— Talamir był Osobistym Heroldem Królowej, nieprawdaż, panie?

— Tak, był nim, Rolan był jego Towarzyszem — odpowiedział, kiwając głową Teren.

— To czyni z Talii Osobistego Herolda Królowej, tak?

— Prawda. To ważna pozycja. Czy ktoś z was jej zazdrości?

Drakę pokręcił głową zawzięcie.

— Ha! — zakrzyknął. — Było nam dane zobaczyć Ba. . . Mam na myśli Księżniczkę. Ani mi się śni taka posada! — pozostali potwierdzili tę opinię kiw-

nięciem głowy.

Teren uśmiechnął się półgębkiem.

— Trzymajcie języki na wodzy, młodzieży. Między sobą możemy nazywać Elspeth Bachorem — nawet Królowa tak o niej mówi. Lecz zważajcie, by nie usłyszał tego nikt z dworzan. Niektórzy z chęcią posłużyliby się tym, by wywołać kłopoty. Macie rację: przed Talią stoi ciężkie zadanie i my wszyscy będziemy musieli jej pomóc, bo na Dworze nie brak jest takich, którzy bardzo pragną, by powinęła się jej noga. Jedyne Talia może tego dokonać, lecz pozostali mogą pomóc, chroniąc ją, aby nikt nie utrudnił jej już i tak niełatwej pracy. Dobrze, panowie?

Chłopcy kiwnęli głowami na zgodę, ale Talia postanowiła twardo, że nie będzie dla nikogo ciężarem, i mimo wszystko nie wiedząc jeszcze, na ile można zawierzyć obcym, przysięgła sobie, że bezwzględnie poradzi sobie sama.

W korytarzu zabrzmiało podwójne uderzenie dzwonu.

— Kto z was jest dzisiaj kuchcikiem? — zapytał Teren.

Talia uniosła odrobinę dłoń.

— Na przyszłość — mówię to do wszystkich — to sygnał dla kuchcików, usługujący udają się na trzykrotne bicie dzwonu, a jadło podawane jest na cztery. Nuże, młodzieży! Panowie, jeśli w waszych izbach panuje bałagan, lepiej zmielicie ten stan rzeczy — po obiedzie czas na inspekcję.

Teren skierował Talię do drzwi i schodów tuż obok wyjścia na dziedziniec. Idąc tędy nie przechodziło się przez kancelarię Gospodyni, lecz trafiało wprost do ogromnej kuchni. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu kucharz okazał się łysiejącym, pyzaty jak księżyc w pełni mężczyzną. Widok rządzącego w kuchni mężczyzny wprowadził ją w takie zdumienie, że nawet jej do głowy nie przyszło, by się go zleknać, trudno zresztą byłoby bać się kogoś o takim łagodnym i miłym usposobieniu.

Nie zwracając uwagi na panujący na pozór chaos dookoła, kucharz przepytывał ją, co potrafi i po każdej odpowiedzi coraz szerszy uśmiech rozjaśniał jego twarz.

— Nareszcie! — wykrzyknął rozpromieniony. — Nareszcie ktoś, kto wie, co robić z jadłem — oprócz zjedzenia go, oczywiście! — I oddał jej we władanie warzywa.

Obierając i siekając, rozglądała się dookoła siebie ciekawie. Miejsce nie wydawało się zbyt różnić od kuchni w Grodzie, nawet piece stały w tych samych miejscach. Jednak po chwili zaczęła dostrzegać różnice: pompy doprowadzające wodę do ogromnych zlewów i do miedzianych kotłów, rury do odprowadzania pompy ze zlewów. Dookoła czuło się niemal fanatyczną akuratność, z jaką ułożono rondle, garnki i kuchenne przybory oraz skrupulatność w utrzymaniu czystości; spotkałoby się to z pochwałą Keldar — bez dwóch zdań. Ze zdziwieniem stwierdziła, że we wszystkich piecach podłożono ogień a, na pozór, nie było od nich nieznosne gorąco. Albo musiały być opatrzone staranniejsze niż piece w Grodzie, albo — po namyśle przyszło jej do głowy — wystają poza obręb murów zewnętrznych

i to w jakiś sposób się z tym wiąże.

Wkrótce stwierdziła, że panujący w kuchni chaos jest w rzeczywistości pozorowany. Każda czynność była starannie zaplanowana, jak jaki generalski manewr polowy. Nikomu nie wolno było przystanąć bezczynnie dłużej niż na jedną czy dwie chwile. Kucharz doskonale oceniał umiejętności i siły kuchcików, znużenie opadało ich zwykle, gdy już uporali się ze swoją robotą; wtedy jednego po drugim odsyłano, by odsapnęli przy długim, wspartym na kobyłkach blacie. A gdy tylko zmęczone dłonie wypoczęły nieco i utrudzone nogi mogły się znowu poruszyć, wtedy to z głębin pieców zaczynały wyłaniać się garnki i rondle, z kredensu przy ścianie wysypywać naczynia, które, napełnione, trzeba było przenieść do windy. Gdy zniknął na górze ostatni półmisek, odwróciwszy się pomocnicy stwierdzali, że zastawiony jadłem stół czeka już na nich.

Talia przesunęła się w kącik i spostrzegła, że ma za sąsiadkę Jeri.

— Lubię tę pracę — powiedziała Jeri, napełniając swoją misę i Talii rosółem. — Mero zawsze zostawia nam najlepsze kąski.

Kucharz uśmiechnął się od ucha do ucha; nawet jego oczy się roześmiały.

— Jakże inaczej mógłbym sobie zapewnić, byście przykładali się, a nie wymigiwali od roboty? — rzucił pytanie, podając gorący chleb i masło. — Czyż nie napisano w Pierwszej Księdze: „Wołu, co w znoju młóci twe ziarno nie zabraniaj nasycić pustego żołądka?”

— A co to takiego: Pierwsza Księga? — wyszeptła Talia.

— Mero pochodzi z Trzech Rzek, żyją tam ludzie, którzy wierzą w jednego tylko boga — odpowiedziała Jeri. — Wiem, że to dziwne, ale bądź bardzo porządna, bo z Mero okrutnie dobry człowiek.

Talii wydało się to nad wyraz dziwaczne, wiedziała, co powiedzieliby o tym członkowie starszyny. Jednak nie można było zaprzeczyć, że ten człowiek przyciągał ciepłem i dobrocią, zadawał sobie trud nakłaniając Talię, aby nakładała sobie do misy, gdy zdawała się zbyt nieśmiała, by objadać się na równi z innymi. Słowa, które usłyszała od Nerrissy tej nocy, zaczynały nabierać treści.

Lecz zanim zaczęła je lepiej pojmować, Kucharz, w popisie godnym jakiego kuglarza, wyczarował z pieca gorący, jagodowy placek, co rozpędziło wszelkie inne myśli na cztery wiatry. Gdy ma się trzynaście lat, abstrakcja zawsze zajmuje miejsce poślednie za jagodowym plackiem.

Właśnie dojadali ostatnie okruszyny, kiedy pojawiła się grupa pomywaczy i kucharz przepędził ich na górę. Pamiętając, co Herold Teren powiedział o inspekcji izb, Talia popędziła posprzątać własną, by nikt nie zobaczył, w jakim stanie ją zostawiła rankiem. Szybko przebrała się w starsze, bardziej znoszone rzeczy i pośpieszyła na ćwiczenia z Fehmistrzem.

Słońce stało już wysoko na niebie. Plac ćwiczebny otaczał pierścień drzew, które rzucały przyjemny cień. Sam plac był zwykłym skwerem pokrytym zrytą, pożółkłą trawą, z ustawionymi z dwóch boków ławkami, za którymi była mała

studzienka. Tuż za drzewami rozpościerała się wolna przestrzeń, na jednym jej końcu stały łucznicze tarcze, a na drugim stojaki pełne łuków i strzał. Na oczach Talii dwóch uczniów wybrało kilka z nich, przymierzając się do każdego po kolei, dopóty nie znaleźli tego, który bardziej przypadł im do gustu — jak widać tutaj nikt nie posiadał swej własnej broni. Wahając się wkroczyła na plac, gdzie właśnie królował Fechmistrz, po równo dzieląc swój czas pomiędzy łuczników i adeptów walki wręcz.

Przepelniał ją strach na myśl o powtórnym zetknięciu się z przerażającym Alberichem, ale tego popołudnia przekonała się, że doświadczenie okrucieństw ze strony brata Justusa przydało się na coś. Alberich naprawdę wyglądał na zadowolonego, zobaczywszy, że ona potrafi upaść, nie raniąc się przy tym, i że wie, jak obchodzić się z łukiem, nie kalecząc własnego przedramienia, palców ani nie uszkadzając lotek strzał. Talia sądziła, że w posługiwaniu się łukiem niewiele ustępuje uczniom w tym samym co ona wieku i to dodało jej nieco pewności siebie. Nie spodziewała się, że będzie ich tutaj aż tylu, ale pomiędzy szarym kolorem jej własnego Kolegium przewijały się jasnozielone mundurki Uzdrawicieli i rdzawo-brązowe Bardów. Było w tym jednakże coś osobliwego, że jako jedyna z grupy w swoim wieku ćwiczyła z ostrą bronią. Większość jej rówieśników wywijała prętami lub ćwiartowała kukły palcatami, które jedynie lekko przypominały ćwiczebne ostrza.

Ponownie spotkała tutaj Jeri. Widok znajomej twarzy dodawał otuchy. Talia przysiadła obok niej, gdy odbyły swoją porcję ćwiczeń.

— Dlaczego nie widać tutaj Błękitnych? — zapytała z ciekawioną.

— Tych? — skwitowała Jeri parsknięciem, które nie bardzo pasowało panience. — Większość z nich pobiera nauki u prywatnych nauczycieli, a przynajmniej ci, którzy nie uczą się na bakałarzy lub mistrzów sztuk wyzwolonych. Bakałarzom nie potrzebna jest praktyka z bronią, a dworzanie nie zniżyliby się do wspólnego trudu z pospólstwem. A do tego Alberich nie rozpieszczęłby ich, o czym wiedzą. Czyś królewicz czyś żebrak, jeśli nie dasz z siebie wszystkiego, oberwiesz siarczystego klapsa. Oooch... — jęknęła, widząc jak Alberich odsyła kolejnego chłopca i kiwa w jej kierunku. — Wydaje się, że teraz moja pora na klapsy.

Skoczyła na równe nogi, by przyjąć pozycję naprzeciw Albericha z ćwiczebnym mieczem w dłoni. Talia przypatrywała się Jeri z zazdrością, że nie potrafi poruszać się tak jak ona.

— Nie daj się jej zwieść, młokosie — roześmiał się starszy chłopiec, którego wiek Talia oceniła na szesnaście lat. — Jej krew jest tak błękitna, jak samej Królowej. Gdyby nie to, że została Wybrana, teraz byłaby już Hrabinią. Sporo skorzystała na naukach jednego z owych prywatnych guwernerów, o których co dopiero mówiła z taką pogardą, to dlatego jest tak niewiarygodnie dobra, jak na jej wiek.

— I dlatego Alberich obchodzi się z nią surowiej niż z resztą z nas — dopowie-

dział drugi, niski i szczupły chłopiec, mniej więcej rówieśnik Talii, o krzaczastych brwiach i ciemnobrązowych oczach osadzonych w wąskiej twarzy zdradzającej psotliwą naturę. Właśnie skończył pojedynek z innym uczniem i upadł bez tchu obok Talii, ocierając mokrą od potu twarz ręcznikiem. Aż się skrzywił widząc, jak Alberich poprawia pozycję nóg, smagnawszy Jeri płazem swej broni po źle ustawionej nodze.

— Nie lubi najemnych guwernerów? — zaryzykowała Talia. — Niechętny jest wysoko urodzonym?

— Na miłośników gwiazd! Nic takiego! — wykrzyknął drugi chłopiec. — Zwyczajnie, oczekuje od niej czegoś więcej, a więc odnosi się do niej surowiej. Tak sobie myślę, że może wpadł na pomysł, że zrobi z niej Fehmistrzynie, kiedy on ustąpi już pola — o ile wyjdzie cało z tych ćwiczeń i szczęśliwie zakończy czeladniczą praktykę!

— Wierz mi, jeśli Jeri będzie tak fechtować przez cały czas do przywdziania Bieli, to potem będzie ją można pokonać tylko nasyłając armię — odparł pierwszy.

— Ha, Coroc, ty wiesz najlepiej — przyznał drugi, przyglądając się, jak zajmuje miejsce Jeri. — Jego ojcem jest Lord Wojny i od urodzenia widywał najlepszych fehmistrzów Królestwa — wyjaśnił Talii.

Oczy Talii zrobiły się wielkie jak spodki.

— Syn Lorda Wojny?

Jego kolega błysnął zębami w uśmiechu, zawieszając ręcznik na szyi.

— To zupełnie nowy świat, co? Na prawo syn Lorda Wojny, na lewo Hrabina, a tu siedzi... były złodziejaszek i żebrak... — wykonał żartobliwy skłon — na twe usługi, rzecz jasna... i... A skąd ty jesteś?

— Z Grodu.

— Wiejska dziewczucha zatem. Trudno w to uwierzyć, nieprawdaż? Jakby jedna z tych szalonych opowieści, którymi nas karmią. Ty jesteś Talia, prawda?

Kiwnęła głową, zaintrygowana, skąd o tym wie.

— Ja jestem Skif. Jeśli byłaś z Dziekanem, w czasie gdy Profos-Marszałek przechodził мимо, usłyszałaś o mnie z pewnością niejedno! To niesprawiedliwe — wiem: my wszyscy rozpoznajemy ciebie, bo twoja twarz jest jedynym nieznany nam obliczem niewieścim, za to tobie przyszło zapamiętać aż pięćdziesiąt dwie twarze i tyleż imion! I jakby jeszcze tego było mało, wszystko, z czym się tutaj spotykasz, jest sprzeczne z naukami wyniesionymi z domu, tak więc czujesz się z lekka ogłupiała — wyciągnął rękę tak szybko, że nie zdołała uskoczyć i zmierzwił jej włosy z przychylnym uśmiechem. — Tak jak to powtarzali przez cały mój pierwszy rok: „i to minie”. Bardzo nam przyjemnie, że do nas się przyłączyłaś, i gorąco życzymy ci sukcesu z Królewskim Bachorem. A teraz kolej, by i mnie Mistrz Alberich własną ręką wychłostał. Przy odrobinie szczęścia z nowymi siniakami będzie mi tak samo do twarzy, jak z grządką, która wykwitła na mej

skórce ostatnio. Głowa do góry — zakończył wstając — ty idziesz zaraz po mnie.

Wbrew własnym słowom, Skif wydawał się nieźle sobie radzić w starciu z Fehmistrzem. Talii, pomimo braku doświadczenia, udało się zauważyć, że Alberich ćwiczy z nim w zupełnie odmienny sposób niż z Corokiem i Jeri. Skif bronił się krótką, ciężką klingą, odmienną od lekkiego rapiera Jeri i długiego miecza Coroca. Jego pojedynki polegał tyleż na gimnastyce, co na fechtunku i raczej na unikaniu ciosów oponenta niż ich parowaniu. Odskakiwał ze zręcznością wieiórki — ale tak czy siak i jego w końcu mistrz Alberich „zabił”.

„Śmierć” Skifa była dramatyczna, a jego teatralne umiejętności nagrodzono brawami, po których podniósł się z ziemi, uśmiechnięty, by okazać Alberichowi jego własne rękawice, wyciągnięte mu zza pasa podczas pojedynku. Mistrz odebrał je z westchnieniem, które starczyło za słowa, iż nie pierwszy raz nabrał się na tą sztuczkę i odwrócił się, by gestem przywołać Talię na jego miejsce. Zbliżyła się, trzęsąc się okropnie.

— Przyglądałaś się Skifowi uważnie? — zapytał Alberich. — To dobrze. Chcę, abyś nauczyła się tego stylu; nie ma w nim krztyny elegancji, za to mnóstwo przebiegłości i uważam, że lepiej byś wiedziała, jak uniknąć sztychu zabójcy spoza gobelinu niżli ciosu w pojedynku w obronie honoru. A więc — zaczynaj!

Ucząc ją, okazał więcej cierpliwości niż się spodziewała, zobaczywszy jego wybuchy złości wywołane błędami innych. Nie uraczył jej żadną ze swoich zgryźliwych uwag, którymi obsypywał pozostałych, ani nie zaaplikował jej żadnego klapsa płazem swej ćwiczebnej klingi. Może podsuwała to jej wyobraźnia, ale odnosił się do niej jakby z szorstką sympatią, na pewno bardziej niż w przypadku innych starając się brać pod uwagę stan jej ducha i sił, bo gdy zaczynała być pewna, że wyczerpana nie utrzyma się już dłużej kolanach z waty, uśmiechnął się do niej krótko — na ten widok osłupiała zupełnie — i powiedział:

— Wystarczy. Całkiem nieźle, lepiej niż się spodziewałem. Odpocznij przez chwilę i kiedy ochłoniesz, idź zobaczyć się ze swoim Towarzyszem.

Odetchnęła na tyle, by nie zesztynieć i pobiegła na Łąkę Towarzyszy z ochotą, której dorównywać mogłaby tylko niechęć brania udziału w ćwiczeniach z bronią.

Zbliżając się do ogrodzenia zobaczyła, że Rolan już czekał na jej odwiedzinę. Wspięła się po surowych deskach i nie tracąc czasu na siodłanie, wskoczyła prosto na jego grzbiet i poderwała do galopu przez pole. Czuła niewiarygodne upojenie — choć często galopowała na gospodarskich koniach, to jednak gdzie im tam było do śmigłego, miękko kroczącego Rolana.

Łąka okazała się właściwie ogromnym parkiem — pełnym drzew, dolinek o zalesionych stokach, przecinanym korytami strumieni. Był tak wielki, że po przebyciu go niemal na drugą stronę okazało się, że ludzie w pobliżu ogrodzenia od strony Kolegium wyglądają jak żuczki. U najdalszego końca Łąki zawrócili w pełnym galopie z powrotem w stronę ogrodzenia. Przywarła do szyi Rolana,

zrosnięta z nim w jedno, czując się jakby to jej własne stopy pod nią śmigały. Uczepiła się jego grzywy, zanurzyła w nią swoją twarz i szeptała:

— Nie zatrzymuj się, kochaniutki! Możemy go wziąć! Skacz!

Poczuła, jak spina się pod nią, ogrodzenie zamajaczyło przed nimi, bezwiednie przesunęła ciężar i wzlcieli w powietrze, nad ogrodzeniem, które mignęło tylko pod jego skulonymi kopytami. Nim serce zabiło, było po wszystkim. Wylądował lekko jak ptak, a dźwięk dzwonu rozległ się, gdy, po drugiej stronie, jego kopyta dotknęły brukowanego dziedzińca.

Kiedy palcami przeczesując włosy, odgarnęła je sprzed oczu, usłyszała serdeczny śmiech.

— A ja myślałem, że przyjdzie mi sadzać cię na siodło po drabinie! — odezwał się szorstki głos tuż za nią. — Coś mi się zdaje, że mógłbym się od ciebie tego i owego nauczyć, mój ty młody centaurze!

Rolan zawrócił w miejscu, stając na wprost wysokiej, chudej kobiety w nieokreślonym wieku, o krótko obciętych, siwiejących już, brązowych włosach i mądrych, szarych oczach, od stóp do głów odzianej w białą skórę.

Śmiejąc się kobieta, złożony ręce na plecach, podeszła bliżej zamaszystym krokiem i obeszła ich dookoła, mierząc wzrokiem ze wszystkich stron.

— Ani słowa, świetnie dosiadasz, młoda Talio, robisz to swobodnie. No tak, pokazałaś, co potrafisz robić na oklep, a więc zobaczmy, jak ci idzie w siodle, zgoda?

Herold Keren — jak się okazało siostra bliźniaczka Terena, co wyjaśniałoby wymianę uśmiechów z Dirkiem i Erikiem — była wyraźnie zadowolona z tak zaawansowanej w sztuce jeździeckiej podopiecznej. Po wspólnie spędzonej godzinie powiedziała Talii, że nie minie dużo czasu, a nauczy ją wszystkiego, co sama potrafi. Umiejętności Keren w tym zakresie były niewiarygodne, a sztuki, jakich dokonywała razem z Towarzyszem, graniczyły z cudami.

— Zanim jeszcze przywdziejiesz białe szatki, moja droga — powiedziała, rozstając się z Talią — będziesz mogła powtórzyć wszystko, co możesz zrobić pieszo, siedząc na grzbiecie Towarzysza. Obu nam przyniesiesz uznanie, czuję to w moich kościach. Kiedy skończę pracę nad tobą, jedynym sposobem na ściągnięcie cię z grzbietu Rolana, będzie śmierć.

Talia ku wielkiemu swemu zdziwieniu, poczuła tę samą instynktowną sympatię do Keren, co do jej brata bliźniaka. To było niepokojące, nieomalże przerażające. Instynkt podpowiadał jej, by zaufała tym ludziom wbrew wszystkiemu, czego dotąd w życiu doświadczyła, a co nakazywało jej trzymać się od nich z dala, dopóki nie będzie ich całkowicie pewna. Czyż własna rodzina i krewni nie wyrządzali jej krzywdy, nie zdradzali jej? Czy, w takim razie, mogła po obcych spodziewać się, że będą lepsi? A jednak coś głęboko w duszy wciąż powtarzało, iż zbyt wiele są jej obawy. Nie wiedziała, któremu głosowi ma ulec i była tym bardzo strapiona.

Keren zakończyła ćwiczenia, kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi,



stanowczo stwierdzając, że zarówno Rolan jak i ona są znużeni — a przynajmniej powinni być.

— Teraz idźcie spędzić razem chwilę na łące. Pojeźdźcie sobie, jeśli macie ochotę, spacerujcie, jeśli wolicie. Bądźcie razem, to najważniejsze. Początki wzajemnej więzi były dobre, lecz wymaga ona pielęgnacji. Talio, nie próbuj robić niczego, po prostu cieszcie się, że jesteście razem. To wystarczy.

Talia posłuchała z radością, przelazła przez płot i szła teraz obok Rolana, pozwalając błądzić myślom bez celu. Nie mogłaby wyjaśnić dlaczego, lecz opadły z niej napięcie i bojaźń, które, jak sięgała pamięcią, zawsze były częścią jej osoby. Przynajmniej na razie znalazła dla siebie miejsce, gdzie otaczano ją opieką, i to także dodawało jej pewności siebie. Obecność Towarzysza rozpraszała wątpliwości i łagodziła jej lęki. Ocknęła się dopiero, gdy przez murawę przetoczyło się podwójne uderzenie w dzwon, którym Kucharz wzywał swych pomocników do kuchni.

Wskoczyła na grzbiet Rolana i pokłusowali do olbrzymiej masztalarni pośrodku Łąki. Wcześniej Keren pokazała jej, gdzie tutaj złożono uprząż Rolana. Wyczyściła go w pośpiechu — ale troskliwie — zgrzebłem i pomknęła do swojej izdebki, mając niewiele czasu na umycie, zmianę ubrania i zajęcie swojego miejsca przy kolacji.

Myślała, że z podniecenia nie zaśnie, a tymczasem ku swemu zaskoczeniu przyłapała się, że zasypia już nad talerzem. Zaledwie starczyło jej sił, by wziąć przepisową kąpiel, ucieszona, że wczesnym wieczorem tak niewielu współzawodniczy o miejsce w baliach, bo gdyby przyszło jej czekać w kłębach pary na swoją kolejkę, spałaby na stojąco. Tym razem nie opadły jej w łóżku żadne natrętne myśli, bo twardo zasnęła, ledwo przyłożywszy głowę do poduszki.

## SZÓSTY

Przez następny tydzień Talia miała codziennie ten sam rozkład zajęć. Budziła się tuż po wschodzie słońca na dźwięk dzwonu, który jakoś za pierwszym razem przespała. I wtedy na zmianę: albo wrzucała byle co na siebie i pędziła na dół do kuchni — pomóc przy śniadaniu, albo spokojniej doprowadzała siebie i swoją izbę do porządku, przed udaniem się na śniadanie, po którym przychodziła pora na zajęcia z orientacji. Co drugi dzień, stopniowo przybywało coraz więcej zajęć, w miarę jak każde z nich zaczynało zabierać jej coraz mniej czasu. Wszystkie popołudnia miała wypełnione ćwiczeniami z Mistrzem Alberichem, nauką jazdy u Herolda Keren i naturalnie umacnianiem więzi z Rolanem. W dni, kiedy nie pomagała przy kolacji czy obiedzie, siedziała długie godziny w szwalni, wespół z innymi cerując pozornie nie kończące się góry szarych uniformów.

Z nadejściem końca tygodnia Herold Teren, po skończonych zajęciach, gdy inni opuszczali klasę, poprosił, by Talia została z nim jeszcze chwilę. Zdenerwowała się, z czego nawet nie zdała sobie sprawy. Skubiąc skórkę na palcu czekała, by usłyszeć, dlaczego chce z nią rozmawiać, a im dłużej to trwało, tym bardziej opuszczały ją zewnętrzne pozory spokoju. Obserwowała go ukradkiem, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy, chyba że przypadkiem. Wsparł się ciężko o blat swojego biurka. Wydawał się przejęty i czymś zmartwiony, a wiedziała z doświadczenia, że taki wyraz twarzy dorosłego oznacza dla niej kłopoty.

Teren czuł się źle w sytuacji, w jakiej się znalazł. Temu biednemu, zagubionemu dziecku, próbującemu dojść do ładu ze swoją nową rolą, wystarczyło kłopotów, a tu trzeba jeszcze dorzucić kłopoty związane z jej rodziną. W myślach przeklął okrucieństwo tego, który przesłał tak na zimno obliczoną wiadomość, której zadaniem było zatruć tę odrobinę spokoju osiągniętego przez dziecko.

— Talio... — rozpoczął i zawahał się, widząc jak drgnęła nerwowo. — Dziecko, nie masz się czego obawiać... Ja tylko muszę przekazać ci raczej nieprzyjemną wiadomość, którą, sądziłem, wolałabyś odebrać w samotności. To słowo od twojej rodziny.

— Mojej rodziny? — powtórzyła z wyrazem zaskoczenia i zaintrygowania na twarzy.

— Wysłaliśmy do nich posłańca, tak jak w przypadku każdego Wybranego

dziecka, z wiadomością, co ci się przytrafiło. Tak zwykle bywa, że rodzice, zominając o gniewie, skłonni są przebaczyć wszelkie nieposłuszeństwa w obliczu zaszczytu, jakim jest Wybór. Myśleliśmy, że tak właśnie będzie i z tobą.

Teraz, w końcu, spojrzała wprost na niego, poczuł się tym skrępowany i o dziwo zabrakło mu słów.

— Talio, doprawdy żałuję, że sprawy nie potoczyły się tak, jak tego spodziewaliśmy się. Brakuje mi słów, by wyrazić, jak mi jest przykro, lecz oto odpowiedź, której nam udzielili — krótko dokończył.

Pogrzebał w kieszeni tuniki, wydobył ciasno złożony skrawek papieru i wręczył go jej.

Rozprostowała go, bezwiednie gładząc załamania, a Teren czekał, z góry obawiając się, co ona zrobi po jej przeczytaniu.

„Gród Senów nie ma córki imieniem Talia” — stało tam napisane. W bazgrołach półanalfabety znać było rękę ojca.

Nie wiedziała nawet, że płacze, dopóki gorąca kropla nie upadła na papier, rozmazując atrament. Przełknąwszy łzy, natychmiast odzyskała panowanie nad sobą. Aż do tej chwili nie uzmysławiała sobie, jak wielką żyła nadzieją, że z powodu swej nowej posady rodzina kiedyś przyjmie ją ponownie do siebie. Nie przyszło jej jednakże do głowy, że Heroldowie ich o tym powiadomią — miała nadzieję, iż sama obwieści im tę nowinę, może nawet wjeżdżając do Grodu w pełnym stroju Herolda. Wtedy, gdy po raz pierwszy poczuła, iż jest naprawdę Heroldem, obudziła się w niej nadzieja, że nagrodą za ten sukces będzie przebaczenie, a nawet, być może, pochwała. Lud Grodów nie potępiał wszystkiego, czym zajmowali się Heroldowie ani czemu dochowywali wierności. Nawet najwięksi krytycy spośród nich przyznawali, że rola Heroldów jest istotna i oczywiście chętnie witali ich, gdy najeźdźcy przekraczali Granice lub trzeba było położyć kres waśni. Może i jej krewni zrozumieliby teraz, dlaczego pozwalała sobie na gorszące zachowanie; zrozumieliby, że odpowiadała tylko na głos własnej natury. Na pewno *teraz* mogliby to pojąć i powitać jej powrót, być może nawet pozwolić odnaleźć miejsce dla siebie.

To dziwne, lecz kiedy wybierała ucieczkę, groźba klątwy z ich strony nie wydawała się tak wygórowaną ceną za wolność, jak teraz gdy wszelkie nadzieje na przebaczenie legły w gruzy przez tę jedną wiadomość...

Mniejsza o to. Znów była zdana tylko na siebie, Heroldowie nie spojrzą przychylnym okiem, jeśli będzie rozczulać się nad sobą w takiej sytuacji.

— W porządku — powiedziała tylko, oddając paperek Heroldowi. — Powinam się była tego spodziewać. — Poczuła dumę, że głos jej zadrżał tylko leciutko, i że mogła spojrzeć mu prosto w oczy.

Terena zaniepokoił spokój, z jakim dziewczynka przyjęła wiadomość, a przede wszystkim tak nienaturalna w jej wieku żelazna wręcz wola i umiejętność panowania nad emocjami. Powinna była pozwolić sobie na słabość i łzy, tak

jak każde dziecko, a ona kryła się z nimi, zamykając się jeszcze bardziej w sobie. Wynikiem — do tego stopnia tłumionych uczuć — mógł być później głęboki emocjonalny kryzys; dziecko dodawało jeszcze jedną cegłę do oddzielającego ją od wszystkich muru.

— Chciałbym ci jakoś pomóc. — Teren był nadzwyczaj zafrasowany, próbował okazać jej, że jego troska w równej mierze wynika z odrzucenia przez nią prawa do wyrażania żalu, jak i z samej sytuacji. — Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak odpowiedzieli.

Gdyby udało mu się chociaż zmusić ją do przyznania, że czuje się nieszczęśliwa! Byłby to pierwszy krok, by przełamać jej skrytość i w końcu zdobyłyby jej zaufanie.

— Może wyślemy jeszcze jednego posła, później — zaproponował, starając się zaglądnąć jej w oczy.

Talia spuściła wzrok i potrząsnęła głową. Powrót był niemożliwy, a przynajmniej tryumfalny wjazd Herolda rodem z Grodu. Nawet dla swych najbliższych krewnych byłaby osobą obcą. Talii z rodu Senów nigdy nie było. Pogwałciła Święte Pismo, w którym napisano, że dziecko płci żeńskiej musi być we wszystkim całkowicie uległe; została wyrzutkiem i oni nigdy zdania nie zmieniają.

— Ale...

— Spóźnię się. — Talia uniknęła jego wyciągniętej ręki i uciekła żalując, że Teren nie okazał mniejszego współczucia. O mały włos nie doprowadził jej ponownie do łez. Pragnęła ponad wszystko wypłakać się na jego ramieniu, ale nie ośmieliłaby się tego zrobić. Czyż mogła spodziewać się pomocy kogoś obcego, skoro wyparli się jej wszyscy znajomi i krewni? A zwłaszcza, gdyby obnażył jej słabość? Herold musi sam sobie radzić i polegać tylko na sobie. Nigdy nie odważyłaby się okazać słabości i tego, że nic nie jest warta.

Na szczęście następne zajęcia — historia, która Talii przypominała nieskończoną opowieść — były tak zajmujące, że mogła zapomnieć o swoim nieszczęściu. Jak wiele innych przedmiotów, organizowano je cyklicznie, aby każdy uczeń mógł je rozpocząć w dowolnej chwili. Nauczycielem była starsza kobieta — Herold Werda. Dzisiejszy wykład i późniejsza dyskusja były tak fascynujące, że na chwilę wszelkie jej nieszczęścia poszły w niepamięć.

Geografią była oczarowana w stopniu niewiele mniejszym. Uczyli jej wszyscy Heroldowie z Kolegium po kolei. Wykłady dotyczyły ich rodzinnych stron i dzisiaj, ponieważ nadszedł czas na poznanie krainy wokół Jeziora Evendim, ukończywszy zajęcia z orientacji, zaczęła opowiadać Teren.

Zajęcia nie ograniczały się tylko do studiowania map. Analizowali krajobraz regionu, topografię, wegetację i warunki klimatyczne. Rozpatrywali wpływ tych czynników na styl życia miejscowej ludności i zastanawiali się nad konsekwencjami zmiany którejkolwiek z nich. Zajęcia pochłonęły ją, przestała rozmyślać o odtrąceniu przez rodzinę.

Po skończonym wykładzie Teren dawał jej jakieś znaki ręką, ale Talia udała, że tego nie widzi i pośpieszyła na następne zajęcia — samotna w ciżbie uczniów. Teraz przyszedł czas na matematykę. Liczby nigdy nie budziły wielkiego zachwytu Talii, ale Herold Sylvan wydawał się tak uwielbiać precyzję i zawiłości tego przedmiotu, że było w tym coś zaraźliwego.

Najnowszy przedmiot, który Talia zaczynała tuż przed obiadem, nosił nazwę: dworskie maniery. Serce zabiło w niej niespokojnie. Była pewna, że odstawałaby od Dworu, niezgrabna jak koza, zwłaszcza teraz: tak wytrącona z równowagi, tak spięta. Czuła niemalże strach przed spotkaniem z nauczycielem — w jej wyobrażeniu kimś upudrowanym i sztywnym jak kij — spodziewając się szyderstw.

Wślizgnęła się ukradkiem do sali jeszcze przed nadejściem nauczyciela, a kiedy ucichł szmer rozmów, usiadła zgarbiona, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy.

— Czy jest tutaj Talia? Myślałam, że przyłączy się do nas dzisiaj — padło pytanie.

Na dźwięk znajomego głosu Talia aż poderwała głowę do góry.

— Na Jasne Niebiosa, dziecko — zawołała ze śmiechem w głosie Gospodyni Gaytha — powinniśmy dać ci szczudła, ledwie cię można zobaczyć, taka jesteś drobniotka!

— Za to pani nie... — wypaliła Talia i poczerwieniała na twarzy.

— Nie jestem dworką i nie jestem nawet Heroldem, jednak zanim przyjąłabym obecną posadę, byłam Guwernantką w Domu Ravenscroftów. To dlatego was uczę — wyjaśniła Gaytha cierpliwie. — Guwernantka patrzy na dwór z unikalnej pozycji: od środka, będąc zarazem osobą niewidoczną. Dlatego mogę uczyć was manier, które łagodzą zwyczaje, a także sposobów, jak ustrzec się jadowitych zębów skrywanych pod gładkim językiem. Nie popełniajcie błędu: jeśli pozostanie wam zwyczaj odzywania się, zanim zdążycie się zastanowić, poczujecie ukąszenie na sobie!

Nikły, pełen dobroci uśmiech złagodził naganę. Zajęcia nie zapowiadały się tak źle, jak tego obawiała się Talia. Dworskie maniery przypominały taniec — skomplikowany, lecz fascynujący. Jednak Talia miała powody niedowierzać, że kiedykolwiek zgłębi jego tajniki, nie mówiąc już o swobodnym stąpaniu w jego rytmie.

Po obiedzie przychodził czas wolny, czas na czytanie w Bibliotece — by wyciągnąć ją z tej komnaty cudów, trzeba by chyba nagich sztyletów. Wspomniawszy opowieść Davana o początkach Królestwa, wybrała jeden z pierwszych tomów w dziale historycznym. Dzisiaj nie przypadły jej w udziale obowiązki kuchcika u boku Kucharza, a więc opuściwszy Bibliotekę udała się do szwalni: ciśniei, dobrze oświetlonej izby, zastawionej stołami z koszami pełnymi uniformów w różnym stadium zniszczenia. Dopiero tam — mając ręce pełne pracy, a umysł wolny od wysiłku — poczuła się naprawdę samotna, zwłaszcza słysząc śmiech in-

nych uczniów gawędzących o rzeczach i ludziach jej całkowicie obcych. Znalazła dla siebie kącik, nieco w cieniu, za zasłoną góry przyodziewku do pocerowania i tam postawiła swój koszyk. Żałość dopadnie ją prędzej czy później, a to był dobry i czas, i miejsce po temu — nikt jej nie mógł tutaj zauważyć. I rzeczywiście, niejedna słona kropla zmoczyła pończochy.

Przynajmniej dzisiaj nie musiała zmagać się z demonicznym Alberichem. Dzisiaj na polecenie mistrza jej nauczycielem był eks-złodziejaszek Skif. Po upływie tygodnia poczuła nieśmiały przyływ cieplejszych uczuć do tego chłopca, który wydawał się odnosić ze zrozumieniem do jej niezdarności, okazując niewyczerpaną cierpliwość. Unikając nagan, pomagał jej zapanować nad nieposłusznymi kończynami, zwalniając swe ruchy tak, by mogła dokładnie zobaczyć, co powinna robić. Kiedy widać było po niej zniechęcenie, bawił ją szyderczymi opowieściami o swych śmiesznych występkach, których się dopuścił w czasach, gdy był dzieckiem ulicy, żebrakiem i kieszonkowcem. Powoli zaczęła ulegać jego urokowi, a on zdawał się wiedzieć, kiedy zrobić krok w jej stronę, a kiedy się cofnąć.

Następnie przyszła kolej na ćwiczenia na strzelnicy, po których w końcu mogła poświęcić czas Rolanowi. W obecności Towarzysza bolesne poczucie osamotnienia ulotniło się całkowicie. Ćwiczyli na torze przeszkód, aż oboje poczuli znużenie i udali się w daleki zakątek Łąki, by ochłonać i pobyć tylko ze sobą. Ponownie sama jego bliskość miała jakiś magiczny wpływ na jej duszę. Porównując uczucie samotności, które nie opuszczało jej nawet w obecności jej dwojga najbliższych krewnych, z tym, co przepełniało ją, gdy przestawała z Rolanem, cena za przybycie tutaj, którą przyszło jej zapłacić, nie wydawała się już wygórowana. Talia niemal całkowicie odzyskała pogodę ducha — będąc razem z nim nigdy nie miała cienia wątpliwości, iż jest kochana, że *on* przenigdy by jej nie opuścił.

Albo zaczynała przyzwyczajać się do trudów, albo stawała się coraz wytrzymalsza, bo nie czuła już takiego znużenia jak w pierwszych dniach i wyszła zwiedzić graniczące z Kolegium ogrody. To tam właśnie przekonała się, dlaczego Sherrill przestrzegała ją przed samotną konfrontacją ze słuchaczami nigdzie nie afiliowanymi.

Spacerowała żwirowymi ścieżkami pomiędzy zasadzonymi z matematyczną dokładnością klombami. Słońce chyliło się ku zachodowi, w nadchodzącym zmierzchu powietrze wydawało się gęstnieć, przybierając ciemnoniebieską barwę. Zapach róż mieszał się z aromatem wieczornych kwiatów, które dopiero co zaczynały otwierać pąki. Na poły śniła na jawie i nawet nie spostrzegła, że ktoś jest w pobliżu, dopóki nie padły słowa:

— Czy tu zalatuje gnojem? — Ktoś za jej plecami pociągnął wyniosłe nosem.  
— Naprawdę wydaje mi się, że tak jest istotnie!

— Być może to ogrodnicy użyźniają klomby? — Tym razem był to głos dziewczęcy, obrzydliwie szyderczy.

— O, nie wydaje mi się — odpowiedział pierwszy. — To smród zdecydowanie

świeży i zarazem kozi.

Przestraszona Talia odwróciła się. Pięciu lub sześciu wyrostków w niebieskich uniformach wylegiwało się w cieniu żywopłotu.

— A niech to, co my tu mamy? — zakrzyknął zdziwiony jeden z nich udając, że teraz dopiero ją widzi. — Myślę, że odnalazłem źródło tego odoru!

— Niewątpliwie — dodała dziewczyna u jego boku — bo to ta dziewczka znad Granicy. Litości! W dzisiejszych czasach *byle komu* pozwalają wstąpić do Kolegium. Wydaje ci się, że kąpią *to*, zanim zezwolą włóczyć się po ucywilizowanych okolicach, ale...

Patrzyli na nią drwiąco, z wyrazem oczekiwania na twarzach. W pierwszej chwili Talia chciała odpowiedzieć słowem na słowo, ale namyśliwszy się zarzuciła ten pomysł.

Było ich pięcioro, a ze słów Sherrill wynikało, że sami nie zaniechają obelg, ani nie będą bić się uczciwie.

— O Pani, te istoty są przesiąknięte brudem do szpiku i stukrotna kąpiel nie zmyłaby tego zapachu — ciągnął złośliwości chłopiec. — Co nie jest niespodzianką, zważywszy ich bezdenną ignorancję. Dano mi do zrozumienia, że ta oto próbowała oddać Towarzysza z powrotem do Kolegium. Nie miała pojęcia, co to być Wybranym.

Z gniewu i wstydu zapiekły Talię uszy.

— Czy to jest tak samo głupie jak cuchnące? — zapytał trzeci.

— Tak musi być, ponieważ .najwyraźniej nie uzmysławia sobie, że o tym rozmawiamy.

Z oczu Talii trysnęły łzy, lecz szybko je stłumiła. Mowy nie było, by ujawniła przed tą bandą, jak raniące są ich obelgi.

Zacisnęła piekące powieki i zaczęła się oddalać. Zerwali się natychmiast na równe nogi i obstąpili dookoła. Nawet ich nie zauważyła, póki starannie wymierzony kuksaniec nie posłał jej głową w przód, prosto w obficie podlany kwietnik. Nie była na to przygotowana i ciężko upadła, wbijając nos w ziemię i liście. Przy wtórze oddalających się śmiechów Talia wyplątała się z klombu. Od uderzenia zatkało jej dech w piersi. Na klombie zasadzono pnącza różane i, na oko, żaden cień nie miał mniej niż cal długości. Wyplątawszy się z nich, stanęła w postrzępionym mundurze, podrapana do krwi i brudna. Łzy spłynęły po jej policzkach, otarła je wierzchem poplamionej ziemią dłoni i biegiem uciekła do bezpiecznego Kolegium, ciesząc się, że gęstniejące ciemności ukryły ją przed wzrokiem obcych.

Tak wcześnie w komnacie łaźiebnej nie było żywego ducha. Spiesznie wepchnęła zniszczone ubranie do zsypu. Po długim moczeniu zadrapania zaczęły wyglądać tak, jakby nabawiła się ich fechtując. W szumie płynącej wody utonął odgłos pociągania nosem, gdy płakała na poły ze złości, na poły z bólu. Nie miała zamiaru prosić Sherrill o pomoc. Nie mogła ze starszą dziewczyną spędzać dnia od rana do nocy, a w chwili samotności ponownie stałaby się celem ataku. Prócz

tego — niezależnie co Sherrill powiedziała — Talia wątpiła mocno, czy spodobałyby się ciąga obecność dziecka u jej boku.

Talia nabrała sporego doświadczenia w spotkaniach z tego rodzaju prześladowcami, wiedziała, czego się może spodziewać. Raz zacząwszy, nie zrezygnują, dopóki nie poczują się całą zabawą znudzeni.

Była jeszcze jedna rzecz, którą należało wziąć pod uwagę. Odgarnęła mokre włosy z czoła i spojrzała na bliznę wielkości monety na lewej dłoni. Ile mogła mieć lat, kiedy Justus przytknął jej w tym miejscu rozżarzony do czerwoności pogrzebacz? Dziewięć? Dziesięć? Mniejsza o to. Dorośli dali wiarę jemu, nie jej; wyparł się czynu i powiedział, że to ona sama wyrządziła sobie krzywdę. A zatem: dlaczego ktokolwiek miałby jej uwierzyć? Była tutaj nowa, nikt jej nie znał, a napastnicy na pewno byli dziećmi liczących się dworzan. Biorąc pod uwagę okoliczności, czy znalazłby się taki, kto by dał wiarę łgarzowi? Lepiej zachować milczenie — tamci znaleźli oczekiwaną uciechę, może wkrótce znudzi ich ta zabawa.

Łudziła się na próżno. Już na drugi dzień stwierdziła, że ktoś skradł poczynione przez nią zapiski z historii. Następnego dnia, pchnięta w plecy niezdarnie runęła jak długa, siniacząc sobie kolana i łokcie o posadzkę korytarza. Kiedy już na powrót zebrała myśli i książki, nie dostrzegła nikogo, kto mógłby wymierzyć jej tego kuksańca, choć z tłumu, który ją otaczał, dochodził ją słaby odgłos chichotów. Dwa dni później nieznani napastnicy obrzucili ją kamieniami, kiedy samotnie spieszyła na lekcje fechtunku i posługiwania się bronią. Nazajutrz odkryła, że ktoś opróżnił nad jej książkami pełną butlę atramentu, a w pobliżu nie było ani śladu żywego ducha. Było to szczególnie upokarzające: ktoś mógłby teraz posądzić ją o to, że niedbale obchodzi się z *książkami!* Zaczęła krążyć opinia, że z niej niezdarra. Ktoś ją popychał lub podkładał jej nogę przynajmniej raz na tydzień; częściej, jeśli odważyła się wychynąć z Kolegium.

A do tego doszły prześladowania już nie fizycznej natury. Zaczęła otrzymywać anonimy. W tajemniczy sposób pojawiały się w jej książkach i kieszeniach, rozbijając w puch jej pewność siebie. Doszło do tego, że sam ich widok o mało nie doprowadzał jej do płaczu, a nie mogła pokazać ich nikomu, bo słowa blakły natychmiast po przeczytaniu i w ręce zostawały jej zwyczajne skrawki papieru.

Nie ośmieliła się zwierzyć nikomu, gdyż nie miała żadnego dowodu, że łotrzykami byli jedynie Błękitni. Gdyby rzeczy przedstawiały się tak, jak wyglądały, to szaleńczym wydawałoby się przypuszczenie, iż ktoś z jej kolegów z Kolegium także należał do grupki znęcającej się nad nią, choć Justus ukrywał swój sadyzm pod maską anielskiej, zawsze uśmiechniętej twarzy. Rzeczy nie zawsze są takimi, na jakie wskazują pozory. Nie, lepiej już borykać się z tym samej, ostatecznie pozostawał Rolan.

Jednakże Keren spostrzegła, że coś złego się święci. Do jej rąk dotarła już wiadomość od brata o słowie od rodziny do Talii, a po rozmowie z Elcarthem



doszła do wniosku, że to właśnie ona może okazać się osobą, która wywiedzie to dziecko z jej samotnej pustelni. Nie dostrzegała śladu niezdarności, pracując z Talią i doniesienia o jej nieustannych potknięciach zupełnie nie przystawały do tego, co widziała na własne oczy. Coś tu szło na opak, okropnie na opak.

W dzieciństwie Keren wyćwiczyła w sobie niebywałą cierpliwość — wiadomo, że godzinami wysiadywała z pełnymi garściami okruszków chleba, ledwie mrugnawszy powieką, dopóki nie nakarmiła ptaków z ręki. Teraz podchodząc Talię, robiła to z tą samą cierpliwością: to tu rzuciła słówko, to tam ledwie uchwytaną zachętę. Jeśli ktokolwiek prześladowuje dziewczynkę, Keren prędzej czy później dowie się o tym. Czasami przeklinała protokół, obowiązujący wszystkich posiadających *Dar myśloczucia*. Gdyby nie to ograniczenie, mogłaby po prostu odczytać, co też trapi to dziecko, a jeśli nie ona, to byli tacy, którzy potrafili uchylić wszelkie zasłony. Jednakże protokoły ustalono ku ochronie: nikogo nie wolno było bezwzględnie odzierać z jego intymnych myśli; intencje, bez względu na to jak dobre, nie miały znaczenia. Gdyby dziecku mimowolnie uszło cokolwiek uwagi, to co innego; na nieszczęście Talia odseparowana była prawdziwym murem nie do przebycia. Niewielka była też nadzieja, że odbierze cokolwiek ktoś bardziej od Keren utalentowany; skrytość Talii uznano za chęć zachowania swojej prywatności i jako taką, godną uszanowania. Ludzie, którzy potrafią odbierać myśli innych, fanatycznie przestrzegają prywatności swojej i cudzej, co było w większości przypadków skłonnością godną pochwały, jednakże dla Keren w tej sytuacji — poważną przeszkodą.

Chociaż Talia nie zauważyła, że Keren odnosi się do niej z większą troskliwością, to jednak czuła życzliwość swojej instruktorki jeździectwa iomalże nie powiedziała jej o anonimach, kiedy otrzymała kolejny:

„Idź i opowiedz o tym, cymbale. Jakież to będzie zabawne widzieć, jak usiłujesz wyjaśnić, dlaczego nie możesz pokazać nic poza pustymi skrawkami papieru! Pomyśl, że z ciebie wariatka. Możliwe, że nie będą w błędzie. Jak myślisz?”

To ją przeraziło. Widmo szaleństwa prześladowało ją, od kiedy otrzymała pierwszy anonim. No bo jakże pismo może zniknąć z papieru po przeczytaniu? A jeśli pomyśl, że ona jest szalona, mogą ją oddalić z Kolegium. A dokąd wtedy się uda? Nie warto było ryzykować. Płakała w samotności, nie ufając nikomu. Nagle, gdy jej napięte do ostateczności nerwy były już na granicy wytrzymałości, rozpoczęły się trzy miesiące śródzimowych biesiad na Dworze i prześladowania raptownie ustały.

Kiedy kilka dni upłynęło bez jakiegokolwiek anonimu, w Talii obudziła się nadzieja; kiedy przeminął tydzień, odważyła się osłabić nieco czujność. Przy końcu pierwszego, wolnego od prześladowań miesiąca, doszła do wniosku, że znudziła dręczycieli swą biernością i że poszukali sobie innej rozrywki. Rzuciła się wtedy w wir życia w Kolegium z tak niepohamowanym zapałem, że pod koniec Śródzimowego Święta zaczęła się czuć jakby stworzona dla tego miejsca. Ból po odrzu-

ceniu jej przez rodzinę przestał być tak dojmujący.

W Święta w Kolegium zawieszono zajęcia na dwa tygodnie. Uczniowie, którzy nie wracali na wakacje do rodzinnych domów, zwykle odwiedzali przyjaciół lub krewnych w okolicy miasta. Jedynie Talia nie miała gdzie się podziać, tak bardzo trzymała się na uboczu, że wszyscy opanowani gorączką przygotowani przeoczyli ten fakt. Pierwszy dzień wakacji zastał ją przemierzającą puste korytarze, wsłuchującą się w echo własnych kroków. Czuła się w nich malutka i osamotniona, nie była pewna, czy nawet zasoby Biblioteki wypełnią jej puste godziny. Wsłuchana w dziwny pogłos własnych kroków w korytarzu uzmysłowiła sobie, że do jej uszu dociera jeszcze inny, słabszy dźwięk — harfy, spoza drzwi oddzielających prywatne kwatery Heroldów od reszty Kolegium. Zaciekawienie i samotność popchnęły ją w tę stronę. Skrzydło drzwi pod dotykiem jej ręki uchyliło się, poskrzypując cichutko. Muzyka wiodła ją jakby za rękę długimi korytarzami aż na sam koniec skrzydła Heroldów do narożnika, z którego widać było pałacową Świątynię. Dookoła panowała cisza. Znajdowały się tu przeważnie jednoosobowe izby, zamieszkane przez rozproszonych po kraju Heroldów. Było tak pusto jak w skrzydle Kolegium. W rozbrzmiewających dźwiękach muzyki przebijał smutek i samotność. Stojąc tak, by jej nie można było dostrzec spoza na poły otwartych drzwi na parterze, oczarowana muzyką Talia straciła poczucie czasu.

Westchnęła, gdy melodia urwała się.

— Wejdz, proszę, kimkolwiek jesteś — dobiegł z izby stłumiony wiekiem, miękki głos. — Nie trzeba wystawać w posępnej sieni, skoro mnie przyda się ktoś do towarzystwa.

Zabrzmiało to całkiem szczerze i Talia opanowawszy nieśmiałość, bojaźliwie otworzyła drzwi nieco szerzej.

Przez okna malutkiej izdebki wlewało się słoneczne światło, odbijając się od ścian wyłożonych deskami o miodowej barwie, ślizgając się po kilku sprzętach w odcieniu ciemniejszym tylko o ton. Jasne płomienie na kominku rozsiewały zapach jabłoni, pogłębiając tylko atmosferę światła i ciepła. Niedaleko ognia siedział starszy mężczyzna — na pewno był to najstarszy człowiek, jakiego Talia kiedykolwiek widziała, bo srebrzyste włosy bielą dorównywały jego ubraniu. Jednak z jego dobrej, uderzającej pięknem rysów twarzy patrzyły pełne serdeczności oczy w oprawie zmarszczek, które — tak jak w przypadku jego ust — świadczyły raczej o skłonności do śmiechu niż gniewu. Miał szerokie brwi, mocne usta, wyrazisty podbródek, a z całej postawy przebijała dobroć. Harfę opierał o jedną nogę; oczy Talii rozszerzyły się na widok drugiej, która jak u wiejskiego strażnika była odrąbana od kolana w dół.

Poszedł za jej zdumionym spojrzeniem i uśmiechnął się.

— Miałem więcej szczęścia niż siła innych — powiedział — gdyż najemnicy z Tedrel odjęli mi tylko nogę, a w służbie dla Królestwa nie musiałem złożyć życia. Cóż trzyma takiego młokosa jak ty w tych posępnych korytarzach w czas

Świąt?

Być może jego niesamowite podobieństwo do matki jej ojca, a może tylko otwarcie okazywana jej serdeczność spowodowały, że Talia zaufała mu całym swym sercem i otworzyła się przed nim, jakby zrobiła to przed Rolanem.

— Nie miałam dokąd pójść, panie — odpowiedziała prawie szeptem.

— Nie masz przyjaciół, którzy chętnie podzieliliby się z tobą radością i miejscem przy ogniu? — zasępił się. — To wielce nie w stylu Heroldów!

— Ja... ja nie powiedziałam nikomu o tym, że zostaję. Tak naprawdę to nie zaprzyjaźniłam się z nikim; moja rodzina odtrąciła mnie i... i...

— I nie w smak ci było, by ktokolwiek dowiedział się o tym i przyjął w swoje progi z litości? — domyślił się.

Przytaknęła, zwieszając nieco głowę.

— Na oko masz z trzynaście wiosen, zapewne to pierwsze twe Śródzimie, inaczej całe Kolegium trzęsłoby się od wieści, że nie masz się gdzie podziąć. Coś takiego pasuje tylko do nowo-Wybranego, zatem jesteś Talią. Powiedz mi, czy błędzę?

Skinęła lekliwie.

— Ha, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — odparł. — I ja nie mam gdzie spędzić Świąt. Mógłbym na Dworze, ale nienawidzę tłoku. Prochy moich krewnych od dawna rozproszył czas i przyjaciele odeszli albo wezwał ich obowiązek. Spędzimy wakacje razem? Na imię mi Jadus.

— B... bardzo bym tego chciała, panie. Bardzo. — Podniosła oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Cudownie! W takim razie rozgość się, proszę. Przy ogniu dość jest miejsca. Krzesło, poducha — co wolisz?

Spostrzegł, że Talia bardzo jest załęknioma i odegrał małe przedstawienie ze strojeniem harfy, gdy ona z wahaniem z kładła puchatą poduchę z aksamitu obok kominka i zwinęła się na niej jak kot. Był obdarzony Darem *myśluczucia* i choć przenigdy by nie śmiał wścibiać nosa w niczyje myśli, to jednak subtelne odcienie docierających do niego uczuć, tak jak i jej zachowanie, podszeptęły mu, by postępować z dziewczynką nadzwyczaj ostrożnie. Z natury był dobrym człekiem, lecz w tym przypadku wiedział, że będzie musiał niemal przejść samego siebie, gdyż byle błąd z jego strony może ją wystraszyć.

— Ciesz się, że moja gra zwabiła cię w moje progi, Talio.

— To było bardzo piękne — powiedziała zadumana. — Nigdy dotąd nie słyzałam takiej muzyki.

Roześmiał się.

— W swej zarozumiałej dumie dzięki ci, moje dziecko, lecz okrutna prawda jest taka, iż byle Mistrz Bardów sprawiłby, że moje dźwięki zabrzmiałyby jak produkcja na poły amatora, kim jestem w istocie. Jednakże uczciwość zmusza

mnie, bym przyznał, że jest we mnie przynajmniej ziarno Talentu, inaczej nie przyjęto by mnie do Kolegium Bardicum.

— Bardicum, panie? — rzekła skonfundowana Talia.

— Tak, wiem. Jestem Heroldem i mam Towarzysza. Wygrzewa ona nawet teraz swe odwieczne kości patrząc, jak pochopne źrebaki igrają na śniegu. Lecz wpieryw przybyłem tu, by wstąpić to Kolegium Bardów, w którym upłynęło mi trzy lata. Miałem przed sobą jeszcze dwa, kiedy siedząc w ogrodzie i próbując skomponować temat przewodni, coś przyciągnęło mnie na Łąkę Towarzyszy. Tam pojawiła się *ona*, by wesoło wyrzucić na nice całe moje życie. Zezłościło mnie to nawet wtedy, ale teraz nie zamieniłbym ani chwili ze swego życia za diadem Laureaty.

Talia nie spuszczała oka z mocnych, zwinnych palców, które niemal nieświadomie gładziły jedwabiste drzewo harfy.

— Jednak nie zapomnieliście o muzyce, panie.

— Och, nie, nikt tak łatwo nie wybije sobie z głowy tej słodkiej pani, raz zasmakowawszy jej czaru — uśmiechnął się. — A może to Fortuna zrobiła mi uprzejmość. Nigdy nie musiałem zabawiać płoczej widowni, ani niewdzięcznego pana. Śpiewałem i grałem jedynie ku ucieście własnej i przyjaciół. Muzyka była mi przebraniem niemal wszędzie, bo Bardów wszędy spotyka serdeczne przyjęcie, czy to w Królestwie, czy poza nim. Nawet i teraz, gdy straciłem już mój głos, tak jak i nogę, potrafię wyczarować ton z Meji Pani, by dotrzymywał mi towarzystwa. Albo by zwabić gościa przed moje progi.

Zmarszczył nos, a ona uśmiechnęła się, coraz pewniej czując się w jego obecności

Spojrzał na nią, pochłonięty nagłym pomysłem.

— Talia, dziecko, umiesz śpiewać?

— Nie wiem, panie — przyznała się. — Jestem... byłem... z ludu Grodów. Nie pochwalają muzyki, jedynie hymny, a i one śpiewane są przez kapłanki i Służebnice.

— Lud Grodów, lud Grodów... — zamruczał pod wąsem, najwidoczniej starając się coś sobie przypomnieć. — Aha! Na pewno znasz piosenkę na uspokojenie owiec, zaczynającą się od słów: „Płochu owco kładź się spać...”? — Szarpnął struny, wydobywając prostą melodyjkę.

Kiwnęła głową.

— Tak, panie. Ale to nie muzyka, nieprawdaż?

— Nawet mowa może w dobrych rękach zamienić się w muzykę. Czy zechciałabyś zaśpiewać?

Rozpoczęła bardzo niepewnie, nucąc cichutko, że ledwie ją było przy harfie słychać, lecz nie minęło dużo czasu, a nabierając pewności siebie, zaczęła śpiewać pełniejszym głosem. Harfa, podkreślająca kontrapunktem melodię, zafascynowała ją; wkrótce tak zatraciła się w muzyce, że wszelkie skrupuły z niej opadły.

— Tak właśnie myślałem — stwierdził Jadus z zadowoleniem, kiedy skończyła. — Słuchając twego śpiewu, pomyślałem, iż jest w tobie odrobina Talentu. Nigdy nie wystąpisz w poważnym konkursie Bardów, dziecko, ale ani chybi masz, albo też będziesz miała zupełnie dobry głos. Czy byłabyś skłonna sprawić przyjemność staremu człowiekowi, przystając na jeszcze jedne, dodatkowe lekcje?

— Macie na myśli lekcje muzyki? *Mnie* uczyć? Ależ. . .

— Wstyd by było zmarnotrawić twój Talent, a ty naprawdę go masz — leciutki cień tęsknoty przyćmił jego uśmiech. — Doprawdy to byłoby coś, z czym bym się chętnie z tobą podzielił.

To ją przekonało.

— Jeśli myślicie, że warto marnować na mnie czas. . .

Palcem uniósł jej brodę ku górze, tak że nie mogła umknąć spojrzeniem i musiała patrzeć wprost w jego uczciwe, dobre oczy.

— Spędzanie czasu z tobą nigdy nie będzie marnotrawstwem. Wierzaj mi.

Jaskrawy rumieniec oblał jej policzki, a on puścił wolno jej głowę.

— Miałabyś ochotę rozpocząć od razu? — ciągnął, pozwalając jej przyjść do siebie. — Mamy przed sobą całe popołudnie i możemy zacząć od piosenki, którą właśnie zaśpiewałaś.

— Jeśli nie macie nic przeciw temu. Niczego nie zamierzałam robić.

— Przeciwno? Dziecko, gdybyś wiedziała, jak dłużą się moje godziny, nie wyrzekłabyś tego nigdy.

Jadus poczuł, że nawiązuje się pomiędzy nimi nic porozumienia, dostrzegł, że jego udana bezradność ośmiela Talię. Od wielu lat wiódł niemal pustelniczy żywot, ni to we śnie ni to na jawie, zezwalając, by świat tuż za progiem obracał się bez jego udziału. Ot, wydawało się, że nie warto jest przywoływać go na powrót — aż do dzisiaj. Aż do teraz, kiedy jeszcze jedno samotne tak jak jego serce zabłąkało się do jego drzwi, wnosząc świat na powrót. Patrząc na dziewczynkę spoczywającą u jego stóp, wiedział, że tym razem — dla jej dobra — nie pozwoli mu oddalić się znowu.

Talia uczyła się szybko, czym zadziwiła już i innych nauczycieli. Muzyka była dla niej krainą zupełnie nie znaną — miało to tę dobrą stronę, że nie trzeba jej było niczego oduczać — i tak ją oczarowała, że nawet nie spostrzegła się, jak robi się późno, póki nie zjawił się sługa, by zapalić świece i zapytać, czy Jadus życzy sobie zjeść kolację we własnej izbie. Kiedy zbierała się do wyjścia, nalegał, by zasiadła z nim do wspólnej wieczerzy, mówiąc, że przejadły mu się samotne posiłki. Po powrocie sługi wysłał go z jeszcze jednym zadaniem: odnalezienia jego schowanych śpiewników: chciał sprezentować je Talii.

— Nie zateśniłem za nimi ani razu, gdy leżały schowane — uciał stanowczym tonem protesty dziewczynki. — Muzyka i wspomnienia są bezpieczne. . . o tutaj — poklepał się po czole. — Jak widzisz, mnie te książki nie są potrzebne.

To Śródzimowy Podarunek, byś mogła, ucząc się szybko, sprawić przyjemność swemu nauczycielowi-tyranowi.

Opuściła go dopiero, gdy jej śpiew zaczęło przerywać ziewanie. Miała wrażenie, że od urodzenia zna starego Herolda, i że przez całe życie byli przyjaciółmi. Jego serdeczność powodowała, że czuła się z nim dobrze. Nie mogła się doczekać świtu zwiastującego dzień, który znów spędzą razem.

Zerwała się tuż po wschodzie słońca. Z obawy, by nie okazać się intruzem skoro świt zakłócającym spokój starego Herolda, przełknawszy w pośpiechu śniadanie złożone ze znalezionej w kuchennej spiżarni chleba i mleka, pobiegła wyładować się w zabawie z Rolanem. Bawili się jak głupiutkie dzieci. Ona rzucała w niego śnieżkami, a on zwinnie ich unikał lub próbował łapać zębami. Uczucie szczęścia uderzyło jej do głowy; jak sięgnąć pamięcią nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo szczęśliwa. Na koniec Rolan, płasząc w zabawnych podskokach, zaprosił ją do wskoczenia na swój grzbiet. Do chwili, gdy słońce dość wysoko stanęło na niebie, pokonywali Łąkę w galopie, dosłownie unosząc się w powietrze. Dość było tego, by ulżyć napiętym nerwom i wyładować nieco wigoru bez żadnego uszczerbku dla entuzjazmu. Gdy kolejny dzień zbliżał się ku końcowi, w pobliżu izby Herolda można było już ujrzeć zbierających się ukradkiem służących, którzy połapali się w sytuacji. I choć Talia nie była kształcona, to miała ładny głos i nie fałszowała, a służący stwierdzili, iż lekcje muzyki są rzadką okazją do rozrywki. Teraz w samym środku obchodów Śródzimowego Święta nawet przybyli wielmoże na Dwór — nie mówiąc już o wolnych w danej chwili służących — ledwie mieli się gdzie podziąć w Wielkim Gmachu; za to tutaj, w cichym zakątku Skrzydła Heroldów uciech było, ile dusza zapagnie. Nie trzeba było długo czekać, aż przypadkowemu przechodniowi rzucił się w oczy widok ludzi, którzy jak stadka wróbli obsiedli każdą niszę, każdą szczelinę.

Talia nie zdawała sobie sprawy z ich obecności, podczas lekcji zapominając o całym świecie. Jednak z Jadusem sprawy miały się inaczej. Dotarły do niego odgłosy obcych, które na tym leżącym na uboczu korytarzu były czymś niecodziennym i dał niemy znak, że przybysze są serdecznie witani. Spędziwszy wiele samotnych świąt wiedział, jakim pokrzepieniem dla duszy jest odrobina muzyki, a przy tym było w nim na tyle komedianta, by i sobie sprawić przyjemność występowaniem przed publicznością. Obecność słuchaczy zmuszała go do większych starań, z tym większą korzyścią dla swego nowego ucznia.

Wigilia Śródzimowy nadeszła zaskakująco szybko dla Talii. Tego wieczoru Jodus właśnie opowiadał jej historie z własnego życia, z czasów kiedy był młodym Heroldem, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do półprzymkniętych drzwi.

— Proszę — odpowiedział, unosząc brwi na znak zdziwienia.

W drzwiach stanął młody służący, który zazwyczaj troszczył się o Jodusa.

— My... to znaczy reszta nas... przez cały tydzień nie mogliśmy się oprzeć przyjemności słuchania was i młodej Talii, i... krótko mówiąc, panie, oto co po-

myśleliśmy: chyba nie macie dokąd iść na Wigilię Śródzimia — na Dworze śnać nie macie ochoty świętować, bo już byście tam byli. Czy zatem nie zechcielibyście obchodzić jej wspólnie z nami? A gdyby przy tym można was prosić o trud zagrania i zaśpiewania nam, byłibyśmy waszymi dłużnikami. Zabawiamy sami siebie nawzajem, to nic mistrzowskiego, lecz sprawia przyjemność i przypomina dom rodzinny.

Jadus uśmiechnął się szeroko.

— Uważam to za jedno z najładniejszych zaproszeń, od kiedy zostałem Wybrany, Medrenie! Talio, a co ty o tym sądzisz?

Kiwnęła głową bez słowa, zdumiona tym, że ktokolwiek mógłby szukać jej towarzystwa.

— Szczerze radzi przyjmujemy i z radością uczynimy, co w naszej mocy, by was rozweselić i zadowolić.

Śniada twarz Medrena rozpromieniła się w uśmiechu.

— Wielkie dzięki, panie Jadusie. Zaprosilibyśmy was już wcześniej, jeno myśleliśmy, iż stronisz od ludzi, chcąc zażyć samotności. Lecz kiedy rozpoczęliście wspólnie z dzieckiem naukę, ha, pomyśleliśmy, że chyba byliśmy w błędzie.

Dłoń Jadusa spoczęła dumnie na główce Talii.

— Zbyt długo żyłem wspomnieniami, jak myślę. Nadszedł czas, by ktoś zbudził mnie dla teraźniejszości. Świetnie, przyślecie kogoś po nas, gdy nadejdzie pora?

Medren skinął głową.

— W drugą godzinę po zachodzie słońca, Heroldzie, przyjdę osobiście. Życzysz sobie, bym zabrał twój przenośny fotel?

— O, myślę, że nie. Dam sobie radę o lasce z pomocą moich przyjaciół — odpowiedział i uśmiechnął się ciepło do Talii.

Medren uwinął się szybko. Gdy przekraczali próg Sali Służących, powitały ich entuzjastyczne okrzyki. Sala była ze trzy razy większa od Wspólnej Izby Kolegium, z czterech stron ogrzewana kominkami i oświetlona ustawionymi wzdłuż ścian oliwnymi lampami. Prowadziło stąd dwoje drzwi: na korytarz i do pałacowej kuchni. Przez środek sali biegły ustawione na kobyłkach długie stoły, dookoła których zasiadł tłum służących. Jadus wkroczył wolno. Radził sobie doskonale, wsparty na lasce i, dla lepszego utrzymania równowagi, opierając dłoń lekko na ramieniu Talii, która w obu rękach niosła ostrożnie jego harfę, bardzo dumna z tego, iż spotkała się z takim zaufaniem. Za pasem wetknięty miała mały, pasterski flet, otrzymany od niego w podarunku kilka dni wcześniej. Na dźwięk odgłosów serdecznego powitania rozszerzone oczy Jadusa rozświetliło wewnętrzne światło; wydawało się nawet, że jeszcze bardziej się wyprostował.

Przyjęto ich gorącymi i żywiołowymi wiwatami, bowiem Talia — choć o tym nie wiedziała — już dawno podbiła serca służby, nie użalając się nad sobą i mężnie stawiając czoła samotności. Jadus był także lubiany: po części dlatego, że

nigdy nie domagał się żadnych przywilejów, choć od dawna na nie zasłużył, a po części dzięki swemu bezpośredniemu zachowaniu czy to wobec służącego, czy też szlachcica.

Najpierw podano wieczerzę. Potrawy pojawiały się na stole w tej samej chwili, co podawane w Wielkim Gmachu; wszyscy po kolei obsługiwali siebie nawzajem. Po uczcie przyszedł czas na występy. Tak jak to powiedział Medren, nie były one „mistrzowskie”, ale może dzięki temu właśnie radowano się szczerzej. Przy dźwiękach prostych melodii ludowych, granych przez kilku muzyków-amatorów, zebrani ruszyli w tany. Drobniutka Talia aż fruwała ponad posadzką, okręcana przez co energiczniejszych tancerzy. Próbowano żonglerki i sztuczek kuglarskich, tym bardziej komicznych, że ich wynik nigdy nie był pewny.

Gdy wszyscy opadli już z sił i zapragnęli spokojniejszej rozrywki, przysła kolej na Talię i Jadusa. Najpierw solo zagrał Jadus. Jego wprawne palce jakby utkały zakłęcie ciszy, które zmusiło zebranych do milczenia. Podczas jego występu nie słyhać było żadnego dźwięku poza odgłosem trzaskających płomieni w paleniskach kominków. Kiedy skończył, przedłużająca się chwila milczenia była wzruszającym hołdem, złożonym jego talentowi. Nim czar przeminął, Jadus trącił łokciem swoją protegowaną i Talia przyłączyła się, grając na flecie melodie, których nauczyła się podczas długich, chłodnych nocy sezonu wypasania owiec. Muzyka była prosta, lecz przy akompaniamencie harfy Jadusa nabrała zupełnie nowego brzmienia i głębi. I znów zaległa wymowna cisza po skończonym występie, a po niej wybuchły burzliwe oklaski. Serce Talii wypełniła radość na widok twarzy Jadusa promieniejącej na nowo życiem. Była niezwykle rada, że zdecydowali się przyjść.

Następnie Talia zaśpiewała przy akompaniamencie Jadusa coś wybranego ze starych śpiewników: komiczną balladę, której nauczyła się przed wielu laty, zatytułowaną *W mroczną i sztormową noc*. Gromki śmiech, który towarzyszył ostatniemu wersowi o lutni, był tak serdeczny, że ani spostrzegłszy, Talia zarumieniła się z radości. Teraz i ona także wiedziała, jak mogą do głowy uderzać huczne brawa.

Na życzenie zebranych występowali wspólnie ze wszystkim, co znali, dopóki Talii z powodu późnej pory nie zaczęła się kiwać głowa, a Jadus przyznał, iż nawet jego palce zaczynają ulegać znużeniu. Talia pomogła mu powrócić do izby; sama nie bardzo wiedziała, jak udało jej się odnaleźć swą własną. Zanim wpadła w objęcia snu, pomyślała, że bez wątplenia były to najwspanialsze Święta Śródzimy, w jakich kiedykolwiek brała udział.



## SIÓDMY

Od czasu Śródzimowego Wieczoru w całym Kolegium i Kręgu Heroldów nie znalazłbyś trwalszej przyjaźni od tej, która złączyła Talię i Herolda Jadusa. Nawet po ponownym rozpoczęciu nauki w Kolegium, Talia co wieczór znajdowała chwilkę, by wpaść na lekcje nut i wspólne muzykowanie dla wprawy. Heroldowi jej obecność zdawała się sprawiać tyleż przyjemności, co i jej, i nawet to, że nieznani dręczyciele wznowili swą zabawę wkrótce po feriach, nie mogło zatruć szczęścia, którym przepełnione było serce Talii. Czasami uzmysławiała sobie, że gdyby nie Jadus i Rolan nieraz przyszłoby jej na myśl, by zrezygnować ze wszystkiego i uciec — dokąd jednakże, tego nie wiedziała wcale. Bez tych dwóch wiernych sprzymierzeńców byłaby bardziej nieszczęśliwa niż w Grodzie w najgorszych czasach. Zwiastunem, że nieznani dręczyciele nie dadzą jej spokoju, był kolejny, nie podpisany liścik, który wysunął się spomiędzy podręczników tuż przed lekcją muzyki. Wywołał prawdziwy potop łez i sporo Talię kosztowało doprowadzenie się potem do porządku.

Nie zdołała ukryć swojego przygnębienia przed Jadusem, zresztą zaczerwienione oczy zdradziły ją natychmiast. Nalegał — dobrotliwie, lecz nieustępliwie — by mu wyjawiała przyczynę strapienia.

— Wiesz przecież, że przenigdy nie zrobiłbym, ani nie powiedziałbym nic wbrew tobie, dziecko... — mówił miękkim głosem, w którym jednakże pobrzmiwała nutka stanowczości. Wcale nie podobało mu się bojaźliwe, niezdecydowane dziecko, w które zmieniła się Talia, jakże odmienna od dziewczynki, którą zdążył poznać i pokochać.

— Gdy ty jesteś nieszczęśliwa, to i ja szczęśliwy być nie mogę. Żądam, byś powiedziała, kto lub co jest tego powodem. Już wiesz, że mnie możesz zaufać.

Wolno skinęła głową, trzymając zaciśnięte dłonie na kolanach.

— W takim razie, powiedz mi, co cię dręczy. Może nawet będę mógł ci pomóc.

Ociągała się jeszcze, lecz nie mogła oprzeć się dobroci wyzierającej z jego oczu.

— M... m... musicie przyrzec, że nikomu nie powiecie o tym.

Złożył obietnicę, by nie utracić zaufania, jakim nikogo dotąd nie obdarzyła, ale zrobił to bardzo niechętnie.

— Jeśli powiesz tylko pod takim warunkiem, to... obiecuję.

— T... to było tak... — zaczęła i opowiedziała mu tylko o szturchańcach i wyrządzanych jej szkodach, ale ani słowem nie wspomniała o listach. Obawiała się, że pewnie i Jadus w coś tak niesłychanego nie uwierzy.

Wyczuł, że nie opowiedziała o wszystkim i to go zaniepokoiło. Jednak, związany obietnicą, niewiele mógł dla niej zrobić, jedynie pocieszać i udzielać rad. Miał nadzieję, że to wystarczy.

— Nie wychodź nigdzie samotnie, ha, już to wiesz. Jednak trzymaj się ludzi, których znasz: Sherrill, Skifa lub Jeri. Nikt z tej trójki ciebie nie skrzywdzi. I staraj się zawsze być w zasięgu wzroku nauczyciela. Wątpię, by nawet najchytrzejszy z prześladowców próbował jakiejś sztuczki pod okiem Herolda. I jeszcze jedno, malutka — delikatnie dotknął jej policzka, wywołując tym blady uśmiech — możesz mnie zawsze tutaj znaleźć; tu nikt, nie śmiałyby zamierzyć się na ciebie. A kiedy tylko będziesz miała ochotę wypłakać się przed kimś... No cóż, leży u mnie mnóstwo chusteczek.

Talia zaśmiała się cichutko i kiedy rozpoczynali lekcje muzyki, Jadus czuł się, jakby spotkała go hojna nagroda.

— Zawieraj przyjaźnie, dziecko — rzucił za nią na odchodnym. — Uczniowie-Heroldzi nie gryzą, ani nie będą próbować cię skrzywdzić, a im więcej będziesz miała przyjaciół, tym będziesz bezpieczniejsza. Przypomnij sobie, czy widziałaś lub słyszałaś, aby którykolwiek z nich nosił się kiedykolwiek z zamiarem jakiegoś okrutnego uczynku?

— Nie — musiała to przyznać.

— Wiem, że nie miałaś łatwego życia w Grodzie, ludzie często umyślnie zadawali ci ból, lecz w Kolegium jest zupełnie inaczej. Jeśli zaufałaś mnie, to ja ci teraz mówię: zaufaj i innym. Już choćby dlatego, że jako członek grupy staniesz się trudniejszym celem.

Jadus miał rację. Natychmiast okazało się, że liczba złośliwych psikusów zmalała. Złożyło się na to coś jeszcze: związanemu danym słowem Jadusowi z pomocą przyszli nauczyciele i starsi uczniowie. Zwłaszcza Keren, Teren oraz Sherrill doszli do wniosku, że coś dziwnego i nieprzyjemnego wisi w powietrzu i wprowadzili zwyczaj ostentacyjnego pilnowania Talii. Najwcześniej taką decyzję podjęła Keren, kiedy ponownie dostrzegła w zachowaniu Talii oznaki udręczenia. Nie odstępowała dziewczynki prawie na krok, nie ukrywając przy tym swej obecności. Wkrótce prześladowcy Talii nie mogli wsunąć niepostrzeżenie nawet owych tajemniczych liścików. Najwyraźniej nie chcieli ryzykować przyłapania na gorącym uczynku i przed końcem miesiąca wydawało się, że całkiem już zrezygnowali. Talia odzyskała pogodę ducha, a Jadus odetchnął z ulgą — choć nic po sobie nie dał poznać, bo zrobił to tylko w myślach. Nikt z nich nie przewidywał, że zanosilo się na coś znacznie gorszego.

I w Kolegium, i w Kręgu Heroldów popełniono ten sam błąd zakładając, że

podejrzenia, jakie wzbudziła śmierć Talamira, wystraszyły wrogą Heroldom partię i zaniechane zostaną wszelkie próby pozbycia się nowego Osobistego Herolda Królowej. A sprawa miała się zupełnie inaczej. Dręczycielami Talii byli pewni siebie, szlachetnie urodzeni Wolni Słuchacze, podjudzani przez swoich rodziców — dworzan, którzy mieli wszystko utracić, gdyby Elspeth została ocalona dla tronu, stawszy się prawdziwą, a nie ledwie przypuszczalną dziedziczką. Starsi spisownicy już dawno postanowili o losie Talii. W przypadku, gdyby nie udało się jej zmusić do dobrowolnego opuszczenia Kolegium, należało się jej pozbyć, imając się wszelkich dostępnych sposobów. Dotychczasowe próby spełzły na niczym, trzeba więc było sięgnąć po pewniejsze środki. Przyczaili się jedynie, czekając z wprowadzeniem w czyn swojego planu na chwilę, gdy Talia popełni błąd i zostanie sama. Szansa nadarzyła się im w najzimniejszy dzień roku.

Na szarym niebie wisiały ciężkie, ołowiane chmury. Śnieg skrzypiał pod stopami, a mróz kasał stopy Talii nawet przez podeszwy grubych butów z owczej skóry i trzy pary wełnianych skarpet. Mocny wiatr przejmował do szpiku kości i Talia postanowiła przejść ze szkolnej izby do sali ćwiczebnej dłuższą, osłoniętą nieco od podmuchów wiatru ścieżką, wzdłuż stajni. Pograżona w myślach ominęła stajnię, tuż za rogiem stwierdziła, że otoczyli ją Błękitni o wrogich twarzach. Zanim zdążyła pomyśleć o ucieczce, pochwycili ją, starając się unieruchomić ręce i nogi. Zaskoczenie trwało ledwie sekundę. Zaczęła się bronić, wykorzystując wszystko, co zdołał jej dotąd wpoić Alberich, który nauczył ją stylu „wszelkie chwytaki dozwolone”. Kopała, ciągnęła za włosy i gryzła bez skrępowania, a stłumione okrzyki bólu były świadectwem, że odczuli to na sobie, pomimo że całkiem nieźle chroniły ich grube zimowe ubrania. Co dziwne, wydawało się, że z jakiś powodów nie zamierzali wyrzucić jej krzywdy a jedynie unieruchomić. Wykorzystała tę ich niespodziewaną powściągliwość i wyrwała się, wykorzystując lukę pomiędzy dwoma napastnikami, zostawiwszy opończę w rękach trzeciego. Niemal udało jej się uciec, lecz ktoś rzucił za nią uprzężę i trafił w plecy, zbijając z nóg. Poleciała głową do przodu do dołu z świeżym, miękkim, nasiąkniętym wodą gnojem ze stajni. Od stóp do głów zanurzyła się w śmierdzącej masie, młócąc rękami, bezradna wobec obezwładniających ją nudności.

— Ależ z niej niezdarny gamoń! Spójrzcie na ten gnój! — gruchała słodkim głosem jedna z dziewczyn. — Jakże to dla niej straszne!

— Może wydaje się jej, że wróciła do domu — odpowiedział chłopak, gdy Talia próbowała zdrapać maź z twarzy i z oczu. — Lepiej wyczyśćmy ją, bo sama nie wie, jak się za to wziąć, to oczywiste.

Wyciągnęli ją, zanim sama zdążyła wydostać się z dołu, schwycili mocno, przewrócili na ziemię i zakneblowali usta kawałkiem szmaty, nim zdążyła zawezwać pomoc. Na zmianę zaczęli wcierać jej w twarz i włosy garście gnoju, jakby z zemsty za zadane im przez nią rany. Na koniec ktoś złapał ją za ręce, a ktoś inny za nogi. Wywlekli ją na zewnątrz, gdzie wszystko zamarzło w podmuchach lodo-

watego wiatru, tak że nie mogła nawet otworzyć oczu. Wciąż jeszcze próbowała złapać oddech po otrzymanym uderzeniu, które obaliło ją na ziemię. Wydawało się jej, że nigdy nie zaczerpnie tchu. W tej chwili najważniejsze na świecie stało się dla niej nabranie powietrza do płuc.

Na poły niosąc, na poły wlokąc, obijali i kaleczyli ją na kocich łbach. Nie wybiegała myślą wprzód, myślała jedynie o oddychaniu. Nie mogła odgadnąć, jakie są ich plany. Miała wrażenie, że znaleźli się w połowie drogi do granicy!

Nagle, gdy poczuła, że zaczynają wspinać się drogą pod górę, niejasno uświadomiła sobie Jakie są ich plany i zaczęła się rozpaczliwie wyrывać.

— Dalejże, do kąpieli, capku! — rozległ się przesycony nienawiścią głos młodego mężczyzny.

Próbowała się wykręcić, kopać z całych sił, ale na próżno. Byli od niej więksi i silniejsi, a na dodatek było ich więcej. Udało się jej jedynie rozluźnić ich chwyt tak, że tyłem głowy uderzyła o kamienny chodnik i na krótko straciła przytomność, ułatwiając im tylko zadanie. Poczuła, że leci w powietrzu i wpada w lodowate wody rzeki. Szok pozbawił ją nawet tej odrobiny tchu, którego udało jej się do tej pory nie utracić. Woda zamknęła się nad jej głową. Rozpaczliwie starała się wydostać na powierzchnię. Woda zalała jej gardło, gdy wyciągnąwszy knebel z ust zbyt wcześnie próbowała nabrać powietrza. Kiedy osiągnęła powierzchnię, dusząc się i krztusząc, w podmuchach lodowatego wiatru usłyszała czyjeś wołanie, głos cichnący w oddali.

— Żegnaj, gamoniu. Ukłoń się od nas Talamirowi.

Zaledwie przed tygodniem nieostrożny śmiałek utopił się tutaj, próbując przebyć rzekę po lodzie zamiast po moście. Talia zaczęła rozpaczliwie młócić wodę rękami wiedząc, że w lodowatej rzece przetrwał zaledwie kilka chwil. Gdy udało się jej sięgnąć lodu, który nie łamał się pod jej ciężarem, to był on zbyt śliski, by mogła go złapać. Nie było nic, o co mogłaby się zaczepić i oczywiście nie potrafiła sama się na niego wciągnąć. Nasiąknięte wodą ubranie, a zwłaszcza grube buty z baraniej skóry ciągnęły ją w dół, nieubłagany prąd odsuwał ją coraz dalej od brzegu. Czuła, jak skostniałe ręce i nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Nie była w stanie zbyt długo utrzymać ust ponad powierzchnią wody; nie mogła nabrać dość tchu, by zawezwać pomoc. W jej mózgu rozległ się krzyk pełen strachu.

Nagle — to było jak dar bogów — powietrze przecięło donośne rzenie i coś dużego i ciężkiego skoczyło do wody obok niej. Mocne zęby złapały ją za kołnierz i przyciągnęły do szerokiego, ciepłego, białego grzbietu, który znalazł się obok niej jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Rolanie!

Talia zakrztusiła się. Próbowała ucześcić się zgrabiętymi palcami jego grzywy lub ogona, podczas gdy on starał się ją podeprzeć. Przez chwilę wydawało się, że to się uda, lecz jej palce rozluźniły się i zaczęła się od niego odsuwać, wciągana przez niemiłosierny ciężar ubrania i mocny, rzeczny prąd. Lodowaty chłód ogar-

nał jej umysł, zelżał ostatni, słaby chwyt. Ciemności zalewały mózg, a woda na powrót wdzierала się do płuc, ale jej było już wszystko jedno.

Nagle coś szarpnęło ją za kołnierz. Wynurzyła się ponownie, kaszłąc i dusząc się w lodowatym powietrzu. Uparcie tliła się w niej iskierka życia. Holowano ją brutalnie po lodzie. Naraz wiele rąk wciągnęło ją na brzeg, gdzie tak długo okładano ją pięściami, aż wypłuła wodę z płuc do ostatniej kropelki. Jej uszy wypełnił gwar rozgniewanych, przestraszonych głosów. Została zawinięta w coś grubego i ciężkiego oraz napojona wrzącym płynem, który wycisnął z niej łzy i dławiał w gardle. Sprzed jej oczu zniknęły roztańczone iskierki, które wcześniej, gdy zaczęto dudnić po niej pięściami, zawirowały w otaczającej ją ciemności. Zobaczyła nad sobą zatroskane, trwożliwe twarze nauczycieli i swoich kolegów. Była bezpieczna. Zemdlała.

Odzyskała przytomność na tyle, by uświadomić sobie, że ktoś unosi ją, przekazuje w ręce jeźdźca, i że galopują aż pod samą bramę Kolegium. Jeździec nie wypuszczając Talii z rąk, zeskoczył z siodła i bez wysiłku wbiegł po schodach na piętro dormitorium. Przekroczywszy ozdobione portalem wejście, spoza którego wydobywały się kłęby pary, przekazał ją z kolei innym, którzy szybko i sprawnie zdarli z niej nasiąkniętą wodą, obrzydliwie brudne ubranie. Ponownie aż po szyję wylądowała w wodzie, tym razem jednakże cudownie cieplej, a trzy pary rąk zaczęły ją mocno nacierać mydłem. To przywróciło jej przytomność.

— Co... — zakrztusiła się. Gardło ją paliło. — Co się stało?

— Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć — powiedziała Jeri, mydląc z wigorem włosy Talii. — A fe, masz pełne włosy tego świństwa! Rolan usłyszał twój myśl-okrzyk o pomoc, zaalarmował resztę Towarzyszy, a one poderwały swoich Heroldów. Potem sam rzucił ci się na pomoc. O Panie Światła! Szkoda, że nie widziałas Kolegium — było tu jak w gnieździe rozeźlonych os! Ludzie wybiegali zewsząd jak szaleni! Większości udało się dotrzeć na brzeg w samą porę, by zobaczyć, że toniesz, osunąwszy się z grzbietu Rolana. Keren o źdźbło wyprzedziła innych. Prosto z siodła dała nura za tobą do wody, a Sherrill — tuż za nią. Udało im się ciebie wyciągnąć, a ja, kiedy wiedziałam już, że żyjesz, wróciłam do Kolegium zawiadomić Gospodynię i zacząć przygotowania, by można cię było rozgrzać. Gdy już zdołali wylać z ciebie wodę, Teren odstawił cię tutaj. Ta balia tonie w świństwach, zmieniamy wodę. Nie... — zawołała ostrzegawczo widząc, że Talia próbuje się podnieść. — Nie próbuj się ruszać, pozwól, że zrobimy wszystko za ciebie. Na głowie masz okropnie wyglądający guz, może zawrócić ci się w głowie i upadniesz.

Przenieśli ją do innej balii. Ciągle jednak czuła się przemarznięta do szpiku kości.

— Czy nic im się nie stało? — zdołała z siebie wykrztusić Talia.

— Komu? Sherrill i Keren? Czują się świetnie. Czyżbyś zapomniała: przecież one pochodzą znad Jeziora Evendim. Ratowanie ludzi na lodzie to dla nich nie

pierwszyna. A poza tym jeszcze dwóch jeźdźców tam było, gotowych odstawić je tutaj. Obie siedzą teraz, mocząc się w gorącej kąpieli, tak jak i ty.

— Siedzą? — Talia uniosła głowę, próbując rozejrzeć się dookoła, ale łaźnia zawirowała jej przed oczami. Pomieszczenie wydawało się osobliwie odwrócone, jak odbite w lustrze.

— C.. st..ło się z ł..łaźnią? — język ani myślał zachowywać się przyzwoicie.

— Jesteśmy po chłopięcej stronie, głuptasie — roześmiała się Jeri. — Tu było najbliżej. Przyjrzyj się dobrze, bo druga okazja może ci się nie przytrafić.

— Cicho — skarciła ją łagodnie Gospodyni Gaytha. — Talio, myślę, że udało nam się wymyć ciebie z tych obrzydliwości do reszty. Jak się czujesz?

— Wciąż mi z... zimno

Miała wrażenie, że tkwi w niej kawał lodu, którego gorąco nie zdołało roztopić. Upuścili nieco wody i dodali świeżej, górskiej; w końcu udało się jej opanować dreszcze i lekko rozluźnić. Nagła myśl spowodowała, że chciała się unieść, wkładając w to wiele wysiłku.

— Rolan!

— Czuje się świetnie — Jeri i Gospodyni Gaytha przytrzymały ją mocno, nie zezwalając, by się poruszyła. — Skok do lodowatej wody to dla niego fraszka. Na niego trzeba by znacznie więcej!

— Najgorzej było z wydzwignięciem go na brzeg rzeki. Nie wstrząsnął nim ani jeden dreszczyk, za to dumny był z siebie bez miary — odezwała się trzecia osoba, która do tej pory milczała. — Przypuszczam, że miał do tego prawo, bo więź między wami nie powinna być jeszcze tak silna, byście mogli wzywać się nawzajem myślą, nawet w panice. Masz szczęście, że w waszym przypadku sprawa miała się inaczej.

Choć wszystko wydawało się rozplýwać przed oczami Talii, w końcu udało jej się skupić wzrok na osobie, która mówiąc do niej, stanęła w pobliżu. Była to kobieta w pełnym stroju podróznym Herolda, o kanciastych rysach twarzy i szaroblond włosach. Na rękawie miała naszytą srebrną strzałę pośłańca do specjalnych poruczeń.

— Przepraszam, że nie zostałyśmy sobie właściwie przedstawione, Talio — uśmiechnęła się. — Jestem Ylsa. Być może Keren coś o mnie wspominała?

Talia kiwnęła głową i natychmiast tego pożałowała.

W głowie zaczęło walić jej jak młotem, a przed oczami wszystko rozplýnęło się jeszcze bardziej.

— Keren... chciała n... ci... bie p... czekać — powiedziała z trudem.

Ylsa dostrzegła szklane oczy i nieruchome źrenice dziewczynki i powiedziała ostro:

— Coś się dzieje, kotku?

— Jakoś nie za dobrze widzę i boli mnie głowa.

— Wiesz, co to jest? — Gospodyni zapytała Herolda stłumionym głosem.

Na czole kobiety pojawiły się niewielkie zmarszczki.

— Ha, nie jestem Uzdrowicielem, ale nie obce mi są zabiegi. Nie ruszaj się, kotku — zwróciła się do Talii. — To nie będzie bolało, ale może wywołać osobliwe uczucie w twojej głowie.

Zajrzała głęboko w szklane oczy dziecka i Talia poczuła pod czaszką jakby lekkie muśnięcie. To było rzeczywiście niezwykle dziwne uczucie. Ylsa jedną ręką dotknęła czoła Talii tak delikatnie, jakby to było ptasie pióro, plotąc coś przy tym swobodnym tonem. Wiedziała, że gadaniną stępi czujność dziecka na wypadek, gdyby coś poczuło.

— Właśnie przekraczałam bramę, kiedy rozległ się alarm. Keren łączy z jej ogierem najmocniejsza więź ze wszystkich, jakie widziałam; ruszyli w stronę rzeki ledwie Felara zdążyła przekazać mi, że stało się coś złego. Poderwaliśmy się do galopu tuż za nimi, ale nie zdołaliśmy nawet dotrzymać im kroku. Z bratem łączy Keren więź niemal tak samo silna, bo musiała przekazać mu, czego nam trzeba, zanim stanęłyśmy na brzegu. Przygalopował z kocami i linami tuż po tym, jak wskoczyła do wody. Wiedziałam, że razem z Dantristem stanowią świetną parę, ale żeby aż taką! W życiu nie widziałam nikogo, kto by tak potrafił pędzić i nawet nie wiedziałam, że z grzbietu Towarzysza można skoczyć do wody na główkę, i to w pełnym galopie!

Nie przestając mówić, Ylsa penetrowała umysł dziecka jak Uzdrowiciele, z którymi pracowała. Ponieważ nie miała formalnego wykształcenia, trwało to dłużej i nieodwracalnie weszła w bliższą z nią styczność niż zamierzała.

Właściwie to, co działo się w głowie Talii, nie było aż tak bardzo dziwne, jedynie wrażenia, że ktoś dotyka jej mózgu było silniejsze niż kiedykolwiek. Raz po raz rozbłyskiwały przed jej oczyma przedziwne, pogmatwane obrazy; miała wrażenie, że patrzy obcymi oczyma. Obrazy dotyczyły intymnych spraw Keren i tej obcej kobiety, mnóstwo w nich było odcieni zawiłych uczuć... Zarumieniła się zakłopotana, policzki jej stały się karmazynowe; Ylsa i Keren kochankami od bardzo dawna? Dlaczego jej mózg wytwarzał takie fantazje? Nawet nie znała tej kobiety. Spłoszona i zmieszana spojrzała na nią. Ylsa zrozumiałwszy, co dziecku podszeptują zmysły, pośpiesznie przerwała nić bezpośredniego porozumienia pomiędzy ich mózgami i patrzyła na Talię rozszerzonymi szacunkiem oczami. Najpierw wezwała myślą swego Towarzysza, a teraz coś takiego! Ylsa *widziała*, że jej myśli należą do jednych z najlepiej chronionych w całym Kręgu Heroldów. Tymczasem to niewyszkolone dziecko potrafiło odebrać coś, do czego mógłby dotrzeć jedynie prawdziwy mistrz. Nawet zakładając, że Ylsa — przystępując do badania — lekko uchyliła własne zasłony, to jednak skorzystać z tego mógł jedynie ktoś w pełni wyszkolony. Rzeczą oczywistą było, że to dziecko było kimś więcej, niż wskazywałby na to pierwszy rzut oka.

— Wstrząś mózgu — stwierdziła, — A jeśli była lekko przeziębiona przed wpadnięciem do wody, to jej stan się pogorszy. Lepiej zanieść ją do ciepłego łóżka

i oddać w ręce prawdziwego Uzdrowiciela, tak myślę.

„I im szybciej porozmawiam z Keren, tym lepiej!”, pomyślała w duchu. „Nie wiadomo, jakie myśli złowi to biedactwo, jeśli zacznie gorączkować. Niechaj jej opiekunowie doskonale panują nad własnymi myślami — dla jej dobra”.

W trójkę pomogły Talii wyjść z kąpieli i wysuszyć się, a potem ubrały ją w najcieplejszą koszulę nocną. Nie pozwoliły jej postawić samodzielnie ani kroku, tylko oddały w ręce Terena, który zaniósł ją do izby i położył do łóżka. Wcześniej ktoś rozgrzał pościel, co stwierdziła z wdzięcznością, gdyż na zewnątrz zaparowanej łaźni powietrze było zimne i zanim dotarli do jej izby, dostała dreszczy. Zaczęła mieć kłopoty z postrzeganiem rzeczywistości. Ledwie owinięto ją starannie kocami, a zobaczyła obok siebie obcą postać, która wyłoniła się znikąd i jakby wyczarowana stanęła obok łóżka. Twarz o delikatnych rysach nie nosiła ani śladu zarostu, co powodowało, że tajemniczy przybysz wyglądał niedorzecznie młodo. Miał na sobie ubranie w zielonym kolorze Uzdrowicieli. Trzymał dłoń o ułamek cala nad jej czołem i wyglądał na bardzo skupionego. Teraz dopiero Talię zaczęła naprawdę boleć głowa, czuła się jakby ktoś wbijał jej do czaszki, tuż za oczami, sztylety. Na dodatek rozboleło ją całe ciało, klatka piersiowa piekła przy oddychaniu. Korciło ją, by kaszlnąć, ale miała wrażenie, że głowa by jej pękła, gdyby odważyła się to zrobić.

Młody Uzdrowiciel cofnął rękę i rzekł do kogoś stojącego za drzwiami:

— Na pewno wstrząs mózgu, choć czaszka nie wydaje się uszkodzona. Jestem pewny, że zwróciliście uwagę na gorączkę: istnieje groźba zapalenia płuc.

Odpowiedzią był pomruk, a Uzdrowiciel pochylił się tak, że jego twarz znalazła się naprzeciw oczu Talii.

— Przez jakiś czas będziesz bardzo chorą panienką, dziecko — powiedział szeptem. — To nie jest coś, z czego byśmy nie mogli cię uleczyć, mając w zapasie czas i cierpliwość, ale nie będzie to zbyt przyjemne. Czy mogę w tym liczyć na ciebie?

Skrzywiła się i wyszeptwała:

— Chcecie bym piła driakwie? Wywar z kory wierzbowej?

Uzdrowiciel roześmiał się.

— Obawiam się, że będzie to najmniej obrzydliwe ze wszystkiego. Czy zniesiesz teraz pierwszą porcję?

Lekko skinęła głową, bojąc się, że znów obudzi się w niej łupiący ból. Uzdrowiciel przez dłuższą chwilę krzątał się dookoła kominka i wrócił do niej z zieloną, wyglądającą naprawdę obrzydliwie substancją. Z jego pomocą przełknęła ją tak szybko, jak tylko mogła. Nieznane lekarstwo było o wiele silniejsze od naparów Keldara z kory wierzbowej i Talia stwierdziła, że ból głowy zaczyna ustępować, a jego miejsce zajmuje ociężałość, której wkrótce uległa nawet świadomość, i Talia mocno zasnęła.



Obudziły ją światła świec i płomieni na kominku. Ktoś siedział w cieniu obok łóżka. Miękkie dźwięki harfy zdradziły, kim był.

— Herold Jadus? — wyszeptała. Miała zbyt piekące i opuchnięte gardło, by wydobyć z siebie głośniejszy dźwięk.

— Dlaczego tak oficjalnie, mały przyjacielu? — zapytał, odkładając harfę i pochylając się, by położyć swą dłoń na jej rozpalonym czole. — Jak się czujesz?

— Zmęczona. Jest mi zimno. Głowa mnie boli. Wszystko mnie boli!

— Głodna?

— Pić — wychrypiała. — Co tutaj robicie, panie?

— Pragnieniu możemy zaradzić, jeśli zechcesz przełknąć jeden z kolejnych, diabelskich naparów Devana. A co do powodów, dla których jestem tutaj, to proste. W chorobie potrzebny ci jest opiekun, a ja mam mnóstwo czasu dla mojego przyjaciela Talii. — Podał jej kubek z tymi samymi zielonymi driakwiami, które już raz piła. Z zadowoleniem kiwał głową, widząc jak szybko je przełknęła, a potem podsunął drugi kubek, pełen bulionu.

— Pilnujemy ciebie po kolei na zmianę, a więc bądź o mnie spokojna, nie zdziw się też na widok Ylsy lub Keren. Aha, Devanie, tak jak przewidziałeś — obudziła się!

Bezszelестnie w polu widzenia pojawił się znajomy Uzdrawiciel i uśmiechnął się do niej.

— Twarde z ciebie małeństwo, co? Czasami takie bachory znad granicy, jak my dwoje, mają swoje zalety.

Talia zamrugła do niego znad brzegu kubka jak puszczyk.

— Jak długo... chora? — zaskrzeczała.

— Kilka tygodni, może dłużej, i zanim będzie lepiej, poczujesz się gorzej. Pocioszyłem cię, co?

Zdobyła się na słaby uśmiech.

— Lepsza prawda.

— Tak myślałem, że będziesz wołała usłyszeć prawdę. Możesz mieć przywidzenia, kiedy wzrośnie gorączka. Zawsze ktoś będzie przy tobie, a więc bez obawy. Zaczynasz być śpiącą?

— Uhm — przyznała się.

— Dokończ więc bulion i odpocznij sobie. Oddaję cię w ręce Herolda Jadusa. — Wyszedł tak cicho, jak się pojawił.

— Czy masz jeszcze jakieś życzenie, dziecko? — zapytał Jadus z wyraźną ulgą w głosie i Talia niejasno domyśliła się, że pewność siebie Uzdrawiciela rozproszyła nieco jego obawy. Odebrał z jej ospałych rąk pusty kubek.

— Zagracie dla mnie?

— Wystarczy tylko poprosić — odpowiedział, a jego głos zdradził, że jest nad wyraz zadowolony z jej prośby.

Utonęła we śnie przy dźwiękach harfy.

Męczyły ją złe sny i ból. Ktoś — mogła to być Ylsa — ukoił jej paniczny lęk, podał kubki z bulionem i medykamentami. Budziła się i zasypiała nieskończoną ilość razy, posłusznie pijąc to, co przykładano do jej ust, pozwalając odprowadzać się do łaźni i toalet — poza tym nie zdawała sobie sprawy, co się z nią dzieje. Zamarzała, to znów na zmianę parzył ją ogień. Żyła w śnie, w którym postaci z Grodu mieszały się z osobami z Kolegium i dopuszczały się najbardziej nie-dorzecznych rzeczy. Gdy pojawiały się koszmary, kołysała Talię dźwięki harfy lub czyjeś czułe ręce.

Otworzywszy w końcu szeroko oczy, ujrzała wpadające przez okno promienie słońca. Ból pod czaszką przyprawiał ją o mdłości; pomacała tył głowy i aż skrzywiła się, gdy jej palce natrafiły na opatrunek.

— Boli, prawda? — tuż obok łóżka rozległ się głos szorstki, jednak zabarwiony współczuciem.

Odwróciwszy ostrożnie głowę, Talia zobaczyła, że miejsce Jadusa tym razem zajęła Keren. Siedziała rozparta wygodnie na krześle, z nogami na stojącym przed nią biurku i z ułożonym w poprzek ud obnażonym mieczem.

— Nic ci się nie stało! — z ulgą wychrypiała Talia.

Keren uniosła brew.

— Zapominasz centaurku, że *ja* wpadłam do wody z własnej woli i zrobiłam to w sposób nieco bardziej kontrolowany od ciebie. Do kroćset, co za szczęście, że jesteś tutaj, zsunęłaś się z grzbietu Rolana prosto pod lód. Prawie nie mogłam cię dosięgnąć, jeszcze włos, a nie znaleźlibyśmy cię do roztopów wiosennych.

Ponownie przed Talią zamajaczyły jakieś obrazy i miała wrażenie, że patrzy obcymi oczami. Tym razem towarzyszył temu potworny strach. Jednakże nie był to jej strach. Ujrzała samą siebie, wyciąganą spod grubej tafli lodu, który pokrywał niemal całą rzekę. Zobaczyła, co się potem stało. Słowa padły, zanim zdążyła pomyśleć nad nimi.

— Nurkowałaś pod lodem za mną... — powiedziała, czując, jak zdumienie miesza się w niej z przerażeniem — ...mogłaś zginąć!

Keren niemal zatkało.

— Na sieci Pani, Ylsa miała rację! Przy tobie lepiej zważać na swoje myśli, żebyśmy nie pomyślały naraz o czymś, o czym byśmy nie chciały! A wracając do rozmowy: skoro i tak o tym wiesz — a niech mnie, tak niewiele brakowało. Na szczęście tuż za mną zjawiała się Sherrill i kiedy już cię złowiłam, mogła nas obie wyciągnąć spod wody tym bardziej, że starczyło mi zdrowego rozsądku, by złapawszy przy siodle jeden z zapasowych postronków Ylisy, przypiąć go do pasa w drodze do rzeki. Sherrill zobaczywszy, jak wlecze się za mną, złapała się tego obiema rękami. Na szczęście była już kiedyś ratownikiem na lodzie.

— Nic jej się nie stało?

— Och, nie. Z niej jest taki nie do zdarcia stary wąż, jak ze mnie. Przeziębła się. Nie użalaj się nad nią, proszę. Od kiedy znalazłaś się poza czymkolwiek zasięgiem, pozostali uczniowie wydziwiali nad nią niewiarygodnie. Została ich bohaterką, wpakowali ją do łóżka i byli na każde skinienie jej ręki, a nawet nogi, aż po przeziębieniu nie ostał się nawet katar.

— Co to znaczy, że znalazłam się poza zasięgiem? Dlaczego? I dlaczego siedzisz z nagim mieczem na kolanach? O czym mi nie powiedziałaś?

Keren pokręciła głową ponuro.

— Wyglądasz tak niewinnie, bezbronne, naiwnie! Ale nawet z rozbitą głową, zapaleniem płuc, ledwo żywa, nie przypuszczasz niczego, co? Ha, malutka, bez sensu ukrywać przed tobą, że pilnujemy ciebie. Złapano sprawców odpowiedzialnych za twoją kąpiel w rzece. Masz przyjaciół w Skrzydle Służących, którzy zauważyli, jak wracają utyłani gnojem. Przysięgali, że zrobili to dla kawału. Dla kawału! Królowa mogła ich w świetle prawa jedynie wypędzić z Dworu i Kolegium, ponieważ nie było świadka, który zadałby im kłam; nie miała innego wyboru. Ja bym kazała sobie przynieść ich głowy. . . — Talia odczuła jej gniew, który krył się pod szyderczym stwierdzeniem — . . . albo jeszcze lepiej ich skóry, ale ja nie jestem Królową, a zgodnie z prawem zrobić można tyle, ile można. Skoro udało ci się przeżyć ich mały „żarcik”, nie mogła na nich rzucić Zaklęcia Prawdy.

— Jeden z nich kazał mi kłaniać się od siebie Talamirowi. To było tuż przed przybyciem Rolana — powiedziała cichutko Talia.

Keren gwizdnęła i Talia poczuła, jak narasta w niej gniew.

— Do krośset! Jaka szkoda, że nie mogliśmy *tego* przedstawić Radzie, gdy przyszło do oskarżeń! No cóż, nikt i tak im nie wierzył, a więc Ylsa, Jadus i ja pilnowaliśmy ciebie na zmianę. Jadłem dla ciebie osobiście zajął się Mero, a Teren odbierał je prosto z jego rąk.

— Jadus? — Talia spojrzała z powątpiewaniem na miecz Keren.

— Nie daj się zwieść. Nie myśl, że bez jednej nogi jest bezradny, koteczku. Przez cały czas miał pod ręką napiętą kuszę, a w jego lasce kryje się miecz. Każdy napastnik spotkałby się z tą niespodzianką z piekła rodem.

— Czy to wszystko naprawdę konieczne? — zapytała Talia czując, że ogarnia ją prawdziwy lęk.

— Niebezpieczeństwo istnieje i usprawiedliwia podjęcie kilku prostych środków ostrożności. Krąg i tak przzerzedził się znacznie, więc nie mamy zamiaru przez nieostrożność i ciebie utracić — Keren przerwała, by po chwili dodać, na poły rozgniewana, na poły urażona — i na przyszłość, dziecko: mów, jeśli coś złego się dzieje! Mogliśmy tego wszystkiego uniknąć, może nawet zdybać tego rzepa, który przyczepił się twego ogona! Heroldowie zawsze trzymają się razem, do licha! Myślałaś, że ci nie uwierzimy?

— Ja. . . tak. . . — powiedziała Talia przerażona, że niesforne usta znów ją wydały i, co gorsza, po policzku powoli płyną łzy, których nie mogła powstrzymać.

Keren zerwała się z krzesła i jednym skokiem znalazła się u jej boku. Przytuliła Talię do mocnego ramienia, jej gniew zamienił się w mgnieniu oka w troskę i lekkie poczucie winy.

— Kochanieńka, kochanieńka, nie chciałam cię martwić. Chcemy być z nami była, potrzebujemy ciebie. Utrata ciebie byłaby dla nas śmiertelnym ciosem. Musisz nauczyć się nam ufać. Jesteśmy twoją rodziną. Nie, czymś więcej! I my nigdy ciebie nie opuścimy. Choćby nie wiem co!

— P... przepraszam — płakała Talia, próbując zapanować nad sobą i odsunąć się od Keren.

— Nie, proszę. Czas najwyższy być wyrzuciła wszystko z siebie — rozkazała Keren. — Płacz, ile dusza zapagnie. Jeśli mój brat bliźniak nie myli się, a tak jest zazwyczaj, masz sporo do nadrobienia.

Takiej troskliwości i szczerości nie można było się oprzeć i wdzięczna za nie Talia bez słowa uległa. Prysły wszelkie zahamowania. Keren tuliła ją, jakby była jej własnym dzieckiem pozwalając, by wypłakała się do cna.

— Lepiej ci teraz? — zapytała Keren, gdy spłynęła ostatnia łza.

Talia uśmiechnęła się leciutko.

— Chyba tak.

— Tyle że teraz boli cię głowa i pieką oczy. Następnym razem nie pozwól, by coś takiego narastało w tobie zbyt długo. To między innymi po to ma się przyjaciół. Czas pomówić o twej nowej zdolności *myśloczucia*...

— To prawda? Ja czuję to samo, co ty? I ty i Ylsa... — wyrwało się zmieszanej Talii. — A skąd się to u mnie wzięło? Przedtem nie potrafiłam tego robić?

— Wciąż odbierasz moje myśli i uczucia? Do kroćset! — Keren skupiła się na chwilę i nagle Talia przestała być zalewana wprawiającymi w zmieszanie emocjami. — Tak jest lepiej? Doskonale. O, tak. *Myśloczucie* jest jak najbardziej prawdziwe i niepokojąco dokładne. Jedynie w Kręgu wiedzą o mnie i o Ylsie. Nie mogłyśmy przed nimi tego ukrywać, nawet gdybyśmy chciały — weź pod uwagę obecnych tam Obdarzonych. Łączą nas więzy życia. Nie sądzę, abyś słyszała o czymś takim — nie słyszałaś, co?

— Tak jak Vanyel i Stefen? Albo Słoneczny Pieśniarz i Tancerz Cieni?

Keren była zdumiona, choć znając już miłość Talii do opowieści, nie powinna być zbyt zaskoczona, że dziewczynka dowiedziała się o więzach życia. Więź życia — rzadkość pomiędzy Heroldami, jeszcze rzadsza pośród zwyczajnej ludności — była czymś wyjątkowym, co wykraczało poza sprawy czysto fizyczne.

— Tak, to prawda, nie aż tak dramatycznie, ale jak Vanyel i Stefen. Ha, myślę, że to uderzenie w głowę albo obezwładniający strach obudziły w tobie Dar wcześniej. Czasami tak się zdarza. Gdybyś *nie była* Osobistym Heroldem Królowej, ani by nam się śniło uczyć cię posługiwania się nim przez najbliższe parę lat, ale ty jesteś pod każdym względem przypadkiem wyjątkowym. Czy chcesz się tego uczyć?

— Błagam, darujcie mi kolejne, dodatkowe lekcje. . . — prosiła Talia.

— Dobrze, kochanieńka, w takim wypadku — zaśmiała się Keren — zostawimy rzeczy takie, jakimi są. Możliwe, że kiedy zagoi się twoja głowa, Dar opuści cię. Widywałam już takie przypadki. Lecz jeśli stanie się dokuczliwy, powiedz o tym komuś, zgoda? — przerwała na chwilę, patrząc badawczo na Talię. — Czy nie niepokoi cię to, co jest między mną i Ylsą?

— Nie — odpowiedziała Talia, sama tym odrobinę zaskoczona. — A powinno? To znaczy. . . w Grodzie jest mnóstwo. . . hmm. . . szczególnych przyjaźni.

— Naprawdę? — zdziwiona Keren uniosła brwi. — Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Takie stare grzyby jak oni. . . Jednak to rozumiałe, jak sądzę. . . Pomyśleć o wszystkich tych Młodszych Żonach i tak niewielu małżeństwach z miłości! — Widać było, że poczuła ulgę. — Nie zaprzeczę: cieszę się, że usłyszałam to od ciebie. Masz dojrzałą głowę w wielu sprawach, kochanieńka. Zaczynasz być mi tyleż przyjacielem, co uczniem i nie chciałabym, by cokolwiek stanęło na drodze naszej przyjaźni.

— Ja, twoim przyjacielem? — Widać było, że wystraszyło to Talię.

— Zaskoczona? Przecież Jadus uważa ciebie za swego przyjaciela, a od lat przecież nie otworzył się przed nikim. Jest w tobie coś, czego nie mogę uchwycić: zachowujesz się czasami jak osoba dużo starsza, może to wynika z tego, że jesteś Osobistym Królowej. Pani wie, że nie mogę pamiętać Talamira w wieku chłopięcym. Ty wydajesz się mi kimś, kogo znam i ufam od wielu lat — jak młodsza siostra, bliska mi jak bliźniak i — do kroćset — to dziwne zważywszy, że mam siostrzeńca i .siostrzenicę prawie w twoim wieku. Nie ja jedyna to tak odczuwam. Tak jak powiedziałam: jest jeszcze Jadus, Sherrill, Skif i pewnie znaleźliby się inni.

Talia przyjęła to za prawdziwy cud.

— Dość tego. . . Jak tam twoja głowa?

— Okropnie.

Keren obmacała opatrunek delikatnymi, zręcznymi palcami.

— Kochanieńka, szczęśliwy los stał przy tobie w tym wszystkim. Cał albo dwa niżej, a w wodzie wylądowałabyś nieprzytomna lub sparaliżowana, poszłabyś na dno jak kamień i nigdy byśmy nie dowiedzieli się, co się z tobą stało. Przełkniesz jeszcze trochę tego ohydneho, zielonkawego naparu? Stłumi przynajmniej ból.

Talia wolno kiwnęła głową i Keren podała jej kubek mikstury, by na powrót zająć pozycję na krześle, z nogami na biurku i mieczem w poprzek ud.

— Ile opuściłam zajęć?

— Nie ominęło cię nic takiego, czego nie można by szybko uzupełnić, zwłaszcza że jesteś zwolniona z codziennych obowiązków i nie będziesz musiała znosić troskliwości Albericha do czasu, aż całkiem nie wydobrejesz. Jeśli zawiodą cię oczy, będziemy ci czytać, a nie ma osoby w Kolegium, która nie ofiarowywałaby ci swoich zapisków. Wystarczy?

Talia właśnie miała odpowiedzieć, kiedy rozległ się głęboki, posępny dźwięk bijącego gdzieś niedaleko dzwonu, którego dotąd jeszcze nigdy nie słyszała. Keren zeszywniała, podrywając głowę przy pierwszym uderzeniu.

— Do kroćset — zakłęła miękko, ale jadowicie. — Och, *do kroćset!*

— Co to? — Talii nie podobała się stężała i gorzka twarz Keren. — Co się stało?

— To Dzwon Śmierci — Keren patrzyła nie widzącym spojrzeniem w okno, po policzkach popłynęły jej łzy, których nie starała się ukryć. — Bije, gdy umiera Herold. To znaczy, że dranie dostali jednego z nas i to jednego z najlepszych. O bogowie, dlaczego to musiał być biedny Beltren?

## ÓSMY

W kilka chwil po pierwszym uderzeniu w dzwon do drzwi Talii ktoś cicho zapukał. Zanim Keren zdążyła odpowiedzieć, do środka wsadził głowę Skif.

Keren opuściła miecz, który odruchowo wymierzyła w stronę drzwi.

— Keren — odezwał się niepewnie Skif — przysyła mnie twój brat. Pomyślał, że może będziesz chciała spotkać się z resztą. Mogę popilnować Talii.

Keren zapanowała nad sobą z wyraźnym wysiłkiem.

— Jesteś pewny? Wiem, że *wydaje* ci się, że jesteś dobry, młodzieńcze. . .

Talia nawet nie dostrzegła, kiedy drgnęła ręka Skifa, ale w ścianie nagle pojawił się rozedrgany nóż, nawet nie o cal od nosa Keren. Obie popatrzyły na niego zdumione.

— Ha! — było jedyną odpowiedzią Keren.

— Zgoliłbym muchę z twojego dzioba nawet go nie drasnawszy — powiedział Skif poważnie, bez śladu zwykłej u niego chełpliwości. — Wiem, że we wszystkim innym czeka mnie daleka droga, ale w tym nawet Alberich nie może mnie pobić. — Uniósł prawą rękę ze sztyletem takim samym jak pierwszy. — Ktokolwiek spróbuje wtargnąć tutaj, będzie musiał jakoś poradzić sobie z sześcioma calami żelaza w gardle.

— Wierzę ci na słowo. — Keren wstała i schowała miecz do pochwy. — Możesz tego żałować, bo pewnie od tej pory będziesz musiał razem z nami pilnować Talii na zmianę.

— No więc? Zgłosiłem się na ochotnika, ale Ylsa nie wzięła moich słów poważnie.

— Ha, za to ja wezmę. — Minęła go, zapraszając do izby. — Dziękuję, młodzieńcze. Masz dobre serce.

Skif tylko wrzucił ramionami i wyrwał sztylet ze ściany.

— Co się dzieje? — Głos Talii był zachrypnięty. — Co to takiego: Dzwon Śmierci?

Skif usiadł ze skrzyżowanymi nogami na blacie biurka. Z jego oblicza biła niezwykła powaga.

— Czego chcesz się dowiedzieć najpierw?

— O Dzwonie.

— Dobrze, ponieważ nie wiem, co wiesz a czego nie, zacznę od początku: w Gaju na Łące Towarzyszy stała mała świątynia z dzwonnica — to Król Valdemar kazał ją tam wystawić. Jednak w dzwonnicy nie było dzwonu, pojawił się w niej dopiero na dzień przed śmiercią Króla — tyle że nie miał on ani serca, ani nie wisiał przy nim sznur, którym można by go rozkołysać. A więc możesz sobie wyobrazić, jak wystraszyło to ludzi, kiedy ten dziwny dzwon zaczął bić przed świtem następnego dnia. Gdy wyszli, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzeli to samo, co ujrzalabyś i ty, gdybyś znalazła się teraz na Łące — Towarzyszy zebranych dookoła dzwonnicy i w nią wpatrzonych. Powróciwszy do Pałacu, ludzie stwierdzili to, o czym wiedzieli już Heroldowie — umarł Król Valdemar. Świątyni nie ma już od dawna, ale dzwonnica wciąż stoi, i Dzwon Śmierci bije za każdym razem, gdy umiera Herold.

— A Keren?

— Każdy Herold czuje, kiedy śmierć zabiera kogoś z ich kręgu, i czy była naturalna, czy nie. Zwykle uczucie to zaczyna się pojawiać mniej więcej po trzecim roku pobytu w Kolegium — wcześniej, jeśli Dar jest silny. W moim przypadku to jeszcze nie nastąpiło. To boli, tak mi powiedziano, jakby umierała cząsteczka ciebie. Ci, których Dar jest najsilniejszy, mogą znać wiele szczegółów. W chwili, gdy Dzwon zaczyna bić, Herold zawsze wie, kogo spośród nich spotkał zły los, i zna mniej więcej okoliczności jego śmierci. Większości łatwiej jest to znieść, zebrawszy się razem, zwłaszcza jeśli był to dobry przyjaciel. To dlatego Herold Teren przysłał mnie — Beltren był przyjacielem z roku Keren.

Talii nie przyszło do głowy nic, co by mogła powiedzieć i wspólnie ze Skifem długo patrzyli smutno przez okno, słuchając uderzeń Dzwonu, które brzmiały tak, jakby zimny metal łkał.

Dopiero za kilka dni dotarły do Kolegium wieści, co naprawdę przytrafiło się Beltrenowi. Nie były one dobre: ktoś albo coś zastawiło na niego pułapkę — został zepchnięty razem ze swoim Towarzyszem w przepaść. Nie było żadnej wskazówki, kim byli zabójcy, a jeśli Królowa nawet znała powody jego śmierci, to nie wyjawia ich.

Z każdym dniem smutek otoczenia pogłębiał się i stawał się coraz bardziej dojmujący. Talii boleśnie dawała znać o tym jej nowo odkryta w sobie wrażliwość. Osłabiona, z trudem radziła sobie z natłokiem napływających do niej zewsząd dokuczliwych uczuć innych. Skif, który — jak zapowiedziała Keren, został włączony w poczet trzech dorosłych wartowników — robił, co mógł, by podnieść ją na duchu, opowiadając ploteczki z Kolegium, sypiąc jak z rękawa swymi absurdalnymi opowieściami, ale nawet on nie mógł ukoić żałoby.

W końcu nadszedł rozkaz Królowej i Heroldowie posłusznie pomknęli jak wystrzelone strzały, których miano nosili. Talia nigdy nie poznała szczegółów ich misji, ale zabójca został schwyty. Jednak nawet ta wiadomość oraz skazanie winowajcy nie zmniejszyły żalu wszystkich, bo Beltrena otaczano w Kręgu He-



roldów wielkim szacunkiem. Całe Kolegium, a także przebywający na Dworze członkowie Kręgu, zebrali się w kilka dni później na uroczystym pogrzebie, choć jak to często się zdarzało, nie było ciała, które można by pochować. Tak więc oddano jedynie hołd zmarłemu przy samotnej kolumnie z wyrytymi imionami wszystkich Heroldów, którzy poświęcili swe życie za Monarchę i Królestwo.

Talii dopiero co pozwolono wstać z łóżka, lecz coś podszeptało jej, by prosić Uzdrowiciela Devana o pozwolenie wzięcia udziału w pogrzebie. Ulegając jej usilnym prośbom, zaskoczony siłą uczuć, które nią powodowały, Devan udzielił zgody, zresztą wbrew własnemu zdrowemu rozsądkowi. Talia nikomu się jeszcze nie przyznała, jak mocno przeżywała żałobę. Miała nadzieję, że — tak jak powiedziała to Keren — jej wrażliwość z czasem ją opuści. Nieraz zarzucano jej nadpobudliwość i nadmierną wyobraźnię, nie była więc pewna, ile z tego wszystkiego było wytworem jej własnego umysłu.

Ceremonia okazała się dla niej niezbyt zrozumiała; wszystko zdawało się tonąć w powodzi smutku spowodowanego stratą. Przez cały czas stała we mgle bólu, pewna tylko jednego: tym razem nie zadaje go sobie sama. Gdy zebrani zaczęli się rozchodzić, źródło śmiertelnego smutku stało się wyraźniejsze, określone. Była nim sama Królowa.

Od owego pierwszego dnia w Kolegium Talia nie znajdowała się nigdy tak blisko Selenay. Nie śmiałyby jej niepokoić, gdyby nie to, że cierpienie Królowej przyciągało ją z siłą nie do odparcia. Zbliżyła się nieśmiało i tak cicho, jak tylko mogła.

— Wasza Wysokość? — odezwała się z wahaniem. — To ja, Talia.

— *To ja* posłałam go na śmierć — zaczęła Selenay, jakby w odpowiedzi na dręczące ją wątpliwości. — Wiedziałam, dokąd go wysyłam, ale posłałam go mimo wszystko. To ja go zabiłam, tak samo jakbym osobiście zepchnęła go w objęcia śmierci.

Ból i poczucie winy przebijające w głosie Królowej spowodowały, że Talia bezwiednie powiedziała:

— Dlaczego starasz się przekonać siebie, że Beltren nie znał grożącego mu niebezpieczeństwa? — Wiedziała, że te słowa to szczerza prawda, ale nie miała pojęcia, skąd przychodzą one jej do głowy. — Zdawał sobie doskonale sprawę i pomimo tego wyruszył. Nie spodziewał się śmierci, ale liczył się z taką możliwością. Wasza Wysokość, my wszyscy wiemy, że to może nas spotkać, i to w każdej chwili, lecz i ty nie miałaś wyboru. Czyż nie było to bezwarunkowo konieczne?

— Tak — Królowa przyznała niechętnie.

— I czyż nie był on najlepszym, być może jedynym Heroldem, który mógł tego się podjąć?

— Był jedynym, który mógł przekonać ludzi z tego okręgu, by wyjawili po-

trzebną mi informację. Pracował tam od trzech lat jako mój agent. Znali go i ufali mu.

— I czyż nie przekazał ci tej wiadomości? Czy można ją było czymś zastąpić?

— To, czego dowiedziałam się od niego, oszczędzi nam wojny — westchnęła Selenay. — Szantażem można czasami dokonać cudów, nawet pomiędzy władcami. Posłużę się nim z radością wobec Relnethara, jeśli to utrzyma go z dala od naszych granic. O Pani, wiesz, że użyłam wszelkich innych sposobów. . .

— W takim razie nie miałaś wcale wyboru, działałaś dla dobra nas wszystkich i naszych ludzi. Jedynie ty masz prawo podejmować takie decyzje. Wasza Wysokość, na zajęciach z orientacji powiedziano nam bez ogródek, że Herolda może spotkać śmierć — niewykluczone, że straszna — zanim będzie miał czas pomyśleć, co robić na starość. Wszystkim to mówią, lecz nigdy nie powstrzymało to nikogo przed włożeniem Bieli Herolda. To jest coś, co *musimy* robić, tak jak ty musisz podejmować trudne decyzje. Wynika z tego, że, jak myślę, musimy robić to, o czym wiemy, iż jest słuszne — ty jako Królowa i my, twoi Heroldowie. Ja wiem, że Beltren, stanąwszy tutaj w tej chwili, powiedziałby, iż po prostu dokonałaś jedynego słusznego wyboru.

Królowa wpatrywała się w Talię rozjaśnionymi od wezbranych łez oczami, lecz dziewczynka poczuła, że śmiertelny żal zaczął jej mniej doskwierać.

— Dziecko — wolno powiedziała Królowa — sama niemal zginęłaś z powodu moich uczynków, albo też z powodu mojej bierności. Jak możesz stać tu przede mną i mówić, że chętnie poświęciłabyś życie?

— Nie — powiedziała szczerze Talia. — Okropnie się bałam, nie chciałam umrzeć i dalej nie mam na to ochoty, ale jeśli tak się stanie, to trudno. Dokonałam wyboru: chcę być Heroldem i nawet wiedząc, że jutro spotka mnie śmierć i tak nie zmieniałabym zdania.

— Och, Talio. . . dziecko. . . — Królowa usiadła nagle na brzegu pomnika.

Talia nieśmiało dotknęła jej ramienia i usiadła obok. Powodowały ją dziwne uczucia. Miała wrażenie, że jest taka malutka i niezdarna, a jednak coś pchało ją, by tak właśnie postąpić — widocznie było to słuszne, bo rozluźniona Selenay uroniła kilka gorzkich łez, pozwoliwszy sobie na chwilowy luksus nie polegania wyłącznie na własnych siłach.

— Skąd u ciebie taka mądrość w tak młodym wieku? — powiedziała w końcu Królowa, biorąc się w garść. — Nie upłynął nawet rok, od kiedy jesteś w Kolegium, a już prawdziwy z ciebie Osobisty Herold Królowej. Spotkałabyś się z pochwałą Talamira. . . tak myślę. — Wstała z gracją, ponownie jej twarz zamieniła się w nieskazitelną maskę.

Talia wyczuła, że choć wciąż nosi w sobie żalobę, przestała się uginać pod brzemieniem winy.

— Lecz wciąż jeszcze nie czujesz się najlepiej, malutka, i jak widzę twoi opiekunowie wszędzie cię szukają. Ja muszę stawić czoła ambasadorowi Karsu

i tańczyć dookoła niego w dyplomatycznych płasach, dopóki nie zrozumie, że mam dowody podwójnej gry prowadzonej przez jego władcę. Dzięki ci, Osobisty Królowej.

Odwróciła się i szybkim krokiem wróciła do Pałacu, do Talii tymczasem podeszli bliźniacy, Keren i Teren.

— Kiedy nie wróciłaś ze wszystkimi, zaczęliśmy się martwić — odezwał się na poły karcąco Teren. — Uzdrowiciel Deven chce cię widzieć z powrotem w łóżku.

— Wyglądasz, jakby ktoś przewłókł cię przez ucho igielne — zauważyła Keren. — Co się stało?

— Królowa była tak nieszczęśliwa, sumienie nie dawało jej spokoju, czułam to i *musiałam* coś na to zaradzić. . .

— A więc podeszłaś do niej porozmawiać — Keren z zadowoleniem skinęła głową bratu. — I właściwe słowa zdawały się same wypływać z ciebie, zgadza się?

— Jak udało ci się to zgadnąć?

— Kochanieńka, to dlatego *ty* jesteś Osobistym Królowej, a reszta z nas zwykłymi Heroldami. Dziadek zwykł twierdzić, że nigdy nie wiedział z góry, co powie Królowi, a jednak zawsze okazywało się, że używał najwłaściwszych słów. Zaufaj temu instynktowi.

— Dziadek? — zapytała Talia oszołomiona.

— Talamir był naszym dziadkiem — wyjaśnił Teren. — Wydaje mi się, że miał cichą nadzieję, iż to jedno z nas będzie jego następcą.

— Ha, ze mną było inaczej — zdecydowanie odezwała się Keren. — Widząc przez jakie piekło nieraz przechodził, nie podjęłabym się tego za żadne skarby. Nie zazdroścę ci Talio, wcale ale to wcale.

— Zgadzam się — przytaknął Teren. — Talio, wciąż chwiejesz się lekko na nogach. Nic ci nie jest?

— M. . . myślę, że nie — powiedziała powoli, czując się nieco lepiej teraz, gdy przygniatający ją żal wszystkich Heroldów zaczął się stopniowo rozpraszać.

— W takim razie wracajmy do twojej izby, a ja pogadam z Dziekanem Elcarthem. Powinien pokazać ci przynajmniej, jak odgrodzić się od cudzych uczuć, które byłyby ponad twoje siły. Jeśli do tej pory twój Dar nie zanikł, to już nie opuści cię nigdy — powiedziała Keren, a jej brat bliźniak potwierdził to skinieniem głowy.

Keren czekała razem z nią na przyjście Elcartha, a potem zostawiła ich samych. Talia usiadła ostrożnie na samym brzegu krzesła, skupiona na tym, co miał do powiedzenia Elcarth, bojąc się, że coś ważnego może jej umknąć. Zaczynała myśleć, że już dłużej nie zniesie tego zmagania się z emocjami i myślami obcych ludzi, które bez ustanku wpychały się do jej głowy. Jeśli można było położyć temu kres, żarliwie pragnęła dowiedzieć się, jak to zrobić!

Okazało się — ku wielkiej uldze i wdzięczności Talii — że sztuczka jest bardzo prosta.

— Pomyśl o ścianie — powiedział do niej Elcarth. — O ścianie, która otacza cię dookoła i odgradza cię od wszystkich. Zobacz ją, *dotknij* z wiarą, że nikt ani nic nie może cię przez nią osiągnąć.

Talia skupiła myśli ze wszystkich sił i po raz pierwszy od wielu dni poczuła błogosławioną ulgę — napór otaczających ją obrazów zelżał. Im ich oddziaływanie było słabsze, tym bardziej wzrastało w niej zaufanie do wznoszonej przez siebie tarczy, a to z kolei tym bardziej umacniało zasłonę. W końcu Elcarth stwierdził z zadowoleniem, że nic nie przebije ściany, którą wokół siebie stworzyła i zostawił Talię samą sobie.

— Jednakże nie wahaj się nigdy z niej rezygnować — gorąco namawiał ją Dziekan. — Zwłaszcza, jeśli myślisz, że zagraża ci niebezpieczeństwo. Twój Dar może okazać się najlepszym ostrzeżeniem.

Zamyślona Talia przyznała mu rację skinieniem głowy. Gdyby wcześniej mogła wykryć złe zamiary swych prześladowców, ostrzeżona w porę, mogłaby wezwać pomoc, a tak, rzeczy przybrały taki obrót, że o mało nie zakończyło się to jej śmiercią.

Kilka dni później Uzdrowiciel zawyrokował, że jest zdrowa i Talia powróciła do normalnego toku zajęć w Kolegium. Pozornie w jej życiu zaszły niewielkie zmiany, lecz tych kilka było niezwykle brzemiennych.

Po pierwsze: jej więź z Rolanem stała się teraz nieporównywalnie silniejsza niż przed wypadkiem w rzece. Stwierdziła to niedługo po tym, jak nauczyła się bronić przed natrętnymi, obcymi emocjami. Siedziała w zacisznym kąciku Biblioteki, kończąc kolejną książkę. Zadowolona zamknęła ją — była to jedna z opowieści ze szczęśliwym zakończeniem. Nie zostało jej tyle czasu, by mogła przystąpić do następnej przed rozpoczęciem się kolejnych zajęć, a więc odprężyła się na chwilę, zamykając oczy i pozwalając myślom błądzić dowolnie. W niemal nieunikniony sposób zaczęły się one obracać wokół Rolana. Raptownie ujrzała zakątek Łąki Towarzyszy, jednak obraz był dziwnie płaski i zniekształcony. Zdawało się jej, że zakres widzenia zawęził się od przodu, a za to po bokach poszerzył dwukrotnie. Na dodatek znalazła się jakby o kilkanaście cali wyżej niż to było w istocie, lekko zdeorientowana, co od dawna już zaczęła wiązać ze zjawiskiem widzenia cudzymi oczami, w obecności cudzych wspomnień. Poczuła jakby czyjeś zaskoczenie, a potem nagłą serdeczność powitania. Zalała ją fala miłości. To wtedy uzmysłowiła sobie, że to są myśli Rolana.

Od tej chwili wystarczyło, że pomyślała o nim przelotnie, a wiedziała dokładnie, gdzie jest i co porabia, przymknawszy zaś powieki mogła patrzeć jego oczami. Między nimi płynęła rzeka myśli i obrazów, lecz nigdy słów. Połączyło ich uczucie przewyższające wszelkie znaczenia, jakie kiedykolwiek przypisano słowu miłość. Teraz Talia zrozumiała, dlaczego Herold i Towarzysz rzadko mogli

przeżyć siebie nawzajem, jeśli śmierć przecięła łączącą ich więź.

Wkrótce potem jej związki z Królową uległy tak samo gwałtownemu przeobrażeniu. Selenay szukała odosobnienia w opustoszałych, wymarłych zimą ogrodach, gdzie istniała niewielka możliwość, że ktoś zakłóci jej spokój. Talia stwierdziła, że nieodparcie ciągnie ją w tamtą stronę, a ujrzawszy spacerującą Królową zrozumiała dlaczego.

— Wasza Wysokość? — zawołała miękko. Selenay osłoniła oczy przed słabymi promieniami popołudniowego słońca i uśmiechnęła się rozpoznawszy, kto ją woła.

— Jeszcze jeden miłośnik pustkowi? Myślałam, że jedynie mnie podobają się wymarłe ogrody.

— Jednak tu może być piękniej, trzeba jedynie patrzeć w przyszłość, wyobrazić sobie, jak tutaj będzie na wiosnę — zauważyła Talia, zrównując krok z Królową. — To nie jest ani tak puste, ani tak wymarłe miejsce. Wszystko polega na dostrzeżeniu możliwości.

— Dostrzeżeniu możliwości... długoterminowych, a nie doraźnych. — Selenay zamyśliła się głęboko, a potem widocznie się rozpromieniła. — Tak! *Dokładnie* tak, malutka, znowu ci się udało. Muszę wracać na zebranie Rady. Dziękuję... — Oddaliła się szybkim krokiem, zostawiwszy Talię sam na sam z myślą, co też, u licha, jej się znowu udało.

Jednak w miarę upływu czasu tego rodzaju przypadki zaczęły przydarzać się coraz częściej, aż stały się zjawiskiem powszechnym. A kiedy zima przeszła w wiosnę, Królowa częściej szukała towarzystwa Talii. W nieregularnych odstępach czasu spotykały się, by porozmawiać, czasami przez długie godziny, a czasami tylko przez chwilę lub dwie. Talia jakoś znajdowała potrzebne słowa, by wyrazić przychodzące jej do głowy pomysły, które mogły się przydać Królowej, a Selenay odchodziła, uspokojona lub przeciwnie: tryskająca energią. Talia czasami myślała o sobie z niemałym zdumieniem, jak o dwóch osobach: jedną była Talia — zwyczajne dziecko, nie mądrzejsze od niedojrzałego jeszcze nastolatka; drugą: jakaś niewiarygodnie mądra i wiekowa istota, która objawiała się w obecności Selenay.

Objęcie obowiązków Osobistego Herolda Królowej przypomniało Talii o jeszcze jednym zadaniu. Rolan najwidoczniej Wybrał ją przede wszystkim dlatego, że była jedyną osobą, która mogła ucywilizować Bachora, a tymczasem przez cały czas jej pobytu widziała Elspeth tylko raz, i to tuż po swoim przybyciu tutaj. To prawda, że jak dotąd była zbyt zajęta przystosowywaniem się do życia w Kolegium i nie miała ani czasu, ani siły, by zająć się dzieckiem. Teraz jednakże nadszedł czas, by przedsięwziąć coś w sprawie przypuszczalnej następczyni tronu.

— Niebiosa! Co za mina! — wykrzyknął Skif, rzucając się na krzesło w Bibliotece obok Talii, czym zasłużył sobie na pełne oburzenia spojrzenie siedzących niedaleko nich uczniów. — Co się stało? A może nie powinienem pytać? — cią-

gnął już przyciszonym głosem.

— To przez Bachora. Powinam coś w tej sprawie zrobić, ale nie mogę się nawet do niej zbliżyć! — odpowiedziała posępnie Talia głosem pełnym pogardy do samej siebie.

— Ach tak?! A co ci w tym przeszkadza?

— Jej opiekunka. Tak sędzę. Cudzoziemka Hulda; starszej nie udało mi się zobaczyć. Jednak nic nie mogę udowodnić. Wydaje się być wzorem sumienności; przykład pełnej szacunku i gorliwej współpracownicy, a jednak za każdym razem, gdy próbuję zbliżyć się do dziecka, zjawia się *ona*, zawsze z czymś, co Elspeth absolutnie *musi* zrobić dokładnie w tej samej chwili. Wy tłumaczenie jest zawsze niezmiernie logiczne i na miejscu, tylko że jak do tej pory wydarzyło się to z tysiąc razy.

— „Jeden raz, to przypadek; dwa, zbieg okoliczności” — zacytował Skif — „ale trzy razy, to już spisek”. Czy doszliśmy już do spisku?

— Od dawna jestem o tym przekonana, jednak nie wiem, jak to udowodnić, ani jak to wszystko pasuje do siebie. . .

Skoczył na równe nogi i pogłaskał ją po nosie palcem.

— Wystarczy, byś zostawiła sprawę dowodu dobremu, staremu Skifowi. A co do dopasowania wszystkiego do siebie, to powiedziałbym, że Herold Jadus byłby najlepszym źródłem wiadomości. Tkwi w Kolegium od zakończenia Wojen z Tredrelami, służba opowiada mu o wszystkim i może się jeszcze podeprzeć Darem *mysłoczucia*. Jeśli jest ktoś, kto może poznać wszystkie części starej jak świat łamigłówki, to tylko on. A więc zapytaj go, widzisz się z nim codziennie.

— Nie pomyślałem o Jadusie — odpowiedziała Talia uśmiechając się. — Ale Skif, możesz przez to wpaść w tarapaty!

— Jeśli mnie przyłapią, to tym razem będę miał dobrą historyjkę w zanadrzu i lepiej będzie, jeśli ją potwierdzisz!

— Ale. . .

— Żadnych ale! Życie toczyło się tutaj zbyt leniwie ostatnimi czasy, nic nie pobudzało krwi w mych żyłach, a poza tym nie zamierzam tego robić za nic, wiesz o tym. Zostaniesz moim dłużnikiem, o pani.

— Skif — odparła bez namysłu — jeśli pomożesz mi udowodnić moje podejrzenia, będziesz mógł wybrać sobie nagrodę!

— Dzięki — błysnęły w uśmiechu jego zęby. Poruszył swymi krzaczastymi brwiami w sposób, który wydawał się mu niezwykle lubieżny, lecz który był raczej komiczny. — Nie omieszkać tak zrobić!

Kiedy oddalał się w wesołych podskokach, Talii udało się stłumić śmiech, by nie zranić jego uczuć.

— Opiekunka Elspeth? — Jadusa tak zaskoczyło pytanie Talii, że aż odłożył

na bok harfę. — Talio, wzywając Dziewięciu na świadka, dlaczegoż stara Melidy miałyby trzymać Elspeth z dala od ciebie?

— To nie Melidy, tylko ta druga — odparła Talia. — Hulda. Melidy właściwie nic nie robi, tylko dzierga na drutach i drzemie. To chyba Hulda wydaje wszystkie rozkazy.

— To nadaje sprawie zupełnie nowy charakter — zastanawiał się głośno Jadus. — Dziecko, na ile orientujesz się w sytuacji? Co wiesz o całej tej sprawie?

— Nic... no tak... prawie nic. Selenay powiedziała mi tylko, że jej małżeństwo z ojcem Elspeth nie było udane i jeszcze, że mnóstwo winy za trudny charakter Elspeth należy złożyć na karb jej własnych zaniedbań. A ponieważ nikt nie wspomina ani słówkiem ojca małej, to przypuszczam, że albo nie żyje, albo podróżuje, albo został skazany na banicję. Tyle.

— Hm, w takim razie lepiej zacznę wszystko od Wojny z Tedrelami, kiedy zginął ojciec Selenay.

— To było przynajmniej piętnaście lat temu, prawda?

— Mniej więcej. Doskonale więc, było to tak: Kars próbował rzucić nas na kolana, nie wypowiadając nawet wojny. Wynajęli cały lud Najemników z Tedrel, by za nich wykonali brudną robotę. Król zginął podczas ostatniej, zwycięskiej bitwy. Gdybym ruszał się odrobinę zwawiej, żyłby do tej pory — westchnął i jego twarz zachmurzyła się na chwilę. — Ha, trudno. Selenay właśnie ukończyła czeladniczą praktykę, kiedy wybuchła wojna; po koronacji dokończyła dzieła wygubienia ostatnich Tedrelów i zabrała się za rządy. Jak można się było tego spodziewać, kto żyw i równy jej rangą, a chcący pozbyć się młodszego syna, przysłał go na Dwór. Jednym z owych składających wizyty był Książę Karathanelan.

— Ktoś o takim imieniu mógł pochodzić tylko z Rethwellanu.

Jadus uśmiechnął się.

— Istotnie. Nazwy, które pęcznią w ustach, są ich ulubioną specjalnością, co? Tak, pochodził stamtąd. Był niewiarygodnie przystojny, inteligentny, pełen ogłady. Rozkochał w sobie Selenay w mgnieniu oka i nikt nie mógłby wpłynąć na zmianę jej zdania o nim. Ślub odbył się, nim upłynął miesiąc od chwili jego przybycia. Kłopoty zaczęły się niedługo potem.

— Dlaczego musiało do tego dojść?

— Bo chciał czegoś, czego Selenay nigdy nie mogła mu, zgodnie z prawem, dać — tronu. Gdyby został Wybrany, mógłby rządzić jako Król-mążonek, lecz żaden Towarzysz nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Caryo Selenay raz nawet go kopnął, o ile sobie przypominam. Sprowadził tłum utytułowanych przyjaciół bez ziemi. Pan świadkiem, u nas leży sporo ziem odłogiem, a więc Selenay nadawała im włości. Nie rozumiał, dlaczego ona nie może nadać mu rangi przynajmniej równej sobie.

— Ależ dlaczego, przecież wszyscy wiedzą, że prawo jest takie samo dla wszystkich.

— Tylko że w obcych królestwach, słowo monarchy często *jest* prawem; on nie mógł albo nie chciał przyznać, że tutaj sprawy mają się inaczej. Skoro nie mógł dostać tego, czego chciał, po dobroci, zaczął spiskować, by wziąć to siłą, w błędnym mniemaniu, że ma do tego prawo.

Talia potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Razem ze swymi przyjaciółmi, a nawet pewną grupą naszych ziomków, zaczął spiskować, by obalić za wszelką cenę Selenay i zająć jej miejsce. Aby uśpić podejrzenia, pogodził się z Selenay i sprowadził własną opiekunkę, która miała pomóc Melidy przy Elspeth. Nie sądzę, by zamierzał zabić Selenay. Naprawdę wierzę, że chciał przytrzymać ją w zamknięciu, aż zgodziłaby się abdykować na korzyść jego lub Elspeth, z nim jako Regentem. Jednak wiem, że jego przyjaciele byli o wiele bardziej okrutni. Chcieli zabić Selenay, korzystając ze sposobności, że będzie sama, trenując Caryo. Mogłoby im się to powieść, gdyby nie Dar Albericha.

— Alberich posiada Dar? Nigdy nie wpadłam na to. . .

Jadus pokiwał głową.

— Trudno jest myśleć o Alberichu jako o Heroldzie, co?

— To prawda — przyznała Talia. — Nie nosi Bieli, ledwie widuję jego Towarzysza, Kantora. I ten jego akcent oraz zachowanie. . . Jest taki dziwny. Skąd pochodzi? Nikt mi nigdy nie powiedział.

— Z Karsu — powiedział Jadus ku tej zaskoczeniu — i dlatego nigdy nie usłyszysz z ust Herolda starego przysłowia, że „Z Karsu można się spodziewać tylko złej pogody i zbójów”. Był w ich armii najmłodszym w historii kapitanem, przynajmniej tak mi powiedziano. Na nieszczęście dla niego — choć trzeba przyznać, że nie dla nas — jego Dar objawia się z niezwykłą siłą. Alberich zdradził o jeden raz za dużo, że wie więcej niż powinien, zwłaszcza o przyszłości. Jego pobratymcy — własna kompania — polowała na niego jak na czarownicę. Osaczyli go w płonącej szopie i wtedy Kantor wpadł galopem w ogień i go uratował. Ha, to już inna opowieść; powinnaś poprosić jego, by ci ją kiedyś opowiedział. Trzeba tutaj dodać, że Darem Albericha jest Wróżenie. Nie pisnąwszy o wszystkim Selenay ani słówkiem, uparł się, by jej osobiście towarzyszyć, na dodatek z zastępem swych najlepszych wychowanków. Zastawił na spiskowców pułapkę. Zostali wybici do nogi, między nimi i Księżę. Oficjalna wersja podaje, że zginął w wypadku na polowaniu.

— Wydaje mi się, że nie mija się to tak bardzo z prawdą. Oni rzeczywiście *polowali* na Selenay.

— Dziecko, masz makabryczne poczucie humoru — skrzywił się Jadus.

— A jego pobratymcy nic nie mieli do powiedzenia na tak liche wytłumaczenie?

— Może i mieli, ale okoliczności się zmieniły. Tak się złożyło, że wtedy umarł ich Król i rządy objął brat Księcia, a pomiędzy nimi nie kwitła braterska miłość.



Nowy Król wiedział, jak żadnego władzy miał brata i był bardzo zadowolony, że cały ten skandal udało się tak zręcznie zatuszować. No cóż, po tym wszystkim Selenay miała pełne ręce roboty, próbując wykryć tych spiskowców, którzy nie wpadli w zasadzkę. Lecz nie wydaje mi się, by dotąd udało się ich wszystkich odnaleźć. Powiem ci, co podejrzewam od pewnego czasu: Talamira *zamordowano*, ponieważ był bliski zaproponowania Radzie, by oddano Elspeth na wychowanie jego dalekim krewnym. Są to ludzie żyjący na mało zaludnionych ziemiach — drobna szlachta. Nie pozwoliliby na żadne kaprysy dziecku, a okolica, którą zamieszkują, jest na tyle bezludna, że Elspeth nie mogłaby stamtąd uciec. Jednak to uparty narodek i jedynie Talamir mógłby ich przekonać, by przyjęli do siebie Bachora. Po jego śmierci więc plan zarzucono. Ale na to przyszedł czas później, kiedy Selenay stała się tak zajęta, iż niewiele mogła poświęcić czasu wychowaniu Elspeth. Dopiero jakieś dwa lata temu zaczęliśmy coś przeczuwać, do tej pory nikt z nas nie miał pojęcia, że zanoszą się na kłopoty. Ot, pewnego dnia budzimy się, a słodkie i posłuszne dziecko zamieniło się w Królewskiego Bachora.

— Co ma z tym wszystkim wspólnego Hulda?

— Tego ci nie mogę powiedzieć. Gały czas żyłem w przeświadczeniu, że to Melidy jest główną opiekunką, ale z twoich obserwacji wynika, iż byłem w błędzie. To niezwykle niepokojące, gdyż poszedłbym o zakład, że ona mogłaby sprostać każdemu, Albericha nie wykluczając! Nie mogę sobie wyobrazić, by — ot, tak sobie — oddała wszelkie sprawy w ręce cudzoziemki.

— W takim razie zaszły jakieś ogromne zmiany — myślała na głos Talia. — I coś mi się wydaje, że to ja muszę się dowiedzieć, jakie.

— Tego się właśnie obawiam, dziecko — westchnął Jadus, widząc determinację w jej oczach. — Tego się obawiam.

W życiu Talii zaszła jeszcze jedna zmiana: w sposobie, w jaki traktowali ją inni uczniowie. Jak dotąd małowówność Talii tłumaczyli sobie chęcią ochrony prywatności i szanowali jej życzenie. Teraz wiedząc, że było to wynikiem zwykłej nieśmiałości, uczynili wszystko, by i ją włączyć w obieg ploteczek, i wciągnąć do wspólnych żartów. Siedząc w szwalni Talia, nie mogła już kryć się za zwałami rzeczy do pocerowania. Zmiany dały o sobie znać pewnego popołudnia, kiedy w szwalni nie pracował żaden chłopiec. Obiektem przekomarzań była Nerissa i jej ostatnie sercowe podboje. Podchodziła do tego z humorem, ale docinki zaczynały stawać się nieco nużące. Rozejrzała się w poszukiwaniu innej ofiary i oko jej rozbłysło na widok Talii.

— To śmieszne i stare jak świat — odparowała ostatnią docinkę. — A prócz tego, jest tu ktoś, komu udało się usidlić pachole, które jest o niebo twardszym orzechem do zgryzienia niż Baern.

— Kto? — powitał tę rewelację zgodny chór.

— Co? — w oczach Nerissy zapaliły się figlarne iskierki. — Mam rozumieć, że niczego nie zauważyłyście? Jasne Niebioso, większe z was głąby, niż myślałam. Spodziewałam się, że *ktos* inny również dostrzegł, iż ostatnio Skif darzy Talię atencją o wiele cieplejszą od braterskiej.

— Ojej, naprawdę? — Sherrill odwróciła się, by zmierzyć czerwoną jak burak Talię. — Sądziłam, że jesteś moją przyjaciółką, Talio! *Mnie* mogłaś powiedzieć!

Talia zarumieniła się jeszcze bardziej i jękając się zaprzeczyła.

— O rety — droczyła się Sherrill. — Aż tak namiętnie! Coś mi się zdaje, że aż nazbyt!

Po chwili Talii udało się jakoś opanować rumieńce i odgryźć się najlepiej jak potrafiła, lecz odtąd znacznie lepiej czuła się w gronie kolegów z Kolegium.

W porze posiłków także mogła zapomnieć o kłopotach związanych ze zbliżeniem się do Elspeth. W kuchni nigdy nie brakowało czasu na żarty, choć Mero starał się, by zawsze mieli pełne ręce pracy i z tych figli nie wynikała jaka bieda, jednak nie poskramiał żadnym wędzidłem języków. Sam Mero był zwykle ulubionym ich obiektem i zwykle wybierano Talię, by swą niewinną twarzą mogła go zwieść i zażartować z niego.

— Mero, nie zapomniałeś o czymś?

— Ja? *Ja?* Talio, mylisz się z pewnością.

— Nie jestem pewny, Mero — włączał się inny. — Wygląda na to, że solniczka zniknęła. . .

— Na Księgę! Rzeczywiście! Cóżem ja począł z tą przekłętą rzeczą?

Mero udając przerażenie rzucił się na poszukiwania, spozierając kątem oka, jak podają ją sobie z ręki do ręki, uśmiechnięci od ucha do ucha. W końcu solniczka wracała do Talii, która ustawiła ją na honorowym miejscu na stole, gdy kucharz stał odwrócony plecami.

— Ha! — zakrzyknął jak jastrząb chwytając przedmiot. — Ja wiem, że szukałem w tym miejscu, u licha. . . — patrzył surowo na Talię, która wzruszyła niewinnie ramionami.

— Koboldy — mamrotał pod wąsem, przy wtórze stłumionych chichotów. — W mojej kuchni muszą być koboldy. W co też zamienia się to miejsce?

W kilka chwil później mścił się okrutnie.

— Uważasz się, młoda Talio, za dobrego kuchcika? — zapytał, gdy wyciąg zabrał na górę solniczkę.

— T. . . tak myślę.

— Uważasz więc, że potrafisz pichcić pospolite potrawy swego zamieszkującego Gród ludu? — dociekał.

— Bez wątpienia — odparła nieroztropnie.

— O to znakomicie! W takim razie na pewno możesz pokazać mi, co zrobić z tym — położył przed nią olbrzymi, guzowaty i sękaty korzeń.

Talia, która w życiu czegoś podobnego nie widziała, aż zakrztusiła się, próbując zyskać na czasie, na co uśmiech Mero stawał się coraz szerszy, a w kuchni rozległy się chichoty pozostałych kuchcików. W końcu — ponieważ jasnym było, iż ani mu się śni nakarmić ich wszystkich, jeśli ona nie wyzna swojej niewiedzy — Talia przyznała się, że została pobita. Mero roześmiał się tubalnie i zabrał korzeń, podsuwając w jego miejsce jadło.

— A co to było? — zapytał Gryffon.

— Kłacze dzikiej róży — śmiał się Mero. — Wątpię, by Talii udało się przyrządzić z niego cokolwiek ku ucieście ludzkiego podniebienia, ale dla termita mógłby to być przysmak!

Posiłki były wydarzeniem każdego dnia. Talia miała swoje stałe miejsce przy drugim stole, wciśnięta pomiędzy Sherrill i Jeri, mając naprzeciw siebie Skifa, Gryffona i Keren. Wiecznym źródłem uciech dziewcząt i nauczycielki było to, że Skif razem z Gryffonem rozpieszczali ją okropnie. Gryffon otaczał się aurą starszego, wielkiego brata, intencje Skifa były zgoła odmienne, ale próbował imitować Gryffona, czym nie zwiódł go w najmniejszym stopniu.

— Zważaj ty... — burczał pod wąsem. — Traktuj moją Talię należycie, albo wylądujesz w rzece i to w najlepszym przyrodziewku!

Do uszu Sherrill i pozostałych dotarła ta subtelna groźba i twarze im nabrzmiały od hamowanego śmiechu.

Skif odplacił pięknym za nadobne do nitki opróżniając kieszenie większego chłopca.

— Chcesz sobie dobrać sałatki, bracie? — zapytał, podając talerz pełny tego, co znalazł w jego kieszeniach.

Wszyscy musieli rzucić się na ratunek Talii, by nie udławiła się na śmierć, próbując opanować śmiech na widok zdumionego oblicza Gryffona.

Gdy zapadła noc i na koniec dnia wszyscy udali się do łaźni, by wziąć kąpiel, obiektem niemiłosiernych żartów została Talia.

— Och, Talio... — Jeri zebrała włosy na czubku głowy i wdzięczyła się, wcielając w Skifa. — Czy chciałabyś może... grzybka? Weź dwa, proszę! Sto — lepiej!

— Och nie, dziękuję, drogi, drogi Skifi... — Sherrill zatrzepotała kokieterycznie rzęsami. — Wolałabym raczej... kiszonego ogórka.

— Jasne, że wolałabyś... co? — udająca Skifa łypnęła pożądliwie okiem.

Talią miotaly mieszane uczucia: to rozbawienie, to znów potworne zażenowanie.

— Nie wiem, skąd wzięłyście tak obleśne głowy — powiedziała nacierając na nie z mydłem i gąbką. — Ale trzeba je porządnie wyszorować, to jasne!

Od tej chwili żarty przeszły w utarczkę z nurkowaniem w bryzgach rozpryskiwanej wody, która zalała wszystkie ręczniki w łaźni, co do jednego, i czym sięgnęły na siebie straszliwy gniew Gospodyni.

— Psst! — ktoś syknął za plecami Talii w zaroślach u wejścia do ogrodów. Aż podskoczyła, zbyt dobrze mając jeszcze w pamięci cierpienia ostatnich miesięcy, lecz uspokoiła się widząc, że szepczącym jest Skif.

— Co ty, u licha, tutaj robisz? — zapytała kucnąwszy obok niego między dwoma rzędami krzewów.

— To, co ci powiedziałem: szpieguję Bachora. Chcę ci coś pokazać. Właż tutaj i chodź za mną!

Spojrzała na niego z lekkim powątpiewaniem, lecz stwierdziła, że mówi poważnie i zrobiła tak, jak jej kazał. Przez pewien czas posuwali się na czworakach w kolczastym tunelu. Nagle Skif znieruchomiał i Talia prawie zderzyła się z nim. Skinął do niej, by zachowała milczenie i rozsunał gałęzie z jednej strony na tyle, by oboje mogli wyjrzeć przez szparę.

Przed nimi, w odległości kilku stóp, znajdowały się Elspeth i obie jej opiekunki, Hulda i Melidy. Bez kłopotu mogli słyszeć ich rozmowę.

— Och nie, kochanie — łagodnie mówiła Hulda. — To wykluczone. Zajmujesz zbyt wysoką pozycję, byś zadawała się z dziećmi Lorda Delphora. Ty jesteś Następczynią Tronu, weź to pod uwagę.

Talia zagryzła ze złości wargę na widok smutnej twarzyczki Elspeth. Na pozór stara Melidy ocknęła się na chwilę z drzemki. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się jakiś grymas, jakby z wysiłkiem starała sobie coś przypomnieć.

— Huldo to... — mówiła wolno — ... po prostu nie uchodzi...

— Co nie uchodzi, duszko? — zapytała Hulda słodkim, fałszywym głosem.

— Elspeth nie... ona nie może...

— Nie można się spodziewać, by o tym wiedziała. Nie obawiaj się, wypij tylko swoje lekarstwo, a ja zajmę się wszystkim.

Hulda napełniła małą szklaneczkę czymś czerwonym i lepkiem i prawie wcisnęła ją w dłoń Melidy. Staruszka zaniechała zmagania z myślami i posłusznie wypijała do dna. Wkrótce zasnęła ponownie.

Skif dał znak, że powinni już oddalić się i oboje wycofali się na czworakach pomiędzy krzewów żywopłotu.

— Chciałem właśnie, abyś to zobaczyła — powiedział, gdy wydostali się z zarośli w odległym miejscu ogrodu. — Stój, masz gałązki we włosach. — Starannie ją oczyścił.

— Ty też, i liście. Ona na pewno truje Melidy przez cały czas. Wiedźma! Jak mogła jednak stara kobieta w ogóle pozwolić podać sobie taką miksturę?

— Masz ci los, nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy. Zapytaj Jadusa, może on coś będzie wiedział. Chcesz, abym dalej miał na nich oko?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chcę wiedzieć, czy robi to z własnej woli, czy na czyjś rozkaz, i co jeszcze opowiada temu dziecku.

— Nic z tych rzeczy, to świetna zabawa! Jakbym znów znalazł się na ulicy, tyle że teraz nie grozi mi utrata prawicy ani głód — uśmiechnął się.

— Och, Skif... — przerwała, niepewna, co teraz powiedzieć. Nagle, pod wpływem wielkiej wdzięczności pocałowała go leciutko w policzek, zarumieniła się i uciekła, podskakując wesoło.

Skif popatrzył za nią zdumiony z jedną ręką przy policzku, w który dostał całusa.

Jadus nic nie wiedział o stanie zdrowia Melidy, ale skierował ją do jednego z Uzdrowicieli, który coś o tym mógł powiedzieć.

— Dwa lata temu Melidy bardzo zapadła na zdrowiu — odrzekł zamyślony. — Czy wiesz, co znaczy „burza mózgu”?

— Czy wtedy starsze osoby ni stąd ni zowąd nie potrafią ruszać się, ani mówić, czasami nawet na długo tracą przytomność, po czym przychodzą bardzo powoli do siebie?

— To właśnie przytrafiło się Melidy — przytaknął Uzdrowiciel. — Pozornie wydobrzała zupełnie, przynajmniej według mnie. Mogłem jednak być w błędzie. O Pani, nie jesteśmy nieomylni.

— Może wcale nie myliliście się, albo podano jej coś skrycie. — Dojrzałość odpowiedzi Talii spowodowała, że Uzdrowiciel spojrzął na nią rozszerzonymi oczyma. — Matka Keldar zachorowała na to samo po sprowadzeniu ją do Grodu. Wyglądała na zupełnie zdrową, tyle że trzeba było uważać, co się do niej mówiło, bo uwierzyłyby we wszystko, nawet w największe nonsensy. Tak mogło być w przypadku Melidy.

„I jeśli tak było” — myślała Talia ponuro — „łatwo padła ofiarą Huldy”.

— Wracając do lekarstwa, które Hulda podała Melidy na twoich oczach, ja niczego nie przepisywałem. Może to jakieś ludowe remedium, albo któryś z pozostałych Uzdrowicieli kazał jej to podawać. Mogę to sprawdzić. . .

Nie byłby to chyba najlepszy pomysł: jeśli ta kobieta rzeczywiście coś knuła, zostałaaby w ten sposób ostrzeżona, a jeśli była niewinna, należałoby oszczędzić jej pomówień.

— Nie, dziękuję. To pewnie rzeczywiście jakaś ludowa driakiew. Gdy o tym teraz pomyślę, to przypomina bardzo syrop, który zwykła podawać Keldar swojej matce na bolące stawy.

Uzdrowiciel uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

— Melidy cierpi na reumatyzm. Niestety, niewiele możemy zrobić, jedynie próbować uśmierzyć jej ból. Likwor może zatem nawet i pochodzi od nas. Cieszę się, że ktoś inny opiekuje się nią także. Czymś jeszcze mogę ci służyć?

— Nie, dziękuję — odparła Talia. — Dzięki tobie znalazłam odpowiedź na wszystkie moje pytania.

„Tylko że”, myślała wracając wolnym krokiem do swojej izby, „przez ciebie teraz znacznie więcej pytań wymaga odpowiedzi”.

# DZIEWIĄTY

— Gdybym mogła cofnąć się w czasie...

— Gdybyś, co mogła? — zapytał Skif podnosząc wzrok znad księgi, nad którą śleczął. Na parapecie otwartego okna jego izby przycupnęła Talia, wpatrując się w oświetlone przez księżyc drzewa. Jej umysłu najwyraźniej nie pochłaniała nauka.

— Powiedziałam: „gdybym mogła cofnąć się w czasie” — powtórzyła. — Dałabym sobie rękę uciąć, że ktoś poza ojcem Elspeth przyłożył ręki do sprowadzenia Huldy, zwłaszcza że przecież przybyła tu już po jego śmierci. Jednak mogłabym się tego dowiedzieć jedynie podróżując w czasie.

— No nie całkiem...

Widać było po jego twarzy, że Skif mocno się nad czymś zastanawia. Talia czekała, aż upora się ze swymi myślami.

— Istnieją archiwa, do których wciąga się wszystkich przybywających i opuszczających Królestwo. Jeśli jeszcze ktoś poręczał za Huldę, jego nazwisko tam będzie. Wydaje mi się, że prawo wymaga, by osoba chcąca się tutaj osiedlić na stałe, miała aż trzech poręczycieli. Jednym był Książę, drugim — Selenay. Ciekawym, kim był trzeci...

— Gdzie są owe archiwa? Czy ktoś może się do nich dostać? — Talia ożywiła się na nowo.

— Pod nosem, w Pałacu, w biurze Profosa-Marszałka. Opieka nad tymi archiwami należy do jego obowiązków. Ale dostać się do nich... — Skif skrzywił się — ... nie możemy, a przynajmniej nie otwarcie. Ha, ty byś mogła, jednak musiałabyś wystąpić z urzędu Osobistego Herolda Królowej i do Huldy na pewno doszłyby o tym słuchy.

— To nie jest dobry pomysł — zgodziła się Talia. — A więc otwarcie nie możemy prosić o dostęp do nich... Ale?

— Ale ja mogę się tam wkręcić. To nic wielkiego, tylko...

— Tylko że Księżę też tam jest — dokończyła za niego Talia. — No cóż, od prawie roku nie pojawiłeś się w niej za żadne sprawki, prawda?

— Do licha, nie! Mam pełne ręce roboty, przez ciebie! — uśmiechnął się od ucha do ucha, a potem spoważniał na twarzy. — Jednak, jeśli mnie przyłapią,

pomyśla, że zakradłem się tam, by pozmienić coś w Księdze, Orthallen nie lubi mnie wcale. Jestem cierniem w jego boku: nie okazuję właściwego szacunku, nie zachowuję się jak przystało na trzeźwego Ucznia Herolda. Z radością dałby mi klapsa — spojrzał na zafrasowaną twarz Talii i znów uśmiechnął się szeroko. — Niech to licho, a co on mi może zrobić? Nałoży areszt domowy w Kolegium? Od kiedy spotkałem ciebie, prawie nie wyściubiłem stąd nosa! Zrobię to, bogowie świadkiem!

Coś się stało, coś bardzo złego. Skif nie spóźnił się — jeszcze nie — ale Talię męczyło przecucie, że popadł w straszne tarapaty, z którymi nawet on nie może sobie poradzić. To właśnie tej nocy miał wkraść się do archiwów...

Choć nie bardzo wiedziała co począć, Talia rzuciła się biegiem przez sale Kolegium, a potem komnaty Pałacu. Dopiero w pobliżu prywatnych apartamentów Selenay zwolniła, by złapać tchu, i nieśmiało zbliżyła się do drzwi osobistej komnaty Królowej. Znajomy strażnik puścił do niej oko i wszedł do środka, by ją zapowiedzieć. Usłyszała niewyraźny szmer głosów, gdy ponownie otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do wejścia. Zrobiła głęboki wdech, modląc się o jakąś wskazówkę, i weszła. Drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie.

Przy stole siedziała zaczerwieniona i zatroskana Selenay. Elcarth, Keren i Herold-Seneszal, Kyril stali obok siebie, zasłaniający coś przed wzrokiem Talii. Po między Królową i Heroldami ujrzała Lorda Orthallena. Serce Talii zamarło w pierś. Tam był Skif. Został przyłapany; musiała go ratować, bo sprawy miały się gorzej niż przypuszczała. Lecz jakże zdoła tego dopiąć?!

— Wasza Wysokość... — usłyszała samą siebie — ... muszę... muszę się do czegoś przyznać.

Selenay wyglądała na zdezorientowaną i Talia ciągnęła:

— Ja... ja poprosiłam Skifa, aby coś dla mnie zrobił. To nie było... tak całkiem... legalne. — Selenay czekała i Talia pośpiesznie mówiła dalej: — Chciałam, by usunął z archiwów zapis, skąd pochodzę.

— Usunął z twoich archiwów zapis o tym, skąd pochodzisz? — powtórzyła zaintrygowana Selenay. — Ależ dlaczego?

Talia nie miała pojęcia, skąd wpadł jej do głowy taki pomysł, ale najwyraźniej nie był on zły. Wzbraniała się pomyśleć o kłamstwie, lecz prawdy nie ośmieliłaby się wyjawić.

— Ja... ja chciałam, by nikt o tym nie wiedział. — Ku własnemu zaskoczeniu zrobiło jej się gorąco, gniew wypełnił jej oczy łzami. — Nie chcieli o mnie słyszeć, ha, w takim razie i ja nie chcę słyszeć o nich — nigdy! Skif powiedział, że Gród Senów może zażądać Przywileju Podatku, kiedy ja przywdzieję Biel, a ja nie chcę, by go nadano im!

Teraz naprawdę rozplakała się ze złości, zarumieniona wierzyła w każde wy-



powiedziane słowo. Ulga rozpromieniła nieco twarz Selenay. Elcarth wyglądał na lekko ogłupiałego, Keren tak, jakby sprawa była ostatecznie wyjaśniona, a Kyril był lekko ubawiony. Jedyne Orthallen. . . Talię aż wystraszył widok jego twarzy. Orthallen wyglądał na takiego, któremu oszustwem wyrwano coś, na czym, jak mu się zdawało, położył już rękę. Nagle opanował się. Jego twarz na powrót stała się chłodną, beznamietną maską, z której pomimo wysiłków Talia nic nie mogła wyczytać.

— Widzisz więc, Orthallenie, że można to było łatwo wyjaśnić — zabrał głos Elcarth, podczas gdy Heroldowie rozchodzili się i Talia mogła wreszcie zobaczyć, kto jest za nimi. Nie była zaskoczona, zobaczywszy bladego, zdenerwowanego Skifa, siedzącego na krześle, jakby go ktoś tam przykleił.

— Zatem dlaczego chłopiec nam tego nie powiedział? — chłodno zapytał Orthallen.

— Bo nie chciałem wpędzić Talii w tarapaty! — zgryźliwie odpowiedział Skif. — Powiedziałem wam, że nie chodziło mi o Księżę, a więc co was obchodziło, czego ja chcę? Wy nie jesteście Profosem-Marszałkiem!

— Skifie — łagodnie odezwał się Kyril — Lord Orthallen nie jest Profosem-Marszałkiem, ale zasługuje na szacunek z twojej strony.

— Tak jest, panie — wymamrotał Skif, uporczywie wlepiając wzrok we własne stopy.

— Doskonale, skoro sprawy wydają same się wyjaśniać, pozwolimy odejść naszym łotrom? — Selenay uśmiechnęła się lekko. — Talio, jeśli następnym razem zapragniesz czegoś z archiwum, poproś Kyrila lub mnie osobiście. Dopilnujemy, by z Cenzusu skreślono, iż pochodzisz z Grodów, jak tego chciałaś. Jednak wciąż nie rozumiem, dlaczego nie przysłałaś z tym do mnie.

Talia poczuła, jak tężeje jej skóra na twarzy i uzmysłowiła sobie, że teraz stała się kredowo biała.

— To było. . . samolubne, niegodne Herolda. Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział. . .

Elcarth pokonał dzielącą ich odległość i położył jej rękę na ramieniu.

— Jesteś tylko człowiekiem, a twoi krewni nie zasłużyli na życzliwość, po tym jak się ciebie wyparli. Skif. . . — wyciągnął rękę do chłopca, który, buntowniczo patrząc na Orthallena, powoli podniósł się z krzesła i stanął obok Talii, biorąc ją za rękę — . . . wracajcie z Talią do swoich izb. To była dla was długa noc. Młodzieży, nie róbcie, proszę, czegoś takiego więcej! No cóż, rozumiemy was. No już, ruszcie się.

Skif prawie wyciągnął Talię z królewskiej izby.

— Dobrzy bogowie, jakżeś ty to, u licha, wymyśliła? Byłaś wspaniała! Sam zacząłem ci wierzyć! Jak dowiedziałaś się, że wpadłem po uszy w tarapaty?

— Nie wiem, tak jakoś samo to do mnie przyszło — odparła Talia. — Po prostu wiedziałam, że coś ci się przytrafiło, Co się stało? Jak dałeś się złapać?

— Czysty pech — wyjaśnił ponuro Skif, zwalniając nieco szaleńcze tempo, w jakim przemierzali komnaty. — Selenay potrzebny był jakiś wypis z Cenzusu i Orthallen przyszedł po niego. Zobaczył światełko w kancelarii Profosa-Marszałka i złapał mnie na gorącym uczynku. O bogowie, o bogowie, ale byłem głupi! Nie byłoby tego, gdybym zwracał uwagę na dobiegające z korytarza dźwięki.

— Co on chciał z tobą zrobić?

— Próbował doprowadzić do zawieszenia mnie. Nie mógłby mnie wygnać, chyba że Cymry by mnie odrzucił, ale... Ha, próbował zesać mnie do Armii, do sprzątanania stajni na następne cztery lata: „aż nauczę się znaczenia prawdziwej pracy” — zacytował Skif.

— Mógł... mógł to zrobić?

— Niestety mógł. Za dużo nazbierało mi się w Księdze. Mówi o tym jakiś niejasny paragraf regulaminu Kolegium, a on jakimś cudem go wynalazł. Można by pomyśleć, że specjalnie szukał czegoś na mnie.

— Lepiej przestań mi pomagać...

Stanęli u drzwi izby Talii.

— A niech mnie, jeśli to zrobię! To takie przygnębiające: właśnie natrafiłem na archiwa Huldy! No cóż, musimy sobie dać z tym spokój, a trzymać się tego, co robiłem do tej pory. Przenigdy nie dopuszczę, aby coś takiego miało mnie powstrzymać!

Zamilkł i uściskawszy ją krótko, popchnął w kierunku drzwi.

— Idź już, prześpij się trochę. Przyda ci się to, a i ja czuję się okropnie!

Talia czuła się samotnie w swojej izbie, kiedy ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Otworzywszy je stwierdziła, że przed sobą ma jakąś czarną, demoniczną postać. Zanim zdążyła krzyknąć, zjawa zakneblowała jej usta, wciągnęła do izby i kopnięciem zamknęła drzwi za sobą.

— Psst! Nie wrzeszcz, to ja, Skif! — odezwało się straszdyło zachrypniętym głosem.

Szybko uwolnił jej usta, w każdej chwili gotowy zacisnąć je ponownie, gdyby zaczęła krzyczeć.

Nie zrobiła tego, wpatrywała się tylko w niego szeroko rozwartymi, zaokrąglonymi oczami.

— Skif, a co ty próbujesz ze mną zrobić? — odzyskała głos. — Prawie umarłam ze strachu! Dlaczego jesteś w takim przebraniu?

— Dlaczego? A jak myślisz? Nie łązi się po zamkniętych partiach Pałacu w Szarościach, a jestem za młody, by wyglądać przekonywująco w Bieli Heroldów. Uspokój się i złap tchu, bo dzisiaj w nocy idziemy razem.

— Ja? Ale...

— Nie dyskutuj, zakładaj to — podał jej ciasno dopasowaną koszulę i bryczesy w matowo czarnym kolorze. — Dobrze, że jesteś mniej więcej moich rozmiarów. Nie pytaj, skąd je mam, bo nie mogę ci powiedzieć.

Czekał cierpliwie, podczas gdy ona wkładała ubranie i podał jej pudło z tłustą, czarną sadzą.

— Wetrzyj to tam, gdzie widać skórę. Nie przeocz niczego, nawet kawałka skóry na karku.

Podszedł do okna, otworzył je na oścież i rzucił oknem w dół.

— Doskonale, nie musimy nawet schodzić na ziemię. Wyciągnął skądś linę i obwiązał nią Talię w pasie.

— A teraz chodź za mną, i rób dokładnie to samo, co ja.

Tej wspinaczki Talia wolała sobie w latach późniejszych nie przypominać. Skif prowadził ją od okna do okna przez całą długość skrzydła Kolegium, a potem przez całą fasadę Pałacu. Talia była niezwykle zadowolona, że większość dystansu mogli pokonać wzdłuż wąskiego gzymsu. Gdyby nie to, wątpiła, by jej się udało. Skif raptownie znieruchomiał przy zaciemnionym oknie. Talia ze wszystkich sił przyłgnęła do ściany, próbując nie myśleć o przepaści za swoimi plecami, gdy Skif zaglądał przez szczelinę w okiennicach. Najwyraźniej zadowolilo go to, co zobaczył wewnątrz, gdyż wydobyl coś z wiszącej u pasa sakiewki i zaczął dłużyć pomiędzy dwoma skrzydłami okiennicy. Wkrótce otworzyły się i Skif wszedł do środka, a Talia za nim. Ujrzeni pozbawioną sprzętów, pustą komnatę, wyraźnie nie używaną. Skif poprowadził Talię do szafy w ścianie. Otworzył ją i po omacku pomacał wewnątrz wzdłuż tylnej ściany. Talia usłyszała skrzypienie drewna o drewno i ujrzała parę otworów dla oczu, przez które z drugiej strony ściany wpadały promienie światła. Talia szybko przyłożyła oko do jednej dziurki, a Skif podał jej zwyczajnie wyglądającą szklanke. Na migi pokazał jej, jak oprzeć szklanke o ścianę i przyłożyć do niej ucho. Zrobiła to i stwierdziła, że słyszy każde słowo, słabo, lecz wyraźnie.

— ... a więc, w takim razie dziecko nigdy nie zostanie Wybrane, nie mówiąc o zostaniu Następczynią Tronu. Spisałaś się całkiem dobrze. Zupełnie dobrze, naprawdę — rozległ się obłudny głos, z którego przebijało zadowolenie. — Nie trzeba mówić, że jesteśmy z ciebie zadowoleni.

— Mój panie, jesteś nad wyraz łaskawy. — Talia dostrzegła mówiącą to osobę: Huldę. Nie mogła jednak dojrzeć tej pierwszej, a głosu nie rozpoznała, bo w szklance był zbytnio zniekształcony. — Czy mam robić to dalej?

— Czy dziecko-Herold próbowało zbliżyć się ponownie do Elspeth?

— Nie, mój panie. Wydaje się, że się zniechęciła.

— Jednak — pierwszy mówca zamilkł dla zebrania myśli — nie możemy ryzykować. Nie zarzucajcie praktyki opowiadania do poduszki; wiesz, jakie opowieści mam na myśli.

— Mój panie, jeśli chodzi ci o opowieści, w których Towarzysze porywają

nieświadome dzieci na pastwę straszliwego losu, możesz być spokojny — uczynię to.

— Cudownie. Oto następna dawka likworu dla opiekunki i twoje wynagrodzenie — takie jak zwykle.

Talia usłyszała, jak w jednej z sakiewek odebranych przez Huldę zabrzęczały monety.

— Zostaniesz bogatą kobietą, Huldo — rzekł mężczyzna, kierując się, sądząc po odgłosie, do wyjścia.

— Och, do tego zmierzam, mój panie — rzuciła jadownicę Hulda w stronę już zamkniętych drzwi, odwróciła się i opuściła komnatę drugim wyjściem.

Myśli Talii zbyt były pochłonięte tym, co właśnie usłyszała, by mógł ją oblecieć strach w drodze powrotnej. Kiedy dotarli do jej izby, Talia złapała ręcznik i zaczęła trzeć nim niemilosiernie, próbując oczyścić się z sadzy.

— Obserwowałeś ich po raz pierwszy? — zapytała, wściekle zdrapując z siebie czarną maź.

— Po raz trzeci. Za pierwszym razem natknąłem się na nich przez przypadek: śledziłem tę wiedźmę i musiałem ukryć się przed nią w tejże pustej komnacie. Odkryłem pęknięcia w szafie. Za drugim razem pomyślałem sobie, że to jest miejsce ich regularnych spotkań. Nie myliłem się. Wiesz, jest jeszcze coś... Nie, to zbyt śmiało.

— Co?

— Ha, kilka razy Melidy próbowała odtrącić podawany jej przez wiedźmę likwor i... ona zrobiła *coś*, nie wiem, co to było, ale zmusiła ją tym do wypicia szklaneczki. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysiągłbym, że użyła do tego prawdziwej magii... No wiesz, starych czarów, tych z legend, by zapanować nad wolą Melidy.

— Pewnie posiada jakiś Dar.

— Tak, właśnie tak. Sądzę, że masz rację.

— Masz, ubieraj to! Na mnie jest za duże, a więc będzie dobre na ciebie — Talia podała Skifowi strój.

— A po co? — zapytał ją zdumiony.

— Bo zaraz po tym, jak się ubierzesz, idziemy do Jadusa.

Kiedy dotarli do jego izby, Jadus spał. Zwykle Talia nigdy nie ośmieliłaby się go niepokoić, ale sądziła, że okoliczności usprawiedliwiają obudzenie go. Skif bezszelestnie otworzył drzwi i oboje wśliznęli się do środka. Obudził się, nim którekolwiek z nich zdążyło stanąć u boku jego łóża, wbił w nich wzrok; trzymał sztylet w dłoni, który wziął się tam nie wiadomo skąd.

Stary Herold sypiał niespokojnie przez ostatnie kilka nocy i zaczął kłaść się do łóżka, jak za młodych lat — ze sztyletem pod poduszką. Czujny, ocknął się w jednej chwili i usiadł z wymierzonym sztyletem, zanim Talia ze Skifem dotarli do połowy sypialni. Zaskoczony aż zamrugał, widząc dwoje wysmarowanych

sadzą uczniów, zamartwych w pół kroku.

— Talio! — Był wstrząśnięty jej widokiem, bo po Skifie, z jego skłonnością do żartów, mógłby się czegoś takiego spodziewać. — Dlaczego...

— Błagam, panie. Przepraszam, ale to bardzo pilne.

Uleciały z niego resztki snu, odprężył się i okrył ramiona kocem.

— Doskonale zatem. Zbyt dobrze cię znam, by uważać cię za skłonną do przesady. Rozdmuchajcie ogień, zapalcie świecę i powiedzcie mi o wszystkim.

Wysłuchał ich uważnie. Talia kazała Skifowi opowiedzieć to, co sam zaobserwował. Nie doszli nawet do połowy, a stwierdził, że w istocie sprawa należy do „bardzo pilnych”. Kiedy skończyli swoją opowieść, wstrząsnął nim dreszcz.

— Gdybym was obojga nie znał, przysięgłbym, że zmyślacie — powiedział w końcu. — Niemal żałuję, że tak nie jest.

— Panie? — zapytała Talia, przerywając długie milczenie, jej twarz była ściągnięta od zmęczenia. — Co powinnam zrobić?

— Wy, młodzieży? Nic. — Przytulił oboje do siebie, wdzięczny im za ich roztropność i odwagę. — Talio i Skifie, osiągnęliście więcej niż jakikolwiek dorosły. Jestem z was dumny i niezmiernie zadowolony. Jednak teraz zaufajcie mi i pozwólcie, bym wziął sprawy w swoje ręce. Trzeba, by ci, którzy muszą o tym usłyszeć, dowiedzieli się tego z ust dorosłego, gdyż nie przychyliła ucha na słowa dziecka. Mam nadzieję, że pozwolicie mi mówić za was?

Skif westchnął głośno i gwałtownie.

— Pozwolić wam? Święte gwiazdy, bałem się, że każecie mi opowiedzieć to samo przed Kyrilem albo Selenay we własnej osobie! A po przyłapaniu mnie na grzebaniu w archiwum, obawiam się, że nie darzą mnie specjalnym zaufaniem. O, nie, Heroldzie, ja tam wolę nie obwieszczać złych nowin. Jeśli więc nie macie nic przeciw temu, lepiej oddałę się, by wziąć kąpiel i położyć do łóżka.

— A ty, Talio?

— Proszę, jeśli moglibyście, panie, zrobić to za nas — podniosła na niego błagalnie pełne zmęczenia oczy. — Ja nie wiedziałabym, co powiedzieć. Tyle jest pytań, na które nie możemy odpowiedzieć. Nie wiemy, kim jest ten wielmoża, to po pierwsze; a gdyby Lord Orthallen zaczął na mnie krzyczeć, ja... ja mogłabym się rozpłakać.

— W takim razie odejdźcie, oboje. Zostawcie wszystko w moich rękach.

Oboje wstali i wyszli powłócząc nogami, zostawiwszy go pogrążonego głęboko w myślach.

Po długim namyśle Jadus zadzwonił na swego służącego.

— Medrenie, muszę obudzić Selenay. Poproś, by przyszła do mojej izby, zaznacz, że to bardzo pilne. Powiadom także Seneszala, Herolda Kyrila i Herolda Elcartha. Dołóż do ognia i przynieś wino i jadło — wpatrzył się zamyślonym

wzrokiem w dal. — Coś mi mówi, że to będzie bardzo długa noc.

Następnego dnia do Talii nie doszły żadne słuchy o Huldzie i prawdę powiedziawszy, wcale się tym nie przejęła. Z zadowoleniem zostawiła wszystko w rękach dorosłych. Słodki zapach pączków wiosennych wywabił ją o zmierzchu do ogrodu. Od czasu wygnania awanturników mogła bezpiecznie spacerować wszędzie i o każdej porze. Wdychała uderzający do głowy aromat hiacyntów, kiedy nagle postyszała stłumione szlochy, dobiegające spoza ogrodowych grot, które taką popularnością cieszyły się pośród odwiedzających to miejsce po zmroku par. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakiś porzucony kochanek, czy też jakiś inny nieszczęśnik podobnego pokroju, jednak dźwięk coraz bardziej przypominał płacz dziecka, zwłaszcza kiedy szlochy przybrały na sile. Impuls podobny do tego, który w zimie popchnął ją w stronę Królowej, spowodował, że i teraz koniecznie chciała poznać przyczynę — dobrze pamiętała przykazanie, by zawsze zawierzała swemu instynktowi.

Zachowując największą ostrożność, zbliżyła się cicho do groty i zajrzała do środka. Z twarzą wtuloną w mchy, łkając jakby jej serce złamano, leżała Następczyni Tronu; Talia weszła do środka i usiadła obok dziecka.

— Już nie wyglądasz jak ryba — zwróciła się do niej delikatnie, starając się zawrzeć w słowach jak najwięcej litości. — Bardziej przypominasz wodospad. Co się stało?

— O... O... Oni od... d... esłali Hulde — zaszlochało dziecko.

— Kim są „oni” i dlaczego to zrobili? — zapytała, nie znając wyników narady u Jadusa.

— M... M... Matka i ten obrzydliwy Kyril, i nie wiem dla czego: ona była moim najlepszym przyjacielem, nikt inny mnie nie lubi!

— Przykro mi; ja wiem, jak to okropnie być samotnym. Kiedy ja byłam w twoim wieku, zabrali moją najlepszą przyjaciółkę, by wydać ją za mąż za upiornego starca i nigdy jej nie ujrzałam.

— Płakałaś? — Łzy przestały płynąć, w głosie dziecka zabrzmiało szczerze zainteresowanie.

— Tak, gdy nikogo nie było w pobliżu, nie śmiałam płakać w obecności innych. Dorośli powiedzieli, że płacz z tak błahego powodu jest grzechem. A mnie wydawało się, że mylą się okropnie, bo płacz może przynosić ulgę. Czy teraz czujesz się odrobinę lepiej?

— Trochę — przyznało dziecko. — Jak masz na imię?

— Talia. A ty?

— Powinnaś zwracać się do mnie: Wasza Wysokość. — Podbródek dziecka wysunął się arogancko.

— Nie, jeszcze nie powinnam. Nie jesteś *prawdziwą* Następczynią Tronu, do-

póki nie Wybierze cię Towarzysz i najpierw nie udowodnisz, że możesz być Heroldem.

— Nie jestem? Ale Hulda nie powiedziała mi tego!

— A jednak to prawda, spytaj, kogo chcesz. Może nie wiedziała, albo okłamywała cię.

— Dlaczego? — zapytało zadziwione dziecko.

— Hmm, do głowy przychodzi mi przynajmniej jeden pomysł: nie chciała, byś przyjaźniła się z innymi dziećmi, chciała być jedyną twoją przyjaciółką. Tak więc, wmówiła ci, że jesteś nazbyt ważna, i tym tak denerwowałaś innych, że opuścili cię wszyscy.

— Skąd mam wiedzieć, że i ty nie kłamiesz? — wojowniczo odezwało się dziecko.

— Jestem Heroldem, czy też za kilka lat nim będę, a Heroldom nie wolno kłamać.

Dziecku słowa Talii wyraźnie się nie spodobały.

— Pewnie mówiła kłamstwa przez cały czas; kłamstwem było zapewne i to, że jest moim przyjacielem! — Wargi jej się zatrzęsyły i wyglądało na to, że na nowo wybuchnie płaczem. — W takim razie nie mam *żadnych* przyjaciół!

Trysnęły łzy, a Talia instynktownie przygarnęła do siebie nie stawiając oporu dziewczynkę. Głaskaniem starała się ją uspokoić, a kiedy przestała już szlochać, wyjęła chusteczkę i osuszyła zaczerwienione oczy i nos małej.

— Teraz nie masz przyjaciół, ale to nie znaczy, byś ich nie mogła znaleźć — powiedziała Talia. — Jeśli chcesz, będę twoim przyjacielem, ale musisz przrzec mi jedno.

— Najpierw powiedz mi, co muszę obiecać. — Lekko podejrzliwy ton dziecka, zdradził Talii więcej o metodach wychowawczych opiekunki Huldy niż tysiąc sprawozdań.

— Obietnicę tę można złożyć bardzo łatwo, ale okropnie trudno przyjdzie jej dotrzymać, nie jestem pewna, czy podołasz... — Talia pozwoliła wkraść się zwątpieniu w jej słowa.

— Ja to potrafię! Ja to wiem! Powiedz mi!

— Obietnica składa się z dwóch części. Po pierwsze: bez względu na to, co powiem, nie będziesz się wściekać na mnie, dopóki w samotności nie zastanowisz się nad moimi słowami; po drugie: mimo wszystko nie będziesz się na mnie wściekać, chyba że to co powiedziałam, nie było prawdą, a ty to udowodnisz.

— Obiecuję! Obiecuję! — wykrzyknęła dziewczynka bez namysłu. — Skoro jesteśmy teraz przyjaciółmi, może powiesz mi swoje imię.

— Przrzekasz, że nie będziesz się śmiać? — Dziecko aż zarumieniło się ze wstydu.

— Przrzekam, ale i tak bym się nie śmiała.

— Hulda śmiała się. Powiedziała, że to głupie imię. . . Elspeth — rzekło dziecko, wpatrując się nieruchomymi oczyma we własne kolana.

Talia zaczęła podejrzewać, że wkrótce bardzo obrzydłą jej słowa „Hulda powiedziała”.

— To nieprawda i jestem tego całkowicie pewna. Na tronie tego Królestwa zasiadały Królowe o tym imieniu: Elspeth Sprawiedliwa, Elspeth Roztropna, Elspeth Chytra. Trudno ci będzie dorównać twoim poprzedniczkom, imię Elspeth zobowiązuje. Zwłaszcza gdybyś chciała zdobyć Towarzysza i stać się Następczynią Tronu.

— S. . . sama nie wiem. — Elspeth wyglądała na przestraszoną i strapioną. — I Towarzysze. . . one. . . Ja się ich boję. Możesz mi pomóc? Proszę. — Słowa zaczęła wypowiadać cichutko, a zakończyła szeptem.

— Hmm, po pierwsze musisz zacząć odnosić się do ludzi uprzejmiej niż dotąd i mam tu na myśli *każdego* — wielmożę i prostego człeka. Jeśli się postarasz, przybędzie ci przyjaciół, którzy będą ciebie lubić, a nie ludzi z wyrachowaniem udających przyjaźń, by coś otrzymać od ciebie.

— Odnoszę się do ludzi uprzejmie! — zaprotestowała Elspeth.

— Och, doprawdy? — Talia wykrzywiła twarz w obrzydliwym grymasie i zaczęła udawać najgorsze zachowanie Bachora. — Jeśli to jest uprzejmość, to wolałabym, byś przy mnie nie wpadała we wściekłość! Czy ty naprawdę myślisz, że ktoś chciałby się zaprzyjaźnić z kimś takim?

— N. . . nie — odpowiedziała zawstydzona Elspeth.

— Jeśli chcesz się zmienić musisz zacząć myśleć o tym, co mówisz i zanim coś powiesz, czy to zrobisz. Pomyśl, jakbyś ty się poczuła, gdyby ktoś zachował się tak wobec ciebie. — Powodowana nagłym przyływem uczuć przytuliła zagubione dziecko. — Ja widzę obok siebie bardzo miłą osóbkę imieniem Elspeth, ale mnóstwo ludzi dostrzegłoby tylko Bachora. Czy wiesz, że tak nazywają ciebie?

— Czy moja matka nie może ogłosić mnie *Następczynią*? Hulda powiedziała, że tak.

— Prawo wymaga, by Następcą był także Heroldem, i nawet Królowa nie może postawić się poza prawem. Jeśli się nie postarasz, tytuł może przypaść Jeri w udziale. W jej żyłach płynie tak samo błękitna krew i na dodatek już została Wybrana!

— Pomożesz mi? Naprawdę? — Bezbronne dziecko, które wyjrzało z oczu Elspeth, podbiło do końca serce Talii.

„Panie Światła, w cóżem się wpakowała?!” Przez następne kilka tygodni takie myśli często nawiedzały Talię. Przynajmniej ze trzy razy na dzień biegła w przezwie między zajęciami w Kolegium i swoimi obowiązkami do Królewskiej Komnaty Dziecięcej. Teraz częściej rozpoczynała dzień jedząc śniadanie u Elspeth,



a nie w Kolegium. Do Pałacu wracała po kolacji, którą w Kolegium podawano znacznie wcześniej. Miała trochę czasu dla siebie, do chwili gdy Elspeth wracała do swych komnat odprowadzana przez Jadusa, wtedy spacerowały razem po ogrodach, a potem Talia kładła dziecko do łóżka.

Hulda zniknęła ze swej izby, zanim Selenay zdążyła osadzić ją w areszcie. Ktoś — przypuszczalnie osoba zasiadająca w Radzie — ostrzegł ją na czas, by uciekła. Talia niewiele miała wolnego czasu, by łamać sobie głowę nad zagadką, co się z tą kobietą stało, bo była zbyt zajęta „wypędzaniem” bachora. A był to trud, co się zowie.

Elspeth potrafiła wściekać się o byle drobiazg: a to mleko podane jej było zbyt zimne, a to kąpiel za gorąca, poduszka zbyt miękka lub nie podobał jej się kolor wybranych dla niej szat. Talia jakoś zniosła dwa pierwsze napady złego humoru, łudząc się, że Elspeth sama się uspokoi. Niestety sztuczka nie zdała się na nic.

Za trzecim razem Talia spróbowała przywołać ją do porządku. Wszystko zaczęło się, gdy jedna z pokojówek Elspeth pociągnęła ją zbyt mocno, czesząc jej włosy. Bez namysłu dziecko złapało szczotkę i uderzyło nią kobietę. Talia odebrała jej szczotkę i podała ją przerażonej dziewczce.

— Uderz ją — rozkazała.

— Ależ... panienko! Ja... nie mogłabym... — wyjąkała pokojówka.

— Na moją odpowiedzialność, oddaj jej tak mocno, jak ona to zrobiła.

Ku niebotycznemu zdumieniu Elspeth pokojówka wymierzyła jej siarczystego klapsa szczotką. Bachor otworzył usta i rozdarł się, ile sił w płucach, czym jak dotąd zawsze zmuszał zaleknione otoczenie do ustępstw. Talia z kamienną twarzą uniosła szklankę wody i chlusnęła nią w twarz dziewczynki.

— Teraz — zwróciła się Talia do plującego wodą dziecka — obowiązuje nowa zasada: jeśli wyrządzisz krzywdę komukolwiek, ciebie natychmiast spotka to samo. Jeśli nie możesz nauczyć się myśleć, zanim coś zrobisz, musisz pogodzić się z tym, co ciebie spotyka. Ona nie szarpnęła cię za włosy umyślnie. — Talia zwróciła się do pokojówki: — Na pewno masz coś innego do roboty poza usługiwaniem dzikiej, małej bestyjce.

Pokojówka domyśliła się, że ją odsyłają. W jej oczach zamigotało zadowolenie. Nie mogła się wprost doczekać, by rozpowiedzieć wszystkim o tym, jak teraz się rzeczy mają!

— Tak, proszę pani — rzuciła krótko i już jej nie było.

— A teraz, skoro nie można ci ufać, iż nie nadużyjesz przywileju posiadania służącej, która by za ciebie to zrobiła, będziesz musiała własnoręcznie szczotkować swoje włosy i samodzielnie zajmować się własnymi sprawami. — Talia opuściła komnatę, wręczwszy szczotkę dziecku, które aż rozdziawiło buzię ze zdumienia.

Od tej pory Elspeth zmagła się ze wszystkim sama, pozbawiona pomocy służących. Wyglądała jak obszarpaniec. Zdawała sobie z tego sprawę i wściekało ją to. Służące, na rozkaz Królowej, nie zadawały sobie trudu, by skrywać uciechę z nowego stanu rzeczy i nie ociągały się w dawaniu do zrozumienia, iż Elspeth spotkał los, na jaki od dawna sobie zasłużyła. Dworzanie byli jeszcze gorsi; umizgiwali się, uśmiechali, jakby nigdy nic, lecz Elspeth domyślała się, że w skrytości ducha pękają ze śmiechu, natrzęsając się z niej. Talia nie opuściła jej, jednak pomagała jej chesać się i ubierać tylko na uprzejmą prośbę. Jednym słowem, wszystko to układało się w sposób wielce nieoczekiwany i niezadowolający.

Elspeth próbowała udowodnić, że wcale jej to nie obchodzi, doprowadzając do kompletnej miny swoje dziecięce komnaty. Spędziła jeden upojny ranek na wywracaniu sprzętów, rozdieraniu pościeli i usypywaniu z resztek sterty na środku sypialni, niszczeniu zabawek i rozrzucaniu szczątków dookoła. Siedziała pośrodku tego bałaganu, gdy pojawiła się Talia.

— No cóż — powiedziała Talia, obrzuciwszy spokojnym spojrzeniem zniszczenia. — Zdajesz sobie sprawę, tak sądzę, że komnata dziecięca będzie tak wyglądać, dopóki w niej nie posprzątasz.

Elspeth rozdziawiła usta, bo wydawało jej się, że swym postępowaniem rozgniewa Talię. Nagle zaczęła domyślać się, co to oznacza.

— A... A... Ale gdzie będę spać?

— Na podłodze albo na nagich materacach. To zależy od ciebie. Co by nie powiedzieć, będzie to lepsze od legowiska Skifa, gdy żył na ulicy, albo mojego, gdy wypasałam owce i lepsze to od pilnowania ciężarnych klaczy tuż przed oźrebieniem.

Elspeth wybuchnęła płaczem, lecz Talii tym nie wzruszyła. Nie mogąc skruszyć łzami uporą swjej opiekunki, Elspeth złapała kawałek drewna i cisnęła nim w jej głowę. Reakcja Talii była natychmiastowa; z łatwością uchyliła się przed pociskiem i natarła na dziecko z zaciśniętymi gniewnie ustami. Zanim Elspeth połapała się w sytuacji, Talia uniosła ją, wymierzyła trzy mocne, piekące klapsy i odstawiła na podłogę.

— Następnym razem — ostrzegła, zanim jej słowa utonęły we wściekłym wyciu dziecka — będzie ich sześć. — Po tych słowach opuściła komnatę głośno trzasnąwszy drzwiami, choć — czego Elspeth nie mogła wiedzieć — nie oddaliła się zbyt daleko.

Dziecko doprowadziło się płaczem niemal do mdłości i znużone zasnęło na usypanych na środku komnaty kocach.

Talia wiedziała doskonale, że jeden opuszczony posiłek nie odbije się na zdrowiu dziecka, lecz następnego dnia nie omieszkała, jak gdyby nigdy nic, pojawić się z tacą bardzo obfitego śniadania. Pomogła znacznie już potulniejszej dziewczynce umyć się, ubrać i rozczesać kołtun, który od trzech dni tworzył się na jego głowie. Wszystko było jak najlepiej aż do obiadu, kiedy to Elspeth rozkazującym

tonem spytała, czy ktokolwiek zamierza posprzątać w jej komnacie.

— Porządek zapanuje tutaj, jeśli ty go zrobisz, nie wcześniej — zabrzmiała nieustępliwa odpowiedź Talii.

Wywołało to kolejny atak szału, w którym dziewczynka wymierzyła zabawką w głowę opiekunki, za co nagrodzona została zapowiedzianymi sześcioma klapsami, po czym Talia odeszła na zajęcia, a dziecko skryło się, pochlipując w kącie. Po trzech dniach zmagania Talia, przyszedłszy do komnaty dziecięcej, ujrzała Elspeth usiłującą rozplatać ciężkie koce. Udało się jej już poustawiać niektóre sprzęty mniej więcej na swoje miejsce. Bez słowa Talia pomogła jej dokończyć sprzątanie, zbierając potłuczone zabawki i odkładając na półki. Tej nocy, po raz pierwszy od tygodnia, Elspeth przespaa się we własnym łóżku.

Kolejną kością niezgody okazały się rozbite zabawki, które nie zostały w „magiczny sposób” zastąpione nowymi. Elspeth chciała znać powód.

— Najwyraźniej, nie dbałaś o nie, a więc nie dostaniesz nowych — usłyszała od Talii. — Jeśli chcesz bawić się zabawkami, musisz własnoręcznie naprawić te, które sama popsulaś.

Był to, jak się okazało, dobry pretekst, by następny tydzień okazał się niemal taki jak poprzedni, choć tym razem Elspeth rozsądnie zaniechała ciskania zabawek w głowę Talii. Za to znowu prawie pochorowała się od płaczu, i kiedy piąty dzień chylił się ku końcowi, Talii przejadła się ta taktyka. Pomyślała sobie, że czas położyć temu kres: wzięła dziewczynkę pod pachę, zaniosiła do łazienki, wrzuciła ją do balii i zlała lodowatą wodą.

— Tym płaczem wpędzasz siebie samą w chorobę — rzekła najłagodniej, jak potrafiła, do prychającego wodą dziecka. — Skoro nie chciałaś przestać z własnej woli, poczułam się zmuszona zmusić cię do tego.

Odtąd Elspeth płakała oszczędniej, choć tym razem przetrzymała dłużej. Po upływie pełnych dwóch tygodni Talia ujrzała ją ślęczącą nad pogruchotanym zaprzęgiem w jednej ręce, z pędzelkiem umaczanym w kleju w drugiej. Skrawkami papieru obkleiła sobie tu i ówdzie twarz, włosy oraz całe ręce. Widok był iście wzruszający.

— Ja... ja nie wiem, co z tym zrobić. — Pojedyncza, wielka, szczerą łza wolno spłynęła w dół jej policzka, gdy podniosła wzrok na Talię. — Próbowałam. Naprawdę próbowałam. Ale on wciąż się rozpada! — powiedziała cichutko.

Talia wyjęła jej z rąk zaprzęg i pędzelek. Przytuliła ją i ucałowała, nie zwracając uwagi na klej.

— W takim razie ja ci pomogę. Wcześniej trzeba było jedynie poprosić.

Zanim udało się ponaprawiać zabawki, upłynął niemal miesiąc, a i tak zostało

kilka, którym nic nie mogło już pomóc. Talia nie powiedziała, czy poleci je wymienić, czy nie. Raz czy dwa razy Elspeth zaczęła z tego powodu kapryścić, jednak w porównaniu z wcześniejszymi wyczynami robiła to jakby na siłę. Zaczynała się domyślać, że w obecności nowej opiekunki lepiej nie rozpętywać piekła. Wtedy Talia doszła do wniosku, że czas rozpocząć naukę.

Po pierwszym dniu, który upłynął tylko na wrzaskach — jak dotąd Elspeth przynajmniej oduczyła się siania zniszczenia i agresywności — Talia zwolniła się na tydzień z porannych zajęć w Kolegium. Pod koniec owego tygodnia czuła się, jakby poskramiała zdziczałego konia, lecz Elspeth w końcu ugięła się pod jarzmem nauki, a nawet zaczęła niechętnie okazywać zainteresowanie.

Stopniowo dobre dni zaczęły przeważać nad złymi. Miarą tego postępu było przywracanie Elspeth jej przywilejów. Wróciły jej pokojówki. Teraz traktowała je, jakby były ze szkła, najwidoczniej w obawie, że jeśli nadmiernie podniesie głos, znikną ponownie. Zniszczone zabawki zastąpiono nowymi; w pierwszym rzędzie te, których nie udało się naprawić, a potem zreperowane niewprawną ręką; wszystkie, za wyjątkiem lalki rozerwanej na strzępy, którą naprawiła Talia. Elspeth ujrzawszy, że nowe zabawki zajmują miejsce zniszczonych, zabrała ją i spała z nią odtąd w łóżku. Wzruszona Talia uśmiechnęła się do siebie i lalka została. Postęp był wyraźny.

Trzeba się było uporać z jeszcze jednym problemem: dziewczynka śmiertelnie obawiała się Towarzyszy, męczyły ją koszmary i nie można jej było namówić, by choć na krok zbliżyła się do Łąki. Talia starała się zatrzeć w pamięci dziecka przerażające bajania Huldy, opowiadając ploteczki z Kolegium, w których Towarzysze były równie częstymi bohaterami, co uczniowie. Gdy tylko wydało jej się to możliwe, zaczęła na spacerach przed snem zabierać Elspeth coraz bliżej Łąki Towarzyszy i pewnego dnia weszła z dzieckiem wprost na nią, mając za sobą Rolana, który trzymał się dyskretnie z dala od nich. W miarę upływu dni i przyzwyczajania się dziecka do jego obecności, Rolan — za zezwoleniem Talii — zbliżał się coraz bardziej. Nadszedł wreszcie radosny dzień, kiedy udało się wsadzić Elspeth na jego grzbiet. Po żwawej przejażdżce ostatnie koszmary zniknęły, dziecko wyleczyło się z wszelakich hysterii, a Talia poczuła się sownie nagrodzona za swe trudy, gdyż teraz miłość dziecka do tych istot dorównywała lękowi, który czuła przed nimi uprzednio.

Nastąpiły cudowne dni — Elspeth była słodkim, opanowanym dzieckiem, w towarzystwie którego przyjemnie upływał czas. Jednak od czasu do czasu zdarzały się jej dni złe, gdy znów stawała się Bachorem. Wtedy znów ulegała napadom wściekłości, obrażała pokojówki — choć nigdy już żadnej nie tknęła pal-

cem — obrzucała Talię obelgami, dla czystej przyjemności niszczenia przewracała swą dziecięcą komnatę do góry nogami. Talia znosiła to do pewnego momentu i udzielała trzech ostrzeżeń. Jeśli po trzecim nie było poprawy, królewski Bachor dostawał królewskie klapsy i zostawał sam na sam z sobą, póki nie przeprosił opiekunki. Wkrótce wystarczyło przywołać dziecko do porządku upomnieniem, że: „zaczyna z niej wyłazić Bachor”.

Talia była wyczerpana, ale zadowolona. Ponieważ do tej pory tak wiele czasu poświęcała dziecku, zwolniono ją z obowiązków w Kolegium i pilnowania klaczy przed oźrebieciem. Teraz, gdy Bachor coraz rzadziej „wyłaził” z Elspeth, stopniowo zaczęła wracać do swych rutynowych zajęć.

Im bardziej Elspeth interesowała się Towarzyszami i im mniej się ich bała, tym bardziej pociągała ją myśl o „czekaniu na źrebięta”. W lecie obowiązek ten nie należał do uciążliwych, za to w zimie mógł, i często był, istną torturą.

Klaczę Towarzyszy nie źrebiły się z taką łatwością jak konie. Te, które dokonały Wyboru, miały oczywiście swoich Heroldów lub uczniów, którzy pomagali im, gdy nadchodził czas, lecz inne nie miały nikogo do pomocy. W razie komplikacji często chwile mogły decydować o życiu i śmierci klaczy lub źrebięcia. Keren robiła, co w mogła, ale przecież nie mogła być wszędzie i musiała od czasu do czasu się przespać. Tak więc uczniowie musieli nocami sprawować pieczę nad Towarzyszami u progu oźrebiecia, które nie miały swoich Heroldów. Talii przypadł ten obowiązek niedługo po Nocy Świętojańskiej i Elspeth tak żarliwie prosiła ją, by mogły czuwać razem, że Talia uległa i wyraziła zgodę. Nie spodziewała się, by miało coś się wydarzyć, ani — dowiedziała się tego za pośrednictwem Rolana — nawet klacz nie sądziła, by miała zlec przed upływem tygodnia. Jednak ku zaskoczeniu wszystkich tuż przed północą klacz obudziła Talię niecierpliwymi szturchancami — poród przebiegał w najlepsze.

Gdy doświadczone oko Talii odkryło, iż źrebię jest źle ułożone, nie kto inny a Elspeth — która jeszcze kilka miesięcy temu na widok Towarzysza uciekłaby w popłochu — pobięła sprowadzić Keren, a potem głaskała po łbie klacz, gdy obracano źrebaka, i to Elspeth pomogła wytrzeć noworodka do sucha oraz dopomogła mu stanąć na trzęsących się nogach. Klacz przekazała coś wprost do myśli Keren, gdy źrebak zaczął ssać. Keren uśmiechnęła się i ostrożnie wyciągnęła jej z ogona kilka włosów. Ledwie mogąca utrzymać oczy ze zmęczenia, ale szczęśliwa Elspeth otrzymała na miejscu w prezencie plecioną opaskę — „w podzięce od mamy”. Natychmiast nałożyła ją i nie chciała już zdjąć. Odtąd Talia widywała czasami, że zamiast wybuchnąć gniewem, dziecko dotyka tej opaski, przełyka ciężko ślinę i bierze swoją kapryśną naturę w karby. Ta noc okazała się prawdziwym punktem zwrotnym.

W końcu, późnym latem, Elspeth podeszła do swojej matki i poprosiła o zezwolenie — tak uprzejmie, że Królowa aż zaniemówiła z wrażenia — na towarzyszenie Talii w południowych zajęciach.

— Pytałaś, czy Talii nie będzie przeszkadzać twoja obecność? — zapytała Królową swą odmienioną córkę.

— Tak, pani matko. Powiedziała, że mogę przychodzić i na poranne zajęcia, lecz wtedy muszę się uczyć czego innego, więc pomyślałam sobie, że to nie byłby dobry pomysł. Po południu jednak powinnam obserwować ćwiczenia szermiercze i jazdę w siodle, a więc mogę to robić w Kolegium, prawda? I jeszcze coś — zmęczyła mnie samotność. Proszę.

Królowa udzieliła pozwolenia, a kiedy dziecko opuściło komnatę, zwróciła się do Talii, która przez cały czas stała u boku Elspeth, jednakże nie zabierała głosu w rozmowie.

— Nie wierzę własnym oczom i uszom! — wykrzyknęła. — Czy to jest to samo dziecko, które jeszcze w zimie pomiatało pokojówkami? Dokonałaś cudu!

— To Elspeth dokonała cudu — poprawiła Talia. — Ja tylko podsunęłam jej powody, dla których powinna to zrobić. Myślę, że na nasze szczęście zostawiono Huldzie wolną rękę na niecałe dwa lata. Gdyby objęła opiekę nad Elspeth wcześniej, chyba nikt już nie mógłby jej odmienić.

— W takim razie bogom niech będą dzięki za to, iż odkryłaś, że to ona jest odpowiedzialna za jej złe zachowanie. Ja widziałam jedynie, że Elspeth stopniowo zaczyna sprawiać coraz większe kłopoty. Nie mogłam jej nawet zabierać na przejażdżki, bo popadała w histerie na widok Caryo, i jedynie Hulda mogła ją uspokoić — powiedziała zamyślona Selenay. — Nie do wiary, jak chytrze się do tego zabrała. Myśmy myśleli, że najgorszym było wpajanie dziecku nadmiernie wysokiego mniemania o sobie; ona twierdziła, że to przejściowe. Z każdym dniem coraz bardziej przypominała swojego ojca i to było dla mnie dodatkowym utrudnieniem — nie byłam pewna, czy właściwie osądzam jej zachowanie, czy nie ma na to wpływu uraza, którą czułam do tego człowieka. Talamir doradzał oddanie jej obcej rodzinie na wychowanie; to nierządki przypadek, który nie wywołuje nieprzychylnych pogłosek. Biedny starzec, czuł, że nie jest w stanie poradzić sobie z tak małym dzieckiem. Nagle, gdy wydawało nam się, iż znaleźliśmy rozwiązanie, padł z ręki mordercy.

— A więc teraz wiecie to z całą pewnością — Talia zagryzła wargę.

— W rzeczach pozostawionych przez Huldę, znaleźliśmy fiołkę z mocnym środkiem na serce, którego niewielka dawka działa uzdrawiająco, lecz dużej serce nie jest w stanie wytrzymać. Tak było w przypadku Talamira. Biedaczysko. Ciągłe zdawaliśmy się pokonywać ogromną, dzielącą nas przepaść lat, a jednak nie spotkaliśmy się tak naprawdę nigdy. Wiem, że chciał dla mnie jak najlepiej, lecz był zbyt zakłopotany sytuacją, by czuć się dobrze w roli zaufanego Królowej. Był zbyt uprzejmy, by skarcić mnie choćby w słowach, nawet kiedy trzeba było to zrobić.

— Hmm, *ja* na pewno nie mogę wymierzyć *wam* klapsa! — odparła Talia, lekko zirytowana tym litowaniem się nad sobą Królowej.

— Ach, nie? — roześmiała się Królowa. — To zabrzmiało jak dobrze przemyślane słowa nagany!

— Ja... ja przepraszam — poczerwieniała Talia. — Nie mam prawa odzywać się do was w ten sposób.

— Wręcz przeciwnie. Miałaś prawo to zrobić; prawo, z którego Talamir nie chciał korzystać — odparła Selenay, przechylając nieco głowę na bok i mierząc dziewczynkę spojrzeniem. — Wiesz, powiadają, że mądrość Osobistego Herolda Królowej nie zna granicy wieku, a mnie się zaczyna wydawać, że nie ma w tym całej prawdy. Jesteś tak samo moim Heroldem, jak i Heroldem Elspeth. I wierzaj mi moja mała, ja nie zamierzam z ciebie rezygnować!

## DZIESIĄTY

Kilka dni później Królowa wróciła w rozmowie z Talią do tego samego tematu.

— To bardzo źle, że Hulda zniknęła — powiedziała bardzo poirytowana Selenay, prawdę powiedziawszy rozłoszczona tym, że kobieta dosłownie umknęła jej sprzed nosa. — Ktoś mógłby ją przesłuchać, rzuciwszy na nią Zakłęcie Prawdy. Dowiedzielibyśmy się może, kim był ten wielmoża, choć nie wydaje mi się, by mogła nam dużo powiedzieć. Kyril stwierdził, że z archiwów przybyszów przepadły i jej akta.

— Jasne Niebiosa! W takim razie możemy nigdy nie dowiedzieć się, na czyich była usługach. Skif powiada, że człowiek, z którym rozmawiała, był zawsze zakapturzony i zamaskowany. Wątpi, by i ona wiedziała, kim on był. — Talia była zafrasowana, choć starała się tego nie okazywać. — Jednak, czy może sprowadzić na nas jeszcze jakieś nieszczęście?

— Nie sądzę. Cóż takiego mogłaby zrobić? Nawet Melidy przychodzi do zdrowia, na tyle, na ile może.

— To doskonała wiadomość — westchnęła z ulgą Talia. — Zatem bez względu na to, co to była za driakiew, nie będzie działała wiecznie?

— Uzdrowiciele powiadają, że nie. I wprost słów mi brak, by wyrazić wdzięczność słysząc, że udało ci się wyleczyć Elspeth z lęku przed Towarzyszami.

— To niesłychane, jak lęk zniknął razem z Huldą — powiedziała oschle Talia. — Wystarczyło kilka razy odwiedzić Rolana i innych. Teraz ich uwielbia.

— Zauważyłam — dorzuciła Selenay z kwaśną miną. — Zwłaszcza że Elspeth nagle postanowiła, iż chce dzielić ze mną moje popołudniowe przejażdżki z Caryo. To mi nasunęło pewną myśl: wiem, że jesteś bardzo zajęta, bardziej niż uprzednio, ale czy w tygodniu nie mogłabyś poświęcić nieco czasu dla mnie.

— Znajdę jakoś trochę czasu — westchnęła Talia, — Dlaczego?

— Chciałabym, byś zajęła miejsce Talamira w Radzie.

— Co? Teraz? — Talię zatkało.

— Dlaczego nie? Prędzej czy później i tak ciebie to czeka. Chciałabym byś przywykła do intryg, które się tam knuje i chcę, by Doradcy przyzwyczaili się do twojego widoku. Podczas zebrań nie musisz zabierać głosu, jednak zawsze



możesz dostrzec coś, co umknie mojej uwadze, a o czym warto byłoby wiedzieć.

— Co miałabym zobaczyć?

— Być może nic lub bardzo wiele. Prócz tego, dzięki temu będziesz nieco bezpieczniejsza. Twoja obecność przy stole w Radzie będzie wyraźnym znakiem, że nie zlekceważę żadnego zamachu na ciebie tylko dlatego, że nie jesteś jeszcze pasowanym Heroldem.

— Czy mogę postawić warunki?

— Oczywiście.

— Chciałabym zabierać ze sobą Elspeth. W ten sposób nie poczuje się zlekceważona, a przy okazji dowie się, że rządzenie jest pracą i to lepiej niż z moich opowiadań.

— Zgoda. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

— Nieprawda — zaprotestowała Talia.

— Prawda, i ty o tym wiesz. A ponieważ zachowujesz się jak Osobisty Herold Królowej, czy mogłabyś zwracać się do mnie po imieniu. Nużą mnie „wasze wysokości” i „majestaty”. Dla ciebie jestem zwykłą Selenay.

— Tak, wa... Selenay — odpowiedziała Talia i obie uśmiechnęły się do siebie.

— Następną Radę zbiera się za dwa dni, tuż po obiedzie. Zatem, do zobaczenia?

Niedługo potem Elspeth przyszła na lekcję fechtunku Talii z Alberichem i nigdy już nie opuściła żadnej. Dziecko wydawało się zafascynowane różnymi stylami wojowania, których Alberich uczył swoich adeptów. Uczniowie — ostrzeżeni zawnazasu, że Elspeth będzie im się przyglądać — ćwiczyli normalnie, lekko tylko usztywnieni. Po krótkiej chwili zaczęli przystawać na krótko, by skinąć głową lub po koleżeńsku zamienić z dzieckiem słowo, traktując ją, jakby była jeszcze jednym, zwykłym uczniem. Niedługo przestali nawet udawać. Przyjęcie jej w swe szeregi wydawało się rzeczą naturalną.

Elspeth była milczącym widzem przez jakiś tydzień, może dwa. Wtedy Alberichowi najwyraźniej przyszedł do głowy pomysł, który postanowił sprawdzić i, tak jak to miał w zwyczaju, wprowadził swe zamiary w czyn, nie zdradzając się przed Talią ani słówkiem.

Skończywszy właśnie szermierkę z Talią, Alberich łypnął jednym okiem na Elspeth, jakby przez przypadek — choć Talia wiedziała doskonale, że tam gdzie w grę wchodziła nauka, mistrz nie zostawiał niczego przypadkowi.

— Hej ty, dziecko! — warknął. — Chodź tutaj!

Talia zobaczyła, jak Elspeth zaczyna wysuwać podbródek i zadzierać nosa — pewna oznaka, że za chwilę ulegnie swym starym przyzwyczajeniom. Udało się jej zwrócić na siebie wzrok dziecka i wykrzywić twarz w grymasie, który sa-

ma Elspeth nazwała „królewskim maszkaronem”. Elspeth zachichotała, dotknęła palcami opaski od Towarzysza i pycha z niej wyparowała; posłuchała Albericha z przykładną potulnością.

— Przyjrzyjcie się wszyscy — powiedział, wręczając Elspeth krótki, ćwiczebny miecz. — W tym wieku nie nabrała jeszcze złych nawyków, a więc nie trzeba naprawiać u niej żadnych błędów. Nawet akrobatę przewyższa giętkością stawów, będzie uczyć się szybciej niż cała wasza trójka razem wzięta. Imię, dziecko?

— Elspeth, panie.

— Potrafisz tak? — pokazał jej jedno ze swych wstępnych ćwiczeń.

Pomiędzy brwiami Elspeth pojawiła się mała zmarszczka, gdy próbowała powtórzyć jego ruchy. Poprawił ją parokrotnie i przeciwiczył z nią to samo kilkanaście razy, na samym końcu nie zwalniając ruchów ani odrobinę.

— Widzicie? Oto właśnie chodzi. Staracie się w pocie czoła osiągnąć zwinny i chłonny umysł oraz ciało małego dziecka. Patrzcie!

Nagle natarł na Elspeth tak, że broniąc się musiała wykorzystać to, czego się właśnie nauczyła. Sparowała atak w sposób tak idealny, że wywołało to burzę oklasków pozostałych studentów.

— Czego raz się nauczysz w tym wieku, nie zapomnisz. Spróbujcie zrobić to samo.

Na rozkaz Albericha, znów zaczęli się fechtować między sobą. Mistrz przywołał do siebie Talię.

— Ty jesteś za nią odpowiedzialna? — zapytał, tak jakby nie miał pojęcia o tym, kim była Elspeth.

— Tak, panie — odparła z szacunkiem.

— Chciałbym, by brała udział w naszych zajęciach. Można to załatwić?

— Z łatwością, panie. Chciałabyś się uczyć wojaczki, a nie tylko przyglądać, Elspeth?

— O tak, panie! — ochoczo odpowiedziało dziecko z roziskrzonymi oczami. — Tylko...

— Tak? — zapytał Alberich.

— Nie będziesz mnie bił zbyt mocno, panie? Nie tak jak Gryffona.

Śmiejącego się Albericha Talia nie widywała zbyt często.

— Aplikuję kary stosownie do grubości czaszki moich adeptów, dziecino, a czaszka Gryffona jest bardzo gruba.

Niedaleko stojący Gryffon słyszał każde słowo, w uśmiechu pokazał Elspeth zęby i mrugnął okiem.

— Myślę — ciągnął Alberich — że twoja czaszka nie jest aż tak gruba, a więc tylko trochę oberwiesz ode mnie. A więc, teraz już możemy zacząć od tego, czego cię przed chwilą nauczyłem.

Obserwując ich, Talia zrozumiała, że Alberich pomógł jej zadać śmiertelny

cios Bachorowi. Odtąd istniała już wyłącznie Elspeth.

Od tej chwili — choć czasami zdarzało jej się kapryścić — dziewczynka potrafiła bez trudu zachowywać się grzecznie. W miarę jak upływały gorące dni lata, szybko stawała się ulubienicą całego Kolegium. Na szczęście nie istniało niebezpieczeństwo, że zostanie na powrót rozpieszczona, gdyż wszyscy zbyt dobrze pamiętali Bachora; a ona sama nie zadowalała się rolą biernego obserwatora i z własnej woli pomagała, gdzie mogła. Na strzelnicy łuczniczej nosiła wodę i nowe strzały na wymianę złamanych, a fechtującym się podawała kredę i suche ręczniki. Starła się, jak mogła przy czyszczeniu Towarzyszy oraz pucowaniu uprzęży, ofiarowując swą pomoc każdemu, kto jej potrzebował, i nie ograniczając się tylko do Rolana i jego osprzętu. Jeśli akurat na Talię przypadała kolej na najcięższe roboty, Elspeth nawet nalegała, by spełnić przypadającą na nią część obowiązków. Kucharz Mero wkrótce zaczął nawet tęsknić, nie wyczekiwać, a kiedy to im wypadała praca w kuchni, zawsze miał dla swoich kuchcików jakiś wyjątkowy przysmak w zanadrzu. Elspeth była zauroczona zwłaszcza cerowaniem — do tej pory nie wiedziała, jak to jest, że poniszczone rzeczy zostają naprawione. Jednak z szyciem niezbyt sobie radziła — była zbyt niecierpliwa do tak nużącej pracy. Wolała zajęcia przy których można było się żwawiej ruszać, tak jak rozkładanie odzienia na stosy, i tak na stos rzeczy które wciąż można było „włożyć na siebie”, „włożyć tylko do pracy” lub były „w stanie beznadziejnym”. Ukute przez nią terminy bardzo szybko stały się bardzo popularne; zwłaszcza „stan beznadziejny” upodobał sobie wszyscy. W takim przypadku szwaczki urządzały żałobne sceny nad „zmarłą” częścią ubrania. I oto zabawa, której oddawali się z upojeniem, szybko weszła im w nawyk.

Kiedy liście na drzewach zaczęły zmieniać barwy, nikt nie mógłby sobie wyobrazić Kolegium bez Elspeth, biegającej wszędzie i ze wszystkimi.

Pewnego chłodnego popołudnia, kiedy ostatnie, zeschnięte liście, porywane wiatrem szeleściły o okno Talii, ktoś zapukał do jej drzwi. Otworzywszy je, ujrzała stojącą na progu Sherrill — całą w Bieli.

Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa, a potem z całych sił przytuliła przyjaciółkę.

— Udało ci się! Udało ci się! — krzyczała do utraty tchu.

Sherrill uścisnęła ją równie serdecznie, uroniwszy przy okazji łzę szczęścia.

— Wydaje mi się, że tak — powiedziała, gdy Talia w końcu wypuściła ją z ramion. — Ty dowiadujesz się pierwsza, nie licząc oczywiście Elcartha.

— Ja? Och, Sherrill, nie wiem, co powiedzieć. To wspaniale! Tak się cieszę! Kiedy wyjeżdżasz?

— Za tydzień — odpowiedziała Sherrill i jakby nagle poczuła się niezręcznie. Jest jeszcze jeden powód — dodała — dla którego tu przyszedłam. Jako że byłam swego rodzaju twoim mentorem, muszę ci coś przed odjazdem powiedzieć.

— Mów — odpowiedziała Talia dziwiąc się, dlaczego jej przyjaciółka jest tak skrępowana.

— Hmm, czy tobie przychodzą do głowy chłopcy?

— Nigdy zanadto nie zaprzęłam sobie nimi głowy — odpowiedziała Talia.

— Mam na myśli: czy lubisz ich? Wygląda na to, że tak. Na przykład Skifa.

— Nie jestem taka jak Keren, jeśli o to ci chodzi.

— Nie, nie o to — Sherrill skrzywiła się zdeprymowana. — No wiesz... o dzieciach i tak dalej?

— Chyba tak, wzięwszy pod uwagę to, że miałam wyjść za mąż, zanim tutaj przybyłam! — odpowiedziała Talia lekko ubawiona. — Myślę, że razem z Keren odebrałam więcej źrebiąt w ciągu jednego roku, niż tobie udało się przez wszystkie te lata! Wydaje mi się, że one zawsze czekają na mnie!

— Ha, a wiesz, co zrobić, żeby ich *nie* mieć? To znaczy, z pewnością zauważyłaś, że nie często widuje się kobietę-Herolda w ciąży, choć trudno nam zarzucić, iż żyjemy jak mniszki...

— „Tak” na drugie pytanie — powiedziała Talia, myśląc z ironią o nocnych igraszkach swojej sąsiadki Destrii.

— Lecz „nie” na pierwsze!

— Mamy coś, co przyrządzają nam Uzdrowiciele — odpowiedziała Sherrill z wyraźną ulgą w głosie, że nie będzie musiała objaśniać istoty życia swojej przyjaciółce. — To jest proszek. Zażywa się go codziennie z wyjątkiem dni miesięcznych. Nie smakuje źle, co jest doprawdy zdumiewające, zważywszy większość ich driakwi. Możesz go również używać, by zmieniać swój cykl, gdyby dni miesięczne wypadały bardzo nie w porę. Wystarczy zażywać go krócej lub dłużej. Doszłam do wniosku, że powiem ci o tym, gdyż pewnie nikt inny, by tego nie zrobił. Wiem, że jak dotąd nie było ci to potrzebne, ale już wkrótce może się to zmienić, jeśli błyski, które widuję w oczach Skifa coś oznaczają.

— Pamiętałaś o tym w dniu, w którym wdzielaś Biel? — powiedziała z niedowierzaniem Talia, pomijając milczeniem uwagi o Skifie. — Och, Sherri, czym zasłużyłam sobie na takiego przyjaciela?

Proszek okazał się równie dobry, jak małe, pokazane jej przez Sherrill gąbki, które zastąpiły opaski na dni miesięczne. Talia była za to przyjaciółce bardzo wdzięczna. Możliwość zmieniania własnego cyklu była cudem samym w sobie, gdyż, jak na razie, nie miała okazji sprawdzić skuteczności proszku w innych przypadkach.

Talia i Skif tak często robili coś razem, że w jego obecności pozbyła się wszel-

kiego skrępowania, bez wahania zaliczywszy go do grupy „bezpiecznych” osobników płci męskiej zwłaszcza po tym, jak pomógł jej rozwikłać aferę z Huldą. Ułatwiło sprawę i to, że byli mniej więcej w tym samym wieku, niewiele różnili się wzrostem oraz że zwykle hałaśliwy Skif w jej obecności tonował głos i zachowanie, jakby zdając sobie sprawę, jak łatwo może ją wystraszyć mężczyzna. Zaczęto się od tego, że zostali przyjaciółmi, jednakże teraz Talia pociągała go inaczej, na co niedwuznacznie wskazywało jego zachowanie przy posiłkach, manifestowane z taką gorliwością. A więc to, co między nimi zaszło, trudno byłoby uznać za przypadek.

Po tym, jak Talia prawie utonęła w lodowatych wodach rzeki, Alberich wyzna- czył Sherrill, by udzieliła jej lekcji pływania, jakie pobierają dzieci nad Jeziorem. Tuż przed udaniem się na praktykę czeladniczą Sherrill wrzuciła zaskoczoną Talię z mostu do wody w tym samym miejscu, gdzie próbowano ją utopić. Woda była niemal tak samo zimna, choć pomiędzy trzciniami skuwala ją zaledwie cieniutka warstewka lodu. Sherrill czuwała, by w razie potrzeby wydobyć „ofiara” na brzeg, ale Talia „zdała” ten naprędce wymyślony egzamin celująco, choć szcękając przy tym zębami.

Skif napotkał ją, gdy wracała do swej izdebki: roześmiana, trzęsąca się z zim- na, bosa, ociekająca wodą i owinięta w końską derkę.

— Święte gwiazdy! — wykrzyknął wstrząśnięty. — Co ci się stało?

— Sherri wepchnęła mnie do rzeki, nie, zaczekaj. . . — poskromiła jego zapę- dy, bo chciał zaaplikować tę samą „kurację” niewinnej Sherrill. — To na rozkaz Albericha. Uczy mnie wszystkiego, co sama umie, a mistrz chciał niepodważal- nego dowodu, czy robię jakieś postępy, czy nie.

— Co za egzamin — burknął Skif, a potem, ku zdumieniu Talii, porwał ją w ramiona i zaniósł do izdebki. — Oni nigdy nie dają ci spokoju, co? — biadolił, pomagając jej zrzucie namoknięte odzienie i rozpalając niewielki ogień na ko- minku. — Na święte gwiazdy, pracujesz za dwóch, nigdy nie odpoczniesz, a oni jeszcze płatają ci takie psikusy. . .

Odwracając się potknęła się nieoczekiwanie. Schwycił ją w ramiona i Talia stwierdziła, że z bardzo bliska patrzy wprost w jego brązowe oczy. Dzielił ich jakiś cal albo dwa. Skif znieruchomiał, a potem skorzystał z okazji i pocałował ją.

Po długiej chwili odskoczyli od siebie zmieszani.

— Uhm, Talio. . . — wymamrotał coś.

— Lubię cię, Skif — powiedziała cicho. — Bardzo cię lubię.

— Naprawdę? — zarumienił się. — Ja też. . . no wiesz, lubię cię.

— I wiesz, kto jest moją sąsiadką z następnych drzwi. Nikt nie zauważy, jeśli my. . . No wiesz przecież.

— Masz na myśli. . . — Skif własnym uszom nie mógł uwierzyć, a może i wła- snemu szczęściu. — Ależ twój wyjściowy mundur wisi przygotowany. . . Udajesz się dokądś. Może dziś w nocy?

— Przedemną jest zebranie Rady, ale potem...

Nieszczęsny Skif! Zebranie Rady było długie i nudne, a Talia była bardziej zmęczona „próbą wody” Sherrill, niż zdawała sobie z tego sprawę. Wróciła do swej izdebki na chwilę przed nim i usiadła na łóżku, by odsapnąć. I kiedy się już tam zjawił, zasmucony Skif stwierdził, że Talia zasnęła kamiennym snem. Zagryzł wargę poirytowany, lecz po chwili twarz mu złagodniała. Ostrożnie okrył ją kocem i ucałował niewinnie w policzek. A ona tak bardzo była znużona, że nawet nie drgnęła.

— To nic, o pani! — wyszeptał. — Możemy spróbować kiedy indziej.

— Jasne Niebiosa, malutka! — wykrzyknął Jadus, widząc wyczerpanie malujące się na jej twarzy, gdy jak zwykle przybyła do niego na nocne odwiedziny. — Cóż to ci dolega?

— Tego... tego nie jestem pewna — odezwała się niepewnie. — Jednak wszyscy są tacy rozgniewani. Myślałam, że potrafię się od tego odżegnać, lecz to nie daje mi spokoju...

— Powinnaś przyjść z tym wcześniej — skarcił ją dobrotliwie, wykorzystując własny Dar, by uszczelnić osłonę ochraniającą jej myśli. — Elcarth mógłby coś na to zaradzić.

— Elcarth był zajęty, a wszyscy pozostali zbyt zagniewani, by im się naprzykrzać. Jadus, co się dzieje? Myślałam, że Heroldowie nie unoszą się gniewem... Nigdy dotąd nic takiego nie czułam!

— To dlatego, że ostatniej zimy nie byłeś w najlepszym stanie, by odczuć na sobie ten nastrój, serduszko.

— Uciekasz od tematu — powiedziała nieco uszczypliwie Talia. — Jeśli to ma związek z Selenay, albo Elspeth, muszę wiedzieć, co się dzieje.

Jadus zawahał się, westchnął i doszedł do wniosku, że dziewczynka ma rację.

— To nie jest zabawna opowieść — zaczął. — Młody Herold imieniem Dirk zakochał się w jednej z dworskich piękności. Nie jest to rzecz aż tak niezwykła, zważywszy, że kiedyś zawsze jest ten pierwszy raz, gdy Herolda przydzielają do Dworu lub Kolegium. Jednak kobieta najwyraźniej bawiła się jego kosztem powodując, że on zaczął podchodzić do sprawy bardzo poważnie. Tymczasem był w jej rękach zaledwie zabawką, użytą raczej z niskich pobudek podbicia jego przyjaciela. Kiedy jej gra wyszła na jaw, powiedziała wiele okrutnych słów umyślnie wymierzonych, by go zranić i podeptać jego poczucie własnej wartości. Udało jej się to znakomicie. Przekonała go, iż nie wart jest nawet tyle, co kundel. Odesłano go do domu na jakiś czas. Miejmy nadzieję, że u boku rodziny i przyjaciół przyjdzie do siebie. Modlę się o to: Dirk jest dobrym chłopcem i bardzo wartościowym Heroldem, i z pięćdziesiąt takich jak ona by nie przeważyło szali. Gdy uczyłem się w Bardicum, byliśmy z jego ojcem kolegami. Chłopiec odwiedzał mnie od czasu

do czasu, by złożyć mi uszanowanie od niego. Gniew, który odczuwam, spowodowany jest tym, że w żaden sposób nie możemy rozliczyć się z taką kobietą. Ani prawo, ani zasady etyki nie pozwalają nam jej ukarać. I jeszcze jedno, dziecko: my *ulegamy* złości, jesteśmy przecież tylko ludźmi i boli nas, gdy wiemy, że nie możemy pomścić krzywd jednego z nas, bo wiąże nas duch i litera prawa.

Zostawiając Jadusa samego i pogrążonego w zadumie, Talia zastanawiała się, czy kiedykolwiek zasłuży sobie, by ktoś i o nią się tak troszczył.

Przy śniadaniu Skif podrzucił Talii liścik: „Dziś w nocy u mnie?” Uśmiechnęła się i nieznacznie skinęła głową.

Wrócił do swej izby. Talia i zaproponowana schadzka chwilowo wywietrzały mu z głowy. Był tak potłuczony, posiniaczony i zaczerwieniony od stóp do głów, że w głowie tliła mu się tylko jedna myśl: czy zdoła namówić Drake’a albo Edrica do przyniesienia mu czegoś z kuchni, by nie musiał wlec swego znużonego ciała do Wspólnej Izby.

Aż przetarł oczy zaskoczony widokiem jadła i gorącej herbaty, stojących na jego biurku. Musiał to zrobić ponownie, zobaczywszy siedzącą na własnym łóżku Talię.

— Och, Panie Światła! Talio — ja... zapomniałem!

— Słyszałam — powiedziała po prostu. — Jednak pomyślałam sobie, że przyda ci się trochę jadła i przyjaciel. Zobaczmy, czy to ci przywróci ochotę na inne rzeczy.

— Ten Alberich to prawdziwy kat — jęczał. Krzywiąc się przysiadł na krzesło i sięgnął po herbatę. — „Czas byś zaczął być odpowiedzialny”, powiada. „Będziesz moim asystentem”, dodaje. „Nie starczy ci czasu na ściąganie sakiewek i inne złe nawyki”. *Nie* dodał, że będzie mi udzielał dodatkowych lekcji. *Nie* pisał, że zrobi mnie partnerem jakiegoś zwalistego brutala, który już przywdział Biel i *ani mru mru* o tym, że przyjdzie mi uczyć trzech olbrzymów, którzy w całym swoim życiu na oczy nie widzieli nic poza pałą. O święte gwiazdki, Talio, szkoda, że nie widziałas tej trójki! Byli włościanami, a przynajmniej tak mi powiedzieli. Włościanie! Talio, gdybyś któregośkolwiek poprosiła o drogę, pewnie podniósłby pług, wołu, wszystko na raz, by ci ją pokazać!

Talia szeptała coś ze współczuciem, masując jego ramiona.

— Bola mnie miejsca, o których w ogóle nie wiedziałem, że je mam — skarżył się, zjadając powolutku kolację, co w jego przypadku było zjawiskiem niesłychanym.

— Może mogłabym na to coś zaradzić — uśmiechnęła się Talia, nie przerywając masażu.

Od łóżka dzieliły ich dwa niewielkie kroki; zdjęła z niego większość odzień i sama rozebrała się także. Nabrała olejku, ogrzała go do temperatury ciała

i zaczęła delikatnie wcierać w jego poobijane i posiniaczone mięśnie. Dzięki jej zabiegom nawet się nieco ożywił, gdy nagle popełnił błąd i przymknął powieki.

Usłyszawszy ciche pochrapywania, Talia zrozumiała, że sytuacja jest beznadziejna. Westchnęła, zsunęła się z jego łóżka, opatulila kocem jak dziecko i wróciła do własnej izby.

Podczas tego Śródzimia Talia z przyjemnością pozostała w Kolegium, nie mogąc się nacieszyć swobodą czytania aż do późnych godzin nocnych i z radością dotrzymując towarzystwa Jadusowi. Stwierdziła, iż tegoż roku nie wyjechali na święta ani Maro, ani Gaytha, a także Keren i Ylsa. Cała ich szóstka spotykała się więc u Jadusa, by prowadzić zawzięte dysputy przy gorącym jabłeczniku.

Keren i Ylsa zabierały ją na długie przejażdżki po ziemiach otaczających stolicę. Udało im się nawet kilkakrotnie namówić Jadusa na wycieczkę, który w ten sposób po raz pierwszy od lat wysunął nos poza tereny Kolegium. W trójkę natknęły się na pokryty czarnym lodem staw, o powierzchni tak nieskazitelnej jak najgładsze lustro. Podczas gdy Ylsa razem z Jadusem zostali przy rozpalonym na brzegu ognisku bacząc, by ogień nie przypiekł korzeni i królika na piknik w śniegu i śmiejąc się z pozostałej dwójki, Keren zaczęła uczyć Talię jazdy na lodzie. Przytwierdziwszy do butów ślizgi z lśniącej stali, Keren mknęła po powierzchni zamrożonego stawu z gracją szybującego w powietrzu sokoła. Talia przewracała się za to co chwilę. Przynajmniej na początku.

— Wciąż tylko mścisz się na mnie — oskarżała Keren. — Od siodła nigdy nie byłam tak otarta, a więc starasz się wykoncypować coś innego, bym nie mogła usiąść!

Keren roześmiała się, po raz kolejny postawiła ją na nogi i zaczęła ciągnąć po lodzie za sobą.

W końcu Talii udało się złapać równowagę po raz pierwszy, po czym nawet zaczęła się płynnie posuwać po lodzie. Kiedy nadeszła pora powrotu, jazda zaczęła sprawiać jej wielką przyjemność, choć stwierdziła, że: „na lodzie wygląda bardziej na geś niż na sokoła”. Odtąd co drugi dzień wracały w to samo miejsce aż, gdy nadeszło Śródzimie, Talia umiała — na trzęsących się nogach, co prawda — jeździć tyłem.

I tym razem Talia z Jadusem wzięli udział w biesiadzie w Sali Służących, mając jednak u swego boku pozostałą czwórkę. Wziąwszy wszystko razem, wakacje z okazji Śródzimia były wspaniałe.

Kiedy wróciła do nauki, przybyły jej zajęcia z prawa i rozważki sędziowskiej oraz dodatkowo języki obce, kosztem czasu, który dotąd spędzała na czytaniu w Bibliotece. Często miała wrażenie, że dzień jest po prostu zbyt krótki, ale jakoś



dawała sobie ze wszystkim radę.

Jej więź z Rolanem stawała się coraz mocniejsza; zdawało się jej, że gdzieś w tle własnych myśli czuje jego nieustanną obecność. Teraz wiedziała, że to z niego wypływa wiele mądrości, które ni z tego ni z owego przychodziły jej do głowy w chwilach, gdy Królowa potrzebowała ich najbardziej, i że nie kto inny, a on właśnie pokierował nią, gdy trzeba było ocalić skórę Skifa, gdy popadł w niełaski Lorda Orthallena. Rolan miał przecież szczęście korzystać z mądrości poprzedniego Osobistego Herolda Królowej, Talamira, w ciągu całej jego kariery, i teraz przekazywał całą tę wiedzę swemu nowemu opiekunowi. Jednakże, przynajmniej po części, było to zasługą samej Talii i jej instynktu, który posiadał jedynie Osobisty Herold Królowej.

Nim uzmysłowiła sobie, ile czasu upłynęło, drzewa znów stały obsypane pączkami. W Kolegium zaroilo się od nowych uczniów. Talia zdumiała się, gdy ujrzała, jak dziecinnie wyglądali nowi przybysze. Czasami była równie zadziwiona spoglądając w lustro i widząc, jak ona wciąż jeszcze dziecinnie wygląda, bo sama miała poczucie, jakby jej ze sto lat już przybyło na karku.

Wiosna przyniosła ze sobą pewną ulgę. Keren nauczyła ją wszystkiego, co sama umiała, a więc nie musiała już obowiązkowo chodzić na zajęcia w siodle. Od czasu do czasu pomagała Keren uczyć młodszych, którym trzeba było pomóc indywidualnie, lecz nie był to już stały, nużący wysiłek, związany z regularną lekcją. Odtąd, skoro Keren przestała być nauczycielką Talii, ich znajomość zamieniła się w niezwykle bliską przyjaźń, związek ściślejszy nawet od tego, który łączył Talię z jej siostrą Vrisą. Gdy przyszedł czas na szczerą rozmowę, odkryły, że dzielące ich lata — Keren była ponad dwa razy starsza od Talii — nie mają żadnego znaczenia. Od zakończenia Śródzimowych ferii łączące ich więzy stawały się coraz głębsze i mocniejsze. Talia stwierdziła, że Keren była jedyną osobą z całego Kolegium, wobec której z łatwością przychodziło jej się otworzyć. Być może dlatego, iż Keren serdecznie jej współczuła wiedząc, jakie brzemię odpowiedzialności spoczywa na barkach Osobistego Herolda Królowej, przecież ten sam ciężar dźwigał członek jej rodziny. Życie Talii stało się znacznie łatwiejsze, gdy tylko znalazła osobę, z którą mogła rozmawiać, o czym tylko miała ochotę.

Dla Keren zaś Talia była jedną z niewielu osób, nawet z Kręgu Heroldów, które akceptowały jej związek z Ylsą wraz z wszelkimi tego konsekwencjami, nie dokonując przy tym jakiegokolwiek osądu takiego stanu rzeczy. Raz zdobyta lojalność Talii była niewzruszona i niepodważalna. Większość Heroldów lubiła i podziwiała Keren, jednak wielu obawiało się do niej zbliżać nadmiernie, jakby jej zapatrywania były czymś w rodzaju rdzy, która przeszedłszy z niej, mogła przylepić się do nich i ich ubabrać. Talia — jako jedna z nielicznych — otwarcie i dobrowolnie ofiarowała swe serce komuś, kogo uważała za swego najlepszego przyjaciela. Do tej pory, z powodu niezwykle częstych wyjazdów Ylsy, Keren często spędzała samotne dni, Talia z łatwością temu zaradziła, po prostu przychodząc

do niej.

Talia dowiedziała się o swojej przyjaciółce czegoś nowego: coś, czego domyślała się zaledwie garstka. Pod maską siły i opanowania kryła się osobowość delikatna jak płatek śniegu. Stabilność uczuciową zapewniała jej potrójna więź: z bratem Terenem, z Towarzyszem Dantristem i z Ylsą. To po części dlatego Krąg wyznaczył rodzeństwu rolę nauczycieli w Kolegium, kiedy zbliżający się średni wiek nakazywał pomyśleć o zakończeniu służby polowej. Choć głównym powodem, trzeba to przyznać, było to, że byli znakomici w swoim fachu — Keren w siodle, a Teren miał talent do dzieci i prawdziwy dar nauczania. W Kolegium tak Dantristowi, jak i jej bratu groziło znikome niebezpieczeństwo. Ylsa została Specjalnym Posłańcem dzięki niezwyklej wytrzymałości Felary, od której wytrwały był jedynie Rolan, choć należy dodać, że po części kierowano się i tym, że posada posłańca nie była tak niebezpieczna jak wiele innych. Mimo wszystko Talii często przychodziło do głowy — czując nieokreślony lęk — że gdyby coś złego przytrafiło się Ylsie, Keren mogłaby tego nie przeżyć.

Była księżycowa, ciepła noc i jeszcze zbyt wcześnie jak na owady, jednym słowem: prawdziwa idylla. Można było nawet rozścielić opończę na cudownie miękkich, młodych paprociach. Talia wracając z wieczornego spaceru z Elspeth po Łące Towarzyszy, przypadkowo napotkała Skifa. W milczącym porozumieniu poszli za sobą, by odnaleźć idealne miejsce do schadzki.

— Wygodnie?

— Uhm. Co za gwiazdy...

— Są cudowne. Mógłbym wiecznie się im przyglądać.

— Myślałam — droczyła się Talia — że co innego ci w głowie!

— O, a jakże...

Tylko że *on* przez całe popołudnie umykał przed Alberichem, a *ona* zerwała się na nogi na długo przed brzaskiem.

Talia odpowiedziała na jego delikatne pieścizoty. Była i podekscytowana, i lekko zaniepokojona tym wszystkim, lecz sądząc z zachowania Skifa nie okazała się nadmierną niezgłą. Po faz pierwszy od wczesnego rana poczuła się rozluźniona i wydawało się jej, że napięcie poczyna ustępować z jego barków i jednocześnie... oboje smacznie zasnęli.

Obudziła ich wilgotna rosa, rozśpiewane nad ich głowami ptaki i pierwsze promienie wschodzącego słońca.

— Brzydę się o tym rozmawiać — westchnął Skif.

— Wiem. To się nam nie uda, prawda?

— Tak mi się wydaje. To albo jest sprawka bogów, albo złego losu, albo jakiegoś przewrotnego skrzata.

— Albo wszystko naraz. Coś mi się wydaje, że jesteśmy skazani, by być przyjaciółmi. Ha, nie można powiedzieć, że nie próbowaliśmy!

Skif był zachwycony, że ich koledzy ze szkolnej ławy zupełnie nie połapali się, jak raptowny był kres ich schadzki. Talię uważano za niezwykle nieprzystępną; Skif był zdumiony, odkrywając, jaka okryła go sława i bez zwłoki postanowił jej dorównać. Jakby przez przypadek, Alberich zrezygnował z jego usług jako asystenta, wyznaczając na jego miejsce Jeri. Nie musiał więc więcej borykać się z plagą kłopotów, które przeszkodziły w ich „romansie” z Talią. A Talia po prostu uśmiechała się, z niewzruszonym spokojem znosząc docinki na temat Skifa. Tajemnica na zawsze pozostała tajemnicą.

Tego roku Dzwon Śmierci odzywał się czterokrotnie, a Talii przypadła w udziale rola, której się wcale nie spodziewała.

Wzięła udział w pogrzebie pierwszej ofiary, gdy lato przechodziło w jesień. W ciągu dnia w powietrzu wciąż pachniało latem, jednak noce zaczynały być coraz chłodniejsze. Po ceremonii udała się na Łąkę Towarzyszy i dosiadła Rolana, nie troszcząc się o jego osiodłanie. Tym razem nie ruszyli na włóczęgę wolnym kłusem, coś jakby ciągnęło ich w określony zakątek Łąki.

Łąka Towarzyszy nie była, jakby na to wskazywała nazwa jednym, płaskim kawałkiem murawy. Było to kilka akrów częściowo zalesionych pagórków, ze Stajniami na niepogodę, stodołą i spichlerzem z paszą, szopą na uprzęż, która w rzeczywistości była sporych rozmiarów budowlą z kominkiem w każdym rogu. W samym sercu okolicy znajdował się Gaj — miejsce, gdzie pojawili się pierwsi Towarzysze, i gdzie stała dzwonnica z Dzwonem Śmierci. Były tam strumienie i stawy, którym wody dostarczało kilka źródeł, zaciszne, ocienione zagajniki i wolne przestrzenie.

Talia, kierując się swym instynktem trafiła do jednego z tych zacisznych zakątków: nad malutki staw na dnie równie malutkiej dolinki, nad którym wierzby zwieszały gałęzie o złotych liściach. Siedział tam, wbijając nieruchome spojrzenie w powierzchnię wody, Herold, a zatroskany Towarzysz trącał go pyskiem po ramieniu.

Talia zsunęła się na ziemię i usiadła obok niego.

— Chciałbyś porozmawiać? — zapytała po długiej chwili milczenia.

Wrzucił kawałek kory do stawu.

— Znalazłem go. To znaczy, Gerricka.

— Żle?

— Nawet nie wiem, jak zacząć opowiadać. Cokolwiek go zabiło, nie mogło być nawet istotą ludzką, w najmniejszym stopniu. A najgorsze to...

— Mów dalej.

— To był *mój* obwód. Gdybym nie złamał nogi, to ja byłbym na jego miejscu.

Może.

— Masz wątpliwości?

— Coś dziwnego się dzieje na Zachodniej Granicy, zwłaszcza w moim obwodzie. Próbowalem go ostrzec, ale tylko się zaśmiał mówiąc, że byłem tam zbyt długo. Może, gdybym ja tam był... Sam nie wiem.

Talia nie przerywała milczenia wiedząc, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

— Nie mogę zasnąć — dodał w końcu Herold i rzeczywiście był bardzo mizerny na twarzy. — Za każdym razem, gdy przysmykam powieki, widzę jego twarz, taką jak w chwili, kiedy go znalazłem. Krew... ból... Niech to Tuzin Piekieł pochłonie! — Uderzył pięścią obok siebie w ziemię. — Dlaczego musiało to spotkać Gerricka? *Dlaczego?* Nigdy nie widziałem nikogo, kto by tak kochał życie. Dlaczego to właśnie on musiał umrzeć w ten sposób?

— Żałuję, że nie mogę ci na to odpowiedzieć — odparła Talia. — Myślę, że dowiadujemy się „dlaczego” tylko wtedy, gdy dosięga nas nasz własny los... — Jej głos powoli zamierał, gdy szukała słów pocieszenia. — Zatem na pewno Gerrick wykorzystał każdą chwilę życia, które, jak sam powiadasz, tak bardzo kochał.

— Wiesz, masz rację. Zwykle wytykałem mu to, czasami tylko się śmiał odparowując, że skoro nie wie, co na niego czeka za rogiem, zamierza wycisnąć z każdej chwili wszystko. Przysięgam, miewałem wrażenie, że próbuje żyć za trzech naraz. Pamiętam, raz zdarzyło się...

Snuł swoje wspomnienia, jedno za drugim, czasami niemal nieświadomy obecności Talii, jakby był zainteresowany tylko uchem, w które mógłby wlewać słowa. Przerwał dopiero, gdy zupełnie zaschło mu w gardle, uzmysłowiwszy sobie z przestrachem, że mówił dobrych kilka godzin.

— Panie Gór, cóż ja ci opowiadam?! — zakrzyknął spostrzegłszy, że jego słuchaczem jest niedorośla dziewczynka. — Przepraszam. Jak masz na imię?

— Talia — odpowiedziała i uśmiechnęła się widząc, jak lekko rozszerzają mu się oczy, gdy ją rozpoznał. — Nie ma za co. Jedynie słuchałam, lecz dzięki temu pamiętasz swojego przyjaciela żywego, a nie umarłego. Czy to nie są lepsze wspomnienia?

— Tak — odrzekł zamyślony. — Tak.

Napięcie zniknęło z jego twarzy, a Talia przestała odczuwać rozdzierający smutek, który zawiódł ją aż tutaj. Pozostał żal, to prawda, który jednak nie mógł już stać się jego obsesją i opętaniem.

— Muszę już iść, a ty powinieneś się przespać, zanim się rozchorujesz, — Gdy wskakiwała na grzbiet Rolana, napotkała spojrzenie wzniesionych oczu Herolda, w których odbijała się cała wdzięczność, jaką czuł do niej.

— Dziękuję, Osobisty Królowej — powiedział po prostu, ale z tonu jego głosu można było wyczytać znacznie więcej.

Następny Herold padł ofiarą lawiny, ale ukochaną, którą pozostawił, trzeba było przekonać, że nie podjął się ryzyka z powodu kłótni, do jakiej wcześniej doszło między nimi. Zabrało to całą noc, a Talia pojawiwszy się na porannych zajęciach wyglądała tak marnie, że Nerrissa, która już była Heroldem, rozkazała jej wracać do łóżka i odwołała wszelkie poranne prace.

Za trzecim razem znów trzeba było podtrzymać na duchu Selenay, miotaną poczuciem winy, iż wysłała Herolda — tym razem młodą i niedoświadczoną kobietę — by poradziła sobie z czymś, co było ponad jej siły: załagodziła gwałtowną waśń między dwoma rodami pośledniejszej szlachty na Wschodzie, która przemieniła się w otwartą wojnę. Próbując pogodzić skłócone strony, nadmiernie odsłoniła się i trafiła ją zabłąkana strzała. Gdyby miała więcej doświadczenia, nie wystawiłaby się tak nieostrożnie na strzał. Oczywiście, wysyłając Beryl, Selenay nie mogła wiedzieć, że waśń stała się aż tak zażarta, lecz teraz ponieważ wydawało jej się, że powinna to była przewidzieć.

Lecz za czwartym razem, tuż po Śródzimowych feriach, osobą potrzebującą pociechy była sama Talia, gdyż Heroldem, który odszedł od nich na zawsze, był Jadus.

Obudziwszy się od razu poczuła, że wydarzyło się coś złego, i że dotyczy to Jadusa. Straciła ledwie tyle czasu, by narzucić opończę na koszulę i już biegła do jego pokoju. Prawie zderzyła się z Uzdrowicielem, który właśnie stamtąd wychodził. Jego oczy powiedziały jej wszystko.

— Jadus opuścił nas w ciszy — powiedział — nic na to nie wskazywało, po prostu nie przebudził się. Zniknął i jego Towarzysz, najpewniej w tej samej chwili.

Zapewnienie o spokojnej śmierci Jadusa w najmniejszej mierze nie przyniosło jej pocieszenia.

Powróciła do swojej izby i usiadła na brzegu łóżka, wpatrując się w krzesło, na którym spędził tyle nocy, pilnując jej podczas choroby. Pomyślała o wszystkim, co miała mu do powiedzenia, a czego nie powiedziała: ile znaczył dla niej, ile się od niego nauczyła. Teraz było na to za późno — za późno, by mu podziękować.

— Kochanieńka... dowiedziałam się... — Obok niej pojawiła się Keren; Talia nawet nie zauważyła, kiedy drzwi się otworzyły.

Gdy patrzyły na siebie w milczeniu, zaczął bić Dzwon. Na jego dźwięk, jakby coś w niej pękło i Talia zaczęła bezgłośnie płakać. Keren usiadła obok dziewczynki na brzegu łóżka, objęła ją i teraz opłakiwały razem starego przyjaciela, który tak wiele dla nich znaczył.

Nie jedyna Keren pomyślała o Talii, kiedy wieść zatoczyła szerszy krąg, bo kiedy cichy szmer zmusił je do podniesienia głowy, ujrzały przed sobą Dziekana Elcartha, stawiającego krzesło przed łóżkiem.

— Przyszedłem tu w dwóch sprawach, moja droga — przemówił z lekkim

trudem. — Jadus był moim przyjacielem od wielu lat; prawdę powiedziawszy, był moim mentorem, kiedy byłem czeladnikiem. Przekazał wszystkie swoje sprawy w moje ręce. Wiedział, że już nie pożyje zbyt długo i przykazał mi, kiedy... Chciał, byś otrzymała to... — Milcząc podał jej futerał, który zawierał Moją Panią.

Talia odebrała go trzęsącymi rękami i wpatrzyła się w niego nieruchomym wzrokiem, nie mogąc wykrztusić słowa poprzez łyż dławiące jej gardło.

— Druga sprawa ma się tak: to były najszczęśliwsze dwa lata w jego życiu, od kiedy stracił nogę. Gdy przychodziło do surowych, akademickich przedmiotów, nie był najlepszym nauczycielem; nie miał do tego serca. Wyznaczaliśmy go do prowadzenia zajęć, by go po prostu czymś zająć i on wiedział o tym. Dopóki nie pojawiłaś się ty, coraz bardziej i bardziej pograżał się we wspomnieniach, żył przeszłością. To ty wyrwałaś go z tego stanu, spowodowałaś, że znów poczuł się potrzebny. A kiedy zachorowałaś... Nawet nie wiesz, jak bardzo podsyciło w nim życie to, że musiał cię bronić i odpędzać koszmary muzyką. Udzielanie ci rad, to że był twoim przewodnikiem, było dla niego równoznaczne ze światem.

— On... on wiedział? On wiedział, jak bardzo był mi potrzebny?

— Oczywiście, że tak, przecież miał *Dar myślczenia*. Choćbyś nie wiem jak dobrze chroniła swe myśli, młodziaku, jeśli ktoś ci jest drogi, a wy dwoje byliście sobie bardzo bliscy, jakaś myśl musi się wymknąć. Kiedy zaczęłaś zwracać się do niego o radę lub pomoc, kiedy to do *niego* przyszedłaś ze sprawą Huldy... nie sądzę, by kiedykolwiek był bardziej z siebie dumny. Często powiadał mi, że nie żał mu, iż nie ma rodziny, bo jego rodziną teraz jesteś ty i wszyscy twoi przyjaciele, których do niego przyprowadziłaś. Przed twoim pojawieniem się był niezwykle samotnym człowiekiem, malutka. Odszedł od nas szczęśliwy i zadowolony z życia.

Elcarth opuścił głowę i przetarł dłonią oczy. Dłużej nie mógł już mówić.

— Muszę iść — powiedział w końcu i wstał. — Dziękuję — wyszeptala Talia, schwywszy go za rękę.

Uściskał jej dłoń porozumiewawczo i wyszedł.

Ułynęło kilka miesięcy zanim odważyła się po raz pierwszy dotknąć Moją Panią, lecz uczyniwszy to raz, nigdy nie zaniedbała już ćwiczeń, za każdym razem jednak bardzo za Jadusem tęskniąc. Wyobrażała go sobie, jak siedzi owej nocy na krześle tuż obok łóżka, czujny i żywy, z harfą na kolanach, z dyskretnie leżącą obok na ziemi kuszą gotową do strzału, zamieniwszy swą starą laskę na inną, w której kryła się klinga ostrego miecza, i ten jego niewiarygodnie promienny uśmiech radości, gdy poprosiła go, by zagrał coś dla niej. Kiedy indziej przypominała sobie, jak wyglądał w tę noc, gdy zwrócił się do niej i Skifa, by przekazali sprawę Huldy w jego ręce — znów pewny siebie, silny, znowu komuś *potrzebny*. Wspominała wspólny śmiech w ten radosny Śródzimowy dzień, kiedy Keren uczyła ją ślizgania się po lodzie. Czasarni przynosiło to nawet ulgę. Ale

tylko czasami.

# JEDENASTY

Do licha! Jestem spóźniona! — Mruknęła do siebie Talia, gdy rzuciła okiem na słoneczny zegar pod swoim oknem. Zebrała rozrzucone po całym biurku zapiski, ułożyła z nich naprędce stosik i pędem opuściła izbę.

Po trzech latach pobytu w Kolegium znała już kilka skrótów, dzięki temu jej i tak dłuższe niż dawniej nogi zanosły ją do sali o włos wcześniej od Herolda Ylsy i Dziekana. Przyczesła palcami niesforne loki łudząc się, że dadzą się nieco przygładzić i nie będzie po niej widać, w jakim pośpiechu tutaj przybyła.

Zmieniła się bardzo w ciągu owych trzech lat. Po nastoletniej niezdarze, której ręce i nogi wydawały się nieproporcjonalnie długie w stosunku do ciała, nie zostało ani śladu. Nigdy nie była wysoka, ale podrosła troszeczkę, a surowe ćwiczenia Albericha uczyniły z niej szczupłą, zwinną, doskonale umięśnioną młodą kobietę. Pod pozorami pewności siebie kryła się jednak pewna doza nieśmiałości i niepewności, których nie udało się wyplenić. Jasnobrzowe dotąd włosy nabrały głębokiego, kasztanowego koloru, sięgały do ramion i uparcie skręcały się w loki, ku wielkiemu rozczarowaniu Talii, która w skrytości duszy marzyła, by były kuczoczarne i proste jak u Sherrill. Oczy miała zbliżone barwą do włosów i choć nie można by jej nazwać piękną, to jednak ujmowała każdego uśmiechem, który teraz rzadko znikał z jej ust. Starsi uczniowie niedwuznacznie dali do zrozumienia Błękitnym, że życie tego, kto odważy się ją napastować, zamieni się w prawdziwe pasmo nieszczęść. Nauczyciele powierzali jej różne zadania, jednak cały czas mając na względzie to, by mogła wywiązywać się z innych swych zobowiązań. Młodszy uczniowie szczerze uwielbiali ją za to, że zawsze znalazła chwilkę, by łagodzić spory, dodać onieśmiałym otuchy lub użyczyć swego ucha dręczonym nostalgii. Jej koledzy ze szkolnej ławy uformowali swego rodzaju gwardię przyboczną pod wodzą Gryffona, która zawsze gotowa była przejąć na siebie część jej obowiązków, jeśli nie była w stanie pogodzić wszystkiego ze sobą. Wszelkie dowody troskliwości przyjmowała z wdzięcznością i dziękowała za nie z niewymuszoną serdecznością, co sprawiało, że pomaganie jej wydawało się być przywilejem.

A mimo to Talia wciąż czuła się obco wśród innych, wyjąwszy kilku najbliższych przyjaciół — Skifa, Keren, Sherrill i Jeri; jakby należała do Kolegium



i Kręgu, ale tak naprawdę nie była ich częścią.

Sporo z tego należało złożyć na karb nie dającego jej spokoju uczucia, iż wciąż spotyka się z oznakami miłości i troski ze strony innych — czego jakże łaknęła — a zarazem czyni niewiele lub nic zgoła, by na nie zasłużyć. Uważała, że ujawnienie knowań Huldy należy przypisać głównie Skifowi, a poskromienie Elspeth polegało jedynie na zmuszeniu rozkapryszonego dziecka, by odczuło na własnej skórze skutki swojego postępowania i przypomnieniu wzorów wpojonych dawniej. Nie widziała w tym żadnej swojej zasługi. Nie zdawała sobie również sprawy, ile sił ją kosztuje bycie doradcą Selenay. Miała wrażenie — gdy miała czas, by nad tym pomyśleć — że nigdy nie znajdzie tu dla siebie miejsca, o ile na to nie zapracuje, o ile zdana wyłącznie na siebie nie uczyni czegoś dla Kręgu, czego nikt inny nie byłby w stanie dokonać — i nie uzmysławiała sobie, że pomagając ludziom opanować zgiełk uczuć, nie robi nic innego. Według niej każdy mógłby to w danych okolicznościach zrobić. Jedynie Elcarth, badacz Darów Heroldów, Herold Kyril i Ylsa wiedzieli, jak rzadki jest Dar, który ona posiada, i jak bardzo odczuliby, gdyby jej z nimi nie było.

Talia nie ujawniała przed nikim dręczących ją rozterek, nikt więc nie zdawał sobie z nich sprawy. Świat dookoła niej widział jedynie okazywaną mu pogodną maskę. Jedynie Keren i Rolan byli świadkami nawrotów zwątpienia w siebie, zmiennych nastrojów, napadów litowania się nad samą sobą i przygnębienia. Żadne z nich jednak — tak jak poprzednio Jodus — nie zamierzało zdradzać jej zaufania, którym obdarzała tak rzadko. To była jej jedyna wada: nawet po upływie trzech lat wciąż z trudem ufała innym.

Dzisiaj miał się rozpocząć kolejny etap jej nauki, dziwny i do pewnego stopnia niepokojący. Miała się dowiedzieć, jak w pełni korzystać ze zdolności odczuwania przygnębienia innych, zdolności, która ujawniła się tak raptownie w chwili wielkiego zagrożenia jej życia. Dzisiaj zaczynały się zajęcia z magii Heroldów.

W sali oprócz niej było jeszcze trzech uczniów: bliźniacy Drake i Edric, z tego samego co ona roku — Talia wciąż nie mogła ich od siebie odróżnić — i milczący, o ognistych włosach chłopiec z grupki, który pojawił się w Kolegium rok później. Na krótko, póki nie odkryto, że to on jest źródłem niepokoju, zdolności Neave'a dokonywały istnych spustoszeń w głowach uczniów. Nie można się było oprzeć rozsiewanym przez jego mózg koszmarom, które przekazywał w sny wrażliwym i nie chroniącym swych myśli ludziom z otoczenia. A ponieważ przed Wyborem jego życie było tak okrutne, że na wieść o nim nawet były ulicznik Skif bladł jak papier, wizje były straszliwe i wytrąciły jego kolegów ze snu na kilka przerażających nocy.

Po wejściu Dziekana i Herolda Ylisy do sali, Talia poczuła, że aż stężała ze zdenerwowania. Miała wypłynąć na nowe, nieznanne wody. Do tej pory jej Dar objawiał się w dość prosty sposób i uporała się z nim jakoś, jednak wciąż pozostawały w niej wątpliwości zrodzone wychowaniem w Grodzie. Dla jej ludu

takie zdolności były w najlepszym razie czymś nienaturalnym, w najgorszym — spłodzone przez demony.

Talia cieszyła się, że będą ją uczyć osoby tak dobrze znane, bo w obliczu nieznanego zamieniłaby się w kłębek nerwów! Próbowала się rozluźnić. Nie było się czego obawiać, każdy Herold musiał nauczyć się, na czym polega jego Dar. Elcarth pochwycił jej spojrzenie i przelotnym uśmiechem dodał otuchy.

Dziekán zmierzył wzrokiem zebraną czwórkę i zauważył ich zrozumiałe podenerwowanie. Jedynie Drake i Edric sprawiali wrażenie, że czują się mniej nieswojo, za to są bardziej podekscytowani — Dar był częścią ich samych już od urodzenia. Uśmiechnął się uspokajająco do Neave'a i Talii, uniósł brew na bliźniaki i rozpoczął swą zwykłą mowę.

— Zebraliśmy was razem w jednej klasie, ponieważ wszyscy posiadacie podobny Dar — zaczął Dziekan i po kolei zajrzał głęboko w źrenice innych swoimi okrągłymi, świetlistymi oczyma. — Wasz Dar magii, jak ją nazywamy, wywodzi się z dziedziny komunikacji. Chciałbym, byście jednakże wiedzieli, iż co prawda poza tymi murami mówimy o tych rzeczach jako o magii, to jednak nie ma w nich *nic a nic* nienaturalnego. Bywają utalentowani ludzie i zostają Bardami, rzemieślnikami czy artystami sztuk wyzwolonych. Nigdy nie powinniście bać się tego, czym zostaliście obdarzeni, a raczej powinniście nauczyć się, jak używać tych darów z korzyścią dla siebie i innych.

— Talia i Neave już poznali Herolda Ylśę. To ona odkryła w obydwójgu przedwcześnie obudzony Dar, ponieważ sama jest jedną z osób najlepiej posługujących się i wykrywających zdolności komunikacyjne zasiadających w Kręgu, i dlatego ona będzie waszym opiekunem, a ja będę jej tylko pomagać. Proszę nie obawiać się pytać; choć mówią o niej, że jest straszliwa, nie gryzie... .

— W każdym razie niezbyt mocno — wtrąciła uśmiechając się Ylsa.

— ... a jeśli nie znajdzie odpowiedzi na wasze pytanie, na pewno wie, gdzie i u kogo ich szukać! Pomogę jej, z pewnością znanstwem tematu ustępuję w Kolegium jedynie Heroldowi Kyrilowi. Ylso, scena należy do ciebie.

— No tak — zaczęła z założonymi rękami, opierając się tyłem o blat biurka. — Od czego powinnam zacząć? Czy ktoś chce o coś zapytać?

— Heroldzie — odezwał się zafrasowany Neave. — Cała ta... magia... nie jest ona aby czymś złym?

— Czy kusza jest złym?

— Zależy w czyich rękach, Heroldzie — jeden z bliźniaków odpowiedział z szerokim uśmiechem — i w kogo jest wycelowana.

— Właśnie tak. Wasz Dar może być użyty w złej sprawie jak każda broń, i nie dajcie się wprowadzić w błąd: Dar może być bronią, jeśli ktoś tego chce. Lecz nie siedziałbyś teraz tutaj, gdyby tliło się w tobie zło; zaufaj w tym sądowi swego Towarzysza, Neave, jeśli nie dowierzasz sobie. One nie wybierają zła, a w bardzo rzadkim przypadku, gdy ktoś uległ nieodwracalnie złu — ostatni raz było to

dwieście lat temu — wyrzekają się swego Wybranego. A więc skoro wydaje się, iż ty i Kyldathar żyjecie w najlepszej komitywie, myślę, że powinienesz przestać przejmować się złem.

— Heroldzie, Towarzysze sprawiają, iż nasz Dar jest jakby silniejszy — odezwał się jeden z bliźniaków. — Przedtem także mogliśmy rozmawiać z Edrikiem myślą, ale od kiedy zostaliśmy Wybrani, słowa są o wiele wyraźniejsze i rozmowa łatwiej przychodzi.

— Doskonale! — skinęła głową Ylsa. — Ciekawiło mnie, czy ktokolwiek z was zwrócił na to uwagę. Tak, Towarzysze zdają się wzmacniać nasz Dar i budzić go w nas, gdy jest uspiony. Pewnie stwierdziliście już sami, jak Dar wasz zyskuje niezwykle na mocy, gdy dotykacie waszych Towarzyszy i rządzi wami silne uczucie. Nikt nie może powiedzieć z całą pewnością, jaki związek istnieje pomiędzy więzami z naszymi Towarzyszami a bardzo mocnymi uczuciami. Dar na nieszczęście nie daje się w prosty sposób zmierzyć.

— Heroldzie Ylso, wszyscy albo byliśmy świadkami, albo słyszeliśmy o „Zakłęciu Prawdy”, czy my będziemy uczyć się zakłęć? — zapytała Talia. — Mój lud uważa je za dzieła demona.

— Tak, będziecie uczyć się pewnego rodzaju zakłęć, choć pewnie nie o takie chodzi ludziom z Grodów. To, co my nazywamy zakłęciem, jest właściwie ćwiczeniem, które zmusza do skupienia uwagi i wzmacnia wasze wrodzone zdolności — to proste. Słowo „zakłęcie” jest poręczną nazwą, a prawdę powiedziawszy większość brzmi jak jakieś modlitwy czy rymowanki wprowadzające w stan medytacji.

— Zatem, czy każdy ma tego rodzaju... hę... dar? — zapytał Neave.

— I znów odpowiedź brzmi: tak. Szkopuł w tym, że u większości ludzi zdolność nie jest dostatecznie silna, by mogli zrobić z niej użytek. To jak w przypadku Talii, która śpiewa bardzo ładnie, ale nigdy nie zostanie Bardem; ja potrafię ulepić piękny garnek, lecz nie zrobicie ze mnie prawdziwego garncarza. Pomiedzy nami są tacy, których Dar jest niewiele silniejszy niż u zwykłych ludzi, i nawet pośród Heroldów naprawdę potężny Dar jest rzadkością, choć wszyscy mamy go na tyle, by podtrzymać więź z naszym Towarzyszem i wykorzystywać Zakłęcie Prawdy. Wygląda na to, że — z tego, co wiemy — najsilniejsze zdolności mają Uzdrawiciele, a nie Heroldowie, choć trzeba przyznać, iż Dar Komunikacji bardzo przypomina Dar Uzdrawiania. Czasami najsilniejszy z naszych Darów ukrywa się. Spotkałam się raz czy dwa razy z sytuacją, kiedy to uporczywa nieudolność w istocie zamaskowała niezwykle zdolności. Przeważnie jednak przestawanie z Towarzyszem wyzwala w nas Dar, a stopniowe zacieśnianie więzi wzmacnia go tak, że możemy świadomie nad nim zapanować. Gdy raz już nam się to uda, możemy zacząć ćwiczyć w posługiwaniu się nim i zbadać jego granice. Aha, myślę, że powinnam wspomnieć o Zakłęciu Prawdy: to jest prawdziwe zakłęcie, tak prawdziwe jak pieśni śpiewane przez Bardów. Potrzebny do niego jest najwyraźniej

ten sam Dar, który umożliwia połączenie więzią Towarzysza z Heroldem; jeśli jest on mocny, zaklęciem można zmusić pytanego, by mówił wyłącznie prawdę, jeśli słabszy, można wykryć jedynie, czy badany mówi prawdę czy nie. Zaklęcia Prawdy nauczycie się na ostatku. A teraz, jeśli wszyscy są gotowi, myślę, że doszliśmy do punktu, w którym powinniśmy skończyć z gadaniem i zacząć działać.

Po raz pierwszy nauka przychodziła Talii z trudem. Ku jej olbrzymiemu przynębieniu opanowanie Daru okazało się dużo trudniejsze, niż to sobie wyobrażała. Pozostali szybko ją w tym prześcignęli, podczas gdy ona z wysiłkiem, krok po kroku, zmuszała do uległości ukryte w niej zdolności. Korzystanie z Daru w sposób świadomy wydawało znacznie się różnić od prostego odcinania się od niego lub biernego poddawania się jego wpływowi, tak jak czyniła to dotąd. Wymagało to, jak się zdawało, szczególnego połączenia stanu relaksu oraz koncentracji, czego nie miała już nadziei w sobie wyćwiczyć. Upłynęło kilka tygodni, a ona nie zrobiła żadnych postępów od chwili rozpoczęcia nauki.

— Wiesz... — powiedziała do niej pewnego dnia Ylsa, tak jakby powoli uzmysławiała sobie coś, co było przez cały czas rzeczą oczywistą — ... myślę, że tropimy niewłaściwy Dar. Teraz nie jestem pewna, czy twoim najważniejszym zmysłem jest *myśluczucie*.

— W takim razie, co? — wykrzyknęła przynębiona Talia.

— Wszystko, co powiedziałaś mi i to, co widziałam na własne oczy, wskazuje nie na umysł, a na serce. Wiadomości do Rolana nie wysłał mózg, lecz serce. Za każdym razem, czy to w obecności Selenay, czy innych Heroldów, odbierałaś smutek, ból, poczucie straty. Nawet to, co odkryłaś we mnie to było uczucie: miłość. A może namiętność — mrugnęła do Talii, która grzecznie kaszlnęła i zarumieniła się — ponieważ nie jestem właściwie pewna, co do ciebie wtedy docierało, a od tej pory minęło już sporo czasu. Mówiąc poważnie, możesz odbierać myśli, jeśli jesteś właściwie przygotowana, albo w głębokim transie, ale przede wszystkim i najmocniej odbierasz emocje, a gdy ich nie ma, tak jak w przypadku naszych zajęć, z których wykluczono wszelkie uczucia, o wiele trudniej jest ci pochwycić znaczenie. Nie przyszło mi to do głowy, ponieważ Dar *myśluczucia* — my nazywamy to empatią — prawie nigdy nie występuje samodzielnie, nawet u Wybranego. O ile sobie przypominam, spotykałam go jedynie u osób z Darem prawdziwego Uzdrawiania, a Towarzysze nigdy nie Wybierają nikogo takiego, pewnie dlatego że Uzdrowiciele są tak bardzo potrzebni. Co ci kazałam do tej pory robić?

— Rozluźnić się i oczyścić mózg z wszelkich myśli ... — odpowiedziała Talia, zaczynając rozumieć to, co do niej mówiła Ylsa — ... zwłaszcza pozbyć się wszelkich emocji, nawet tych, które docierają z zewnątrz.

— Co naturalnie doprowadziło do twojej porażki. Dar to rzecz wrażliwa

i w dużej mierze zależy od wiary we własne zdolności. Kiedy powinie ci się noga i owa wiara zachwieje się, następnym razem jest trudniej. Najwyższy czas porzucić ten kurs i obrać inny.

— Jaki?

— Zobaczysz, teraz nie staraj się chronić swych myśli. Jeśli to nie ma być fantazjowanie, nie możesz spodziewać się niczego, bo twoja wyobraźnia może ci coś podsunąć.

Ylsa odwróciła się i szepnęła coś do ucha Neave'a, który skinął głową i wyszedł z sali, a Talia popadła w lekką rozterkę czekając, aż coś się wydarzy.

Nagle oblała ją fala przerażenia, a potem pojawiła się wizja obleśnej, zadytmionej, szynkowej izby. Ona była częścią tej wizji. Zniknęła sala, w której dotąd znajdowała się wraz z kolegami. Dookoła niej majaczyły postaci pijanych, na pół oszalałych ludzi, przeważnie mężczyzn — choć tu i ówdzie widać było w tej tłuszczy ciała leżących, niechlujnych kobiet. Wszyscy byli znacznie od niej więksi, tak jakby nagle skurczyła się do wielkości dziesięcioletniego dziecka. Starła się prześlizgiwać w tym tłumie, roznosząc tanie wino, unikać zamieszania za wszelką cenę, gdy jeden z nich ocknął się z oszołomienia, złapał i ścisnął boleśnie jej rękę.

— Chodź tu chłopczyku, śliczny chłopczyku — zaskrzeczał, nie zwracając uwagi na jej wysiłki, by wyrwać się z jego uścisku. — Chcę ci tylko coś dać. . .

Chciała krzyknąć, doskonale wiedząc do czego on zmierza, ale ze zduszonego łękiem gardła wydobył się tylko pisk. To był senny koszmar, z którego nie można się było obudzić. Zaczęła ogarniać ją coraz większa panika, gdy nagle czar prysnął, jakby czymś przepłoszony.

— Talio! — Ylsa potrząsała nią, lekko klepiąc po twarzy. — Talio! Odepchnij to od siebie!

— Bogini. . . — Talia bezwładnie opadła na swoje miejsce i ujęła głowę w obie ręce. — Co się stało?

— Powiedziałam Neave'owi, by przesłał ci najbardziej przepełnione uczuciami wyobrażenie, jakie tylko potrafi stworzyć — powiedziała Ylsa. — Udało mu się lepiej, niż sądziłam. Ty nie tylko odebrałaś je, ale jakbyś znalazła się w potrzasku. Ha, to jest odpowiedź na nasze pytanie: twoim Darem jest empatia, bez cienia wątpliwości. A teraz, skoro już wiemy na pewno, na czym on polega, możemy lepiej wyćwiczyć cię w posługiwaniu się nim.

— Pani Światła — powiedziała Talia, kryjąc twarz w dłoniach. — Biedny, biedny Neave! O gdybyś zobaczyła to, co ja. . . Jakże pozwalać istnieć takiemu plugastwu?

— Nie ma tego. . . tutaj — w drzwiach pojawił się Neave we własnej osobie.

Wyglądał całkiem zwyczajnie. Talia nie mogła uwierzyć, że można być w obejściu tak spokojnym, tak naturalnym, skoro w pamięci kryją się takie wspomnienia.

— Pochodzę spoza Królestwa, pamiętasz? Tam, skąd jestem, z sierotą z popólstwa każdy może zrobić, co dusza zapagnie. O ile kapłani i Strażnicy Pokoju oficjalnie niczego się nie dowiedzą i nikt nie ujmie się w imieniu dziecka, można sobie pozwolić na wszystko. Dobrze się czujesz? Domyślałem się, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedziałem dokładnie co. Przystałem nadawać, ale zerwałaś już więź łączącą cię ze mną, Talio. Zapanowałaś nade mną z niezwykłą siłą. Połapałem się, że przekazuję ci cały ten potworny epizod... i

— Neave, tak mi przykro... — starała się jakoś opisać, przez co przeszła, ale nie udało jej się to wcale.

Z wahaniem dotknął jej ręki, w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

— Talio, to było dawno temu i daleko stąd. Dzięki ludziom takim jak Ylsa i Dziekan już nawet nie czuję bólu. Teraz wiem, że to nie ja to spowodowałem — zwilżył językiem wargi, opuściło go nieco z jego spokoju. — Czas naprawdę leczy rany; czas, miłość i pomoc innych. Szkoda tylko, że jakoś nie mogę sprawić, by już nigdy, żadnemu dziecku nie mogło się coś takiego przytrafić.

— Kiedyś, być może, to właśnie osiągną Heroldowie — powiedział z powagą Dziekan. — Kiedyś, gdy nie będzie na tym świecie królestwa, które nie witałoby nas serdecznie. Ale dziś... no cóż, Neave, ratujemy, kogo się da, i staramy się nie myśleć zbyt mocno o tych, których nie jesteśmy w stanie ocalić. Nie możemy być wszędzie...

Jednak dostrzegli w oczach Elcartha, że niewielka to jest pociecha i że trudno czasami jest zapomnieć o dzieciach wciąż uwięzionych w ich małych piekłach.

Nadeszła w końcu chwila, kiedy Ylsa ogłosiła oficjalne zakończenie zajęć mówiąc, że ona niczego ich już więcej nie nauczy. Odtąd wszystko zależało od ich własnych zdolności i od tego, na ile udoskonała je ćwiczeniami. Koniec wykładów oznaczał, że nadszedł czas na tak długo wyczekiwaną naukę jedynie prawdziwej magii. Nadszedł czas na naukę Zaklęcia Prawdy.

— Legendy mówią — zaczęła Ylsa — że stało się to w czasach Herolda Vanyela, tuż przed najazdem Sług Ciemności. Vanyel był ostatnim spośród tak zwanych Magów — Heroldów, a Zaklęcie jest ostatnim okrucieństwem prawdziwej magii w Valdemarze. Utraciliśmy wszystkie swoje zdolności magiczne z wyjątkiem paru sztuczek, którymi posługują się kapłani i Uzdrowiciele, Resztę utraciono w wojnie z Sługami Ciemności, zarzucono z powodów złych skojarzeń lub zwyczajnie zapomniano. W pewnej mierze to bardzo niefortunne. Dobrze byłoby umieć budować taką fortecę jak Pałac, zespół budynków Kolegium czy brukować gościńce tak, jak to robili przodkowie. Tak czy siak, to zaklęcie zaczyna się od kantyczki, krótkiego rymu, nie różniącego się w niczym od tych, które poznaliście...

Wraz z rymami w głowach pojawiło się wyobrażenie, które musieli utrzymywać w swych myślach. Dla Talii jego znaczenie było mało zrozumiałe: obraz obłoku mgły z niebieskimi oczami. Trzymając się tego wyobrażenia, mieli wyrecytować w myśli rym dokładnie dziewięć razy, ni mniej ni więcej. Po dziewiątym

powtórzeniu musieli sobie wyobrazić, że mgła spowija osobę, na którą rzucali zaklęcie.

Ylsa pokazała im to na Dziekanie Elcarthcie, Przymknęła na chwilę powieki, by otworzywszy je wpatrzeć się w niego na krótko. Ledwie zabiło serce, a Elcartha spowiła blada, lecz mimo to wyraźnie widoczna, niebieskawa aura.

— To pierwsze stadium zaklęcia — wyjaśniła im Ylsa. — Nie wymuszam z niego prawdy, jedynie sprawdzam — kłamie, czy nie. Powiedz jakieś kłamstwo Elcarthcie.

— Jestem w tobie głęboko zakochany, Ylso. Aura zniknęła, a Ylsa i jej uczniowie wybuchnęli śmiechem.

— A teraz powiedz prawdę.

— Uważam ciebie za jednego z najwartościowszych Heroldów w Kręgu, lecz jestem raczej zadowolony, iż nie jesteś moją towarzyszką życia. Jesteś zbyt nieposkromioną kobietą, a na dodatek masz okropny charakter.

Aura pojawiła się znowu, a Ylsa dramatycznie westchnęła.

— Ach, Elcarthcie, a mnie się przez cały czas wydawało, że w głębi duszy darzysz mnie uczuciem.

— Elcarthcie, panie, czy możecie widzieć to, co my? — zapytał zaciekawiony Neave.

— Ledwie migotliwe przebłyski — odparł. — Lecz każdy z wyjątkiem zakłętej osoby widzi aurę, czy posiada Dar, czy nie. Ylso, czy przejdziemy teraz do drugiego stadium?

— Jeśli jesteś gotowy

Ponownie wbiła w niego wzrok. Talia nie zauważyła, by aura zmieniła się w jakikolwiek sposób.

— Ile masz lat, Elcarthcie? Spróbuj powiedzieć dwadzieścia.

Dziewięć twarzy wykrzywiła się z wysiłku, na czole pojawiły się kropelki potu.

— D...d...d — zająknął się — D... pięćdziesiąt siedem. Zapomniałem już jak to jest, gdy próbujemy opierać się Zaklęciu Prawdy. Ylso, proszę, zdejmij je ze mnie, zanim zdąży wyciągnąć ze mnie coś, czego bym później żałował.

— Ach, nie mogłabym do czegoś takiego dopuścić — zażartowała sobie Ylsa, po czym przymknęła oczy i aura zniknęła, — Zaklęcie odwołujemy bardzo łatwo: wystarczy wyobrazić sobie, że mgiełka unosi się, zamykasz oczy i rozprasza się.

— Wszyscy jesteście w stanie na trwałe wywołać oba stadia zaklęcia — dodała Ylsa. — A więc do ćwiczeń! Neave i Talia, chodźcie ze mną, bliźniacy zostają z Elcarthem.

Uczucie, które towarzyszyło drugiemu stadium zaklęcia było zdecydowanie dziwaczne. Talia stwierdziła, że język nie słucha jej i to bez względu na to, co zamierzała powiedzieć, a z ust wydobywała się jedynie szczerą prawdą. Gdy nie

znała odpowiedzi na zadane pytania, musiała się do tego przyznać, nie mogła powiedzieć byle czego.

W końcu Ylsa ogłosiła koniec zajęć.

— Znacie już więc zaklęcia. Jeśli jednak dowiemy się, że wykorzystujecie Zaklęcie Prawdy dla psoty, przekonacie się, w jakie wpadliście opaty, zatem lepiej o tym nie myślcie! Możecie ćwiczyć dowoli, lecz jedynie pod okiem pasowanego Herolda. Wiecie już, jakie są wasze mocne i słabe strony — ciągnęła. — Tak jak pozorowana walka na lekcji fechtunku czyni z was lepszego wojownika, tak częste ćwiczenie waszego Daru rozwinie go w pełni. Jeśli natkniecie się w tym na jakieś przeszkody, pamiętajcie, że jest nas troje znających się pewnie na tym najlepiej, możecie do nas przyjść w każdej chwili w dzień, a nawet w nocy, jeśli sprawa będzie pilna. Do mnie, jeśli zastaniecie mnie w Kolegium, do Dziekana, albo Herolda-Seneszala, Kyrila. W Bibliotece są książki, które także mogą okazać się pomocne, udajcie się tam i poddajcie się swojemu instynktowi. Na pewno znajdziecie tam nieco uczonych ksiąg na temat waszych Darów, z których dowiecie się więcej niż ode mnie, jeśli tego będziecie poszukiwać. Nigdy nie lubiłam ksiąg, zostawiłam je Kyrilowi! On uwielbia grzebać w nich w poszukiwaniu odpowiedzi na wszystkie „jak” i „dlaczego” w odniesieniu do naszych Darów. Mnie wystarczy, że wiem, jak z nich korzystać, a na to jak to działa, nie zwracam uwagi.

Ich grupka jako pierwsza z trzech ukończyła formalną naukę. Pozostałe dwie były znacznie mniejsze, bo Dar Komunikowania przytrafiał się najpowszechniej. W skład jednej wchodził Gryffon i młodsza dziewczyna, Christa, a drugiej Davan i jeden z kolegów z roku Christy, Wulf. Talia była niezwykle ciekawa, jakie oni posiadali Dary i kiedy wszyscy się rozeszli, zapytała o to Ylsę.

— Dwie pozostałe grupy Darów mają związek z poruszaniem rzeczy myślą i widzeniem na odległość — odpowiedziała Ylsa. — Zwykle staramy się je połączyć w jedno pod nazwami „Aportowanie” i „Widzenia”. To dziwne, ale tak się składa, że dwóch Heroldów, którzy są w tym najlepsi, stanowią jeden zespół. To Dirk i Kris. A może to nie takie dziwne. Dary zwykle uzewnętrzniają się akurat tuż przedtem, kiedy są potrzebne.

Drugie imię obudziło w Talii mgliste wspomnienie. Przypomniała sobie, że spotkała już Krisa, w pierwszą noc po przybyciu do Kolegium

— Kris to ten, który jest zbyt przystojny, by mógł być prawdziwy? — zapytała Ylsę z uśmiechem.

— Właśnie. To dlatego te zajęcia, zwłaszcza dla dwóch ostatnich grup, urządzamy w tym samym czasie, łącząc razem różne roczniki. Lepiej poczekać, aż Dirk i Kris znajdą kilka tygodni wolnego czasu — odparła Ylsa. — Dlaczego pytasz?

— Nienasycona ciekawość — wyznała Talia. — Ciekawi mnie, jakie jest odniesienie ich Darów do mojego.

— Widzenie jest pewnie najbardziej zbliżone, uczucia przyciągają oko umysłu



z wielką siłą. Prawdę powiedziawszy, jest w tobie nieco i tego Daru, co sama zauważyłam. Powiedziałam, że u nikogo nie występuje tylko jeden, jedyny Dar i ani śladu innego, prawda? Z pewnością jest w tobie dostatecznie silny Dar Widzenia i *mysłoczucia*, by skorzystać z nich w nagłym przypadku. Może jest i odrobina Daru Uzdrawiania, kto wie. Mniejsza o to, różnica pomiędzy twoim Darem i ich polega na tym, że ty musisz, ogólnie mówiąc, patrzeć oczami innych, chyba że dane miejsce przesycone jest uczuciami, które mogłabyś wychwycić, a i wtedy obrazy będą bardzo niewyraźne. Oni potrafią Widzieć, jakby patrzyli na nie własnymi oczami, i nikogo do tego nie potrzebują. Jednak w sali, gdzie odbywają zajęcia, niewiele jest do zobaczenia — cała trójka siedzi pogrążona w transie. Nudy, o ile nie połączysz się z nimi więzią. Za to zajęcia Dirka to całkiem co innego. Tam jest na co patrzeć! Wiem, że nie będziemy mu przeszkadzać. Chcesz rzucić okiem?

— A mogłabym? — Talia nawet nie próbowała skrywać ochoty.

— Nie widzę żadnych przeszkód. Osobisty Herold Królowej powinien chyba zobaczyć, jak działają inne Dary, zwłaszcza że twój kolega z roku, Gryffon, dysponuje jednym z rzadziej spotykanych i najbardziej niebezpiecznych Darów z rodziny Aportowania.

— Naprawdę? A cóż on robi?

Talia z trudnością mogła sobie wyobrazić dobrodusznego Gryffona, jako kogoś strasznie niebezpiecznego.

— On jest Wzniecaczem Płomieni.

Ze względu na Dar Gryffona, Dirk urządził swoje zajęcia na dworze, z dala od wszelkich budynków, na wszelki wypadek w pobliżu studni i ustawiwszy pod ręką wiadro z wodą. Talia zobaczyła go, jak siedział ze skrzyżowanymi nogami na nagich, kocich łbach, z dwoma uczniami u boku. Cała trójka wydawała się zbyt pochłonięta tym, co robili, by zwracać uwagę na niewygodę siedzenia na kamieniach. Dirk uprzejmie skinął Ylsie i Talii na powitanie, ruchem brwi wskazując bezpieczne miejsce, gdzie mogły stanąć i patrzeć, a potem natychmiast skupił uwagę na swoich uczniach.

Zdumiona Talia spostrzegła, iż Dirk jest owym młodym Heroldem, którego napotkała na drodze tuż przed wjazdem do stolicy. Wtedy zbyt przytłaczały ją nieśmiałość i strach, że dopuściła się złego uczynku, i zdołała ledwie rzucić na niego okiem, lecz teraz, gdy pochłaniały go zajęcia z uczniami, nie omieszkała skorzystać z okazji, by mu się dokładnie przyjrzeć.

Jej pierwsze wrażenie, że młodzieniec wygląda nad wyraz pospolicie, potwierdziło się w pełni. Jego twarz wyglądała jak ulepiona z gliny przez kogoś o niewielkim lub zgoła żadnym talencie. Miał zbyt długi nos, sterczące uszy, jakby wetknięte na chybił trafił i zostawione własnemu losowi; kwadratowa szczęka

odstawiała od stromych policzków, a zęby z pewnością lepiej by się czuły w pysku Towarzysza. O wiele za szerokie czoło nie pasowało do żadnej z pozostałych części twarzy; usta były zbyt wydatne i na dodatek wykrzywiały się brzydko. Słomiana czupryna najbardziej przypominałaby wiejską strzechę, przy zastrzeżeniu, że kładący ją wieśniak nie mógłby mieć bladego pojęcia o tym, co robi. Jednym słowem, byłby odrażający, gdyby nie życzliwy uśmiech, który zawsze igrał w kącikach jego ust; uśmiech, który wynagradzał wszelkie niedostatki i budził pogodę ducha u innych.

Uśmiech i oczy — Dirk miał najpiękniejsze oczy, jakie Talia widziała w życiu, przepełnione dobrocią i litością. Mogłyby się z nimi równać jedynie oczy Rolana, i były w tym samym szafirowym odcieniu błękitu. Gdyby nie była tak zafascynowana tym, co się działo, może i zastanowiłoby ją przez chwilę echo, jakie wywołała w jej sercu dobroć ukryta w jego oczach. Tymczasem Gryffon właśnie demonstrował swój Dar i to przepędziło wszelkie inne myśli z jej głowy.

Gryffon stopniowo podpalał coraz mniej łatwopalne materiały. Leżące dookoła szczątki świadczyły, że posiadał już umiejętność dowolnego podpalania substancji łatwo zajmujących się ogniem. Przed sobą miał resztki spalonego papieru, strzępy płótna, kawałek powroza nasmarowanego smołą i zwęglony kawałek drewna. Teraz Dirk podsunął mu dziwny, czarny kamień.

— To zapali się, gdy go dostatecznie podgrzejesz, obiecuję — powiedział do Gryffona. — Kowale używają go, jeśli chcą otrzymać naprawdę mocny ogień, wolą to od węgla drzewnego. Spróbuj.

Gryffon wpatrzył się w czarny kamień. Na jego twarzy odmalowało się wielkie skupienie. Po pełnej napięcia chwili westchnął gwałtownie.

— Nic z tego... — zaczął.

— Zanadto się starasz — doradził Dirk. — Rozluźnij się. W niczym to nie różni się od drewna, jest tylko odrobinę bardziej uparte. Spróbuj przedłużyć.

Ponownie Gryffon wpatrzył się w czarną grudę. Nagle stało się coś niezwyklego. Jego wzrok stał się nieobecny. Żołądek Talii podskoczył, przez chwilę poczuła się zdezorientowana. Miała wrażenie, jakby brała udział w połączeniu dwóch różnych obiektów w nową całość.

Buchnął płomień, czarna bryła zapaliła się z nadprzyrodzoną gwałtownością.

— Hola! — wykrzyknął Dirk i zalał płomień wodą z podręcznego wiadra.

Ogień był tak silny, że koci łeb, na którym leżał kamień, zasyczał i obłany wodą pękł. Rozszedł się zapach spalonej skały i z miejsca, gdzie leżał uniósł się obłok pary.

Gryffon skupił wzrok i z osłupieniem patrzył się na poczerniałą plamę.

— Czy to *ja* zrobiłem?

— Bez wątplenia tak. Gratulacje — powiedział pogodnie Dirk. — Teraz już wiesz, dlaczego zajęcia odbywamy na dworze. Najważniejsze: czy możesz to powtórzyć, tym razem nieco lepiej nad wszystkim panując?

— Myślę, że tak...

Oczy Gryffona znów stały się jakby nieobecne, tak jak przed chwilą, i mokre resztki czarnej skały zasyczały, a potem zapaliły się wesołym płomieniem, całkowicie obojętne wobec kałuży, w której leżały.

— A teraz zgaś to — rozkazał Dirk.

Płomienie zgasły zupełnie. Po krótkiej chwili kamień był tak chłodny, że Dirk mógł go wziąć w ręce.

— Dobra robota, młodzieńcze! — pochwalił chłopca. — Wiesz teraz, na czym ta sztuczka polega! Po ćwiczeniach będziesz mógł wywoływać ogień przed sobą w powietrzu, ale nie próbuj tego jeszcze. To na dzisiaj wystarczy. Jeszcze trochę a rozboli cię głowa.

Ylsa ostrzegła grupę Talii, że bóle głowy mogą być wynikiem zbyt forsownego wykorzystywania Daru. Czasami nie można było tego uniknąć, ale lepiej się było tego wystrzegać. Pewnego dnia Drake'a rozboleła głowa, gdy próbował się przechwalać, co było dodatkowym argumentem na rzecz zachowania wstrzemięźliwości. Ylsa wręczyła każdemu paczuszkę ziół, z których można było przygotować napar uśmierzający ból, gdyby się kiedyś mimo wszystko przeliczyli z możliwościami oraz dodała, że Mero ma w kuchni zawsze większy ich zapas pod ręką, na wypadek gdyby wyczerpały im się zasoby.

— A teraz, Christo, twoja kolej! — Dirk skupił swoją uwagę na kościstej, rozbrykanej dziewczynce z lewej strony. — Drugi cylinder na wiadomości... — położył przed nią pojemnik, jaki zwykle Specjalni Pośłańcy zawieszali sobie u pasa — ... leży na wierzchu pierwszej półki z książkami w Bibliotece, na *Włóknie Cienia*. Wiem, że jest większy od wszystkiego, z czym się zmierzyłaś do tej pory, ale za to jest nieco bliżej, niż już udało nam się sięgnąć. Myślisz, że jesteś w stanie wyobrazić go sobie i sprowadzić?

Kiwnęła głową bez słowa i ujęła w ręce cylinder. Ponownie pojawiło się uczucie napięcia, które Talia odbierała z łatwością. Czuła się tak, jakby znajdowała się pomiędzy dwojgiem ludzi ciągnących jej umysł każde w swoją stronę. Nagle rozległ się dźwięk podobny do puknięcia i w dłoniach Christy znajdowały się już dwa cylindry, a nie jeden. Dirk wziął od niej ten nowy, otworzył i z uśmiechem pokazał jej, co było w środku — skrawek pergaminu ze słowami: „Ćwiczenie pierwsze, proszę o jeszcze”. Radosny uśmiech dumnej ze swego wyczynu Christy był równie promienny jak jego.

— Nie jest to dobra poezja, ale zamiar godziwy. Ha, z tym ci się udało. Sprawdźmy, czy potrafisz sięgnąć trochę dalej...

Ylsa dotknęła Talii, która skinęła niechętnie głową i obie odeszły cichutko.

— Taki Dar, jak u Gryffona, może wywołać prawdziwą katastrofę, jeśli właściciel nie nauczy się nad nim panować — powiedziała z powagą Ylsa, gdy znalazły się poza zasięgiem słuchu. — W przeszłości zdarzało się, że nauczyciel nie przygotowany na tego rodzaju eksplozję, której byliśmy dzisiaj świadkami, prze-

straszył się, co wywoływało z kolei strach u ucznia i czasami doprowadzało to do całkowitej blokady jego Daru. Oczywiście nauczenie się całkowitego panowania nad nim było już niemożliwe. Później w chwili zdenerwowania czy kryzysu Dar taki wybucha z wściekłością, którą by trzeba zobaczyć, by uwierzyć. Mieliśmy szczęście, iż jak dotąd wściekłość ta zawsze była wymierzona przeciw wrogom Królestwa.

— Lavan Ognista Burza... — powiedziała Talia. — Teraz sobie przypominam; niemal sam odparł Sługi Ciemności w bitwie w Przesmyku Białych Żrebiąt. Jednak przy Płonących Sosnach zginął jego Towarzysz i ostatnia Ognista Burza, którą przywołał, pochłonęła nie tylko wrogów, ale i jego.

— Po dziś dzień Płonące Sosny to okolica wyłącznie nagich skał — dodała Ylsa. — Ci, którzy tam razem z nim byli, mieli szczęście, iż zachował na tyle rozsądku, by ostrzec ich, zanim sprowadził Ogień. Nie ma pewności, że Ognistej Burzy nie można wymierzyć w przyjaciół — niepohamowany gniew czasami bywa ślepy. To dlatego Dirk jest tak dobrym nauczycielem. Nigdy nie zdradzi się ze swoim lękiem przed żadnym uczniem. Mamy szczęście, że zasiada w naszym Kręgu. Ha, przed tobą są jeszcze ćwiczenia z bronią, a ja muszę złożyć raport, że jestem wolna i czekam na ponowny przydział. Zobaczymy się przy kolacji, kotku.

Talia ćwiczyła co noc, wybierając porę, kiedy nierzadko zmienne emocje uczniów Kolegium stłumione były przychodzącym pod koniec dnia znużeniem. Przez kilka tygodni obserwowała po prostu to, co przyciągało jej uwagę — choć zdarzyło się, raz czy dwa razy, że pośpiesznie musiała zmienić obiekt obserwacji, natrafiwszy początkowo na sceny bardzo intymne lub budzące w niej zażenowanie. Jednakże gdy poczuła się pewniej, skusiło ją, by zmierzyć się z przeraźliwą marą senną jednego z najmłodszych uczniów w Kolegium. Ku swej niewysłownej radości udało się jej odegnać lęk, bez którego sen nie był już tak szkodliwy.

Ten sukces popchnął ją do tego, by jeszcze kilka razy spróbować interweniować w uczucia innych. Za każdym razem starała się odwrócić ujemne emocje: gniew, strach, a raz nawet — w przypadku zażartej kłótni i strasznego braku wzajemnego zrozumienia dwóch pałacowych posługaczy — nienawiść. Jej sukcesy, choć nie zawsze w pełni udane, wystarczyły, by utwierdzić ją w mniemaniu, iż tego rodzaju interwencje są rzeczą słuszną.

Przebudzenie się w niej jej Daru i wyćwiczenie go miało swój uboczny skutek. Wiązało się to z Rolanem, który nade wszystko był przecież ogierem — i to najlepszym ze stada. A Towarzysze, podobnie jak ludzie, zawsze byli gotowi do miłości. Dlatego po zmroku Rolan był najbardziej poszukiwanym partnerem w stadzie.

Teraz, gdy Dar Talii rozwinął się już z pełną siłą, nie mogła wypędzić go ze swych myśli. Nieunikniony udział w miłosnych schadzkach Rolana ogrom-

nie wzbogacił jej wiedzę w pewnych dziedzinach, którymi sama, spontanicznie raczej, by się nie zainteresowała.

Do Domu Uzdrawiania i Kolegium Uzdrawicieli zawiodła ją ciekawość i jej rosnąca wrażliwość. Większość chorych to byli Heroldowie, którzy odnieśli rany wypełniając swe obowiązki. Natychmiast po unormowaniu się ich stanu przysyłano ich tutaj, gdzie wspólnymi siłami i wiedzą mogli ich wspomóc najlepsi w tym rzemiośle w Królestwie. Nie wzywało jej tu nic szczególnego, potrzeba bardziej paląca niż w innych miejscach i w innym czasie, ale tak czy inaczej nieszczęście było tutaj obecne, a to przyciągało ją jak ćmę do światła. Zupełnie zagubiona nie wiedziała, jak się tam dostać, dopóki pod wpływem nagłej myśli nie odszukała nauczyciela stamtąd, który opiekował się nią w chorobie — Devana.

Nie mogła wybrać lepiej. Devan dowiedział się od Ylisy, jaka jest natura Daru Talii i sam będąc empatą doskonale rozumiał, że miejsce takie jak to będzie ją przyciągać z nieodpartą siłą. Zaprosił ją do wzięcia udziału w jego obchodzie sądząc, że uda jej się osiągnąć coś, co pomoże cierpiącym w odzyskaniu zdrowia. Nie było to łatwe, ale tak jak to powiedziała kiedyś Selenay, jeśli coś trzeba było zrobić, ona znajdzie na to czas. Zaczęła wstawać jakąś godzinę wcześniej, zjadała śniadanie w kuchni i razem z Devanem dokonywała obchodu, by powrócić do Pałacu około południa, kiedy Elspeth udawała się na przejażdżkę razem z matką. Wiele się dowiedziała i to nie tylko o Darze Uzdrawiania. Mając dookoła siebie tak wielu Uzdrawicieli i ich uczniów, nie musiała brać udziału w zabiegach Devana, jednak obserwując go, nabrała wielkiego szacunku dla jego umiejętności. Jego specjalnością — wszyscy Uzdrawiciele poświęcali jakiejś jednej dziedzinie więcej uwagi — były cierpienia od ran i „trauma”, jak to nazywał: obrażenia wynikłe nagle i w sposób gwałtowny, często nierozzerwalnie związane z wstrząsem. Dopiero odwiedzwszy Dom Uzdrawiania, Talia zrozumiała jak niebezpieczne jest życie Herolda. Dotąd spotykała się jedynie ze śmiercią, teraz u boku Devana ujrzała, co zwykle spotyka Herolda, gdy podczas pełnienia obowiązków napotka na swej ścieżce zły los.

— Najgorsze są zazwyczaj okolice Granic — powiedział jej Devan, gdy zauważyła, iż co najmniej trzech rannych wydaje się pochodzić z jej rodzinnych okolic. — Weźmy na przykład rejony sąsiadujące z twoim rodzinnym domem: zwykle Herold pełni bez przerwy służbę przez półtora roku. Zgadnij, jak długo objeżdża tereny dookoła Grodów?

— Rok? — rzuciła Talia na chybił trafił.

— Dziewięć do dziesięciu miesięcy. Nic się nie dzieje do czasu zimowych najazdów z Karsu. Prędzej czy później przytrafia im się coś poważniejszego od strzały, lub pomniejszego uderzenia siekierą; wtedy, by wyzdrowieć, wracają tutaj. To jedno z najgorszych miejsc, choć niektóre odcinki Północnej Granicy wca-

le nie są bezpieczniejsze, wzięwszy pod uwagę napływ barbarzyńskich ludów, za każdym razem, gdy skończy im się pożywienie. To dlatego Alberich uczy was młodych walki i strategii. Przydział odcinka w okolicy Grodów oznacza, że równie często trzeba być wojownikiem, jak Heroldem. Dowodzący Herold może się okazać jedynym wyszkolonym żołnierzem do chwili nadejścia oddziałów regularnej armii.

Później zainteresowało ją, dlaczego nie było nikogo z okolic Jeziora Evendim, skoro Keren i Sherrill powiadają, że i tam nie brak jest przecież przemytników.

— Nad Jeziorem nie ma najeźdźców i barbarzyńców, są tam piraci i wyrzutki spod prawa, bo łatwo jest znaleźć schronienie w jednej z licznych nadbrzeżnych jaskiń. Stamtąd niewielu do nas trafia rannych, gdyż ich przeciwników interesuje głównie kradzież i szybka ucieczka i nie trzeba toczyć z nimi walki. Naszych ludzi zwykle łatają w którejś ze Świątyń Uzdrawiania, po czym ruszają w dalszą drogę. I z Południa nie ma u nas nikogo.

— Dlaczego?

— Na południu stykamy się z Menmellith, z którym żyjemy w przyjaźni. Jednak tam pogoda jest dziwna i nieprzewidywalna, zwłaszcza w lecie. Zdarza się tam mnóstwo złamanych w nieszczęśliwych wypadkach nóg, jednak ofiary zwykle znajdują opiekę na miejscu, chyba że wydarzy się coś poważnego, jak złamany kark czy kręgosłup.

— Ale jest tutaj dwóch z Północnej Rubieży... Jednym z nich jest biedny Vostel...

Talia wstrząsnął lekki dreszcz. Niemal całe ciało Vostela zostało poparzone. Żyłby w śmiertelnej udręce, gdyby nie ciągle uśmierzanie bólu lekarstwami. Nieustanne cierpienie wyczerpywało go ogromnie i dlatego Talia poświęciła mu mnóstwo czasu. W jej obecności nie musiał silić się, by okazać męstwo i płakał z bólu, przeklinał bogów, przyznawał się do lęku o to, że nigdy już nie wyzdrowieje. Uczyniła, co mogła, by go pocieszyć, uspokoić i zwrócić mu nieco siły psychicznej, którą utracił z powodu ran.

— Północno-zachodnia Rubież jest krainą niesamowitą — odparł Devan. — Powiadam tak, bo stamtąd pochodzę i ktoś by o tym wiedział lepiej ode mnie. Przedziwne rzeczy wyłaniają się z tej dziczy; nie powiem, bym przesadzał, bo napatrzyłem się nieco. Na przykład, dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu powie ci, że gryfony nie istnieją poza rozpaloną imaginacją Bardów, lecz ten setny był świadkiem i widział je na niebie. Ja je też widziałem, raz nawet polowałem na nie. Zabić je trudno, schwytać — to nie możliwe. Są niebezpieczne, jak wszystkie dziwaczne istoty żyjące w tej dziczy. Wieść niesie, że niegdyś toczyły się tam magiczne wojny, a była to magia nie taka jak nasze Dary, lecz ta opiewana przez Bardów, i to, co tam żyje, to szczątki armii, które tam walczyły, i broni, którą walczone.

— A ty co myślisz? — zapytała Talia.

— Przypuszczam, że to dobre wyjaśnienie, jak każde inne — Devan wzruszył ramionami. — Tyle że większość ludzi nie wierzy ani w połowę tego, co im opowiadam. Oczywiście z Heroldami jest inaczej, oni wiedzą lepiej, zwłaszcza po tym, jak kilku ugryzł gryfon, a żar-ptak przypalił żywym ogniem, gdy podeszli zbyt blisko, tak jak Vostel. To dlatego siedzę tutaj, to jest jedyne miejsce, gdzie dają mi wiarę!

Pokręciwszy głową, Talia zaprzeczyła.

— Jesteś tutaj, bo musisz. Jesteś tak bardzo potrzebny, że nie mógłbyś robić niczego innego, i wiesz o tym!

— Jesteś zbyt mądra, młodziaku — odparł. — I to o wiele! Hm, powinno mnie to chyba jednak cieszyć, bo dzięki tobie łatwiej stawiam na nogi moich podopiecznych. Gdybym ci tego jeszcze nie powiedział, to powiem ci teraz: cenię sobie twoje wysiłki. Brakuje nam Uzdrowicieli myśli, którzy mogliby uleczyć pomniejsze traumy. Siły dwóch, których mamy, musimy oszczędzać na przypadki niebezpiecznego wytrącenia z równowagi psychicznej. Nie rób tak niewinnej miny, doskonale wiem, co ty robisz! Jeśli o mnie chodzi, nie przeszkadzaj sobie.

Tutaj, pomiędzy cierpiącymi, Talia odkryła, że swój Dar może wykorzystać jeszcze w jeden, subtelniejszy nawet sposób. Nie musiała co prawda zmagać się z żalem trawiącym tych, których osierociła śmierć Herolda, jednak trzeba było sobie radzić z przeobrażaniem innego rodzaju podstępnych i zdradzieckich emocji; zwątpienie w siebie, jej dobry znajomy, było jednym z nich.

Nie było Herolda, który by mu nie uległ. Często obwiniali siebie samych za odniesione rany, albo śmierć lub nieszczęście tych, którzy próbowali im pomóc. Pozostawieni sobie samym na tak długo, mając za jedynych towarzyszy cierpienie i pamięć, byli rzućeni na pastwę wątpliwości, które mogły w nich tylko narastać. Nie można się było dziwić, że u niektórych rozwinęły się przewlekłe lęki, zwłaszcza u tych, którzy zostali pojmani lub długo czekali w samotności na nadejście pomocy. Trzeba było rozwiązywać zawity węzeł winy i nienawiści, której ulegała większość. Cierpiący nienawidzili tych, którzy — wprost czy pośrednio — byli odpowiedzialni za zadane im rany. I zarazem poczuli się do ogromnej winy, bo Herold — po prostu — nie mógł żywić do nikogo nienawiści. Herold musiał rozumieć; miał z nienawiścią walczyć, a nie samemu stawać się jej ofiarą. To, że równocześnie Herold był przecież tylko człowiekiem, a nie półbogiem, jakoś nie przychodziło im do głowy, ani to, że odrobina uczciwej nienawiści może okazać się ozdrowieńcza.

Jednak najbardziej zdradziecką emocją, z którą najtrudniej przychodziło się uporać, była rozpacz. Rozpacz zrozumiała, gdy rannego ciała nie można już było całkowicie Uzdrowić. Czasami zdarzało się, że rana zbyt długo była zostawiona sama sobie, by można ją było do końca Uleczyć, szczególnie gdy wdawała się infekcja. To w ten właśnie sposób Jadus utracił nogę, walcząc z najemnikami z Tedrel w wojnie z Karsem.

Uzdrowiciele potrafia złożyć nawet najmniejsze fragmenty kości, by zgruchotana kończyna mogła wyzdrowieć, ale tylko pod warunkiem, że kość nie zaczęła się zrastać. Tak samo uszkodzone nerwy zbyt długo zostawione bez opieki, nigdy nie mogą być wyleczone. W jaki sposób można ulżyć w bólu tym, którzy widzą swe okaleczone, poranione ciało i wiedzą, że już nigdy nie będą tacy jak przedtem.

Trzeba było też wziąć pod uwagę cenę, jaką nakładał na serce i męstwo ból, zdawać by się mogło nieskończony. Ból, jaki musiał znosić poparzony Vostel.

Wszystko to wołało do niej o pomoc z siłą, której nie mogła się oprzeć. W miarę więc jak coraz zręczniejsze posługiwała się swoim Darem, zaczęła pomagać nie tylko osieroconym, ale i rannym, a robiła to z taką delikatnością, iż póki ich nie opuściła, niewielu uzmysławiało sobie, że im pomogła. Nie było to łatwe, trudno było na wszystko znaleźć czas; trudno było siedzieć, obserwując psychiczne tortury, których nie mogło ukrócić jedno proste muśnięcie współczucia, czy wybuch żalu. Jednak gdy raz podjęła się tego trudu, nie mogła przestać. Potrzeba niesienia pomocy w Domu Uzdrawiania przyciągała ją nieubłaganie, tak jak udreka, która podąża trop w trop za śmiercią. Nie wiedziała nawet, że postępuje w ślad wielu poprzednich Osobistych Heroldów Monarchy. Tak jak Talia, ci, których Dar w tej dziedzinie był najmocniejszy, używali go nie tylko władcom, lecz i całemu Kręgowi. Kyril i kilkoro innych wiedziało o tym, że gdy Talia przywdzieje Biel, prawdopodobnie okaże się jednym z tych Heroldów, o których pisze się pieśni. Świadomość tego nie uspokajała, gdyż żywot opiewanych w pieśniach Heroldów rzadko jest długi i spokojny.



## DWUNASTY

— Załóż opaskę dokładnie i mocno zaciśnij — powiedziała Elspeth do Skifa.  
— Inaczej cała próba na nic.

Skif powstrzymał się przed komentarzem, a tylko zapytał:

— Czy Keren jest już gotowa?

— Pójdę zobaczyć — zerwała się Elspeth.

— Na pewno nic nie możesz zobaczyć? Nie za mocno? Nie za luźno? — zapytał Talię, poprawiając położenie opaski zasłaniającej jej oczy.

— Ciemno jak w mysiej dziurze o północy — zapewniła go. — Dobrze jest, nie zsunie się i nigdzie nie uwiera.

— Keren powiedziała, że jeśli wy jesteście gotowi, to ona też — zawołała Elspeth spoza drzew na Łące Towarzyszy, gdzie stała Keren.

— Gotowa?

— W każdej chwili.

Skif prowadził Talię ostrożnie pomiędzy drzewa do miejsca, gdzie czekała na nich Keren, podparłszy się rękami pod boki, z półuśmiechem na wargach.

— Wzięłam dosłownie twoje słowa, centaurku i nie będzie łatwo, tak jak chciałaś — odezwała się, gdy podeszli do niej. — O ile wiem, nikt nigdy dotąd czegoś takiego nie próbował. Nie powiem, zapowiada się interesująco.

— Wydaje się, że nikogo nie łączą z jego Towarzyszem takie więzy — odparła Talia. — Chcę zobaczyć, ile w tym prawdy, a ile mojej wyobraźni.

— Ha, ta sztuczka powinna nam pomóc. Jeśli naprawdę możesz patrzeć oczami Rolana, nie zrobisz nawet jednego fałszywego kroku. Jeśli to wytwór twojej wyobraźni, nigdy w życiu nie przejdziesz przez ten labirynt.

W promieniu przynajmniej stu stóp dookoła Keren oczyszczono teren ze złotych i czerwonych liści i na trawie starannie wymalowano farbą labirynt. Korytarze były szerokości zaledwie około dwóch stóp i trzeba było bardzo uważać, by nie nadepnąć na ograniczające je linie. Labirynt był bardzo zawiły, przy tym przejście pomiędzy liniami z farby na trawie, uniemożliwiło Talii odnajdywanie kierunku za pomocą dotyku.

Rolan stanął obok Keren na niewielkim pagórku, z którego doskonale widać było cały labirynt. Zgodnie z planem Talii, to on miał być jej oczami, i jeśli łącząca

ich więź była rzeczywiście tak silna i głęboka, jak sądziła, stosunkowo bez trudu pokona labirynt.

Zafascynowani Keren, Skif i Elspeth patrzyli, jak wyruszyła, by zmierzyć się z zadaniem.

W połowie drogi zawahała się na długo.

— Trafi w ślepy zaułek — wyszeptał Skif do Keren.

— Nie, nie trafi. Poczekaj, zobaczysz. Labirynt można przejść różnymi drogami i wydaje mi się, że ona wybiera najkrótszą.

W końcu Talia zatrzymała się i na ślepo odwróciła się do obserwujących ją widzów.

— No i? — zapytała.

— Zdejm opaskę i sama zobacz.

Talia przebyła labirynt z taką precyzją, że nawet nie pobrudziła farbą swych butów.

— To prawda! — wykrzyknęła z lekka przestraszona. — To rzeczywiście prawda!

— Muszę przyznać, że to jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie do tej pory widziałam — odezwała się Keren, idąc śladem Talii wzdłuż labiryntu. Za nią postępował Rolan i pozostała dwójka. — Między mną a Dantris istnieje bardzo silna więź, ale nie sądzę, by udało nam się tego samego dokonać. Dlaczego zatrzymałaś się w połowie drogi?

— Rolan zaczął się ze mną spierać. Chciałam pójść drogą, na której w końcu i tak się znalazłam, on zaś kierował mnie na ścieżkę w kształcie litery T.

— Lepiej zrobiłby zostawiając cię w spokoju; droga, którą wybrałaś była krótsza. Jesteś gotowa do następnej próby?

— Myślę, że tak. Wygląda na to, że Rolan także.

— Dobrze. No, znikaj, ty wandalu ogrodów! — Keren klepnęła lekko Rolana po zadzie. Towarzysz prychnął w jej stronę i ruszył z miejsca klusem, a Skif pobiegł u jego boku.

Keren wyciągnęła kostkę do gry i zaczęła nią rzucać. Wykonała dwadzieścia rzutów, a Talia za każdym razem dokładnie zapamiętywała liczbę oczek. Skif miał przy sobie zestaw sześciu kart z namalowanymi na każdej z nich kropkami, odpowiadającymi liczbie oczek na poszczególnych ściankach kostki. Zadaniem Rolana było wskazać po każdym rzucie kostką kartę z właściwą liczbą kropek. Tym razem to on miał patrzeć oczyma Talii. Nie trwało to długo, wkrótce Skif wrócił z Rolanem i porównano wyniki Talii i jej Towarzysza.

— Niesamowite! Ani razu nie pomylił się! Musimy powiedzieć o tym Kyriłowi. Z pewnością będzie chciał poddać was oboje jeszcze kolejnym próbom — powiedziała zdumiona Keren.

— Proszę bardzo, jeżeli będzie miał tylko na to ochotę — odpowiedziała Talia.

— Sama chciałabym się upewnić, czy miałam rację co do łączącej mnie z Rolanem więzi. Przez cały czas trwania prób miałam opuszczone zasłony.

— Żartujesz! — Skif otworzył usta ze zdumienia.

— Nigdy nie byłam bardziej poważna. Rozumiesz, co to oznacza, prawda? Nie tylko to, że łącząca nas więź jest jedną z najsilniejszych, ale i to, że ja po prostu nie mogę odgrodzić swojego umysłu od jego, ani nikt nie potrafi zablokować jego myśli płynących do mnie.

— To kiedyś może okazać się przydatne — zauważyła Keren. — Nawet gdybyś była nieprzytomna, będzie można do ciebie dotrzeć poprzez Rolana. Powiniśmy w końcu powiedzieć o wszystkim Kyrilowi.

— Idźcie. To nic takiego, co trzeba by trzymać w sekrecie.

— Talio, jak myślisz, czy kiedyś i ja będę miała takiego przyjaciela jak Rolan? — zapytała Elspeth z tęsknotą w głosie.

Talia przygarnęła do siebie dziewczynkę i pogłaskała po ramionach.

— Koteczku — szepnęła — nie wątp w to ani przez minutę. Być może twój przyjaciel, Towarzysz, będzie nawet lepszy od Rolana. Obiecuję.

Rolan nie skwitował jej słów swym zwykłym, drwiącym parsknięciem. Obwąchał delikatnie dziecko, jakby potwierdzał obietnicę Talii.

Kilka dni później Talia zdecydowała się dokładnie sprawdzić, jakie są ograniczenia jej Daru. Nie zapaliła świecy i leżała teraz na łóżku w gęstniejącym mroku, izolując i wyciszając w swym wnętrzu wszelkie niepokoje, tracąc powoli kontakt z własnym ciałem. Powoli swoim zmysłem empatii zaczęła obejmować coraz większy obszar — sięgnęła najpierw poza swoją izbę, potem poza Kolegium, Pałac i jego ziemie. W Pałacu wykryła jakieś nieokreślone skupiska ambicji i niepokoju, ale nie było to nic tak poważnego, by musiała się zatrzymać. Musnęła je przelotnie i odważyła się sięgnąć swymi zmysłami poza mury, do miasta. Uczucia napływały do niej w postaci jaskrawych barw; wielokrotnie przedzierała się przez mgielne opary negatywnych uczuć, lecz nie były na tyle silne, by ją wstrzymać. Raz czy dwa razy zatrzymała się na chwilę, by zainterweniować — w pijacką burdę w tawernie i nocne koszmary jakiegoś młodego żołnierza.

Sięgnęła teraz dalej, podążając wzdłuż Północnego Traktu, jakby prowadzona światłem latarni morskiej, wchodząc kolejno w kontakt z tymi, którzy stale tu mieszkali lub koczowali. Napotykanii ludzie byli dla niej niczym latarnie przy drodze pogrążonej w mroku, niczym drogowskazy, czy też może raczej kamienie, po których można przejść przez strumień. Wchodziła z nimi w kontakt rzadziej niż gdzie indziej, gdyż Północny Trakt wiódł poprzez najmniej zaludnione okolice Królestwa. Podczas gdy świadomość Talii wędrowała, ona sama przypomniawszy sobie, że właśnie tą drogą została tydzień wcześniej wysłana Ylsa. Nagle, jakby samo wspomnienie istnienia Ylisy było wystarczającym impulsem, znalazła i ją

samą; coś ciągnęło ją na Północ, została pojmana przez moc zbyt silną, by stawić jej opór.

Zaczął w niej narastać niepokój i lęk, a gdy nieznana siła poczęła ją przyciągać, ogarnął ją strach. Nie potrafiła ani zerwać uwięzi, ani zwolnić swojego pędu. I była już bliska paniki, gdy nagle stanęła przed tym, co ją przyciągało. Ona, Talia, była *tam*, patrząc wokół czymś oczyma. Oczyma Ylisy...

Zasadzka! Było ich zbyt wielu, by móc stawić im czoła. Felara wierzyła i gryzła wokół siebie, próbując utorować drogę ucieczki, lecz atakujący zachowali ostrożność i zdołali ich okrążyć. Mocno przyłgnęła do grzbietu Felary wiedząc, że zginie, jeśli zostanie zrzucona. Dobyła swój miecz i zaczęła nim ciąć, lecz w miejscu, gdzie padł jeden napastnik, natychmiast stawało dwóch. Miecz nie nadawał się do walki z końskiego grzbietu, nie zadała nim więcej niż z pół tuzina ciosów, gdy padający wróg wytrącił go z jej ręki, wyciągnęła więc sztylet. Wtedy napastnicy cofnęli się na dźwięk rogu. Potworny ból rozdarł jej ramię i zaćmił wzrok. Ogłupiała spojrzała w dół, na swoją pierś i zobaczyła sterczącą z niej opierzoną brzechwę strzały.

Felara zarżała w agonii, kiedy druga strzała wbiła się w jej bok. Przeklęty księżyc! W jego blasku były widoczne dostatecznie, by stać się dobrym celem łuczników ukrytych za drzewami. Napastnicy cofnęli się jeszcze trochę i więcej strzał zaświstało w ciemności...

Felara stęknęła raz jeszcze i runęła na ziemię, przygniatając ją swym ciałem. Nie była w stanie ani myśleć, ani poruszyć się; strata Felary to było zbyt wiele dla niej, czuła się tak, jakby po części sama umierała.

Zadanie łuczników zostało wykonane, na nowo nastąpili zbrojni w miecze. W poświęcie księżycy błysnęła klinga i opadła w dół; wiedziała, że to ostrze niesie jej śmierć...

— *Kyril! Powiedz Królowej: w brzechwie!*

Tuziny obrazów przemknęło i znikło. Jeden pozostał: strzały zaznaczone czarnymi paskami... pięć strzał... wydrążonych, zaznaczonych na czarno...

Poczuła nieznośny ból, a potem nastąpiła straszna cisza i ciemność, jeszcze straszniejsza od bólu... Ciemność złapała ją w potrzask, nie mogła uciec. Nie było nic, czego można by się uchwycić, o co można by się zaczepić... Nagle *coś* zjawiło się obok niej. To był Rolan... Chwyliła się go w panice i pociągnęła...

Talia wydała z siebie krzyk śmiertelnego bólu i... zorientowała się, że sioda wyprostowana na łóżku. To nie był jej własny krzyk. Przez chwilę siedziała mrugając, oszołomiona, nie zupełnie pewna, czy to wszystko nie było zbyt realistycznym nocnym koszmarem. I wtedy zadźwięczał Dzwon Śmierci.

Pewna myśl powstrzymała jej łzy: Keren! Keren, związana z Ylsą równie mocnymi więzami, jak ze swoim Towarzystwem czy własnym bratem, i której życie zależało od tej więzi. Talia wiedziała, że Keren co noc porozumiewa się ze swoją ukochaną, o ile tylko Ylsa znajdowała się w zasięgu myśli.

Keren musiała odczuć jej śmierć — jeżeli w chwili zasadzki nie była przy niej obecna zmysłami, to powinna wiedzieć o tym dzięki więzi łączącej Heroldów, Pograżona w smutku i wstrząśnięta śmiercią Ylisy, którą odczuła nie w mniejszym stopniu niż Talia, łatwo mogła stracić poczucie odpowiedzialności i obowiązku na chwilę wystarczająco długą, by mogła spełnić swe pragnienie śmierci.

Talia nadal była ubrana, nie miała tylko butów na nogach. Nie ubierając ich nawet, pobiegła przez Skrzydło Heroldów. Nigdy przedtem nie była w izbie Keren, lecz ból i żal prowadziły ją bezbłędnie jak światło latarni.

Kiedy nadbiegła, drzwi już stały otworem. Zobaczyła brata Keren, siedzącego bezwładnie, patrzącego pustym, nie widzącym wzrokiem. Keren zastygła na krześle. Wyraźnie próbowała dosięgnąć myślą Ylisy, kiedy ta została powalona. Była zupełnie nieobecna. Jej twarz zamarła w maskę bez wyrazu, jedynie oszalałe oczy świadczyły, że nadal żyje. Nieludzki wzrok podobny był spojrzeniu rannych zwierząt bliskich już śmierci.

Talia niepewnie dotknęła ręki Keren; nie było reakcji. Łkając z przerażenia, wzięła obie zimne dłonie przyjaciółki w swoje i spróbowała dotrzeć swą myślą do jej umysłu. Poczwała, że ból niczym rzeczny wir wciąga ją do środka. Nie było niczego, czego mogłaby się uczepić. Czwała samotność nie do opisanania i żal. Wcześniej ten sam wir wciągnął brata Keren.

Na oślep szukała myślą czegoś, o co można by się zaczepić i znów to Rolan okazał się niewzruszoną opoką, na której można się było wesprzeć. Zwróciła się w jego stronę; została mocno pochwycona i przygarnięta. Teraz, gdy zamarł w niej paniczny lęk, gdy nie była już więcej na łasce rzeki bólu, mogła pomyśleć o innych.

Keren nie można było dosięgnąć, ale być może uda się oswobodzić jej brata. Sięgnęła po migoczącą w ciemności iskierkę — świadomość Terena, pochwytiła ją i utrzymała tak długo, że mogła spróbować wyciągnąć ich oboje. . .

Konwulsyjnym szarpnięciem Talia zerwała więź.

Ocknęła się z drugiej strony izby; na poły wspierał ją Teren, na poły ona wspierała jego.

— Co się stało? — wykrztusiła.

— Zawołała o pomoc; usłyszałem ją i tak ją odnalazłem. Kiedy spróbowałem ją obudzić. . . Gdy jej dotknąłem, pociągnęła mnie za sobą. . . — Teren potrząsnął głową, próbując całkiem usunąć z niej oszołomienie. — Talio, nie potrafię do niej dotrzeć. Musimy coś zrobić! Potrawisz to, prawda?

— Próbowałam, nie potrafię nawet się zbliżyć. To jest. . . zbyt mocne, zbyt nieprzystępne. Nie mogę jej uchwycić; ona sama siebie zabija własnym żalem.

Muszę... — Talia próbowała otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na niej kontakt z bezmyślnym chaosem i poczuciem straty. — Muszę znaleźć jakiś sposób i zmusić ją, by wyrzuciła to z siebie i nie zamykała się w sobie...

Ustał zamęt w głowie Talii, jej myśli znalazły coś, na czym można się było skupić; w przebłysku intuicji, do czego pewnie jedynie ona była zdolna, pomyślała o Sherrill... Sherrill, która odważyła się skoczyć za Keren do rzeki, która poszła śladem Keren; oto był klucz. Sherrill, która zawsze wydawała się pojawiać gdzieś niedaleko Keren lub Ylsy, lub obu tych kobiet; w której oczach tliła się nieustannie jakaś tłumiona tęsknota. Talia przypomniała sobie, jak zważała, by nie stać się natrętem, jakby w obawie, że swoją obecnością może coś popsuć... Sherrill, wywodząca się z tego samego ludu, co Keren i Teren, gdzie miłość osób tej samej płci nie jest przekleństwem; Sherrill, mająca tylu kochanków, lecz z żadnym nie wiążąca się na dłużej.

— Terenie, pomyśl. Czy Sherrill powróciła już z praktyki czeladniczej? — niecierpliwie zapytała Talia.

— Nie... sędzę — wciąż jeszcze był lekko oszołomiony.

— Sprowadź ją w takim razie. Natychmiast! Będzie wiedzieć, kogo opłakuje Dzwon! Powiedz, że Keren potrzebuje pomocy!

Nagłący ton zmusił go, by nie tracił czasu nawet na pytania. Podniósł się z trudem z podłogi i wybiegł w szalonym pędzie przez drzwi. Talia powróciła do Keren, starając się dotknąć jej ręki, lecz tym razem nie dać się wciągnąć. W końcu do jej uszu dotarł odgłos, który miała nadzieję usłyszeć — tupot stóp dwóch osób biegnących korytarzem.

Sherrill sporo wyprzedziła Terena, mając wyraźnie przed sobą tylko jeden cel — Keren. Talia odstąpiła na krok, a Sherrill ujęła dłonie Keren, klękając przed nią, łkając, że aż pękało serce i wołając ją po imieniu.

Odgłos płaczu pokonał pustkę, w której znalazła się Keren, a z którą Talia nie potrafiła sobie poradzić, choć miała się wszelakich sposobów. Głos, a może przebijająca z niego nie skrywana miłość i ból dorównujący cierpieniu Keren, złamał zakłęcie żalu, który trzymał ją w swych szponach.

Twarz Keren drgnęła, ocknęła się ponownie do życia, oczy jej pobiegły do klęczącej przed nią kobiety.

— Sherrill...? — wychrypiła Keren.

Na dnie mózgu Talii zamajaczyło wspomnienie: przypomniała sobie słowa Ylsy, że „czasami uporczywa nieudolność maskuje niezwykle zdolności” i upór Sherrill, z jakim powtarzała, że poza szczątkowymi umiejętnościami odczytywania myśli nie posiada żadnych uzdolnień. W obliczu ich wspólnego żalu, konieczności znalezienia i udzielenia pociechy, pękły tamy ograniczające zmysły Sherrill.

Teren i Talia opuścili izbę, dyskretnie zamykając za sobą drzwi, zostawiając obydwie kobiety same, by w odosobnieniu mogły dać upust wspólnej rozpacz; jednak już nie w samotności, na pastwie żalu, z którym każda z nich musiałaby

się zмагаć oddzielnie.

Talia oparła się o ściany korytarza; teraz przyszła pora, by i ona mogła pograć się we łzach.

— Talio? — Teren delikatnie dotknął jej łokcia.

— Bogini... och, Terenie, widziałam jej śmierć! Widziałam śmierć Ylsey!...

Jej twarz była mokra od łez, a jednak to nie był płacz, po którym następuje ukojenie. Dookoła Talii zaczęli gromadzić się pozostali Heroldowie; nie miała nawet czasu, by szczelnie ochronić swój mózg i cierpienie wszystkich stopiło się z jej cierpieniem. Myślała, że oblewa ją tłący się żar, że jest rozszarpywana na malutkie, rozwiewane wiatrem kawałeczki.

Do boku Talii przez cizbę przedarł się Herold Kyril, za którym w trop podążała Królowa. Kyril chwycił dłoń Talii. Dzięki tej więzi zdołała osłonić się przed powodzią myśli zebranych wokół niej; dała jej nieco wytchnienia, choć nie przyniosła całkowitej ulgi. Własnej pamięci nie można było niczym odgrodzić.

— Wasza Wysokość! — wykrzyknął. — Oto druga osoba, której obecność wyczułem!

Selenay skorzystała z królewskiego przywileju i rozkazała wszystkim opuścić korytarz.

— Kyril... — powiedziała, gdy pozostała jedynie Talia — możliwe, że ona jest w posiadaniu odpowiedzi... jej Darem jest empatia — stapia się w jedno z osobą, którą dotyka swą myślą.

Talia kiwnęła głową na potwierdzenie słów Selenay; cała jej twarz była mokra od łez, gardło zaś zbyt ściśnięte żalem, by mogła wydobyć z siebie choć słowo.

— Moja pani... — w tym Heroldzie o szarych jak żelazo włosach tkwiło coś, co natychmiast przyciągnęło uwagę Talii — ...możliwe, że jesteś kluczem do uporania się z potworną rozterką. To prawda, potrafię usłyszeć myśli innych, lecz są to jedynie słowa. Wydając ostatnie tchnienie, Ylsa przekazała mi wiadomość, lecz ona nic dla mnie nie znaczy, nic! Lecz jeśli potrafisz sobie przypomnieć jej słowa, jedynie ty, z której mózgiem jej zlał się w jedno, będziesz znać sens rzuconych na wiatr słów. Czy możesz wyjaśnić nam ich znaczenie?

Obrazy straszliwej śmierci stanęły jej przed oczami aż nazbyt szybko, natychmiast przywodząc na myśl resztę przeżyć.

— Strzały... — wykrztusiła, każda cząsteczka jej ciała przeżywała ponownie agonię Ylsey — ...oznaczone czarnymi paskami strzały, które miała przy sobie, były metalowe i puste w środku. To, czego szukacie jest wewnątrz.

— „W brzechwie”, oczywiście! — westchnęła Selenay. — Miała na myśli brzechwy tych strzał!

Talia ścisnęła dłońmi tętniące bólem skronie, z całego serca żałowała, iż przyknuwszy powieki nie może ukryć się gdzieś w tym mroku, który tam się czaił.

— Kyril, czy Kris i Dirk znajdują się w rezydencji? — rozkazującym tonem odezwała się Selenay.

— Tak, Wasza Wysokość.

— W takim razie możemy porwać to, co dla nas zdobyła Ylsa, zanim komukolwiek nadarzy się okazja to odnaleźć. Talio, musisz jeszcze dla nas coś zrobić. Chodź za mną; a ty, Kyril, odszukaj Krisa i Dirka, i przyprowadź ich do mnie.

Selenay pokonała korytarz prawie biegiem, Talii nie pozostało nic innego, jak zapomnieć o potwornym bólu głowy i zmusić swe roztrzęsione nogi, aby dotrzymały kroku Królowej. Razem opuściły Kolegium i znalazły się w przeznaczonych wyłącznie dla królewskiej rodziny części Pałacu — pochodzącej jeszcze z czasów założenia Valdemaru. Królowa otworzyła drzwi do izby niewiele większej od szafy, okrągłej, z okrągłym stołem pośrodku. Dokładnie nad środkiem stołu zwieszała się z powały szczelnie osłonięta latarnia. Oświetlała spoczywającą na miękkiej podstawie kryształową kulę. Dookoła stołu stały wyściełane ławy z miękkimi oparciami. Gdy drzwi zamknęły się za ich plecami, panująca w izbie martwa cisza była najlepszym świadectwem, jak dobrze zabezpieczono ją przed hałaśliwym otoczeniem. U progu jej drzwi mogłoby dojść nawet do zamieszek, a przebywający w środku nie mieliby o tym zielonego pojęcia; nie dochodziło tu nawet ponure bicie Dzwonu Śmierci.

Talia opadła bez sił na jedną z miękkich ław, ściskając dłońmi wściekle bolące skronie i zamykając oczy przed rażącym światłem. Nie zaznała na długo spokoju. Drzwi otworzyły się ponownie; Talia uniosła obolałe powieki i zobaczyła Kyrila na czele jeszcze dwóch Heroldów; w wielkim pośpiechu obydwaj narzucili na siebie byle co. Serce ją zakłuło, gdy rozpoznała Dirka i niebiańsko pięknego Krisa. Siedli na ławie po lewej — Kris bliżej Talii; z prawej usiadł Kyril, mając u swego boku Selenay.

— Talio — powiedział Kyril. — Proszę cię, przebadź myślami ten sam szlak, którym już raz je wysłałaś tej nocy. Myślę, że być może dość świeży trop uczuć zaprowadzi cię na miejsce. To nie będzie łatwe; zmuszona będziesz wyczerzyć wszystkie siły i sądzę, iż to, co tam znajdziesz, może być dla ciebie jeszcze bardziej przygnębiające niż do tej pory. Spróbuję złagodzić skutki, lecz ponieważ twój Dar rządzi emocjami i zmysłami, bólu nie da się uniknąć. Zmysł Krisa widzenia na odległość będzie szedł razem z tobą; podaj mu rękę i nie puszczaj, póki ci nie powiemy. Z nim nawiąże więź Dirk, a Królowa odgrodzi was przed całym światem, by nieproszone myśli obcych nie rozpraszały waszej uwagi.

Podczas gdy on mówił, Kris ujął jej bezwładną dłoń w swą rękę.

Nie miała nawet siły, by zdobyć się na odpowiedź, tylko oparła się o miękkie oparcie ławy i wprowadziła się ponownie w trans. Przeszkadzał jej w tym ból. Rozległ się szept i jakaś dłoń spoczęła na chwilę na ręce, którą trzymał Kris. „Selenay”, od niechcenia zaświtało jej w mózgu i ból ustąpił. Wróciła po własnych śladach, jakby wiedziona podwójną, wewnętrzną wizją: tropem kurzawy uczuć, któremu już raz pozwoliła się prowadzić i widzieć — dzięki Darowi Krisa — rzeczywiste, charakterystyczne punkty krajobrazu. Mrok w najmniejszym



stopniu nie przytępniał jej zmysłu, gdyż wszystko wydawało się rozświetlone od wewnątrz, zwłaszcza rzeczy żywe. Czas stracił swój sens; nagle zaczęła rozpoznawać miejsca, w których już była. Ogarnął ją potworny lęk na myśl o tym, co na nią tam czeka.

Odnalezienie miejsca zasadzki było pewnie najgorszym przeżyciem, jakie ją spotkało w życiu.

Ciało Ylisy zostało gruntownie i bez litości przeszukane. Talia mogła jedynie cieszyć się, iż w tej chwili nie była połączona więzią z Keren, i ona nie mogła widzieć, jak bestialsko postąpiono z towarzyszką jej życia. Poczła nudności; miejsce zaczęło przed nią umykać, gdy nagle poczuła, że czyjaś obecność dodaje jej sił. Poczła się zatracać, z uporem trwając przy wyznaczonym celu, choć siły opuszczały ją coraz bardziej; całkowicie utraciła poczucie własnego ciała. Świetlisty opar poczał zasłaniać obraz. Wiedziała, iż powinno ją to przerazić, gdyż wykroczyła poza własne możliwości, że zmusiwszy się do nadmiernego wysiłku, znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie wiecznego zatracenia się; nie miała jednak nawet tyle sił, by mógł się w niej obudzić strach. Wtedy to po raz trzeci poczuła obecność Rolana, którego wigor dodał jej sił, i pozostała w transie dłużej, niż komukolwiek mogłoby przyjść to do głowy.

— Mam to — dotarły do niej słowa Krisa i poczuła jak uwalnia jej dłoń.

— Twoja rola dobiegła końca — wyszeptał Kyril.

Szukając siebie, rzuciła się do ucieczki, i przy akompaniamencie cichych szlochów z ulgą zakryła rękami głowę wspartą o blat stołu. Wreszcie mogła pozwolić szczerym łzom żalu spływać swobodnie po policzkach. Płakała bezgłośnie, zdradzało ją jedynie drżenie ramion. Uwaga pozostałych zajęta była czymś innym i Talia mogła dać upust swojemu bezmiernemu smutkowi.

Coś zagrzechotało o blat stołu, rozległ się jakby metaliczny brzęk. Ten sam dźwięk rozszedł się jeszcze cztery razy.

— Oto cały łup — w ochryłym głosie Dirka słyszeć było zmęczenie.

Talia wyczuła jakiś ruch ze swej prawej strony, zazgrzytał metal o metal i zaszeleścił papier, potem zapadło głębokie milczenie, przerwane w końcu westchnieniem Królowej. Gdy podnosiła się, pod ławą, na której siedziała, lekko zaskrzypiała podłoga.

— To jest dowód, którego potrzebowałam — powiedziała ponuro. — Muszę zwołać zebranie Rady; gdy dobiegnie końca, ktoś zapłaci za to szyją, ktoś wysoko urodzony — od drzwi wionęło chłodniejszym powietrzem i Królowa zniknęła.

Talia poczuła, jak obok niej podnosi się Kyril.

— Muszę na Radzie reprezentować Krąg — powiedział i zawahał się.

— Idź, Kyrilu — uspokoił go Kris. — Zaopiekujemy się nią.

Westchnął z ulgą, podwójna odpowiedzialność, wobec Talii i Kręgu, wzbudziła w nim rozterkę.

— Dzięki, bracia. Talio... — na chwilę jego dłoń spoczęła na jej głowie — bez ciebie byłoby to niemożliwe, naprawdę jesteś godna być Osobistym Heroldem Królowej. A niech to, słowa znaczą teraz mniej niż nic! Przekonasz się wkrótce, że tortura, którą przeżyłaś dzisiejszej nocy, była ceną za bardzo spóźnione wymierzenie sprawiedliwości. I myślę, że Ylsa byłaby z ciebie dumna.

Drzwi zaskrzypiały i już go nie było.

— Talio? — Ktoś zajął miejsce Kyrila po jej prawej stronie, głos należał do Dirka.

Z wysiłkiem powstrzymała potok łez, odzyskawszy przynajmniej pozory opamnowania. Ukradkiem otarła oczy rękawem i podniosła obolałą głowę.

Twarze Krisa i Dirka były równie mizerne jak i jej. Oczy Krisa były zamglone od łez, a i na policzkach Dirka widać było ślady płaczu. Obydwaj próbowali ją pocieszyć, lecz nie byli pewni jakich użyć słów.

— Myślę, że lepiej wróć do izby — powiedziała wolno pomiędzy atakami bólu.

Pulsowały jej skronie, ciemniało przed oczami z każdym nasileniem się bólu. Próbowwała wstać, lecz gdy to zrobiła, komnata zawirowała jej przed oczami, światło latarni ściemniało, a w uszach rozległ się szum. Kris odtrącił stół, aby nie rozbiła sobie o niego głowy, a chroniący ją przed upadkiem Dirk w pośpiechu przewrócił ławkę. Wydawało się, że dookoła niej wszystko znika, nawet jej ciało. W fali żalości, która po tym przyszła, utonęły wszelkie myśli.

To była Ylsa, a obok niej Felara. A przynajmniej Talia myślała, że to jest Felara; Towarzysz z chwili na chwilę wyglądał inaczej, fascynował wiecznie zmienną, świetlistą formą. Miejsce, w którym się znajdowały, było jakby widmem jej własnej izby — szara, niematerialna ułuda, przez ściany której widać było księżyc i gwiazdy.

— Ylsa? — zapytała powątpiewając, gdyż postać wyglądała na niewiele starszą od niej.

— Koteczku — rozległ się błogi głos Ylisy. — Och, koteczku! To pozostawi po sobie tylko nieokreślone wspomnienie, ale będziesz o tym pamiętać. Powiedz Keren, by jej żałoba nie trwała zbyt długo; powiedz, że to ja kazałam ci to powtórzyć! A jeśli mnie nie posłucha i nie przyjmie tego, co ofiaruje Sherrill, zacznę ją nawiedzać! Ciemność nie jest końcem wszystkiego, koteczku, poza nią leżą Niebiosa, a ja już jestem spóźniona. Lecz zanim tam się udam, muszę ci o czymś powiedzieć i coś przekazać...

Kiedy obudziła się następnego dnia rano, piekły ją oczy i wciąż pulsowało pod czaszką, jednak czuła się dziwnie podniesiona na duchu. Miała sen — a może to

nie był sen?

Rozmawiała z Ylsą; cudem przywróconą do życia, młodszą Ylsą, która wyglądała bardzo solidnie jak na ducha, jeśli to rzeczywiście była ona.

Rozmowa trwała bardzo, bardzo długo. Niektóre rzeczy, o których mówiła Ylsa, Talia pamiętała tak jasno, jakby usłyszała je przed chwilą: co powiedzieć Keren, gdy jej żal zmniejszy się nieco, a Sherrill wyjaśnić, by nie uważała siebie za intruza. Następnie Ylsa ujęła dłoń Talii w swoje ręce i coś zrobiła — ale, co? Talia nie pamiętała tego dokładnie, ale w jakiś sposób udręka minionej nocy ustąpiła, a jej miejsce zajęło łagodne uczucie smutku, który łatwiejszy był do zniesienia. Pamięć także uległa zmianie — wspomnienia dotyczące jej samej pozostały niczym nie skażone, czyste jak kryształ, lecz te związane z Ylsą stały się jakby zamazane, odległe i przestały już być częścią jej osoby i źródłem śmiertelnego udręczenia. Nie pamiętała już, co czuje człowiek w chwili śmierci.

Ktoś rozebrał ją z tuniki i położył do łóżka w luźnej koszuli i bryczesach. Gdy usiadła, do bólu pod czaszką dołączyły się nudności i poczuła rytmiczne łupanie w skroniach. Nietrudno było postawić diagnozę: nie ulegało wątpliwości, że zmusiła swój organizm do nadmiernego wysiłku i teraz musiała za to zapłacić. Ylsa zaradziła i temu także, we śnie... Wstała z wysiłkiem z łóżka i powlokła się do biurka. Stwierdziła ze zdziwieniem, że ktoś przewidział, czego mogłaby potrzebować, bo na blacie stał przygotowany kubek z ziołowym remedium Ylsey i postawił czajniczek z wodą w jej kieszonkowym kominku. Wystarczyło zalać zioła gotującą wodą i poczekać aż powstanie napar. Powoli odliczyła do stu i wypiała płyn nawet nie precedziwszy go, ani tym bardziej nie osłodziwszy. Gdy łupanie w skroniach stało się odrobinę mniej dojmujące i uspokoił się żołądek, poszła do łaźni. Długa, gorąca kąpiel była także częścią przepisanej kuracji i dlatego przynajmniej przez godzinę nie wychodziła z wody; po upływie tego czasu ból głowy zmniejszył się i nie był już nie do zniesienia, a więc włożyła czyste ubranie i zeszła do kuchni.

Tam, jakby opętany, uwijał się Mero, na jego twarzy malował się smutek tak samo głęboki, jak u wszystkich Heroldów; przywitał wchodzącą pełnym zaskoczenia okrzykiem. Talia w mgnieniu oka znalazła się na wygodnym siedzisku w kącie, w jednej ręce trzymając kolejny kubek naparu ziołowego, a w drugiej miodowy placek dla zabicia obrzydliwego smaku napoju.

— Czy działo się coś ostatniej nocy? — zapytała wiedząc, że Mero natychmiast dowiaduje się o wszystkim, co by się nie wydarzyło.

— Niezbyt wiele — odparł. — Lecz... o brzasku... przyniesiono ją do domu...

Jego twarz wykrzywił grymas rozpaczony i Talia przypomniała sobie ponieważ, że Mero i Ylsa byli starymi przyjaciółmi, że podobnie jak to niedawno uczynił Elspeth swym nadzwyczajnym przyjacielem, tak w zamierzonych, uczniowskich czasach „adoptował” Ylsę.

— A Keren? — zapytała z wahaniem obawiając się, że jest natrętna.

— Jakoś to znosi; lepiej niż się tego spodziewałem. To, co uczyniłaś, było mądre i dobre, sprowadzając do niej kogoś, kto tak samo jak ona odczuwałby stratę i głęboką rozpacz — odparł, pochwaliwszy ją spojrzeniem smutnych oczu. — W *Księdze Pierwszej* napisano: „Ta miłość jest najszczerza, która pierwszeństwo daje cierpieniu bliźnich, przed swym własnym”. Ona... pani... musi być z ciebie dumna, tak sobie myślę... — zająknął się i zamilkł, nie wiedząc, co by jeszcze powiedzieć.

— Mam nadzieję, że tak, Mero — odpowiedziała Talia.

— A co u Królowej, co na Radzie — i u Terena?

— Teren razem z Sherrill opiekuje się siostrą; wydaje się, że wszystko u niego jak najlepiej. Myślę, że wystarczy mu wiedzieć, iż jej już nic nie grozi. Och, a Sherrill dostała rozkaz, by uzbroiwszy się w cierpliwość ćwiczyć swój nowo przebudzony Dar aż do skutku. Kyril osobiście zamierza się tym zająć. Co do pozostałych, to Rada wciąż obraduje za zamkniętymi drzwiami. Tuż przed brząskiem jednakże ktoś wchodził i wychodził z Pałacu. Wieść niesie, że jacyś wielmoże zniknęli ze swych łóżek. Ale... ty nic nie jesz... — zmarszczył brew i Talia pośpiesznie zaczęła skubać placek.

— Ona już dawno temu powiedziała mi, że jeśli ktoś zanadto poświęca się magii, musi szybko uzupełniać to, co przy tym utracił, albo ponosić tego konsekwencje.

Stał nad nią, póki nie skończyła jeść pierwszego placeka i wcisnął jej w dłoń drugi.

— Jest tak cicho — powiedziała.

Nagle zaczęło jej brakować tupotu nóg i głosów, którymi zwykle rozbrzmiewało Kolegium.

— Gdzie podziali się wszyscy?

— Są w Wielkiej Sali, czekają na słowo od Rady. Może też powinnaś tam pójść?

— Nie... nie sądzę, abym musiała tam być — odparła przymykając strudzone powieki. — Teraz, gdy moja głowa ponownie jest zdolna do myślenia, wiem, jaka będzie decyzja.

Czy to jej samej udało się uporządkować wspomnienia, czy z pomocą kogoś — lub czegoś — obcego, o tym nie miała pojęcia, jednak teraz już wiedziała za zdobycie czegoś śmiercią zapłaciła Ylsa. Były to ni mniej ni więcej tylko pisane własnoręcznie przez spiskowców dowody zdrady przeciw Selenay; dowody, że pięciu zajmujących najwyższe pozycje na Dworze wielmożów odpowiedzialnych jest za śmierć wielu Heroldów; niepodważalne dowody, których Selenay od dawna poszukiwała. Dwóch spośród całej piątki stało dotąd poza wszelkim podejrzeniem, i obaj byli członkami Rady — nie mogli poddać w wątpliwość własnoręcznie napisanych listów. Przed zapadnięciem zmierzchu spisek zawiązany przez

męża Królowej miał zostać wyrwany do korzeni i zniszczony. Dokumenty ukryte w wydrążonych brzechwach strzał i przeniesione do mrocznej, pałacowej komnaty przez Krisa i Dirka, miały stać się orężem zemsty za Ylsę, Talamira i wielu Heroldów, których imion Talia nigdy nawet nie słyszała. Jak udało się Ylsie uzyskać te papiery, Talia nie miała pojęcia, ale — na skutek działania lekarstwa, które wypijała, i które coraz mocniej oddziaływało na nią — było jej wszystko jedno.

Zaczęła drzemać z opadniętą do przodu głową, gdy nagle przestał bić Dzwon Śmierci. Obudziła się w zupełnej ciszy, przerywanej z kolei dzwonieniem dzwonów, które zwykle obwieszczały podjęcie ważkich postanowień przez Radę. Tym razem ich dźwięk był ogłoszeniem wyroku śmierci.

Mero pokiwał głową, jakby do własnych myśli.

— Królowa zatwierdziła postanowienia Rady. Zapadły wyroki śmierci — powiedział. — Pewnie zezwolą skazanym, by sami zadali sobie śmierć, lecz jeśli zabraknie im męstwa, rano staną przed katem. Żałuję... — na jego twarzy odbijały się żal i wściekłość. — Tego w *Pierwszej* nie ma, niech On mi przebaczy... ale żałuję, że nie mają z tuzina żywotów, wtedy spotkałaby ich sowita nagroda za ich uczynki! I żałuję, że nie mogę własnoręcznie wymierzyć im kary...

Talia przymknęła na chwilę oczy w obliczu tak bezdenne go żalu i po chwili podjęła się trudu zmniejszenia go.

Płatki spadające z jabłoni miały barwę zbliżoną do maści Rolana i były nieskazitelne jak nowiutki, podróżne skóry Skifa.

— Czy ja wyglądam inaczej? — zwrócił się zaniepokojony do Talii. — Bo ja tam się wcale nie czuję inaczej.

— Obawiam się, że twój wygląd naprawdę się zmienił — powiedziała do niego, utrzymując absolutnie poważny wyraz twarzy. — Jakbyś był kimś zupełnie innym.

— Kim?

— Hm, prawdę powiedziawszy... — ściszyła głos, jakby obwieszczała mu najgorszą z najgorszych wiadomości — ... wyglądasz jak...

— Jak? No jak?

— Jak ktoś odpowiedzialny, poważny — dorosły!

— Talio!

— No nie, naprawdę wcale nie wyglądasz inaczej — roześmiała się. — Jedyne wyglądasz, jakbyś wpadł do kadzi z bielidłem i twoje Szarości przez przypadek dostały awans.

— Och, Talio! — Przez chwilę śmiał się razem z nią, by nagle spoważnieć. — Będę tęsknił za tobą.

— Ja za tobą także.

W ciszy spacerowali w spadających płatkach. To Skif w końcu przerwał milczenie.

— Przynajmniej nie będę się o ciebie bał; tak byłoby, gdybym wyjeżdżał jesienią zeszłego roku.

— Bał się? O mnie? A to dlaczego? Cóż tu jest takiego, by trzeba było się o mnie obawiać?

— Po pierwsze: teraz jesteś bezpieczniejsza, nie został nikt, komu mogłoby zależeć na twojej śmierci. A po drugie, hm, sam nie wiem, ale poprzednio wydawało się, że jakoś nie potrafisz znaleźć sobie tutaj miejsca dla siebie — a teraz tak.

— Teraz mam poczucie, że zasłużyłam sobie na miejsce tutaj.

— Nigdy nie musiałaś sobie na nic zasłużyć.

— Mnie się wydawało, że tak.

Ujrzeni przed sobą szopę na uprzęż, obok której czekał Towarzysz Skifa, Cymry i Dirk, który miał być w czasie jego praktyki czeladniczej mentorem.

— Obiecasz mi coś?

— Co?

— Że nie zapomnisz, jak się śmiać.

— Jeśli ty też mi obiecasz, że czegoś będziesz się uczyć — uśmiechnął się szeroko.

— Błazen.

— Pedantka.

— Łobuz.

— Jędza — a potem, zupełnie niespodziewanie. — Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałem.

Nagle łyzy ścisnęły jej gardło. Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, przygarnęła go do siebie z całych sił, wtulając twarz w jego ramię. Chwilkę później stwierdziła, że on robi to samo.

— Tylko przyjrzyj się nam — udało jej się wykrztusić. — Para wielkich, rozmazanych dzieciuchów!

— Wszystko w jak najlepszej wierze — otarł oczy rękawem. — Talio, przed odjazdem muszę cię koniecznie o coś poprosić. Chciałbym, abyś coś dla mnie zrobiła.

— Co tylko chcesz — zmusiła się do uśmiechu. — O ile nie wpadnę w zbyt wielkie tarapaty.

— No cóż... nigdy nie miałem żadnej rodziny... a przynajmniej nic o żadnej mi nie wiadomo. Czy... zechciałabyś być moją rodziną? Moją siostrą? Bo coś mi się wydaje, że nic innego nie było nam pisane.

— Och, Skifie! Ja... — przełknęła głośno. — Nawet przywdzianie Bieli nie uczyniłoby mnie szczęśliwszą. I ja nie mam już żadnej rodziny, ale sam jesteś wart więcej niż tuzin Grodów.

— W takim razie, zgodnie ze zwyczajami ulicy... Z powagą naciął własny nadgarstek i podał jej nóż. Poszła za jego przykładem, ich nadgarstki połączyły się na chwilę.

— Krew z krwi, związani aż do śmierci — wyszeptał.

— I po — dodała.

— I po śmierci.

Rozdarł chusteczkę i obwiązał obydwu nadgarstki.

— Już czas, jak myślę. Jeśli zamarudzę jeszcze dłużej, Dirk się wścieknie. No cóż, uważaj na siebie.

— Ty uważaj na siebie, obiecujesz? Jeśli pozwolisz się zranić... ja... ja spuszczę na ciebie Albericha z łańcucha!

— Panie Światła, ty jesteś potworem!

Odwrócił się do niej i porwał ją tak gwałtownie w objęcia, że prawie zadusił na śmierć, ucałował ją mocno w usta i pędem oddalił się do swego mentora. Biegając oglądał się cały czas za siebie, machając na pożegnanie.

Talia machała ręką, dopóki zupełnie nie zniknął z oczu. Nie miała pojęcia, że przez cały czas jest obserwowana.

— I oto odchodzi jej ostatni przyjaciel — westchnęła Selenay; jej oczy zdradzały, że poczuwa się do winy.

— Myślę, że nie — odparł stojący tuż za nią Kyril.

Właśnie wypuścili na wolność swych Towarzyszy i wolnym krokiem wracali do Pałacu. Łagodne ciepło i pachnący deszcz płatków spowodował, że z niechęcią myśleli o powrocie do obowiązków. Kyril pierwszy dostrzegł Talię i oboje skrzyżowali się w zagajnik, by nie zakłócić pożegnalnej sceny.

— Dlaczego? — zapytała Selenay. — Pani wie, jak niewiele czasu ma na poznanie nowych przyjaciół.

— Nie musi ich poznawać; ludzie sami stają się jej przyjaciółmi. Choć tak rzadko zdarza mi się widywać uczniów, to jednak zdążyłem to zauważyć; i to nie tylko młodzież, ale Keren, Sherrill — nawet Alberich.

— Czy to wystarczy, by została z nami bez żalu? Okradliśmy ją z dzieciństwa, Kyril; uczyniliśmy z niej kobietę w ciałku dziecka; zmusiliśmy do przyjęcia na siebie obowiązków, od których dorosłemu posiwiałyby włosy.

— Skradliśmy dzieciństwo im wszystkim, Pani. Taki już los Wybranego — westchnął. — Pośród nas nie ma takiego, komu dane byłoby przeżyć prawdziwe dzieciństwo. Na nasze barki wcześniej spada odpowiedzialność. A Talia, prawdę powiedziawszy nigdy nie miała dzieciństwa; postarała się o to jej własna rodzina.

— To niesprawiedliwe.

— Życie nie jest sprawiedliwe. Mimo wszystko, wolała taki los niż jakikolwiek inny. Wiem, że ja zrobiłbym to samo. Czy nie wydaje ci się, że tu jest szczęśliwsza, niżby była gdziekolwiek indziej?

— Gdybym mogła być tego pewna.

— W takim razie spójrz na nią, a zobaczysz.

Talia patrzyła w ślad za oddalającym się ze swym mentorem Skifem dopóki cokolwiek można było zobaczyć, a potem odwróciła się w stronę Kolegium. Wtedy Selenay dostrzegła jej twarz. Ponieważ nikogo nie było w pobliżu, Talia nie starała się skrywać niczego. Gdy odwracała się plecami do drogi, jej zamysłona twarz powoli rozjaśniała się. Kiedy stanęła przodem do Kolegium, wyraz wywołanego rozstaniem bólu niemal zniknął jej z oczu. W serce Selenay znowu wstąpiła otucha, wyczytawszy w tych oczach wszystko, co przyrzekł jej Kyril, iż w nich zobaczy.

Zawracając do Kolegium, Talia westchnęła; poczuła jak myśl Rolana wychodzi jej naprzeciw. Przez długą chwilę po tym, jak Skif zniknął za horyzontem, poczuła się opuszczona i okropnie samotna. Lecz teraz... Czy mogłaby kiedykolwiek poczuć się samotna, skoro tam czekał na nią Rolan? A Skif nie był jej jedynym przyjacielem; co prawda Jeri wyruszyła w niewiadomym kierunku, ale Sherrill wciąż była w Kolegium, i Keren, Devan, mała Elspeth, Selenay, a nawet kochany, rycerski aż do przesady Gryffon. Wszyscy byli kimś więcej niż zwykłą grupą przyjaciół; byli rodziną połączoną ważnymi więzami — pokrewieństwem duszy. Oni byli jej prawdziwą rodziną. To tutaj było jej miejsce, od samego początku, tak jak to powiedziała Skifowi, jedynie długo trwało, zanim to zrozumiała. Z lżejszym sercem zawróciła ścieżką, prowadzącą do Kolegium. Do Kolegium, i do domu.